

1886. XII. 34.

35

Wydawnictwo  
na cele dobroczynne samborskie.

## IX. ROCZNIK.

Nowa serja illustrowana  
wydawana

NAKŁADEM I STARANIEM

G. Kohna.

*(Z zastrzeżeniem praw wydawcy i współpracowników.)*

Cena 1 zlr. 80 cent.

dla wszystkich nabywców dzieła po upływie prenumeraty, z wyjątkiem jedynie prenumeratorów. stałe w Samborze i w Przemyślu zamieszkałych.

PRZEMYŚL.

Czcionkami S. F. Piątkiewicza.  
1885—1886.

KUNST- & GEBLÄUDE  
GENIE







Zygmunt Sidorowicz.

Wydawnictwo  
na cele dobroczynne samborskie.

---

# IX ROCZNIK.

Nowa serja illustrowana

wydawana

NAKŁADEM I STARANIEM

G. Kohna.

---

*(Z zastrzeżeniem praw wydawcy i współpracowników.)*

---

PRZEMYŚL.  
Czcionkami S. F. Piątkiewicza.  
1885—1886.



Mag 100322 II

9 (1885/1886)

Biblioteka Jagiellońska



1002905234

## De profundis clamavi ad Te!

Pogan rzesza, z zmierzchłych dawno lat  
Odrodziła się, przepelnia świat:  
Czcząc niejako Twórcę ludzkich dni,  
Każdy Boga tylko w sobie czci —  
Boże wielki! Panie! działał cud!

Bałwochwalczy niech Cię wielbi lud!

Niech Cię wielbi nie przez fałsz i kłam,  
Ale prawdą, jakieś prawdą sam;  
Z serc niewinnych zdroj niech tryśnie łask,  
Niech je olśni Twych promieni blask —  
Boże wielki! Panie! działał cud!

Bałwochwalczy niech Cię wielbi lud!

Bałwochwalczy — bo w nas pełno wad,  
W które pogan obsitował świat:

Brak miłości, pychy bujny kłos,  
Samolubstwo, tępiąc serca głos —  
Boże wielki! Panie! działał cud!

Bałwochwalczy niech Cię wielbi lud!

Bo żółknijem gdyby zwiędły liść,  
Miał ku światłom wspinać się i iść;  
Bo marnujem część najlepszą sił,  
Zamiast ogień krzesać z martwych brył —  
Boże wielki! Panie! działał cud!

Bałwochwalczy niech Cię wielbi lud!

Ci, co Tobie winni oddać cześć,  
Słów Twych świętych przekreśliłi treść;  
Ci, co Twój poważać winni sąd,  
Błędnie bliźnich osądzają błąd.  
Boże wielki! Panie! działał cud!

Bałwochwalczy niech Cię wielbi lud!

Bo z letargu ocknąć nam się wraz,  
Kochać bliźnich więcej niżli nas,

Ołtarz nam ludzkości w sercu wznieść,  
Wieźć ku światłu ją, ku życiu wieźć —  
Boże wielki! Panie! zdziałaj cud!

Bałwochwalczy niech Cię wielbi lud!

Słowo martwe unicestwia ruch;  
Martwe ciało z martwych wskrzesza duch.  
Niech skorupa życia przyjmie kształt,  
Porzuciwszy egoizmu śaład!  
Boże wielki! Panie! zdziałaj cud!  
Bałwochwalczy niech Cię wielbi lud!

Podhajce. 30. Sierpnia 1885.

*G. Kohn.*

---

## Malarz-artysta i poeta,

(wspomnienie z lat ubiegłych, z ryciną tytułową i ilustracją w tekście.)

---

Działo się w latach 1862-m, 63-m, 64-m. Jeszcze nie wymarł ród bohaterów, którzy w r. 1831-m z hasłem: „Jeszcze Polska nie zginęła“ na oślep się rzucaли na bagnety moskiewskie, by wywalczyć wolność uciśnionej ojczyźnie, a już nowe hasła budzić zaczęły uśpionych snem letargicznym.

Polska się budziła, Polska zrzucać zaczęła jarmozmocarza północy, Polska chwyciła za broń powtórnie, by odzyskać wolność świętą, za którą waleczni jej synowie już raz na polach bitwy swoją najserdeczniejszą krew sączyli. Wolność świętą! Wolność myśli, wolność wiary, wolność przekonania! Wolność słowa polskiego! Rozbrzmiały echa wojenne, echa powstania wzdłuż i wszerz po kraju, a kto sam podążyć nie mógł za braćmi walczącymi, ten bodaj duchem śledził postępów broni polskiej.



I we Lwowie wrzało wówczas. Pamiętamy dobrze jeszcze dnie owe, kiedy młodzież lwowska manowcami dążąc ku granicy, zaciągała się pod sztandary orła białego; kiedy „Gazeta narodowa“, jedyny niezawisły organ lwowski, w początkach swego istnienia przyniosła pierwsze wieści z pola walki, rozchwywane chciwie przez czytelników; kiedy w wystawie Karola Wilda w rynku lśniły się fotografie Langiewicza, Pustowójtówny, Taczanowskiego, Rochebrune'a, Lelewela, a obok nich więziły oko grozą swoją krwawe widoki okrucieństw moskiewskich. Pamiętamy dobrze początki naszej ilustrowanej prasy humorystycznej we Lwowie, poprzedzające nowoczesne „Szczutki“ i „Djabły,“ owe „Sowizrrały,“ odzwierciedlające sobkostwo ówczesne i niedołęstwo umysłowe, wygwizdające niemiłosiernie stańczykostwo wszelkich odcieni, które aczkolwiek teraz spotężniało i rozwieliło się na wszystkie boki, wówczas ledwie że było w pieluchach; pamiętamy owe „Kuźnie,“ które kuły i wyrabiały ducha obywatelskiego przyszłych obywateli i obrońców kraju, owe wiersze szydercze i krwawe na cześć mniemanego patryjoty Wielopolskiego:

„Czas mieć rozum, czas!  
Te wybryki mas,  
To szaleństwa są bez celu.  
Ja dla przyczyn ważnych wielu  
Staję wpośród was.“

Pamiętamy i przyponinamy sobie wszystko dobrze.

---

Było to we Lwowie, placem widowni ulica Sykstuska, numer ówczesny 129-ty. W oficynach kamienicy przezemnie wymienionej, na balkonie upiększonym kwiatami, siedzieli dwaj młodzieńcy w sile wieku, rozmawiając z sobą: byli to sąsiedzi. Dwaj idealisci, dwaj marzyciele! Iskra boska, budząca do życia martwe glazy, poruszająca siłą tchnienia lodowce północy, nieświadomie już zaczęła oddziaływać w ich duszy, i

dla tego w dwójnasób czuli swoje osamotnienie. Bo kto się rodzi z poczuciem piękna wśród tłumu, ten już za młodu skazany na los Kasandry wieszczki, która choć prawdę czuła, ale obwieścić nie mogła jej tłumom.

Jednego z tych młodzieńców, chłopca czarnowłosego, liczącego zaledwie 16 lat, wabiła już wówczas sława Grottgera; jego bożyszczem była sztuka, dla której gotów był poświęcić zdrowie, życie, wszystko. Piastując w głębi duszy uczucie niezatarte i żywe piękna, stał nieraz zadumany, a świat prozaiczny, nie pojmując artystycznej jego zadumy, mocą której on tworzył późniejsze swoje arcydzieła, mówił: „To tuman, to człowiek, który się rozminął z celem swoim“, i naganiał do pracy nie artystycznej, ale suchej, rzemieślniczej dla kawałka chleba.

A drugi młodzian, o dwa tylko lata starszy, cudzoziemiec w dodatku, marzył, o czym marzył, trudno wypowiedzieć; bo i uczuć swoich w języku polskim wypowiedzieć może nie byłby jeszcze w stanie, chociaż już czuć począł po polsku, a więc i rozumieć. Przed jego wzrokiem nie widniały jeszcze światy bożego piękna i natchnienia bożego; nie znalazł ich w otoczeniu swoim, więc szukać ich musiał w książkach. Dusza młodzieńcza, żywa rwała się w świat, a świat odpychał bez miłosierdzia. Więc przelało się myśli i obrazy, to własne, to naśladowane i obce w obcym języku niedołącznie na papierze, a przyszły artysta piórem swoim illustrował pierwsze utwory niedołączego bazgracza. Któż wówczas odgadłby w owym uczniu szkół realnych, wykonującym wprawna ręką rebusy dla pisanego miesięcznika „Antikwitates“, przyszłego malarza wielkiego, ilustratora „Kłosów“, „Szczytka“, „Mrówki?“ Któż w owym niedołącznym bazgraczu, nie umiejącym nawet po polsku, przyszłego autora i wydawcę dzieł polskich?

Minęły lata, nastala wiosna r. 1864-go, a przyjaciele rozstali się: jeden, przyszły malarz-artysta kończył studja swoje we Lwowie, aby następnie opuścić stolicę i udać się w obczyznę celem dalszego kształcenia się w swoim zawodzie, drugi idealista-bazgracz, opuścił Lwów także, nieświadomy jeszcze przy-

szłego swego celu, choć w głębi duszy czuł już moc piękna, ale w barwy żywotne słowa ubierać jeszcze nie umiał.

Nie dobrze drażnić ciekawość ludzką. Publiczność ma prawo, wymagać odemnie rozwiązania zagadki, kto był owym artystą-malarzem, tem bardziej, że to nasz rodak, że to jeden z pracowników Polski, a pochowany na obcej ziemi, a zapomniany od swoich.

---

Zygmunt Sidorowicz, syn Michała i Zuzanny z Lewakowskich Sidorowiczowej, urodził się we Lwowie 1. Kwietnia r. 1846-go. Ojciec, sekretarz magistratualny, obarczony liczną rodziną, nie opływał w dostatki, a utrzymywać dom, a wychowanie odpowiednie dzieciom dawać trzeba było.

Najstarszy syn, Zygmunt, w dziecięcym wieku prawie niepospolite okazywał już zamiłowanie dla sztuki malarskiej; w szóstym roku życia swego odrysował dosyć poprawnie znak z chustki, choć jeszcze wyobrażenia nie miał o elementarnych zasadach nauki, w 12-m akwarelę przedstawiającą widok pewnej ulicy lwowskiej.

Stary Sidorowicz nie miał sposobu i środków dalszego kształcenia syna swego we Lwowie, gdzie oprócz tego nie istniała wówczas i nie istnieje dotąd szkoła malarska, krakowska zaś nie szczyciła się jeszcze tym rozgłosem, który zdobyła dopiero później pod kierownictwem mistrza Matejki. Uczęszczał zatem młody Zygmunt do szkół realnych lwowskich, a następnie na technikę, gdzie jakkolwiek postępy jego w innych przedmiotach nie były może świetne, co do rysunków jednak celował nad wszystkimi współuczniami.

Wtedyto poznałem go w domu Leiby Russmana i poczułem od razu żywą sympatję dla śp. Zygmunta. Opowiadał on mi nieraz o najświętszych marzeniach duszy swojej, ja mu o moich. Niestety! ani jedno, ani drugie nigdy ziścić się nie miały. Pokazałem mu

wówczas książki z obrazkami, ciesząc się nimi jak dziecina jakaś, pokazałem mu własne niedołążne próbki rysownicze, których nieudatność litośny uśmiech w nim wywołała; bo śp. Zygmunt był artystą duszą całą, nim go jeszcze świat za takiego uznał. Ganił więc wszystko, co według jego rozumienia było złe i nieudatne, a ganił bez ogródki. Starał się o rozszerzenie mojej wiedzy, dając mi do zrozumienia, jak niedostateczną się okazuje wyłączna świadomość języka francuzkiego lub niemieckiego dla kraju, w którym mieszkam, który jest na wskroś polskim i w którym trzeba władać koniecznie językiem polskim i przesiąknąć ideą narodu, jeśli się chce z pożytkiem pracować dla ogółu.

Czytaliśmy wspólnie ówczesne pisma belletrystyczne polskie: „Dziennik literacki,” jedno z pism najbardziej wzorowo redagowanych, a mieszczących prace Zacharjasiewicza, Cieszewskiego, Dzierzkowskiego, Walerego Łozińskiego, Ujejskiego. Pajgerta, Romanowskiego i innych; przerzucaliśmy kartkę po kartce w „Przyjacielu domowym,” piśmie redagowanym przez śp. Hipolita Stupnickiego, mieszczącym obrazki nędzne i wiersze nie o wiele lepsze, ale odznaczającym się treścią prozaiczną zdrową. Wieczorem grało się czasem na fortepianie, bawiło się w warcaby, albo wyglądało się z upragnieniem najświeższych nowin z teatru wojny, zawartych w „Gazecie narodowej.”

To znowu Zygmunt na zamówienie portrety wykonać musiał dla znajomych i obcych; prace jego odznaczające się świetnym kolorytem i wielkimi zaletami realistycznymi, już wtedy były poszukiwane, choć nie pracował jeszcze w szkole malarskiej. Od czasu do czasu odwiedzali go też najbliżsi krewni i przyjaciele: Miksz, Ziebauer, Lewakowski, Komorowski, a wtedy urządzało się przechadzkę w spółce.

W rozmowie z innymi śp. Zygmunt był bardzo przyjemnym i miłym towarzyszem, w samotności zazwyczaj przybierał wyraz poważny, pograżał się w zadumie. Przedstawiam go sobie jeszcze teraz tak jak wówczas przedstawiać go sobie nawykłem, w stroju polskim, z wyrazem poważnym młodego, gołowąsego alumna; z nowszą fotografią, pochodzącą z ostatnich

lat życia jego, a przedstawiającą go z głową porządnie wyłysiałą, z zapuszczoną brodą i wyrazem pieczeniara dobrodusznie uśmiechniętego — nie mogę się jakoś oswoić.

Rok 1864-ty rozłączył nas; ja osiedliłem się chcąc nie chcąc w Samborze, on otrzymawszy stypendjum roczne w wysokości 500 zł. od gminy miasta Lwowa celem dalszego kształcenia się w sztuce malarskiej, przeniósł się do Wiednia, gdzie się przez 5 lat bez przerwy kształcił pod okiem najbieglejszych mistrzów w sztuce malarskiej. Z tego to czasu datuje list jego, wystosowany do mnie, a który dla uzupełnienia jego życiorysu załączam:

Lwów, dnia 12. Października 1864.

Mój dobry Panie! Kreślę te słowa na kilka godzin przed moim wyjazdem do Wiednia; w chwili tak ważnej w mem życiu, bo odtąd zaczynam ostatnie i najważniejsze studia, od których zawisły dalsze me losy. Zawód, którego sobie wybrał, jest niepewny i chwiejny — osobliwie w tych czasach. Zawód ten wymaga wrodzonych zdolności i talentu jak każda inna sztuka piękna, która bez tych warunków istnieć nie może. Ja nie jestem tak zapewniony o mych zdolnościach do malarstwa, żebym mógł sobie piękną przyszłość obiecywać, gdyż w razie nieposiadania talentu, nazwać się mogę już nieszczęśliwym człowiekiem teraz i później.

Sztuka w czasie terażniejszym osiągnęła stopnia wysokiego i wielkiego, dla tego i talenta muszą być wielkie, o których nie jestem zapewniony, których może nie posiadam. Po pierwszym roku pobycia mego w Akademji zdaje się że wrócę do Lwowa na waka-cye, więc następnego miesiąca Lipca — cieszyłoby mnie, gdybyśmy się mogli wówczas zobaczyć. Dziwi to Pana zapewne, dlaczego na Jego list dotychczas nic nie odpisałem. Może pan zwątpiłś o mojej przy-jaźni; to jednak me długie milczenie niech nie wradza w Panu fałszywego o mnie wyobrażenia. Zaręczam, że mi przykro było zostawić w niepewności, lecz skoro dziś odebrałem od Pana list, przekonałem się,

że Pan się jeszcze na mnie nie gniewa i pamięta o mnie.

Z jakiejże przyczyny miałbym o Panu zapomnieć? Przez cały przeciąg czasu naszego pobytu we Lwowie, sądzę że miałem sposobność pana poznać szczegółowo i poznać rzeczywiście dobrego serca, jakiego posiadasz.

Przez te wakacje pracowałem wiele, bo nie tylko że malowałem by się lepiej przysposobić do Akademji, niezaniebrywałem gry na fortepianie, lecz uczyłem się Matematyki i z tego obiektu przed kilka właśnie dniami zdałem examen. Racz Pan więc przyjąć moje usprawiedliwienie i nie gniewać się na mnie. Przyszły list odbierzesz Pan już z Wiednia, w którym Panu i adresę do mnie umieszczę. Będąc pospieszony zbierać się do podróży jestem przymuszony przestać dalej pisać, przyczem przepraszam za złe pismo, bo musiałem pisać bardzo spiesźnie. Bądź Pan mi zdrów! —

*Zygmunt Sidorowicz.*

Wobec skromności Sidorowicza, który powołany i wybrany był jak nie wielu na mistrza sztuki, jakże nędznie wyglądają owe porywy niedouczonej pismaków i bazgraczy, którzy na podstawie uzyskanego na gimnazjach świadectwa dojrzałości, albo na uniwersytecie zdobytego dyplomu, narzucać się ośmielają jako przewodnicy opinji publicznej, choć wiedzą, że nie tylko potomność, ale i terażniejszość nad nimi do porządku dziennego przejść będzie musiała; choć wiedzą, że się natchnienia bożego, że się sztuki słowa nie uczy i nie wykłada w żadnej szkole; choć wiedzą, że plotki brukowe nie stanowią esencji publicystyki, że komeraże i blaga nie nadają nikomu blasku patrijotyzmu i zasługi, że zadrukowana bibuła nie jest jeszcze dowodem życia umysłowego, że lada rym częstochowski jeszcze nie jest poezją i że zasadą: „Coaxo, ergo sum!” dyskredytuje się tylko publicystykę poważną i kładzie się tamę wszelkim wydawnictwom prowincjonalnym, rzeczywiście poważnym i pożytecznym. Zaiste! do takich niepoprawnych pismaków zastosować można jedynie słowa poety: „Kozom wam, a nie rymom zaplatać ogony!” Ale nie mniej grzeszą

ci, którzy w piersiach swoich czując iskrę Bożą, od Boga samego namazani i powołani do pracy dla dobra ogółu, lada niepowodzeniem, lada podmuchem nieprzyjaźnym, lada brakiem materjalnym się zrażają i opuszczają sztandary pracy narodowej; bo droga przez ciernie nie prowadzi i prowadzić nie powinna do znaczenia, do majątku i do sławy, ale prowadzi do uszlachetnienia umysłów, ale prowadzi do oświecenia tłumów, ale prowadzi do odbudowania przyszłej Ojczyzny naszej, a muszla jak wiadomo ginąć musi, aby konając ronila swoje perły.

---

I znowu minęły lata. Sąsiad Sidorowicza, ów bazgracz niepoprawny, czuł wreszcie, że nie dosyć jest, pisać aby pracować z pożytkiem dla ogółu, ale trzeba pisać, aby ogół rozumiał i pożytki moralne odniósł z prac autora; inaczej bowiem pracowałoby się na równi z tym obłąkanym, który szyby tłucze, aby nie próżnować. I zaczęła się twarda praca samouka około przyswajania sobie języka obcego, tem trudniejsza, że za podstawę nauki języka polskiego służył język niemiecki, zarówno zaniedbany przez autora. Studium więc było porównawcze. Rezultaty pierwsze wcale nie były zachwycające ani co do języka niemieckiego, ani co do polskiego. Dotąd jeszcze tkwi autorowi w pamięci odpowiedź, otrzymana przez redakcję pewnego poważnego pisma niemieckiego: „W piec rzuciliśmy pańskie wierszydła z powodu powtarzanych w nich ustawicznie zamachów na poezję i loikę. Nie wolno tak śmiało występować, kiedy się jeszcze niepoprawnie pisze.“ Ale to, coby innych odstraszyło od wszelkiej pracy, to dla byłego sąsiada Sidorowicza bodźcem było do pracy, z podwójną energią podjętej.

Ludzie tymczasem potrząsali głową, śmiejąc się z usiłowań niedołężnych. Jedni uważali autora za idjotę, zagłębionego w samym sobie, nie rozumiejącego i nie pojmującego co się w koło niego dzieje, a wobec

którego można na śmiało wypowiadać takie rzeczy, których się nie wypowiada wobec ludzi, posiadających wszystkie swoje władze umysłowe. Mniemany idjota rozumiał i pojmował jednak każde takie słowo doskonale, a gorycz niewyleczalna pozostała się w sercu. Inni znowu wskazywali mu jako wzór naśladowania godny pismaków domorosłych, sprzedających opinią swoją za pieniądze i fabrykujących na zawołanie i na obstalunek 500 wierszów — przepraszam! 500 rymów chciałem mówić — na godzinę! — Ale gdzie tam autorowi prawdziwemu naśladować pisownię bazgraczy, kiedy nie naśladuje nawet pierwszorzędných autorów, nie naśladuje w ogóle nikogo, ale czerpie z siebie samego wzory.

Nazwali to bezczelnością i szaleństwem, nazwali porwaniem się motyką na słońce, że się cudzoziemiec odważył, uczyć się języka polskiego nie dla prywatnego użytku swego, ale na to, by go ogół czytał i rozumiał. Wśród takich bezużytecznych usiłowań minęło 10 lat. Nastął rok 1874-ty a z nim obchodzony w całej Polsce wszere i wzdłuż jubileusz Goszczyńskiego. Autor próbujący wtedy poraz pierwszy w języku polskim sił swoich publicznie, przysłał komitetowi zajmującemu się wydawnictwem „Sobótki“ wiersz liczący zaledwie kilkanaście zwrotek, a zaczynający się od słów: „Dziś Polska gody święci uroczyste.“ Wiersz ten kosztował go 5 dni pracy nieprzerwanej, i został przyjęty. Od tego czasu rok nie minął, żeby nie zawezwano jego współdziału bądźto przy niemieckich, bądź przy polskich wydawnictwach, choć rezultat materialny równał się zawsze z zerem.

Z tego też czasu datuje się list do Zygmunta Sidorowicza.

Sambor, 12. Listopada 1874.

Szanowny Panie!

Czy Pan sobie jeszcze przypominasz. jakieśmy obaj dawniej w dobrem są iedztwie i w dobrej przyjaźni żyli i jak mi jeszcze na odjezdnem pisałeś, że człowiek nie posiadający talentu, daru bożego, któ-



rego każdy z śmiertelników tak żywo pragnie, liczyć się już może w tem życiu do nieszczęśliwych, z celem swoim mijających się istot? Powiedziałbym teraz odmiennie: i człowiek w istocie talentem obdarzony, człowiek, na którego zdolnościach znawcy się już dawno poznali, może być, może się czuć nieszczęśliwym; bo nie przeprze wszystkimi swojemi zdolnościami, nie przekona całym swoim talentem oporu niechętnych i zawistnych mu ludzi, i mimo całego ogromu wiedzy swojej będzie się czuł samotnym na tej kuli ziemskiej, na której tak mało serc czujących dlań bije, a z wzgardą i szyderstwem na każdym kroku ciernistego swego żywota spotykać się musi. Pan jako artysta-malarz zrozumiesz może artysty-poetę, jeśli takim mianem ochrzcić siebie samego wolno.

I poznali się w istocie na zdolnościach moich: przyjęto jednogłośnie pierwotwór człowieka, nie kształcącego się w salonach, lecz tylko w samotnem zaciszu nieznanego ustronia, przyjęto pomiędzy najcenniejszemi utworami naszych mistrzów w książce, którą sam Ujejski redaguje. Czy mnie to uszczęśliwiło? Może na chwilkę, rozczarowanie nastąpiło prędzej, aniżeli myślał. Co mi z wszystkich zaszczytów tego świata, kiedym obcy na nim, kiedy nikt sposobu mego myślenia nie podziela?

Racz Pan do mnie napisać: może listy Jego, może rady i myśli przychylnego człowieka rozerwą tę smutną jednostajność, w której wszystkie myśli moje jak w niezgłębionym chaosie się gubią.

Dawny przyjaciel i sąsiad

GOTHILF KOHN.

---

Opuśćmy poetę dumającego i niezadowolonego losem swoim, aby wrócić do malarza. Staralem się, o ile możliwości jak najwięcej zebrać szczegółów z życia przyjaciela, zawczasie dla sztuki ojczystej zgasłego,

i w tym celu udałem się prawie do wszystkich jego krewnych po informacje, gdzie mi takowych zabrakło. Niestety! informacje z źródła tego pochodzące były bardzo szczupłe, w niektórych punktach pozostawały nawet z sobą w sprzeczności, podczas gdy praca niniejsza jako wspomnienie pośmiertne powinna mieć autentyczność aktu urzędowego.

Jeśli się postaramy, zbadać wpływy domowego wychowania i otoczenia na dalsze losy bohatera lub bohaterki każdej powieści, nie trudno nam będzie, rozróżnić udział, jaki w tem dziele wychowania mieli ojciec lub matka, tak dalece nawet że wady lub zalety temperamentu rodziców często przechodzą na dzieci. Nie inaczej też miała się rzecz z młodym Zygmuntem. I tu musimy zaznaczyć, że wpływy ojcowskie nie były szczęśliwe dla syna, a co do temperamentu, to odziedziczył całkowicie temperament matki, temperament miękki i prawdziwie kobiecy, a nie temperament ojca, zimnego egoisty i flegmatyka. Zdaje się, że ojciec sam czuł najlepiej, jaka ogromna przestrzeń umysłowa i moralna oddziela go od syna, gdyż całą swoją miłość ojcowską przelał na najmłodszego potomka Władysława, najmniej godnego takiej czułości. Jego pieścił wyłącznie, w nim widział ideał swój uosobiony, chyba dla tego że mu niedołęstwo i tępość umysłowa Władzia przypominały ustawicznie własną ociężałość. Zygmunt nie doznawał nigdy tych pieszczot ojcowskich, na których brak się często gorzko użalał w obec przyjaciół. Tem więcej miłości, czci i przywiązania czuł on dla matki, osoby ze wszech miar godnej poważania, prawdziwej Polki, która z cierpliwością męczennicy znosiła ciosy rozmaite, chowając dzieci w duchu i w tradycjach polskich, pielęgnując męża nieulubionego wiernie i starannie aż do ostatniego tchnienia jego, pracując w ubóstwie i niedostatku nad wykształceniem dzieci, aż sama wreszcie uległa ciężkiej chorobie, która ją powaliła na łożo boleści.

Zygmunt, ubóstwiający matkę swoją, wykonał też z własnego popędu dla niej dwa najpiękniejsze malowidła swoje, jedno przedstawiające ją samą, a noszące datę r. 1865-go, drugie przedstawiające jego

według obrazu, odbitego z zwierciadła. Ostatni ten obraz, nieco później wykonany, nosi datę r. 1869-go. Właścicielką obecną obydwóch cennych tych malowideł jest siostra Zygmunta, Marja Sidorowiczówna, nauczycielka zamieszkała w Bóbrce, u której malowidła wyżwymienione oglądać można. Szczególnie obraz Zuzanny Sidorowiczowej odznacza się niemal fotograficzną wiernością.

Nie dziwimy się młodemu malarzowi i nie potępiamy go za to, że zamieszkawszy dłuższy czas w Wiedniu, gdzie żył oddalony od rodziców i pozbawiony opieki matczynej zatęsknił za sercem, któreby go pokochało. Ubolewamy tylko nad tem, że taki niestosowny uczynił wybór. Jest rzeczą udowodnioną, że rodzice jego narzeczonej, prości mieszczańscy wiedeńscy, wyzyskiwali w sposób prawdziwie kupiecki jego zdolności malarskie, zagradzali mu drogę do szczęścia i do sławy, poróżnili go nawet chwilowo z najbliższymi krewnymi, jakoto z ojcem własnym i zatruli mu spokój domowy niezgodliwością i kłótnością swoją. Jest to smutny, prawdziwie hogartowski obraz!

Widzimy, jak młody, uzdolniony malarz, który z powodzeniem odbył studia w Wiedniu a następnie w Monachjum, kurs nauk przerywa, aby zbyt wczesnie na słabe barki swoje wziąć obowiązek ojca rodziny; widzimy go pracującego jak białego murzyna, nie aby zadość uczynić wyższemu celom sztuki, ani też aby przyzwoite utrzymanie zabezpieczyć sobie, żonie ubóstwionej i synowi jedynakowi, ale aby zadość uczynić kaprysom i wymaganiom ustawicznemu pani teściowej, szewcowej wiedeńskiej; widzimy, jak ta kobieta w napadzie gniewu prostaczego syna Zygmunta a wnuczka swego, strąca ze stołu, nadwerężając mu nóżki i narażając na wieczne kalectwo.

Śmierć ojca, która nastąpiła w r. 1875-m, śmierć matki ukochanej, która nastąpiła w 4 lata później, śmierć najmłodszego brata Władysława, który w r. 1880-m we Lwowie jako idjota nieszkodliwy skonał — wszystkie te wypadki nie zdołały wyrwać Zygmunta z koła zaczarowanego, w którym się obracał. Bez namysłu odrzucił on korzystną i zaszczytną propozycję, zro-

bioną mu w rok po śmierci matki przez gminę miasta Lwowa, która rodaka swego, malarza czyniącego zaszczyt polskiej sztuce w kraju i za granicą, chciała zaliczyć do swoich — na zawsze. Jedno, co uczynił, a to nie dla sztuki ojczystej, lecz dla dobra rodziny, że brata młodszego Stanisława, który w naukach nieszczęśliwie postępy zrobił, do Wiednia powołał i tam dla niego o korzystne postarał się umieszczenie.

Sądząc z pozorów mniemalibyśmy, że śp. Zygmunt zamieszkawszy w Wiedniu wśród Niemców i skojarzywszy się z nimi, stał się sam Niemcem, zapomniał o Ojczyźnie swojej; ale przypuszczenie takie pozbawionem byłoby wszelkiej podstawy. Niemiecki malarz Holbein uciekł w świat od żony sekutnicy, aby zachować sobie dla twórców swoich swobodę artystyczną. Sztuka zyskała na tem; ale ze stanowiska moralnego musimy jego postępowanie potępiać. Polski malarz Sidorowicz nie szukał rozvodu z żoną, nie uciekał w świat od teściowej złośnicy, ani też nie usiłował siłą pięści zdobyć sobie posłuszeństwo i mir domowy, bo miał temperament łagodny, cierpliwy i kochający matki, a nie temperament egoistyczny ojca.

Były jednak chwile, w których Zygmunt, zamieszkały na obcej ziemi, tęsknił za krajem ojczystym, choć wrócić do niego nie miał już siły. Stosunki z ojczystą prasą utrzymywał on ciągle; on był jednym z najgłośniejszych i najlepszych współpracowników „Szcztka“, a kto wie, czy typowe figury Goga, Onufrego, cioci Kizi, Strachajły nie pochodzą wprost od Sidorowicza? on był współpracownikiem tygodnika ilustrowanego „Mrówki“, wychodzącego w latach 1869-tym i 1870-tym we Lwowie. Kompozycja jego do prospektu „Mrówki“, rysunek o śmiałych zarysach, którym pragnął niejako uświetnić zwycięstwo sztuki malarskiej nad innemi, wywołał mimowoli protest we mnie, a stanąwszy w obronie poezji, zawołałem:

„Połączywszy świat cały w kolorów igrzysku,  
O! jak wielkie zajmuje malarz stanowisko!  
Lecz poeta, ten sztukmistrz, wyższy od malarza:  
Malarz myśl wykonywa, którą tamten stwarza.“

Wiadomą jest rzeczą, że Sidorowicz rysunkami i malowidłami swemi prawie rokrocznie zasilał wystawy lwowskie, a raz nawet urządził wystawę osobną swoich obrazów, na co mamy drukowany dowód, udzielony nam życzliwie przez siostrę artysty. Jest to

„Spis obrazów Zygmunta Sidorowicza, wystawionych w sali ratuszowej. (Daty nie umieszczono, zdaje się jednak, że spis rzeczony pochodzi z roku 1869-go).

- |        |  |                       |                         |
|--------|--|-----------------------|-------------------------|
| Nr. 1. | Boreas unosi Oryteję (podług pierwotworu Rubensa). |                       |                         |
| " 2.   |  |                       |                         |
| " 3.   | }  | portrety              |                         |
| " 4.   |  |                       |                         |
| " 5.   |  |                       |                         |
| " 6.   |  |                       |                         |
| " 7.   |  |                       |                         |
| " 8.   | }  | studja podług natury. |                         |
| " 9.   |  |                       |                         |
| " 10.  |  |                       |                         |
| " 11.  |  |                       |                         |
| " 12.  |  |                       |                         |
| " 13.  |  |                       | } kompozycje.           |
| " 14.  |  |                       |                         |
| " 15.  |  |                       |                         |
| " 16.  |  |                       |                         |
| " 17.  |  |                       |                         |
| " 18.  |  |                       |                         |
| " 19.  | }  | studja podług natury. |                         |
| " 20.  |  |                       |                         |
| " 21.  |  |                       |                         |
| " 22.  |  |                       |                         |
| " 23.  |  |                       |                         |
| " 24.  |  |                       |                         |
| " 25.  |  |                       | Ruiny nad wodą (kopia). |
| " 26.  | Żyd handlujący owocami (z natury).                 |                       |                         |

Nr. 27.	}	studja podług natury.
" 28.		
" 29.		
" 30.		
" 31.		
" 32.		

Nra 1, 5, 6, 7, 8, 12, są do nabycia.

Bliższe wiadomości przy kasie."

Nie wiadomo mi, czy rzeczony obrazy rzeczywiście znalazły nabywcę; ale nie wątpię o tem, wnioskując z wielkiej popularności, jaką się cieszyły prace Sidorowicza, które się znachodziły nawet w takich domach, jakimi były domy hr. Gołuchowskich i Zamojskich.

Sawicz-Zabłocki w „Ruchu literackim“ (Nr. 35-ty z 26. Sierpnia r. 1876-go) w artykule „Wspomnienie z wystawy obrazów we Lwowie“ pisze o Sidorowiczu: „Sidorowicz Zygmunt Lwowianin, nadesłał z Monachium piękny krajobraz. Jest to widok grupy drzew o zachodzie słońca. Mały to obrazek, ale wykończony starannie tak pod względem kompozycji jak i kolorytu, miłe robi wrażenie. Utalentowany ten artysta znaczne robi postępy i wiele po nim oczekiwać można. Wcale dobry portret młodej kobiety pędzła Sidorowicza znany z przeszłorocznej wystawy. Słyszeliśmy że obecnie maluje p. Sidorowicz portret Karola Ruprechta, członka rządu narodowego, dla Rapperswyłu. Muzeum to ma być także przybytkiem polskiej sztuki. Zarząd jego stara się, ażeby praca każdego znakomitszego malarza polskiego na ścianach jego zawieszona, dawała licznie zwiedzającym to Muzeum cudzoziemcom dokładne wyobrażenie o rozkwicie sztuki polskiej!“

Podług „Ruchu literackiego“ (Nr. 38-my z 15-go Września r. 1877-go) na wystawie sztuk pięknych w „Domu Narodnym“ figurowały także obrazy Zygmunta Sidorowicza.

Tenże sam „Ruch literacki“ w nrze 50-m z 8. Grudnia r. 1877-go przy sposobności opisanja wystawy krajowej lwowskiej w dziale: „Wystawa obrazów i rzeźby“ następującą czyni wzmiankę o Sidorowiczu: „Zygmunt Sidorowicz nadesłał 4 maleńkie krajobrazy, z których 2 są wykończone, 2 inne podmalowane są raczej szkicami niż obrazami. Na jednym z nich chatka wśród grupy drzew przy wschodzącem słońcu; na drugim grupa drzew bez liści wśród pola śniegiem zasypanego; na trzecim pod lasem namiot cygański z ogniskiem; na czwartym znowuż widok zimowy, przedstawia pod lasem w polu zaśnieżonem drożkę, po której dwóch ludzi podąża. Z tego opisu widzimy, iż artysta nie silił się na kompozycję. Kilka zaledwie przedmiotów, grupa drzew i pola posłużyły mu za treść do obrazków, które pomimo jeduostajności mają w sobie poezję. Urok, jaki z najpospoliczszego widoku umie wydobyć Sidorowicz swoim pędzlem, jest dowodem talentu kompozytorskiego. Oko z przyjemnością rozgląda się w tych niewielu przedmiotach i wprowadza do duszy tęsknotę rzewną i zamyślenie. Znać też wielką wprawę w rysowaniu i śmiałość pędzla. Artysta ten umie dobrze malować, dlaczegoż więc traktuje w sposób szkicowy swoje obrazy? Te dwa, które zostały przez niego wykończone, są prześliczne: drobiazgi to, ale miłutki i wdzięczny. Zdolności p. Sidorowicza bardzo wysoko cenimy. Spodziewamy się więc, że od nas przyjmie radę szczerą, którą mu udzielamy. Wiedząc o tem, że i szkice jego mają wartość, niechaj przecież najmniej ich puszcza pomiędzy ludzi, obraz zaś każdy wykańcza starannie. Jesteśmy pewni, że przy dokładnem wykończeniu wszystkich szczegółów obrazy jego będą cenione jako utwory wielkiej wartości.“

Zaiste! każdego czującego bezstronnie a miłującego sztukę ojczystą, boli serce, jeśli rozważy, że malarz o takich zdolnościach jak Zygmunt Sidorowicz, portrecista zawołany, który z równą biegłością i wprawą wykonał wielkie olejne obrazy, małe akwarele i rysunki ręczne najdrobniejszych rozmiarów — zmarniał swój talent i swoje zdrowie pracą niewolniczą we Wiedniu, gdzie za obraz, zamówiony częstokroć

przez wiedeńskich handlarzy na poczekanie i spieniężony następnie za sto złr. i więcej, ledwie piątą część wartości pracy otrzymał.

W chwili rozpoczęcia druku czwartego rocznika samborskiego miałem zamiar, przyozdobić go rysunkiem Sidorowicza, a mianowicie sądziłem, że najbardziej do podobnej ilustracji nadałaby się powiastka fantastyczna „Król-węgiel“, na stronicy 66-tej tegoż rocznika umieszczona. W tym celu przysłałem starymu druhowi na pamiątkę dawniejsze roczniki i odpis rzeźzonej powiastki. Zamiar sam został następnie z powodu rozmaitych przeszkód zaniechany; odpowiedź, którą mi Sidorowicz udzielił, zasługuje jednak na to, aby ją w całości umieszczono, ponieważ wyświeca cokolwiek stosunki, w których artysta żył.

Wiedeń, 25. Października 1880.

Kochany Panie Gotthilfie!

Wyda się to Panu niegrzecznie z mej strony, iż na list kochanego Pana dopiero dziś odpisuję, jednak gdybyś Pan był świadkiem moich kłopotów, usprawiedliwiłbyś mię po części.

List Pański i ofiarowane mi książki, za które najserdeczniej dziękuję, sprawiły mi prawdziwą przyjemność — i serdecznie się ucieszyłem, iż zachowałeś Pan dla mnie przyjaźń taką samą, jak nas niegdyś jako sąsiadów a tem bardziej jako ludzi pracujących w podobnych sobie zawodach przysłużenia się kiedyś krajowi łączyła — to też Pańskie usiłowania wydały już dziś piękne owoce pomimo przeszkód, jakie Pan zwalczać musiałeś, gratuluję więc Panu z całego serca. Co do mnie, to wątpię by Panu znane były stosunki w jakich się obracam, przyznam się więc szczerze, iż przyczyny materialne zamęczają mi spokój, jakiego mieć trzeba, by z całym zapalem oddawać się tak pięknemu zawodowi, pomimo tego dążę i robię co tylko mogę i nie brak nadziei, że wkrótce będę mógł swobodnie, z spokojnym umysłem pracować, i jeżeli szczęśliwe te dni zabłyszczą, miłem mi będzie to przekonanie, iż tylko pracą lecz nie innemi szczęśliwemi



przypadkami udało mi się osiągnąć stanowisko, o jakim dziś marzę.

Zapewne będzie Panu wiadomo, w jakim rodzaju dziś pracuję, niegdyś jak to Pan byłeś świadkiem, malowałem portrety, dziś przeważnie maluję krajobrazy, i dla tego w tym kierunku tak pod względem technicznym, jak i kompozycji więcej nabyłem biegłości; uwagę tę stosuję także i do życzenia Pańskiego względem rysunku, który ma być umieszczony w roczniku — jeżeliby Pan zostawił mi wolność co do wybrania tematu, to szczerze przyznam się kochanemu Panu, że wolałbym taki temat, gdzieby pejzaż był główną rzeczą, figurki zaś jako stafaże i sądzę, że nie trudno znaleźć będzie Panu coś z drobniejszych poezyi, do której by dało się podobny pejzażyk zastosować; jeżeli zaś Pan koniecznie życzy sobie mieć rysunek do „Króla-węgla,“ to i ten z największą przyjemnością zrobię, chociaż zadałby mi więcej trudności i może nie wypadłby tak dobrze, jak rysunek w powyższym rodzaju, o którym z góry Pana zapewniam, że będzie dobry. Co do wykonania raczej reprodukcji, to proponowałbym kochanemu Panu powierzyć tutejszemu zakładowi cynkograficznemu Angerera i Göschla, ponieważ taniej wyniesie od drzeworytu a przytem ma się tę pewność, iż reprodukcja nie wypadnie na niekorzyść oryginalnego rysunku, co się zresztą w drzeworytach dzieje.

Oczekując zatem rychłej odpowiedzi, zostaję z prawdziwą przyjaźnią życzliwy

Zygmunt Sidorowicz.

Pięć miesięcy później, gdy się druk piątego rocznika miał rozpocząć, zamówiłem według wskazówek Sidorowicza klisz do tytułowej ryciny u firmy wiedeńskiej, przez niego mi polecanej, a uczyniłem to z zastrzeżeniem, aby sam Sidorowicz rysunek wykonał. W tym też celu wystosowałem list do niego; ale ś. p. Zygmunt nie mógł już zadość uczynić zawzwaniu memu. Żona jego doniosła mi listownie o nagłej i niebezpiecznej chorobie męża, uniemożliwiającej mu wszelką czynność artystyczną. W kilka tygodni

później, dnia 5. Maja r. 1881-go leżał on już na katafalku. Zapalenie płuc przecięło pasmo dni jego.

Niebawem wiedeńskie dzienniki najrozmaitszych odcieni, a między niemi nawet dzienniki wprost nieprzychylne sprawie narodowej, poświęciły jego pamięci obszernie nekrologi, a u nas co? U nas może co najwięcej ograniczono się na stereotypowej wzmiance, że „umarł w Wiedniu znany i poszukiwany przez szersze koła artysta-malarz Zygmunt Sidorowicz, przeżywszy lat 35.“ Jeszcze gotowi Niemcy przywłaszczyc go sobie, jak sobie przywłaszczyli Kopernika, jak sobie przywłaszczyli niejednego znakomitego Polaka. Rzeczywiście! szkoda w obec kulturerji, rozwielniającej się wszędzie i głoszącej wyroki o wszystkim, o czem pojęcia nie ma — zdziałać coś dla kraju!

Komu na wieść o śmierci Sidorowicza nie przychodzi mimowoli na myśl wiersz niemieckiego poety i malarza Maurycego Blanckartsa: „Pogrzeb mistrza?“

Dzwon pośmiertny brzmi głośno, pieśni brzmią ko-  
[ścielne ;  
Mistrza szczątki pod wiekiem trumny kryją głuchem ;  
Chłonać znowu ma ziemia, co było śmiertelne,  
Ale wiecznie żyć będzie to, co tworzył duchem.

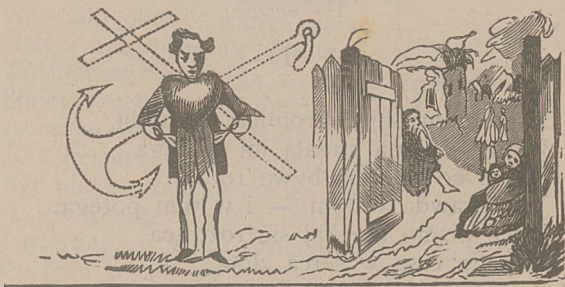
Kto w serdecznej żałobie i z smutnem obliczem  
Dąży za karawanem? oto mistrza wdowa.  
Życie jej nie pociesza, świat już dla niej niczem,  
Odkąd trumna milcząca jej nadzieje chowa.

Cierpieć teraz jej z dziećmi niedostatek srogi,  
Bo majątku nie zdobył zmarły swoją pracą,  
Służyć sztuce, bogini uwielbionej, drogiej,  
Oto cel jego życia, to mu było płacą.

A choć nikt mu nie zrównał pracą i pilnością,  
Umarł przecież ubogi, lecz wielki i dumny :  
Jedno tylko, co swoją uzyskał zdolnością,  
Oto wieniec z wawrzynu naokoło trumny!

Nie możemy zmarłemu wrócić życia; to  
niechże bodaj skromne rysunki, niech rebusy Sidorowicza, wykonane przezeń w życia wiośnie dla pisa-

nego pisma „Antikwitates“, a z których jeden „Miłość bez pieniędzy, wrota do nędzy“, tak trafnie i do niego dający się zastosować, tuż obok umieszczamy —



niechże bodaj te rysunki przypomną publiczności, że równocześnie z hasłem powstania, które ducha patryotycznego obudziło na nowo w mieszkańcach kraju, życie artystyczne, oparte na podstawach narodowych, budzić się zaczęło w piersiach Sidorowicza.

Podobne prawie losy malarza i poety! Jednego i drugiego wyzyskują, nie pojmując polotu myśli ni jednego, ni drugiego! Jednego zapomnieli po śmierci, drugiego zapominają, obrzucają błotem i wyszydzą już za życia!

Sam b o r , 25. Listopada 1885.

*G. Kohn.*

## W drodze.

[Fragment.]

### I.

. . . . .  
Z poranku objąć promień wschodu,  
Dłoń — jasną strzałą mi dosięga  
A już co niebios bywa rodu,  
Jest prawda w tem — i w tem potęga.  
Więc pismo niechaj się roztrąca  
I spada rosą w serca złotą,  
Bo pióro iście skrzydłem słońca  
Gdy ranne blaski je oplotą.  
I inak człowiek myśli, czuje,  
A słowo szczęsnej zwiady strzałą —  
I co się w dobie tej wysnuje,  
To jeno nazwać Bożą chwałą.

. . . . .  
Współczesnej doby cel zawiły,  
Dążności ludów — życia boje,  
Są treścią pieśni pełną siły;  
Czas każdy miewa głosy swoje.  
Niech grozą wojny pieśń rozniecicie,  
Gdy tego każe chwili władza,  
Lecz w hasło takie niech się wplecie,  
To, czem wiek każdy się odradza.  
Bo pokolenia przyszłe wstawszy  
Nad naszych zwycięstw dobą krwawą —  
Szermierza jęk i bój najkrwawszy  
Uznawać będzie czczą zabawą.  
A jeno to się i ocali  
I czczonem będzie w potomności,  
Co wieszcz natchnieniem w pieśń skryształi,  
Z prawd Bożych, wiary i miłości.

\*

\* \* \*  
Lecz insze świat — i śpiewak }pragnie!  
Więc gdy rozliczna czerń to zbada,  
Wnet ducha k' swojej służbie nagnie,

Albo mu brzemień takie zada,  
Iż pod niem legnie jak zabity . . . —  
Lub gdy silniejszy a powstawa  
Pytaniem trwoży tłumne świty:  
„A kto nas sądzi z mocy prawa?”  
Nuż taki okrzyk wątlej piersi  
Naleci niespodzianie zgraję,  
To kłamcy! zgrzytną w gwałt najpierwsi:  
Śmierć zuchwałemu, bo powstaje!  
A możni szepczą: Motłoch burzy  
A z herbów naszych urok ściera!  
Byt niechaj mu się nędzą chmurzy  
A jęk żebraczy wyda lira.  
I czern przy słów wybuchu tchórzna —  
Po lęku wstyd i mściwość zazna,  
Powolna możnym i usłużna  
Podnosi pięści przed wzrok — błazna,  
Co w dłoń ludowi berło składa  
I naród wita w praw koronie . . .  
Więc kto tu słaby ten przepada  
Na małej wiary pchnięty tonie.

\* \* \*

Kto naszą metę śmie zaciemnić,  
Choć fałsz się nocą w masy kładzie;  
Kto śmiał zejść z nami w świat tajemnic,  
Gdzie Boże sądy dzieńją w radzie?  
Któż przed ofiarą nas zasłania  
Albo spiewaczej łaknie doli,  
A kto lud ku miłości skłania,  
A kto zań mówi w dniach niewoli?  
Któż nam w ucisku podał ramię —  
Kto z trosk rozchmurzył myśl i skronie —  
I kto to bracia, kto! nas złamie,  
Gdy na moc słowa znajdziem dłonie?  
Kto krzepi cudem nasze siły,  
Gdy wróg nas rady zniszczyć — gnębi,  
Kto stróżem sławy u mogiły,  
Kto przeszłość słyszy w grobów głębi?  
Kto łasce Pańskiej kłam śmie zadać,  
Co nam przez życie drogę prości?  
W niej hańbą byłoby upadać  
Pod stopy marnej świata złości;

Lecz pieśni moja za natchnieniem,  
Gdy blask dziedziczysz od jutrzeńki,  
Bo zda się — piszę tym promieniem,  
Co z Bożej spływa na mnie ręki.

. . . . .  
Nie — wielkiej sławy wieniec złoty,  
Ni odgłos jej, co idzie w wieki,  
Wzniecają k' pieśni mej ochoty --  
Ot człek — po prostu — dawa leki.  
A jeno pragnie, by cne słowo  
Nie zmarło głucho w chwastów gęstwie,  
Lecz by w przyszłości zeszło zdrowo,  
Swobody plonem po męczeństwie.  
I wciąż się w jedno pacierz składa,  
I jeden głos w modlitwę płynie:  
Niech Panie! zacne nie przepada  
A raczej w zgodnym rośnie czynie.

\* \* \*

Bywało niegdyś — w <sup>\*</sup>snach młodości,  
Gdy wzrok w głębiny chęci wlepię,  
Dostrzegam sławę w wysokości  
Jak mglisty obłok na nieb sklepie.  
I czarem w tej obłocznej toni  
Ułudna postać się rozbudzi,  
Tysiące koron miota z dłoni  
W kołowy obieg między ludzi.  
A błyskawiczna sług jej rzesza  
Skinieniom ócz zbudzonej rada,  
Tryumfów godła w słońcu wiesza,  
Lub grzmiać jej imię na świat spada.  
Wnet z życia zmierzchu — liczne tłumy  
W namiętne wzniosły wzrok pragnieniu —  
I szli po wieńce krokiem dumy  
I zwani są po jej imieniu.  
Wtedy się podał w myśli chore,  
Aż mnie paliła żądź pożoga  
I rostem w dumę — nie w pokorę  
Idący k' sławie — nie do Boga.  
A ścieżka wiodąc do rozgłosu  
Martwością bezmiłośną słygnie . . .  
Cóż dziwo? — rzekłem — z woli losu  
Na Sybir idęż — czy w pustynię!

W tem zesli sławni od przezroczy —  
Koroną zdobna twarz ich blada,  
Z jednymi krew przelana kroczy,  
Na innych — grad orderów spada.  
Spojrzałem w siebie: duchem lichszy  
Sam sobie zdałem się w tej drodze!  
Gdy za mną waśń wciąż naród wichrzy,  
Co po koronie, czci i todze? . . .  
Na tedy sławni swemi swary,  
Choć matkobójcze szerzą zbrodnie,  
Krzyknęli na mnie: „Małejs wiary!  
Na drogę-ż sławy wszedł niegodnie.“  
Ha! przystanąłem smutny — w lęku —  
Wsluchany w dawne ludów dzieje,  
A lirę głuchą miałem w ręku,  
Choć w piersi młody wiek szaleje;  
A serce się w boleści miota,  
A duszę rwą wciąż niespokoje . . . .  
Za mało zda się na żywota  
Opustoszałych zgliszczach stoję!  
Postąpię dalej na ruiny —  
Zwalisko gęste przy zwalisku;  
A świat się zakrył w swoje czyny —  
I znikł... w obłcku żądź i zysku....

Stryj, 23. sierpnia 1885.

## II.

Z niebiosów słońce spadło z dzionkiem,  
Żałobna noc się w przestwór wspina,  
Zapłakać mogłem w głos za słonkiem —  
Bo oto cmentarz gdzie ruina.  
Milczącą smutną twarzą księżyc  
Obwijał martwość w całun jasny —  
Już człeku trudno łez zwyciężyć  
Gdy się rozpatrzy w nędzy własnej.  
W gruzowych szczątkach sława! ojców —  
A miecz sądzący władców kłótnie  
Przeżera rdza i niemoc rdzawa;

Strzaskane leżą wieszczów lutnie  
Płaczące jeszcze w pokoleniu,  
Tych pieśni echem nieśmiertelnych,  
Które mi śpiewak w swem natchnieniu —  
Zapraǳnął gnuśnych zmienić w dzielnych.  
Co krok to szczątki! słowa złote,  
Lub objawionych prawd okruchy,  
Jak kości rzucone na słołę  
Na skwar i nocne zawieruchy,  
Których, że świadczą światu — niebem,  
Sumienny nie śmie dla spoczynku  
W mogile uczcić choć pogrzebem,  
A podły wskrzesić w swym uczynku.  
Im szerzej po tych gruzach patrzysz,  
Tem sroższa boleść w ducha ranie:  
Odwagi hasłem: nędzy pacierz,  
Tryumfu hymnem: krzywd wołanie.  
Okryte krepą godła nasze;  
Sztandary, które na bój wiodły  
Jak duchy zwycięstw plemię lasze —  
Na widok których drżał wróg podły,  
Choć dłonie do łupieztw sposobne  
W podstępnie cienie chytrze nurzył —  
Wyśmianym bogom dziś podobne,  
Pomniki których świat poburzył,  
Gdy p'jany w wstydną grzązł ochotę —  
A tarcz na cielce przekuł złote —  
A karki do stóp zgiał tyrana!  
Hej! grzmijcie słowa w głuchą ciszę:  
W pamiątkach myśli się szamocą —  
I zda się krwią przelaną piszę!  
Poranku blaski zaszły nocą:  
Dzisiejsze w zgubę wiodą cele!  
Swoboda bez czci leży w pyle,  
Na gruzach szemrze chwast i ziele —  
A sławą: krzyże na mogile.

\* \* \*

Ach! niewiem czy przeszłości snami  
Twarz obłożoną i wspomnieniem  
Ukazać jeszcze mam przed wami —  
Lub czy się rozsnuć jasnym cieniem  
Nad wielkiem czynów cnych ogniskiem,



Z którego odblask was tak straszy  
Bo z ducha ani ja wam bliskim  
A z krwi już tylko jestem waszy!  
Bo tak mnie przeszłość usidliła,  
Jak mary umysł w śnie krwiopilcze;  
A matką zda mi się mogiła,  
A głośną mowa kiedy milczę...

\* \* \*

Ocknij się duchu — precz z żalobą,  
Wspomnienia strząś, co bolą,  
Czas w przeszłość chyżo mknie przed tobą,  
Zażyj go silną wolą.

\* \* \*

Czy znasz ten kraj ułomnych duchów,  
Gdzie pieniądź znajdzie z grzbietów — progi?  
Tu wrzawa zawsze tworzy zuchów,  
Tu motłoch tylko i półbogi!  
Czy znasz ten kraj lokajskiej tłuszczy —  
Ten targ sprzedajnych siewców słowa?  
Tu z kłamstw się ziarno hojne łuszczy —  
Tu zbrodni nazwa: zdolna głowa.  
Tu bezmózgowych — księstwo — czaszek,  
W niem ród papużej władza rzeszy,  
Tu blichtru świat — tu niebo fraszek —  
Tu zapal kłatwą — a ból grzeszy.  
Tu brud na wagę złota kładą,  
Tu na stos wloką Świętych błędy!  
Czy znasz ten kraj plugawy zdrada,  
Zkąd wróg zapełnia zbirów rzędy?  
Dokądże bóstwa — dziś krzykliwe  
Pałace wichry was odwiały,  
Gdy pół-narodu nieszczęśliwe  
W pierś brało bagnet — w czoło strzały?

.....  
Nadzieją waszą — klęska Wiary,  
Zasługą — schylić kark w obroże,  
Wy śmiecie plwać na te ofiary,  
Co się pokładły w krew pod noże,  
Co się poddały na rzeź dziką  
Bezbronne — łaski możnych skutkiem:  
Półbogi jasne... polityką:

Lud psem was widzi — a car dutkiem.  
Cel wasz: powolne upadlanie,  
A obowiązkiem — strzedz ciemnoty;  
Wam prawem było: używanie,  
Choć naród szedł na szczyt Golgoty.  
Blask wiary śmiło w was zwątpienie  
A miłość zgasła przez rozpusty,  
Precz! kajdanami skute cienie —  
Talentów Bożych precz oszusty!  
Niech milcząc idę dalej drogą —  
Wybrani iść nią tylko mogą.

. . . . .

Stryj, 27. stycznia 1885.

*Wł. Gicsielski.*

---

## A f o r y z m.

---

Dać — bogatszym jest rzeczą,  
A współczuć — człowieczą.

*Bolestaw Andruszericz.*

---

## Rozbiór

### „Wieńców pośmiertnych“

Zedlitz.

---

Autor, z którego „Wędrówkami Ahaswera“ jako też drobnemi poezjami publiczność już zaznajomiśmy, arcydziełem swoim, noszącym tytuł „Wieńców pośmiertnych“ widocznie wstępuje w ślady Danta, którego nawet w formie i wyrazach często usiłuje naśladować. Nie możemy jednak autorowi tak uzdolnionemu i władającemu tak świetnie językiem poetycznym, zarzutów robić z tego powodu: bo Zedlitz nie jest jedynym naśladowcą Danta. Moglibyśmy nawet bez przesady twierdzić, że Dante Allighieri tak uniwersalnym był geniuszem, że przykład jego oddziaływał w literaturach prawie wszystkich ucywilizowanych narodów.

Wiele niemieckich pisarzy usiłowało naśladować sławnego Florentczyka, ale żaden z tak dobrym skutkiem jak autor „Wieńców pośmiertnych.“ Z polskich pisarzy wymieniamy Słowackiego i Krasińskiego, na których w pierwszym rzędzie pisma i duch Danta oddziaływały; z poetów, należących do innych narodowości, moglibyśmy na tem miejscu także nie jednego wymienić, ale to zaprowadziłoby nas za daleko.

Musimy się tedy ograniczyć na rozbiór niemieckiego dzieła, które choć oryginalnie napisane jednak duchem i treścią najbardziej zbliżone jest do „Boskiej komedji,“ a dziełem tem bez zaprzeczenia „Wieńce pośmiertne“ Zedlitz.

Widzimy koloryt nam obcy, roztaczający się nad całym obrazem poetycznym, który autor jako biegły malarz duszy odsłania przed naszymi oczami. I tak jak w „Boskiej komedji“ piekło, czyściec i raj ustawiczny toczą bój ze sobą, aż na końcu władze

piekielne uledz muszą przed niebiańską potęgą myśli, tak i tutaj.

Ale miast się gubić w długich uwagach przedwstępnych, przysłuchajmy się raczej samej myśli przewodniej dzieła.

Już na samym wstępie woła autor, iż dosyć mu tych nedorzecznych urojeń młodości, dosyć mu tych miłośnych marzeń, które się nigdy urzeczywistnić nie mogą:

„Ale teraz burząc krew,  
Niech donośniej brzmi mój śpiew,  
Wyzwalając się z ukrycia  
Gdyby zemsty echo mściwe!  
Bo miłości pieśni tkliwe,  
Pieśni dawne — to kwiat życia,  
Pieśni nowe — życia rdzeń.”

Po tym wstępie następuje jeszcze drugi właściwy, gdyby introdukcja zapowiadająca grę artysty. Autor pogrążony w dumaniach, spoczywa w cieniu drzew. Myślą swą, uganiającą po niebiosach, rozbiera on cele żywotne człowieka i nabywa przekonania, że ci wszyscy wielcy i sławni ludzie, których świat nie rozumiał i prześladował, wśród nieszczęścia jeszcze byli szczęśliwymi, bo myśl zbawienna ich podniosła i niedopuszczyła do upadku, a

„W promieniach stu zdroj światła na nas spływa,  
O boskiem każdy świadczy pochodzeniu,  
Natchnienie jest to życia zdroj wiecznego,  
I w jego ludzkość kapie się promieniu.”

W tem jawi się jego oczom duch negacji, duch „grobu” i oprowadza go po grobach wielkich i sławnych mężów, aby się przekonał o tem, że ich sława była blichтром, a ich szczęście ozłoconą nędzą. Jawią się oczom poety postacie, okryte sławą wojskową, na ich czele Wallenstein.

Duch roztacza przed okiem poety obraz wiekistej męki sławnego dowódcy, który wzrokiem swoim w korbach posłuszeństwa utrzymywał tysiące, który ustalił tron monarchy, a sam w własnych swoich zawiódł się nadziejach i zapatrzony w gwiazdę, która mu lepszą miała wróżyć przyszłość, zginął z ręki mordercy.

Ale poeta, nieprzekonany słowami ducha, woła,  
ze na skrzydłach pieśni żyć wiecznie imię jego będzie !

„Choć znieważone i sponiewierane,  
Przez wieszczą czczone będzie znów i znane,  
Czystością śnieżną olśni wodza wszędzie !  
A przyszłość w śnieżnej przedstawi go szacie,  
Jak ongiś wieszcz w dziejowym poemacie !“

Następuje zmiana obrazu.

„I znów otacza postać mą zasłona  
Powietrzna, lekka, tkana z mgły i cieni !  
Na skrzydłach ducha pędzę bez wysiłku,  
I obaj już pływamy wśród przestrzeni,  
Gdzie ludzkich głosów słabe echo kona,  
Od chwil się już nie odzywając kilku.“

Poeta i jego nieodstępny towarzysz zwiedzają  
wyspę św. Heleny, a na niej grób Napoleona. Autor  
na grobie poległego bohatera pogrąża się w smętne  
dumania nad znikomością rzeczy ludzkich i opłakuje  
osamotnienie wielkiego męża, którego druhowie  
najbliżsi odstąpili. Duch karci litość tę — jak twierdzi  
niewczesną ; bo

„Gdy świat go cały w gniewie swym przeklina,  
Zkąd więc powstała litość ta jedyna,  
Co w błędnym błogosławi go zapale ?  
W wielkości podziwiawszy go zenicie,  
Przypomnij sobie, jak zakończył życie !“

Ale poeta broni swego ideału zawzięcie i woła  
z goryczą :

„ . . . . . wszyscy przed nim się płaszczyli,  
Jak długo szczęście nie zdradziło pana !  
Wówczas w paszczkę śmierci każdy skakał  
Na rozkaz jego ; teraz w skonu chwili  
Wierni się ulotnili,  
A zwłoki zgraja podła sług otacza,  
I tacy szydzić wazą się z mocarza,  
Co niegdyś z czią dźwigali tron cesarza,  
A którym order jego nie uwłacza !  
Służalców zgrajo ! drzyj przed śpiącym w grobie,  
Lecz od tych zwłok — od zwłok tych — wara tobie !“

Przesycony jednak krwawemi temi scenami, nie  
pragnie poeta już więcej być przytomnym przy zgonie  
sławnych wojowników, którzy śmierć i zniszczenie

siali, złudzony myślą, że ci, którzy żyli jedynie miłości uczuciem, z pewnością osiągnąć musieli kres ziemskiego szczęścia, którego granice słowem wytknąć się nie dadzą.

Duch prowadzi go więc na groby Petrarcki i Laury. Poeta zachwyca się czystą miłością wybranych tych dusz i pięknnością Laury, która „niebem wstrząsa i piekłem.“

W tem duch szyderczo podnosi zmienność w uczuciach miłośnych Petrarcki, który rozkochany na zabój w Laurze, w krótkce już o niej zapomina, a następnie nawet wieść o jej zgonie obojętnie przyjmuje. Ale to jeszcze dobrze, jeśli uczucia miłości w ten sposób się kończą, bo

„Nie zawsze skry miłości cicho gasną  
Jak światło lampy, gdy oleju nie ma ;  
Lecz częściej miłość wzmaga się i wzdyma,  
Potęgę ducha zabijając jasną,  
A jej natchnienia, jej płomiennie żary,  
Medei są to śmiercionośne dary.“

I na dowód prawdy spieszy duch poety na groby Romea i Julii. Nieszczęsne przygody wiernych tych kochanków nastroją duchowi sposobność do nowych pesymistycznych zapatrywań.

„W noc zniknąć zapomnienia,  
Miłości jest to kres niepożądany !  
Kwitnącą w pełni śmierć rozetnie w poły,  
Nieźrała rozsypuje się w popioły ;  
Grunt dla niej jeszcze nie przygotowany !  
Lecz niech spłowieje kiedybądź jej szata,  
Zbyt długo miłość trwa dla szczęścia świata !“ —

Ale poeta nie daje się zbić z toru. Żywemi barwami podnosi on szczęście istot czujących, szczęście poetów.

„Harmonjo pieśni, lutni wdzięczne tony,  
Co martwe nawet ożywiają gruzy !  
Dziś wam szyderca przeczy racji bytu !  
Zamilknąć dziś powinien nam głos muzy,  
Co niegdyś brzmiał na wszystkie świata strony,  
Od ziem powierzchni dążąc do zenitu !

A przecież jak głos mitu,  
Uroczobrze brzmi, tak brzmią mi wasze dźwięki,  
O struny gęśli, spokój w sercu niecąc  
I na burzliwej drodze życia świecąc,  
Gdy huraganów przerażają jęki,  
Jak Dawidowi niegdyś strun swych echo,  
Tak brzmiałyście mi w bolach mych pociechą!" —

I znowu następuje zmiana w obrazie, niejako odłona nowa w tragedji życia. Duch prowadzi poetę na groby poetów. Napis skromny na grobie Torkwata Tassa nęci duszę myśliciela, nieszczęsne życie włoskiego wieszczka budzi duszę do współczucia. Przenikający do głębi tkliwością swoją jest obraz młodości poety, przerażający na wskrós obraz prześladowań, jakim uległ, aż na końcu przymusowo przytrzymanym został w domu warjatów.

„Lecz nie skon grozi, hańba grozi tobie!  
By przedezgonem sława twa zagasła;  
By motłoch, który ciągle zdania mieni,  
Imieniem twem uwienczył wzgardy hasła;  
By sławy blask nie towarzyszył w grobie;  
By wspomnień wianek w wiecznej swej zieleni  
Nie olśnił twoich cieni;  
Byś zhańbion był w pamięci tych, co żyją,  
By imię twe wzbudziło czucia wstrętne,  
Miast budzić litość, łzy wycisnąć smętne,  
Przyjaźnią byś nie cieszył się niczyją —  
Szalonym zwać cię trybem im wrodzonym!  
Szalonyś ty! więc żyjże, żyj szalonym!"

Ale szalony blaskami geniuszu swego olśniewa mędrków trzeźwych,

„I pozna świat Torkwata twórcze siły,  
I echem pieśni, którą niebo rodzi,  
Odżyje świat i ziemia się odmłodzi!"

Jeszcze raz przedezgonem uśmiecha się szczęście znękanemu wieszczowi; wypuszczony z domu obłąkanych, doczekał on się tego zaszczytu, że go na kapitolu wieńczyć mają wieńcem wiekuistej sławy, i papież Aldobrandini (Klemens VIII.) wyrzeka wiekopomne słowa:

„Laurowy wieniec innym blasku nada,  
Lecz z twego czoła blask na wieniec pada!”

Ale wszystkie te przemijające błyski szczęścia  
nie wstrzymują nieubłaganej śmierci, i kona poeta u  
wrót sławy wiekuistej, nieprzemijającej.

„Do Kapitolu, jak słońce wielkiego,  
Prowadzi straż naboczna przy tym tronic,  
Co rubinami płonie! —

A tam otoczy męczenników czoło  
Nie liścia laurowego wieniec suchy,  
Lecz wieniec, w którym promienieją duchy,  
Ten wieniec gwiazd, świecących im wesoło;  
A pieśni brzmiące bolem i nadzieją,  
W przedwiecznej pieśni akord się tam zleją!” —

I znowu zmienia się sytuacja, i znowu przenosi  
duch wyobraźnię czytelnika z kraju, gdzie „cytryna  
dojrzewa i pomarańcz blask majowe złoci drzewa”  
do dzikich urwisk i skał wiecznie mglistej i posępnej  
Anglii. Tu angielski wieszcz Bajron zwraca na siebie  
uwagę myślącego, Bajron, owe uosobienie pesymi-  
zmu, który sam nigdy szczęśliwym nie był i innych  
szczęście zatruł, a na końcu po ciągłych a bezużyte-  
cznych wędrówkach, na brzegach Grecji grób samo-  
tny znalazł. Duch grobu urąga zeń, jak w ogóle  
z wszelkich myśli wyższych, idealistycznych. Ale po-  
eta powstaje w ich obronie i żąda, aby go prowa-  
dzono na groby tych, którzy tylko jeden ideał mieli  
przed oczyma — dobro ogółu, i dla tego ideału po-  
święcili mienie i życie.

Duch go prowadzi na grób wielkiego męża stanu  
i patrioty angielskiego, Williama Pitta.

Uznając zbawienność jego działań, podnosi przy  
tej sposobności szyderczo szczegół, że Pitt w istocie  
zdziałał wiele dobrego, ale nie doczekał się uznania  
ze strony niewdzięcznych swoich ziomków.

„..... znużony próżno on ochłody  
Wyglądał, upadając pod ciężarem,  
Zmęczony słońca skwarem!  
Tak jak wśród burz na opuszczonej wieży  
Mdłe szerzy blaski lampa wywieszona,



A wiatry wieją, fala grzmi szalona,  
Tak dumał on samotny u pobrzeży!  
Ty w lśniącej wieńca widzisz go koronie,  
Ja widzę cierni, raniący jego skronie!”

Ale poeta jeszcze nie daje za wygraną:

„W ludu się nie zatarły  
Pamięci czyny tego bohatera!  
Zazdrośni, patrzcie! strumień mętny, krwawy  
Nie kala go, nie kala jego sławy;  
W płomiennym wozie na was on spoziera  
Jak prorokowie, jak mężowie święci  
W promieniach światła lśnią do nieba wzięci“.

Duch neguje zdania poety:

„Miał darzyć lud wolnością, ścieśnij raczej  
Granice, ustawiając je inaczej!  
Do nieb drabiny nie przystawiaj złotej,  
Po której duch, gdy przejrzeć już zaczyna,  
Od gwiazd do gwiazd do wyższych sfer się wspina.“

I dalej prowadzi droga. Podróżni zatrzymują się przed posągiem cesarza Józefa II. Po drodze wita poeta cienie bohaterów z pod Wagramu. Zatrzymując się przed posągiem cesarskim, podnosi on z zapalem zbawienne działanie monarchy, które go uwieczni w pamięci przyszłych pokoleń. Ale duch grobu zwraca uwagę jego na szczegół, że monarchy zbawienne działania po większej części spełzły na niczem i zostały udaremnione, oraz że Józef II. aż do chwili zgonu nie był i nie czuł się szczęśliwym. Poeta jednak zbija to twierdzenie innem, że każdy, który według swego mniemania i w swoim zakresie zadość uczynił swoim obowiązkom, już jest szczęśliwym, choćby nim nie był według zapatrywań świata, i przytacza ku obronie swojej liczne przykłady, a zagadnięty z nienacka przez ducha, czy się sam czuje szczęśliwym, odpowiada śmiało:

„Jam szczęśliw! — Choć u mety nie stanąłem,  
Jam spostrzegł ją, jam odczuł okiem ducha!  
Jak Mojżesz ujrzał kraj błogosławiony  
I poznał, choć w około puszcza głucha,

Tak kraj błogosławiony oglądałem,  
Tak stoję ja, tak patrzę wywyższony!  
Jam szczęśliwy, choć mi zgony  
Stokrotne grożą, pulsy bić przestały,  
Jam go oglądał z kwieciami róż obfitem,  
W promiennem słońcu, chmurą niezakrytem!  
Kraj natchnień boskich, kraj wieczystej chwały!  
Choć nie zagości stopa ma w tym kraju,  
Jak Mojżesz skonam ja u wejścia raj! "

Kończy się dyskusja. Myśl ludzka, myśl natchniona, zwiastując nam raj na ziemi, tryumfuje nad wątpliwościami piekieł, nad sofizmatami ducha grobu, który widząc, że jego usiłowania daremne, w różowych mgłach się rozplywa, życząc poecie, aby i nadal śnił uroczę obrazki, o których urzeczywistnienie na tej ziemi niestety cierpiącej ludzkości tak trudno!

L w ó w, 8. Maja 1885.

*G. Kohn.*

---

## Kołysanka.

---

Spij dziecino, spij w spokoju,  
Póki nie znasz pracy, znoju,  
Póki nie znasz łyzy!  
Łzy, co teraz z ócz twych płyną,  
To są szczęścia łyzy, dziecino!  
To są rajskie sny!  
Kto wie, jaki los dla ciebie,  
Jaki wyrok tam na niebie,  
Jaka dola ci?  
Może tobie od powicia  
Na niebiosach gwiazda życia,  
Gwiazda szczęścia Isni?  
Może szczęścia blask niebieski?  
A twe oczko rosą łezki.

Przestań łezki lać,  
Bo szczęsnemu żyć wesoło,  
Jemu jasne świata koło,  
Jemu się więc śmiać!  
Albo kto wie, kto to zgadnie?  
Czarna dola ci przypadnie?  
Taki wyrok twój?  
Gdy dla ciebie ciężka dola,  
Niech się stanie Boża wola,  
Gotów bądź na znój!

Ale teraz zapłakane  
Otrzyj oko, w łzach skąpane,  
Przestań płakać, spij!  
Łzy te zostaw na czas srogi,  
Gdy się ściemnia losu drogi,  
Teraz błogo śnij!  
Może tobie dadzą losy,  
Byś jak ptaszek pod niebiosy  
Ludziom nucił śpiew:  
Więc rozwesel swe oczęta!  
Póki dola złota, święta,  
Rozchmurz, rozjaśń brew!

Albo może Bóg powoła,  
Byś pracował w pocie czoła  
Za lud biedny twój!  
Łzy więc otrzyj smutku, trwogi,  
Aż gdy pójdziesz śladem drogi,  
Którą wskaże znój.  
Ciężar życia dźwigać trzeba,  
A krzyż ciężki dały nieba,  
Ciężki gniece los;  
Ale dobry siew nie zginie,  
On jak wolny ptak wypłynie,  
Lśniąc jak złoty kłos!

A gdy kiedy z bronią w dłoni  
Śród kul gradu, rżenia koni  
Legnąć w boju masz,  
Nie płacz dziecię! śnij o sławie,  
Śnij o krwawej bitw kurzawie,  
Rozjaśń smętną twarz!

Zamiast tracić swą swobodę,  
Baw się lepiej, pókiś młode!

Spij, dziecino ! spij —  
Niech nie płyną łzy z twych oczu !  
Tam Aniołek na przeczocz :  
O Aniołku śnij !

Drohomyśl, 9. stycznia 1884.

*Bolesław Andruszewicz.*

---

## Ostatnie strofy.

---

- Ja: Komuż ty śpiewasz piosenki swoje,  
Ptaszyno moja skrzydlata ?  
Twe tony płyną jak srebrne zdroje,  
Lecz czy dla ludzi i świata ?  
Czy oni ciebie, mój ptaszku szary,  
Zrozumią, pojmą, odgadną ?  
Czy się podniosą do twojej wiary —  
Czy czuciem twojem zawładną ?
- Ptaszek : Ja śpiewam sobie i bratniej duszy  
Mej pieśni zwrotki ostatnie,  
A choć ją tłumy nie pojmą uszy,  
To serce pojmie ją bratnie.
- Ja: Lecz czy szyderców śmiechy nie skażą  
Twych pieśni, z serca płynących ?  
Czy ciebie lodem swoim nie zrażą,  
Ciebie i pieśni gorących ?  
Ja wiem, że czujesz, kochasz, ptaszyno !  
Ludzi i ziemię rodzoną,  
Ja wiem, że z serca pieśni twe płyną,  
Że wielbisz przeszłość minioną.
- Ptaszek : Tak ! kocham przeszłość, braci i ziemię,  
Więc braciom tęskną pieśń nucę :  
Ja kocham kraj mój i ludzkie plemię  
I z niem się cieszę i smucę !

Lwów, 8. listopada 1884.

*Bolesław Andruszewicz.*

# A r t e m,

opowieść kozacza

przypisana Wnej Jadwidze Reczyńskiej,  
na pamiątkę chwil kiku razem spędzonych.

---

## I.

Szumi step, lekkim wiatrem muskany,  
Burzan się chwieje rozkołysany —  
I wietrzyk leci, toń Dniepru zmaci,  
Lub starą wierzbę nad brzegiem trąci  
I znów przypada. Cisza. W oddali  
Jeszcze się niebo w zachodzie pali,  
Aż wreszcie niknie w nocy pomrokach,  
I noc zwycięża, a na obłokach  
Jedna się gwiazda jawi po drugiej,  
By znów zagasnąć w nocy niedługiej.

Sumak spragniony do wody bieży,  
Jakże ostrożny, jakże nie wierzy!  
Wysuwa głowę z burzanów lasu,  
Znowu się cofa, skoczył spłoszony,  
Lekko się zachwiał burzan ruszony,  
I znowu cicho, znów bez hałasu  
Sunie się, idzie. W tem co za dziwo!  
Zkądś się struna ozwie jękliwo,  
I sumak pierzcha, a wiatr po rosie  
Tęskny śpiew jakiś z dali przynosi:

„Oj żal ciężki za swojemi,  
Gdy są w obcej stronie!  
Jakże trudno wtedy z niemi  
Połączyć swe dłonie!“

I śpiew ucicha, wietrzyk nie wieje,  
Tylko miesięczek blaski swe sieje,  
I tylko czasem Dnieper zahuczy,  
Albo z pod nieba żuraw zakruczy.

II.

Dziwnieźbo piękna ta Ukraina,  
Jak hoża, młoda, wiejska dziewczyna :  
Step się tam śmieje, Dniepr dumkę nuci,  
Zanim po skale w poroh się rzuci —  
Bo tu już ryczy, gniewa się, burzy  
I czarną pianą swe łono chmurzy.

A ty mój stepie cichy i miły,  
Gdzie są twe dzieje, co się tak ścimiły ?  
Gdzie jest młódź twoja ? Ach ! pamięć ginie,  
A czasy gonią, a życie płynie,  
I niema komu dobyć z przeszłości  
Dzieła rycerzy, co ich tu kości  
W szerokim stepie, białe się świecą.  
Chwile, godziny i lata lecą,  
I lata lecą, i wieki płyną,  
A wicher miecie kości równiną.  
Bądź, myśl ! posłuszna na me wołanie !  
Niech tęskny obraz z myśli powstanie  
O Zaporozcu, co wierzył twardo,  
Co kochał szczerze rodzinne niwy,  
Co kraj Stambułu tak przeszedł hardo,  
Lecz nie miał doli, nie był szczęśliwy.

III.

Dziki Tatarzyn z dzikimi hordy,  
Rozsiewał w kraju pożogi, mordy,  
Niszczył kraj żyzny, wypalał sioła.  
Gdzie tylko przeszedł — puszcza dokoła ;  
I w gruzy zamki się rozsypały,  
A ponad niemi ognie zatlały.  
Dymem szły miasta, skarby zabrane,  
A ludy w ciężki jassyr zagnane.

Ho ! buchnął pożar ; jaki jaskrawy !  
Krwawe zaczyna Tatar zabawy,

To wioska płonie, a śród płomieni  
Krew się strumieniem toczy, czerwieni.  
Nad wioską zamek stoi na górze,  
A sztandar nad nim w ciemnym lazurze.  
Rzucany falą wiatrów niestałych  
Rozwiął się; gniazdo orlątek białych  
W szerokim polu cudnie odbija,  
A ponad gniazdem matka orlica  
Jako nad głową szaty dziewica  
Szerokie skrzydła w górze rozwija.  
I w krwi się kąpią mury olbrzymie,  
I okopcone w pożarów dymie.  
Wróg się przybliży — dzwon do obrony  
Zwołuje szparką młodzież kozaczą.  
Tu kres dla wrogów, tu śmierć zobaczą.  
Głodne się nimi nasycą wrony!  
Lecz patrz: w około jak oko sięże  
Czernią się tłumy, błyszczą orężę,  
Wciąż bliżej pędzą, już pod murami.....  
Pierwsze szeregi już rów przebyły,  
A rów zakipiał krwi ich falami;  
Lecz po ich ciałach tłumy się wzbily  
Wciąż nowe pogan. — Na murze stały.  
Zniszczenia sztandar na nim zatkały.  
Przeciw garść tylko kozaczej młodzi,  
Co cała we krwi kozaczej brodzi.  
Jak mała garstka! Lecz nieugięta,  
Bo kozakowi tak wolność święta,  
Że woli życie utracić w boju,  
Niżli łańcuchy dźwigać w pokoju.  
Lecz coraz mniej ich — jeszcze dziesięciu  
Stoi na murach w żelaznem spięciu,  
I ci po jednym głowy schylają,  
Między poległych braci padają —  
Hrehory tylko został surowy,  
Dzielny ataman, kozak siczowy.  
Zniknął na chwilę pomiędzy mury,  
A potem łoskot straszny, ponury  
Rozleął się w koło; to baszta leci  
Z hukiem do góry, a płomień świeci,  
I w pół rozdarte Tatarów ciała  
Otwarta paszcza ziemi zabrała.

Lecz z tamtej strony na siwym koniu  
Któż po szerokiem ugania błoniu?  
Więc to Hrehory, więc on nie zginął?  
Jakże z tych gruzów, dymów wypłynął?  
Patrzej — jak strzała, jak wichler leci,  
Szabla mu tylko przy boku świeci,  
On jeden złamał tłum dzikich wrogów  
I w ciemni dymów znikł wśród rozłogów.  
Pędzi co siły, lecz pogoń bliska,  
A konik uniósł strzał z bojowiska,  
I zwalnia kroku, krew mu upływa,  
Z nią coraz więcej sił mu ubywa.  
W końcu na ziemię upadł bez życia,  
A tam w oddali brzmia wrogów wycia,  
Już go dopędzą, przepadł Hrehory,  
On taki silny, do bójki skory...  
Lecz się nie podda, stanął gotowy,  
Marnie nie zginie kozak siczowy,  
Póki stał w dłoni ogniem pobłyska,  
I serce bije, co pancerz ściska.  
Poza kozakiem, na strzał z rusznicy  
Stoi mogiła, co okolicę  
Z wysoka czujnem okiem rozmierza.  
A za mogiłą las się rozszerza,  
I Dniepr falami bije w wybrzeża.  
A na mogile małe pachole  
Teorban trzyma, patrząc na pole.  
I widzi pogoń dziczy zacieklej.  
Widzi kozaka na ziemi spieklej  
Samego przeciw wrogów tysiąca —  
Zadrży mu ręka, co struuy trąca,  
Rzuca teorban i lotem ptaka  
Spieszmy ratować brata kozaka:  
„Uchodź! czas jeszcze, tuż Dniepr plynie,  
Na Dnieprze czajka; kozak nie zginie,  
Kiedy ma czajkę i stał w swej dłoni,  
Czajki na Dnieprze wróg nie dogoni!”  
I bieży naprzód, Hrehory w ślady —  
Za nimi wyją wrogów gromady;  
Już dopadają, już „Ałłach!” krzyczą,  
Ale się próżno cieszą zdobyczą.  
Ujrzeli tylko, jak zakipiały



Fale dniewrowe, i lotem strzały  
Czajka się w środek wparła odmętu.  
Raz ją zajrzeli tylko u skrętu;  
Biała za nimi piana została,  
I jeszcze fala Dniepru kipiła.....  
Tu kozak panem, pogoń daremna,  
Każdego skryje otchłań już ciemna,  
Bo tylko kozak dniewrowym druhem,  
Kozak się jeden zna z jego łuhem.

Już chwilę Dniepru falą płynęli,  
Aż im Tatarzy z oczu zginęli.  
Lecz kozak duma, pochylił czoło,  
Tak mu na sercu dziś nie wesoło;  
Bo w krwawym boju tam bracia jego  
Głowy złożyli do snu wiecznego.  
Lecz wspomnień chmurę pacholę zwiato,  
Na teorbanie gdy przed nim grało.  
I grało długo, grało żałośnie,  
A wiatr roznosił dumkę rozgłośnie:

Nie płacz orle, rozchmurz czoło,  
Choć zostałeś sam,  
Choć bez druhów nie wesoło —  
Słuchaj, co ci gram!  
Oni legli w polu chwały,  
Więc im wieniec zwij,  
Męstwem świat zadziwisz cały,  
Śnij o sławie, śnij!

Twoja sława, ho! szeroko  
Rozbrzmi, rozbrzmi w dal,  
Więc z łez otrzyj smętne oko,  
Gorzki ukój żal.

A gdy żal ci za druhami,  
Pacierz po nich zmów,  
Gdy przepłyniesz porohami,  
Znajdziesz druhów znów!

Tych nie żałuj, bo dziś oni  
Szczęśni, szczęśni są,  
Bo polegli z bronią w dłoni  
Za ojczyznę swą!

Ocknął się kozak z długiej zadumy,  
Gdy swojej piosnki usłyszał szumy :  
„Dzięki ci dziecię, za pomoc dzięki,  
Za twojej dumki serdeczne dźwięki  
I za jej słowa, co w duszę płyną.  
Lecz powiedz chłopcze! kto ci rodziną,  
Jak tu przyszedłeś w step tak odludny,  
Pusty, szeroki, choć krasny, cudny?”

„O dobrze mówisz, że to step krasny ;  
Po nad nim świeci miesięczek jasny.  
Lecz nie odludny, o nie, kozacze !  
Patrz, na mogile tam sokół kracze.  
Patrz, co tu kości! te czaszki, głowy,  
Wszystko to dawne druhy siczowe.  
Nie bładząż tutaj ich duchy nocą,  
Gdy się miesiąca promienie złocą?  
Ten step odludny? Zaśpiewaj dumkę,  
Albo stepową, wiosenną szumkę.  
Usłyszysz, czy ci step nie odpowie,  
Czy ci nie będzie w sercu i głowie  
Lżej i serdeczniej! Step to nie pusty,  
Gdzie każdy przedmiot mówi ci usty,  
Kędy mogiła, każda coś śpiewa,  
I starą nutę szemrają drzewa !  
Mnie dziaduś stary w stepie wychował,  
Piosnkami stepu mię wychodował,  
I step nauczył kochać serdecznie,  
Że w stepie chciałbym pozostać wiecznie!  
Nieraz mi dziaduś mówił: „Artemie!  
Kiedy mię w czarną schowają ziemię,  
Nie przestań kochać stepów zielonych!”  
I jam z miłością do chwil minionych,  
Do wspomnień dziadka sercem przystałem,  
I równie jemu step ukochałem.  
Gdy dziaduś umarł, teorban wzięłem,  
nucić dumki w stepie począłem,  
Czasem usiądę gdzie na mogile,  
To lotnym orłom dolę mą kwilę.”

„Gdy step tak kochasz, o mój Artemie!  
Pozostań z nami w kozaczej ziemi,

Sameś na świecie i nie masz służby,  
Zostań kozakiem, jam ci za drużbę.  
Koszowy przyjmie, będziesz z nim chodził,  
Sokoła nosił i charty wodził.  
Czasem mu zagrasz na teorbanie,  
Bo Hetman lubi śpiew na zaranie,  
I będziesz wiecznie na swoim stepie  
Bujał, jak orzeł po niebios sklepie.  
Jam ci coś winien, to Bóg dozwoli,  
Że ci się przydam w kozaczej doli.“

Więc przystał Artem, jedzie z Hrehorym,  
I zapłynęli w Sicz przed wieczorem;  
Najprzód wstąpili w cerkiew Dziewicy,  
Przeczystej Panny, Bogarodzicy,  
A potem w pokłon do Atamana  
Wszech Zaporoża Siczy Hetmana,  
I tutaj Artem został na służbie,  
I wszystko poszło po dobrej wróżbie.

Służba tu lekka, wesola była,  
Dzielnością młodzież swą się szczyciła,  
Do wojny skora i do hulanki,  
Do konia, szabli dziewczyny, szklanki.  
I tutaj Artem wyrósł w młodziana.  
Dzielnaż to dusza, z tłumu wybrana;  
Pierwszy we wszystkim, zawsze na przedzie,  
Czy krasawicę do tanu wiedzie,  
Czy koniem nurka daje w Dniepr siry,  
On zawsze pierwszy. Czortowe syny  
Mołodce skore, kozaki z rodu  
Przecież z nim nie chcą iść do zawodu!  
Byłóż go widzieć w tanie z Tatarem,  
Lub gdy myszkował za nim szuwarem,  
Albo gdy konia puścił po stepie,  
Gwiazdy mu mknęły po niebios sklepie.  
Sokół ustawał, lotem zmęczony,  
A koń Artema niósł niestrudzony,  
I kozaczyna na koniu młody  
Jako ptak leciał — z orłem w zawody.  
On zawsze przodem. Starzy mówili:  
„Wysoko dojdzie!“ Prawdęż wróżyli?

Artem nie lubiał tłumnej zabawy ;  
On sławy żądny, on żył dla sławy,  
On wtedy wesół, gdy wiatr ze stepu  
Wznosił tumany do niebios sklepu.  
O! wtedy Artem konia dosiadał,  
I pędził na step, z wiatrami gadał,  
I nucił dumki smętne i rzewne,  
Gdy w koło szumią trawy powiewne.  
Nie raz zabłądził w stepów przestworzu ;  
Lecz kozak w stepie, jak żeglarz w morzu,  
Sterem mu słońca okrąg przeczysty  
A nocą gwiazdy i księżyc mglisty.

Nieraz szeroko gdy Dniepr rozleje  
I wiatr wiosenny ciepły zawieje,  
Gdy lody prysną, co toń ścisnęły,  
Dnieprem się kłębią wód czarne wały!  
To jakoś duszy wesóło, błogo,  
On wodą buja jak śród rozłogu,  
Fala ku brzegom niesie zielonym,  
Dumkę o czasie nuci minionym,  
On wtedy okiem w głąb wody tonie,  
Duch się rozmarza, wzrok ogniem płonie,  
I ster opuszcza z strętwiąłej ręki.  
Sny mu się roją; rozkoszne dźwięki  
Chwyta w powietrzu. W toni przezroczy  
Jak dwie krynice patrzą nań oczy,  
A oczy duże, jasne, gorące,  
Jak dwa brylanty ogniem świecące.

#### IV.

Gdzie Dniepr w swym biegu Roś szparko zmierza,  
Dniepru brzeg skalny w dal się rozszerza.  
A las cienisty kąpie się w wodzie,  
I ostra skała Dniepru bieg bodzie.  
Tak tutaj pięknie, bujno! Rozgłośnie  
Ptaszek pieśń nuci o lubej wiośnie,  
I brzeg dnieprowy zielenią nęci,  
Że mimowoli łódź się zakręci,  
I już w lesie. Górą, wysoko

Orzeł szybuje w jasnym obłoku!  
Las ten każdego powagą zdumi,  
A coś do serca tajemnie szumi,  
Szumi pieśń cichą, co się dostraja  
Śpiewom ptaszyny, gwarom ruczaja.

Inaczej jednak dzieje się nocą,  
Dnieprowe nurty wzbierają z mocą,  
I straszne wtedy Dniepru pobrzeże.  
Nocą nad wodą rusalka płąsa,  
Powstają duchy, zbrojni rycerze,  
Fala się wzdyma, poroh się wstrząsa.  
Igrają duchy w świetle księżyca,  
Cienie ich długie brzegiem się snują,  
Trupim się blaskiem migocą lica,  
A kogo ujrzą, to zaczarują,  
Że będzie musiał stać się upiorem  
I bujać razem na fal lazurze,  
Lub przy księżyca blasku wieczorem  
Wciągać błędzących w bagna, kałuże.  
Tam to raz Artem, pędząc po fali  
Słyszy piosenkę jakąś z oddali:  
Więc łodzią bokiem od brzegu stroni,  
Bo myślał może, że to rusalka  
Śpiewem swym wabi do zimnej toni  
I chce ukarać zuchwałość śmiałka:  
Lecz miast rusalki w gąszczu leszczyny  
Śród bluszczów, kwiatów i gron kaliny  
Znalazł domeczek w powój owity,  
Jako kwiat biały pączkiem okryty.  
Odtąd tu Artem nieraz przepływał,  
A zawsze dumkę nucił i śpiewał,  
I często z chatki samotnej w lesie  
Echo śpiew jemu w powrót odniesie,  
I w tej się pieśni dusze poznały,  
I za tą pieśnią w niebo wzlatwały.  
Czasem w okienku błysnie dziewczyny  
Lice, co płonie blaskiem kaliny,  
I oczu dwoje ogniem płomiennie  
Jak dwie krynice, czyste, bezdenne.  
Och! te jej oczy tak urok niecą,  
Takim nie ziemskim ogniem się świecą,

Że choćby serce miał kto z kamienia  
Kamień w ich blasku w serce się zmienia.  
Artem nie wiedział, jaką to siłą  
Wzrokiem jej serce jego odżyło,  
Że przylgnął do niej szczerą miłością.  
Że pędził do niej szczęścia radością.

I dzisiaj pędzi i dzisiaj leci,  
A twarz księżycy z wody mu świeci.  
O już, już blisko, nieś prędzej falo!  
Wschodem jutrzeńki chmurki się palą  
I blady księżyc szybko uchodzi,  
Bo słońca promień łamie się w wodzie.  
Już u celu, już u dziewczyny,  
Nucącej tęskny śpiew Ukrainy,  
Co mu tak serce wzrusza, podnosi,  
Gdy gajem płynie po rannej rosie.  
Płyn piosnko luba, płyn piosnko cicha!  
W twym tonie łubej serce oddycha,  
Bo piosnka zdradza, co w serca głębi,  
A jej płomienia nic nie wyziębi:

„Falo modra, błękitnawa!  
Płyn wesoło w dal!  
Noc spłynęła ciemna, łzawa  
I mój minął żal.

Słońce świeci jasnym kołem,  
Promień zsyła mi  
I rozświeca nad mem czołem  
Jasne, piękne dni.  
Świeć mi słońce; zawsze jasno  
Niech mi świta dzień.  
Niech mi kwiatki kwitną krasno,  
Doli nie ćmi cień.  
Tyś mi dołą, tyś mi bratem,  
Ciebie tylko mam!  
Tyś mem szczęściem, tyś mem światłem,  
Tyś mi słońcem sam!”

Piosnka przebrzmiała, gajem spłynęła  
I gdzieś na fali Dniepru spoczęła,  
I Artem słuchał, dźwięki jej chwycił,

A okiem prawdy w jej oku pytał.  
A ona usta w pół rozchyliła  
I z śmiechem patrząc tak doń mówiła:  
„Co robisz tutaj młody śpiewaku!  
Na końcu świata, na krańcu szlaku?  
Co robisz tutaj w mojej pustyni?  
Wiedz: jam rusałka, a każdy zginie,  
Kto w mego państwa granice wkracza,  
Bo noc go wieczna naraz otacza.  
O jam potężna! Gdy klasnę w dłonie,  
Wnet się dniewprowe otworzą tonie,  
I rój wypłynie dziewic rusałek,  
A otoczony dokoła śmiałek  
Pójdzie pohulać na dno odmętu,  
Tam gdzie się woda kłębi u skrętu!”

Nie zląkł się Artem, nie zląkł rusałki,  
Tylko na dumne dziewy przechwałki  
W pół ją objąwszy w czoło całował,  
O! bo ją szczerem sercem miłował.

„Luba Ołeno! Jam znów przy tobie,  
Znowu cię tulę na mojem łonie,  
A takbym tulić chciał w każdej dobie,  
Takbym chciał zawsze ścisnąć tve dłonie.  
I wkrótce święcić nam zaręczyny.  
Wieniec nam zwiją z krasnej kaliny,  
Ogniwem łączyć będą wieczystem,  
A Matka-Boska okiem przeczystem  
Spoglądnie z nieba, pobłogosławi!  
Po zaręczynach ja w lotnej nawie,  
W sokolej czajce po raz ostatni  
Dam pocałunek niewiernym bratni  
Z mojej janczarki: jasną szablącą  
Cienie się w nocy w okół rozświecą,  
Że będzie jasno tam w Carogrodzie,  
Carogród ogniem przejrzy się w wodzie!  
Tobie zaś skarby i krasną szatę  
Z Turek przywiozę w kozaczą chatę.”

„Więc ty odjeżdżasz? tak w dal, o Boże!  
Puszczasz swe życie na dzikie morze!

Strach mię przejmuję, czy żywcem wrócisz,  
Gdy step zielony dla czajki rzucisz.  
Nie jedź za morze! Któż przyszłość zgadnie,  
Ukrytą w fali głębinach, na dnie?”

„Nie bój się, nie bój, Ołeno droga!  
Wszystko na świecie jest w ręku Boga,  
I ja powrócę, nim ta kalina  
Liście porzuci i nim dolina  
Straci swe kwiaty. Ja prędko wrócę,  
I nigdy ciebie już nie porzucę!  
Wtedy, Ołeno! tam gdzie dolina  
I gdzie te drzewa, kwietna równina,  
Gdzie step szeroki i jar cienisty,  
Gdzie źródł z pod skały tryska przezczysty,  
Tam postawimy chatkę dla siebie,  
I dobrze będzie nam, jakby w niebie!  
Ptaszki się do nas zaczną zlatywać,  
A woda sadem będzie przepływać,  
I będzie szumieć dumki stepowe.  
Przylecą do nas czajki dniewrowe;  
To nam o Dnieprze coś poświergocą,  
A słowik z wiklin majową nocą  
Piosnką usypiać będzie nas rzewną,  
Piosnką tak lubą, wdzięczną a śpiewną.  
Błogo nam będzie, lubo, serdecznie,  
I razem będziemy sami, a wiecznie!”

„Drogi Artemie! Ja w każdej dobie  
O mojem szczęściu myślę przy tobie,  
Lecz dziś mi nie tak w duszy radosno,  
Dziś się nie cieszę kwitnącą wiosną.  
Smutek mnie ciśnie, serce zalewa,  
Pierś mi westchnieniem gorzkim nabrzmiewa,  
Jakieś przecucie duszę nachodzi,  
Jakaś niepewność w sercu się rodzi,  
Że o wybranej zapomnisz może...  
Wtedy mi jasne nie świećcie zorze,  
Wtedy grób dla mnie, zimna mogiła!”

„Ołeno moja, Ołeno miła!  
Ja twój na wieki wierny i stały!



Choćby się na nas sprzysiągł świat cały,  
To ci przysięgam jak Bóg na niebie,  
Że wszystko złamię, wszystko przemogę  
I wolną znajdę do ciebie drogę,  
I do ołtarza zawiodę ciebie!  
Więc smutne myśli czas ci porzucić,  
Wszystko się w dobre musi obrócić.  
Ja przed wyprawą jeszcze tu będę,  
Pożegnać ciebie, nim w czajkę wsiędę.  
I żegna lubę, a pieśń z wikliny  
Płynie im smętna między drzewiny:

„Płyn mołojcze, płyn kozacze!

Płyn po morskiej fali!

Ponad tobą sokół kracze,

Kukułka się żali.

Twoje szczęście, ho! popłynie

Tam gdzie modre fale,

Bóg wie tylko, czy nie zginie

Pomiędzy korale.

Płyn kozacze, płyn za morze,

Znajdziesz złota wiele,

Lecz czy szczęście się wyorze

Z bystrych wód topieli?

Lepiej gdybyś został z swemi,

Został na swej roli,

Nizli błądzić w cudzej ziemi,

Szukać nowej doli!”

## V.

Cóż tam? Czy obłok jasny się bieli

W morza szerokiej, ciemnej topieli?

Czy to łabędzi stado szybuje,

Że się tak woda burzy, kłębuje?

Nie — to sto czajek, kozacych łodzi,

A w każdej czajce pięćdziesiąt młodzi,

I wiosło dzielnie toń morską porze,

Aż huczy, pryska i szumi morze.

I szumi morze, fale rozlewa,

W naczelnej czajce sztandar powiewa —  
Tam atamańska kita pobłyska  
I silniej woda rozbita pryska.  
Wesoło czajkom płynąć w zawody,  
Bo w każdej czajce kozak gra młody  
Na teorbanie, a wiatr przewiewa —  
Słońce blask złoty z nieba rozsiewa:

Płyńcie czajki, płyńcie nawy  
Na dzień chmurny, na dzień łzawy,  
Płyńcie, płyńcie w dal;  
Rozwić biały żagiel w koło,  
Sztandar Siczy wznieść na czoło!  
Płynąć z szumem fal!

Wiatr nam sprzyja, w żagiel wieje,  
Lekka fala czajką chwieje,  
Fala ogniem skrzy --  
Noc się zbliża, księżyc wschodzi,  
I pieśń cicha płynie z łodzi  
I pierś łodzi drży!

Płyńcie pieśni, drzyjcie fale;  
Szczęsne dla nas losu szale!  
Życia nie ćmi ła!  
Lecim naprzód, pierś nadstawim,  
Może zginiem lecz się wsławim,  
Szczęsna dola ta!

Co? nam zginąć? Nie, my wrócim  
I powrotu pieśń zanucim,  
Złote wioząc cło!  
Z Carogrodu — Bóg nam świadkiem!  
Wzięte złoto, podostatkiem  
Sultan kryje go!

Ty leć czajko, płyn falami!  
Pieśni moja! pędź wiatrami,  
Pędź na Siczy brzeg;  
Powiedz lubej mej, co czeka,  
Że ja wrócę choć z daleka,  
Zanim padnie śnieg.

O płyn czajko, graj mi falo!  
Wschodnie chmurki już się pała,  
Złoto lśni z za chmur.  
Nam przed słońcem skryć się w trzciny,

Sciszyć pieśni Ukrainy,  
Skryć się w ciemny bór.  
Gdy dzień długi noc pokryje,  
Pieśń siczowa znów ożyje,  
Rozbrzmi wszcz i wzdłuż!  
Pieśń ta będzie pogrzebowa,  
Bisurmanom już nie nowa,  
Wzniesie postrach w króź! \*)  
Zna ją, zna ją Chan Stambułu,  
Słuchał Tatar jej z Aułu,  
Zna Aryjski brzeg;  
Ona teraz z dawną nutą  
Będzie wrogom pieśnią lutą,  
Mroźną jakby śnieg.

Ho! ho! każdy, co ją słyszy,  
Pójdzie w kraje wiecznej ciszy,  
Strugą spłynie krew!

Ho! za gruzy zamków naszych  
Setki padną grodów waszych!  
Straszny wam ten śpiew!

Za krew naszych siostr i braci  
Stokroć tyle jej oddacie,  
Niesiem, niesiem skon!  
Widzisz chmurę? Ogniem świeci;  
Widzisz orła? Górą leci,  
Leci stado wron!

Lecz cyt pieśni! — my tu skryci  
Czekać będziem, aż spowici  
Wrogi legną snem:  
Wtedy „hurra!“ głos się wzniesie,  
Ogień buchnie w wieżyc lesie,  
Noc zaświeci dniem!

I płyną dalej — Natolskie grody  
Jakby w zwierciadło patrzą w wody  
Morza czarnego. Wieżyc tysiące  
W obłoki strzela. Słońce płonące  
Pięknie ozłaca wierzchy meczetów,  
Cudnie ustraja szczyt minaretów!

---

\*) Wołyński wyraz zamiast w okrąg, w około.

A jeszcze cudniej kwiaty błyszczące  
Barwami nęcą oko marzące.  
I kwiaty w słońcu purpurą świecą,  
Blaski i barwy tęczowe niecą.  
Ale najcudniej w Huryski oku  
Iskra jak w czarnym płonie pomroku ;  
Do wnętrza serce, duszę przenika ,  
Rozkoszy rajskich wrota odmyka.  
O bo jej oko, to blask szafiru !  
Gdy spojrzy na cię, nie znajdziesz miru,  
Nie znajdziesz chwili spokoju w duszy.  
Ono najtwardszych serce poruszy,  
Zimnych zapali, gdy spojrzy łzawo.

Ho ! brzeg już bliski ! Słońce jaskrawo  
Chyli się zwolna i w morzu tonie,  
W ostatnim jego blasku zapłonie  
Silniej szczyt wieży — i noc zapada,  
I czajki kryją się gdzieś i giną...  
Wszak znów przy blasku ogni wypłyną,  
A wtedy biada niewiernym ! biada !  
Lecz teraz cicho... Czy gwiazda świeci,  
Że taka jasność w koło się nieci ?  
Nie — to nie gwiazda ! więc księżyc może  
Swe poprzedniczki wysła — zorze ?  
O, to nie zorze, nie blask księżycy  
Twoje pohańcze ! oko zachwyca,  
To gród się pali ! W ogniu Perea,  
W ogniu Skutari, w ogniu Nicea,  
I za chwil kilka tu młodź dniewprowa  
Taki sam księżyc sprawić gotowa,  
Że będzie jasno w sułtańskim grodzie,  
Carogród ogniem przejrzy się w wodzie !  
Bo dzisiaj wodzem kozaczej młodzi  
Ataman dzielny, to młodź pochodzi  
Po twych komnatach, a tve huryski  
Ścisną mołojców. Ho ho ! szcęk bliski !  
To oni tutaj. Patrz na meczecie  
Polska chorągiew złotem się świeci !  
Ha, drżysz pohańcze ? wołasz : „do broni ?“  
O już za późno ! w kozaczej dłoni  
Pałac i skarby i tve Huryski...

W koło kozaka w płas Odaliski !  
I w śpiew zadzwonią, lice odłonią,  
Włosy mu głaszczą swawolną dłonią —  
O raj im teraz ! Dawno czekały  
Na takich gości. I dzień już biały.  
Pałac brzmi pieśnią, dzwoni muzyka,  
W ogrodzie płyną śpiewy słowika.  
Raj i wesele !... Lecz któż samotny  
Ogrodem błądzi ? Wicher mu psotny  
Rozwiął włos bujny. Zaczemż on goni ?  
I czego szuka ? Ha ! tam pieśń dzwoni  
Jakaś znajoma i jakaś swoja ;  
Taki śpiew nuci Ołena moja !  
Byłażby tutaj ? Byłażby ona ?...  
A śpiew to dzwoni, to znowu skona.  
Artema serce silniej uderzy,  
On za tym głosem duszą pobieży,  
Wpada w krużganek — pieśń coraz bliżej,  
A on przed siebie coraz to chyżej  
Za pieśnią goni ... lecz pieśń ucicha,  
Fontana tylko wonią oddycha.  
Pyszne filary, kute z marmuru,  
Smukłe jak palmy spierają stropy,  
Co tak jaśniejają jak błysk lazuru,  
I strojne blaskiem jak złota snopy !

On nic nie widzi, za pieśnią goni,  
Chociaż różany dzionek się płoni,  
Chociaż w około pięknie i strojnie,  
Dzięło rąk ludzkich kwiat zdobi hojnie.  
On nic nie widzi, bo pieśni słucha,  
Którą wiatr psoty niesie do ucha,  
I dzwoni piosnka, piosnka mu znana  
W akord się łączy, wiatrem płatana.

Już wie, gdzie szukać... Tam, tam za drzewy  
Cudny dzwoneczek kryje się w krzewy,  
Róże w około, kwiaty tęczowe  
Ku niemu patrzą krasnemi głowy ;  
I tam zdroj szumi i tam przewiewa  
Wiaterek wonny i słowik śpiewa.  
I w oknie róża ! Nie — róż królowa.

Nad nią girlanda w koło tęczowa,  
Nad nią rój złotych błyska motyli  
I do niej kwiatek listki swe chyli.  
Ona to piosnkę nuci tak rzewną,  
Tak jemu znaną, lubą a śpiewną,  
Ona Ołena! Jak wichler leci,  
Gdzie gwiazda świetlna w oknie mu świeci.  
O już koło niej! Już na swem łonie  
Lubkę hołubie, okiem w niej tonie.

Zkąd ona tutaj? Zkąd się tu wzięła?  
Może w promieniu słońca spłynęła!  
On tak szczęśliwy, on w upojeniu  
Raju i nieba szuka w spojrzeniu.  
O patrz kozacze, o szukaj nieba,  
Bo czar ucieknie, a boleć trzeba!  
O patrz się dobrze, czy cię nie myli  
Jej postać wdzięczna jeszcze tej chwili.  
I patrzy na nią, okiem w niej tonie,  
Oko mu dzikim ogniem zapłonie.  
„To nie Ołena!...“ „O! to nie ona,  
Jam zmiję cisnął do mego łona!“  
Ha precz odemnie! Szablę porywa,  
A tam w oddali szcęk się odzywa,  
Tam bracia jego, tam młódź kozacza  
Szalone harce z niewiernym stacza...  
Hałas, szcęk bliżej i tętnią kroki;  
I tam minaret błyszczący wysoki,  
Ogniem obwity. I hałas bliżej,  
A tu krążankiem coraz to chyżej  
Ktoś pędem goni. Pękły podwoje,  
W krążanku widać barwne zawoje,  
Każdy z niewiernych z mieczem we dłoni...  
Artem się nie zląkł, on się nie chroni,  
O życie nie dba i nie ustąpi.  
Ścięły się miecze, razów nie skąpi,  
Miecz błyskawicą w dłoni się zwija,  
Uderza dzielnie, razy odbija.  
Lecz przemoc wielka: „Ha! uledez muszę,  
Lecz drogo sprzedam niewiernym duszę.“  
A dłoń mu słabnie, pot z czoła płynie,  
Lecz jeśli padnie, to nie sam zginie,

Bo w koło ciała poległych leżą.  
Pyszne marmury posoką świeżą  
Oblane w koło. W tem stal mu pryska,  
A wściekła zewsząd tłuszcza naciska.  
Ha! już w niewoli, co kozakowi  
Taka jest ciężka, jak więź orłowi,  
Co pysznie pływał stepem szerokim  
I na wyścigi gonił z obłokiem.  
Sokół czy orzeł, kozak w niewoli —  
Serce się krwawi, wspomnienie boli.

Bujałżeś, bujał orle, sokole!  
Bujał na przodzie, bujał na czole!  
Przyszła na ciebie czarna godzina,  
Padłeś przesyty grotem Turczyzna.  
Dziś ci w niewoli gnić Bisurmana  
I znosić więzy; coś nie znał pana,  
Poznasz, co znaczą ciemne więzienia,  
Poznasz, co słuchać wroga skinienia,  
Poznasz, co znaczy chleb łąą oblany,  
Poznasz, co mogą dzicz i tyrany.

Długim go wiodą ciemnym krużgankiem,  
W koło filary piętrzą się wiankiem.  
W około marmur od świecy błyska  
I światło cienie na marmur ciska.  
Już pominęli grodu krużganek,  
Wyszli na pole. Rumiany ranek  
Srebrzył się rosą na kwiatu kiściach  
I ptaszki piały w zielonych liściach.  
Idą nad morze. Tam łódź gotowa,  
I tam na morzu wieża zamkowa  
Złocisty promień słońca odbija,  
Co się po złomach skał i ścian zwija.  
Tam płyną oni — tam dla Artema  
Wieczne więzienie... nadziei niema!  
Z głuchym się jękiem bramy rozwarły,  
Głucho swą czarną paszczę otwarły,  
Głucho zadzwonił łańcuch zerdzwiały.  
Smętnie się sowy w murach zaśmiały.  
I już samotny w murach więzienia....  
Czyż błysnie jemu chwila zbawienia?

Czyż ma tu strawić swe mł de lata,  
I tutaj tęsknić do końca świata?  
O nie! jest taki, co nań pamięta,  
Co skruszy dłonią żelazne pęta;  
Wszak żyje jeszcze druh Artemowy,  
Stary Hrehory, kozak siczowy!

## VI.

Tymczasem czajki do dom już płyną,  
Oblane słońca promieńmi giną;  
Tylko za niemi srebrzysta smuga,  
Od pian się bieli na fali długa.  
I jeszcze słyhać pieśń z oddalenia,  
I blask słoneczny maszt opromienia.  
I niknie w oczach senne widziadło...  
Wielu kozaków od miecza padło...  
Ci, co wracają, płyną szczęśliwi:  
Im się błysk szczęścia w rodzinnej niwie  
Przy krasawicy błogo uśmiecha,  
A więc dla żywych pieśń i uciecha!  
Wielu zginęło...  
Wielu na talach morza spłynęło,  
Wielu samotnych jęczy w więzieniu  
W gryzących troskach i w wiecznym cieniu  
Lecz ci się cieszą, co dziś z powrotem,  
Ładowne czajki błyszczą się złotem.  
Czerwieńców dosyć! Więc dzwońcie pieśni,  
Więc dzwońcie pieśni, zanim się prześni  
Pamięć o rajy! Nim złoto niknie,  
Do pieśni niechaj ucho nawyknie.

Pieśń wiatrem płynie, lecz nie każdemu  
Pieśń brzmi wesoło, bo Hrehoremu  
Łza błyszczy w oku, a w sercu bole,  
Myśl smętna błądzi po chmurnem czole.  
Spoglądał w okół, szukał Artema  
Między czajkami... lecz go tam niema!  
I pytał za nim kozaczej młodzi.  
Nikt go nie widział w dniewrowej łodzi.



Czy z Huryskami pieścizoty dzieli,  
Z niemi się bawi, z niemi weseli?  
Czy zginął może, lub w Czarnej wieży  
Na stęchłej słomie w niewoli leży?  
Nie! on nie zginął! Choć go widziano,  
Jak pędził w ogień z burką rozwianą,  
Jak mieczem błyskał, jak siekł w około,  
Jak okiem rzucał, podnosił czoło  
I przed tem czołem tysiąc klękało  
I drżąc pod nogi broń mu rzucało.  
On ponad wszystkich dumny, wspaniały,  
Jako lew silny, jak lew zuchwały,  
Nie! on nie zginął, on nie w niewoli.  
On u Huryski szuka swej doli  
I dla niej zabył \*) chwili powrotu,  
Ona go trzyma zradną pieścizotą.  
Widziano jego, jak pieśni gonił,  
Samotny pędził, od wszystkich stroił.  
Może go zwiódła pieśń kołysana,  
Aż sam w zasadzkę wpadł Bisurmana?

Nie, on nie zginął! On tam w niewoli  
Czeka zbawienia, jaśniejszej doli.  
Tak, on w niewoli!... Szkoda kozaka,  
Dla niego niema swobody ptaka,  
Nie ma oddechu stepu i morza,  
Jemu nie wschodzi złocista zorza!  
„Lecz wschodzić będzie!“ Tak rzekł siczowy,  
Zawrócił czajkę pod brzeg wysoki,  
A potem minął lasek wierzbowy,  
Przesadził parów ciemny, szeroki  
I poszedł dalej błędzić światami,  
Budząc świt dzienny swemi pieśniami.

## VII.

A wie Hrehory, gdzie szukać trzeba,  
Niepróżno siwy włos dały nieba.

---

\*) Zabył — wołyński prowincjonalizm, znaczy zapomniał.

Nieraz on, nieraz wydarł z niewoli  
Kozaki druchy z nieszczęsnej doli.  
I wie gdzie szukać. Paw w Czarnej wieży,  
Dozorca, chciwy Grek, złoto mierzy.  
On za blask złota panów swych zdradzi,  
Hrehory druchy swe uprowadzi.  
Dziś jeszcze wszakże na odbrzek złota  
Otworem staną więzienne wrota.

Na Czarnej wieży w samotnej celi  
Zbłąkany promyk miga się, ścieli;  
Błado rozświeca spleśniałe mury,  
Bo tylko wązki otwór u góry  
Światło przepuszcza. Zbłąkany promień  
To obraz przeszłych i znikłych wspomnień.  
Miga się, zwija, znowu przygasa,  
To znów jaśniej, blaskiem okrasza,  
Uczucia budzi tłące w iskerce,  
I budzi dawno zamarte serce.  
Lecz czy każdemu duszę ocuci,  
Że czarne myśli, smutek porzuci?  
Rozbudzi serce, lecz smutek zbudzi  
I żal i gorycz, niechęć do ludzi.

W rogu gdzie słońca promień nie płynie,  
Gdzie wszystko w nocnym pomroku ginie,  
Samotny Artem siedzi w zadumie  
Sam nie zmiészany w więziennym tłumie!  
Czoło zorane troska schyliła,  
Gorączka ogniem lica strawiła,  
Lecz oko jasnym ogniem mu płonie,  
Jakieś przeczucie wieści mu w łonie,  
Że mu tu ginąć marnie nie przyjdzie,  
Jak wszedł niewolnym, tak wolnym wyjdzie.  
Nadziei promień spłynął w Artema.  
Lecz czemuż dotąd nikogo nie ma,  
Czemu nie niosą już błogiej wieści,  
Którą tak lubo więzień się pieści.

W tem promień słońca do niego spłynął,  
Blaskiem na smutne czoło owinął...  
„Ha! nie urągaj, błądny promieniu!

Lepiej mi tutaj żyć w nocy cieniu!  
Nie budź mi, nie krwaw serca i duszy,  
Gdy tutaj nędznie przemarnieć muszę.”

Chrzęsty łańcuchy, rdzawe ogniwa,  
I dźwięk ponury ciszę przerywa.  
Już rok tak długi w ciężkiej niewoli,  
Wspomnieć o swoich — wspomnienie boli.  
Wolność nie wabi... On zmarł dla świata,  
On sam, ach! jeden i nie ma brata!  
Jedna Ołena!... myśl o Olenie  
Wyrywa z piersi ciężkie westchnienie,  
Krwawiąc mu serce... Do Ukrainy  
Prędko miał wrócić i do dziewczyny,  
I dziś w niewoli... Wolności dary  
Okupić kozak miał zdradą wiary.  
Kazano rzucić wiarę rodzoną,  
Zapomnieć przeszłość świętą, minioną —  
Za to miał zostać panem potężnym,  
Za to miał zostać bejem orężnym.  
Nie przyjął kozak, więc mu kazano  
Naprawiać stare mury forteczne,  
Z dzbanem po wodę chodzić co rano —  
Znosić upały, skwary słoneczne!  
Przed panem bić mu kazano czołem,  
Kajdany dzwigać z innymi społem,  
I tak czas mija w murach więzienia,  
I nie ma doli lepszej promienia!

### VIII.

Tymczasem czajki do dom wróciły,  
Długo po Dnieprze pieśni dzwoniły,  
Aż wiatr je zaniósł, gdzie ponad wodą  
Ołena kwiaty ćmi swą urodą.  
Serce przeczuwa, a pieśń wciąż dzwoni,  
A przy jej dźwięku łzy oko roni:

„Oj! sokolik twój w niewoli  
Tuży, tuży \*) tam,  
Serce tęskne, serce boli,  
On w niewoli sam.

On zazulko! tam za tobą  
Płacze, leje łzy,  
Piersć ściśniętą ma żałobą,  
Płacz więc za nim ty.

O! nie wróci on już może!  
Tam dla niego skon!  
Jeszcze niebem płoną zorze,  
Lecz samotny on!

Oj! żal ciężki za swojemi,  
Gdy są w obcej stronie,  
Jakże trudno wtedy z niemi  
Połączyć swe dłonie!”

Rozumie dziewczę słowa piosenki,  
Rozumie tęskne jej nuty dźwięki,  
Wie już, że Artem luby w niewoli,  
Wie że dziś sama w nieszczęsnej doli.  
Lecz cóż to? cóż to? ona się śmieje?  
Patrzaj: powstała, lice bieleje,  
Lecz oko suche, błędne, bez ruchu  
Życia nie zdradza. W wia'rzu podmuchu  
Rozwiał się warkocz jej czarnych włosów,  
Muskał się, płał, tulił do wrzosów.  
Usta otwarte, by mówić chciały.  
Nad nią się jaśmin rozwieszał biały;  
I ona biały kwiatek urwała,  
I z białych kwiatów wieniec zwijała.  
Usta coś szepcą i pieśń powoli  
Smętną się dumką ściele po roli:

„Wiję kwiaty, wiję  
Dla ciebie, Artemie!  
Nie długo pożyję:  
Schowają mię w ziemię.

---

\*) Tuży — tęskni.

Płynie czajka, płynie  
Hen! na kraniec świata,  
Mnie biednej dziewczynie  
Smutne płyną lata.  
Tyś z czajką popłynął,  
Popłynąłeś w dal,  
Możesz gdzie zaginał,  
Mnie tu samej żal!

I dalej cicho wieniec swój zwija,  
Lice jej blednie, jak ta lilija,  
Co ponad Dnieprem fałą powiewa,  
A nad jej głową stepowe drzewa  
Smętną a cichą tak piosnkę nucą,  
Że najweselszym serce zasmuca.  
Ale Ołenie jakby wesoło,  
Podniosła główkę, spojrzała w koło,  
Usta się śmieją, a pierś się wznosi,  
I pieśń wesoła płynie po rosie:

„Płynie czajka, płynie,  
A wiatr się z nią kłóci,  
Nim jeden rok minie,  
Wróci Artem, wróci!  
Nim jeden rok minie,  
On wróci z czużyny\*),  
Na czajce przyplynie  
Do swojej dziewczyny.  
Płynie czajka, płynie:  
Czeka luba twa,  
Może kozak zginie!  
Cha! cha! cha! cha! cha!”

## IX.

Cóż tam się bieli, a szybko leci,  
Na morza ciemnej topieli świeci?

---

\*) Czużyna - cudzoziemczyzna, obczyzna.

Kozaczaż łództo, pędząc falami,  
Powraca sama, gnana wiatrami?  
Ho! ho! nie błądzi ona samotnie,  
I wicher czajką nie chwieje psotnie,  
Kierunek pewny, a łódź nie błądzi,  
Bo czajką dzielne ramię już rządzi,  
A sterem czajki Artem kieruje,  
Aż fala przed nim się rozstępuje.  
Artem z Hrehorym już Czarne morze  
Wiosłami prują, a w imię boże  
Już lotna nawa lotem sokoła  
Rozbija wody u swego czoła.  
Wie gdzie jej droga, wie gdzie jej płynąć,  
I który w morzu ostrów wyminąć,  
A gdzie przystanąć — przy jakim brzegu  
Zwinąć swój żagiel, bielszy od śniegu.  
Lecz cicho w łodzi, nie dzwonią pieśni,  
Artem w zadumie marzy jak we śnie,  
Marzy o kraju, o swej dziewczynie,  
Czyż jemu szczęście tam w Ukrainie?  
Ale Hrehory radby pogwarzyć,  
Radby Artema duszę rozżarzyć  
Kozaczą pieśnią — On jej tak długo  
Nie słyszał, gnijąc w czużynie sługą!  
„Hej! nie tak nasi do dom wracali!  
Dumka brzmi z czajki, echo z oddali  
Nam odpowiada, i czajka szumi,  
Ona kozaczą dumkę rozumie,  
Rozumie czajka, bo dla kozaka  
Ona jest domem i skrzydłem ptaka.  
Czajka i konik siwy w potrzebie,  
To i weselej nie będzie w niebie!”

I czajka szumi, pędzi i nagli,  
A wiatr buja śród białych żagli,  
I brzeg limanu już się rysuje,  
Szum wody dumce z czajki wtoruje:

„Oto macierz, Sicz przed nami,  
Oto chaty Zaporoża,  
Kozak błądził gdzieś światami  
Pośród obcych lub bezdroża.

Już nam droga bliska końca  
Brzeg sinieje tam w oddali,  
Okraszony blaskiem słońca  
W ciemnej się przegląda fali.  
Lotem ptaka czajka płynie,  
Pierś łabędzia wodę porze,  
Na zachodzie słońce ginie,  
W tył ucieka Czarne morze.  
Dnieper widać! Dnieprze ojczy,  
Srebrna wstęgo Ukrainy,  
Tobą płyną sny mołojczy,  
Miły płynie do dziewczyny !"

Już są u brzegu. Artem wysiada,  
Szeroką piersią na ziemię pada,  
I wita macierz, ziemię kozaczą ;  
Nad nim sokoły radośnie kraczą,  
Bo sokół pozna sokoła brata  
Nawet za morzem, na krańcu świata.  
I konik siwy doń stepem chesze,  
On także tęsknił, on także spieszy  
Powitać pana, co za morzami  
Bawił tak długo, błędził światami.  
„Koniu mój ! koniu ! koniu mój siwy !  
Nieś mię do lubej. będę szczęśliwy.“  
Dosiada konia, koń go rozumie,  
Bo koń stepowy nawet czuć umie ;  
On wie, gdzie droga spieszna dla pana,  
Bo on tam dawniej pędził co rana.  
Ej ! było widzieć siwosza lotność,  
Nie tak jaskółka rażno szybuje !  
Ej ! było widzieć szybkość i zwrotność,  
Sam sokół nawet tak nie kołuje !

Więc pędzi Artem stepowym szlakiem,  
Nie pędzi koniem, lecz leci ptakiem.  
Już blisko, blisko... jar widny długi,  
A nad nim sokół jeden i drugi  
Bystro polata, lecz smutno kracze.  
Ej ! bo u lubej dla cię, kozacze !  
Nie ma już szczęścia, ono zmarniało :  
Krótko świeciło — już się rozwiało !

Lecz Artem leci jak wicher leci,  
A z boku szabla jasno się świeci.  
Przypadł do bramy i z konia zsiada,  
Promienny szczęściem do domu wpada.

Izbę cień kryje, tylko kaganek  
Błado rozświetla ściany świetlicy,  
Jak gdy szarzejąc po nocy ranek —  
Mgli się cieniami po okolicy.  
Cisza grobowa w koło zaległa,  
Dym się obłoczkiem lekkim rysuje,  
Czasem nad dymem iskra wybiegła,  
Czerwonym błyskiem dymek przeparuje.  
Zagasa płomyk, pryska, znów świeci,  
I znowu iskra przez izbę leci —  
I cisza, spokój pustką przeraża,  
Jak o północy widok cmentarza.  
W ciemnym mroku, przeciwko wschodu  
Bieleje płótnem stół okrywany,  
Na stole wieniec z kwiatów ogrodu  
Sam nie wiem, na co był rozesłany.  
A koło niego biały chleb leży.  
I sól i noże, napitek w dzbanie,  
I tataraku liść wonny, świeży  
Zdobi obrazy w koło na ścianie.  
Czy to wesele, czy zaręczyny ?  
Czy z innej jakiej może przyczyny  
Tak tutaj strojnie, jakby na święto,  
Że tylko czekasz družbów przybycia,  
I niecierpliwy aby zaczęto,  
Czekasz godowej pieśni rozwicia.  
O tutaj pieśni, godów nie czekaj,  
Lecz w step szeroki ptakiem uciekaj !  
Widzisz tam w kącie białe posłanie,  
Okryte liśćmi i kwiatów wonią ?  
Tam ona leży . . . . . i nie powstanie ! . . . .  
Piersi przyciska drobniuchnią dłońią . . . .  
O ! już w tych piersiach życie zamarło,  
Zgasła żrenica ogniem nie świeci,  
Serce boleści jarzmo rozdarło,  
W inne jej dusza już światy leci . . . . .  
Uśmiechem lica blade pokryła,



Usta różowe w pół rozchyliła,  
A kruczych włosów zwoje w około  
Jak w czarne ramki ujęły czoło...  
Och! ona leży i nie powstanie,  
Nie dla niej świeci słońko w zaranie,  
Nie dla niej krasne kwiatki te wonią,  
Choć do niej swoje tak główki kłonią.  
I nic jej w świetle zbudzić nie zdoła,  
A chociaż Artem płacze i woła,  
Choćby chciał martwe wzruszyć źrenice  
I życiem krasić zbielałe lice,  
Wszystko daremnie...

„Potoż pędziłem.

Potoż sny złote myślą goniłem,  
Bym miast hołubić miał grzebać ciebie;  
Poto mi gwiazda świeciła w niebie,  
By zgasnąć jako lampa przedwcześnie!  
O wszystko znikło, wszystko zmarniało,  
Tylko wspomnienie gorzkie zostało:  
Wspomnienie jedno, dręcząc boleśnie!  
Ona umarła!..... Spij! lube dziecię:  
Ja ci dam białe sukien powicie,  
Ja ci wystrugam trumienkę w drzewie,  
I ukołyszę jak do snu w śpiewie.  
Spij, spij spokojna, ja grób wykopię,  
Na krzyżyk wierną szablę mą stopię:  
Ty spij w śnie cicha!.....”

„Dość już Artemie!

Płacz jej nie zbudzi, więc porzuć płacze,  
Oddaj jej ciało święconej ziemi...  
Tam konik woła i sokół kracze:  
Uchodź na stepy swoje ojczyste,  
Tam oddech morza, powietrze czyste  
Może zapomnieć dadzą niedoli,  
Śmierci Ołeny i dni niewoli!”  
Tak na Artema Hrehory woła.  
Zadumę pragnąc rozwiać mu z czoła.

I raz ostatni Artem do łona  
Tuli hołubkę, serce w nim kona.  
Już ją pożegnał!... Na step wypada,  
Tam na zachodzie gwiazda tli biała —

On w step popędził, a w step szeroki,  
Dnieper przepłynął i jar głęboki  
Jak wichur minął. . . . . Nigdyż nie wróci ?  
Wichur się tylko z burzany kłóci, . . .  
I pusto, cicho, on już na wieki  
Wichrem popędził na świat daleki,  
Na świat daleki, życie tułacze,  
Chociaż step za nim stęskniony płacze. . . .  
Nigdyż nie wróci ? Przepadł bez wieści ?  
Za nim się tylko burzan szeleści,  
Chart skomli w smyczy, trawa się chyli,  
I stary sokół na krzyżu kwili. . . . .

X.

I znów mogilnik w stepie przybywa,  
Na mogilniku ptaszyna szara,  
Żałobną piosnką ciszę przerywa,  
Nie wiem, czy duch to ? czy to jej mara  
Piosenkę swoją cichutko nuci :  
„Nim jeden rok minie,  
Wróci Artem, wróci.“

We Lwowie 15. listopada 1884.

*Bolesław Andruszewicz.*

— ❦ — **KONIEC.** — ❦ —

## Na cmentarzu !

---

Jako mgła szara, cicha i wilgotna

Owija ziemię tumanem,

Tak mię spowiła tęskność samotna

Nad tym grobowym kurhanem.

Czy to przecucie smutniejszej doli,

Czy żal za lata młodemi ?

Czy mię sieroctwo tak strasznie boli,

Czy też samotność na ziemi ?

Co to za szelest ? — może umarli

Z łona swych mogił powstają ?

Ludzie już wasze ślady zatarli —

Zdziwieni — was powitają !

\* \* \*

Ach ! jaka cisza — jaki pokój miły !

Drzewa mi szepcą jakąś pieśń zagrobną,

I w dziwną błogość duszę ukoili

Pieśnią swą tęskną — pieśnią swą żałobną.

Spijcie spokojnie — dobrze wam tu, błogo,

Nic wam pokoju mogił nie naruszy.

Człowiek — popłacze nad mogiłą drogą,

Westchnie o spokój ukochanej duszy !

I znowu dalej do walki za chlebem,

Dalej na nędzną zysków targowicę,

Choćby na wieki pożegnać się z niebem,

Choćby w proch skruszyć nadziei kotwicę.

A mnie tak smutno między ludźmi tymi,

Co w ciągłej tylko o byt żyją wojnie,

Że już tu lepiej między umarłymi,

Bo choć tak smutno — to w duszy spokojnie !

*Janina Antonowiczówna.*

---

## Piaszczaki leżajskie.

(Opowiadanie wzięte z podań ludowych i kronik klasztornych).

Było to w r. 1498-m, który tak boleśnie wrył się na karcie dziejów Polski, bo najazdem hord Turków i Tatarów, którzy wśród pożogi i mordu roznieśli zniszczenie po wschodnich jej dzielnicach. Hordy te dzikie, krwi laszej łaknące, podzieliwszy się na kilka oddziałów, rozpuściły szeroko swe zagony, łupiąc miasta i dwory, uprowadzając z sobą tysiące w jasyr; pochód zaś swój znaczyły łuną i kłębem dymu. Jeden taki oddział trzymał się biegu rzeki Dniestru, — w pochodzie swym napotkawszy miasto Sambor, takowe złupił i spalił, jak świadczą kroniki klasztoru bernardyńskiego w Samborze, posuwając się dalej wzgórzami przez Starąsól, zrabował zamek dobromilski, a dotarłszy do koryta Sanu, dążył z jego biegiem w strony północne.

W czasach tych nie było jeszcze tak ludno, — w miejscach gdzie dziś najpiękniejsze sioła i dwory, a ziemia dotknięta ręką ludzką dostała nazwę egipskiej i żywi liczne tysiące — rozciągały się nieprzejrzanе dziewicze bory, zamieszkałe przez niedźwiedzie, jelenie, dziki i niezliczone stada wilków; gdzieniegdzie dopiero świeciły się drobne osady, które pomалу rozrastały się, a wśród kniei robiąc przełazy łączyły się ku wspólnemu życiu i obronie. Osady takie zakładano zwykle przy rzekach dla rybołówstwa, przy lasach dla zwierzyny, przy szlakach dla komunikacji i łatwiejszego sposobu życia, i bliżej miast i zamków dla łatwiejszej obrony.

I właśnie przy takim szlaku, zwanym: sandomirskim, nad brzegiem Sanu wśród niezmiernych lasów, była królewska osada flisów, zwana: Leżańsko. Trzeba wiedzieć, że okolica ta wtedy zupełnie inaczej wyglądała; gdzie dziś wioski: Zaolszyny, Siedlanka, Przyhojec, Łukowa, tam było łożysko Sanu, czego

pamiętką są owe brzegi wysokie i grunt namulisty wśród piasków naokoło się roztaczających; gdzie dziś miejscina: Leżajsk, tam były bory olchowe wśród grzęskich bagien, których mieszkańce w miesiącach wiosennych napełniały okolicę wśród echa leśnego żegotliwą muzyką; a gdzie dziś wioska: Staremiasto, tam leżała owa osada flisów: Leżańsko. Flisy ci mieli to być potomkowie w niewolę wziętych Pomorców i słynęli szeroko ze swej nieustraszonej odwagi i siły, dlatego też pomimo że zamieszkiwali okolicę mniej ludną, z powodu piasków rzadko zamieszkałą i przy szlaku położoną, a tem samem wówczas prędzej narażoną na napady band zbójceckich, od dawna nie słyszeli nawet o bliskim ich sąsiedztwie. Trudnili się oni spławianiem drzewa do Sandomierza i dalej Wisłą, to znowu wynajmowali się jako przewodnicy i osłona zbrojna kupcom krakowskim, niemieckim, ormjanom lub innym, którzy tędy ze wschodu przeprowadzali różne karawany. Pracą swą i uczciwością zyskiwali sobie dobre imię i dostatki, dlatego też widziałeś chaty ich schludne, zdobne w drogie materje, w komorach ich nie brakło srebrnych naczyń, karbowanych czerwieńców, bursztynów; utrzymywali także gospody dla podróżnych, w których przy starym miodzie nie brakło i dobrego węgryzna. Te przymioty jednały im łaski królewskie, dla tego też na sto lat już przedtem, nim zaczyna się nasze opowiadanie, bo w roku 1397 m, król Władysław Jagiełło nadał im przywileje miejskie.

Zdawało się, że wśród tego dobrobytu, opieki i bezpieczeństwa poniekąd, nic nie zdoła zachmurzyć ich oblicza, gdy pewnego dnia pod wieczór, owego pamiętnego r. 1498-go, na czółenkach po falach Sanu od grodu Jarosława przyplłynęło kilku flisów, którzy przynieśli im straszną wieść, że jacyś rabusie w ogromnej liczbie, którzy mają się zwać Tatarami, pładrują tamte okolice i zdążają w te strony. Tatarów jeszcze wtedy lud prosty wyobrażał sobie z jednym okiem, obrosłych długim włosom, jak wilki żywiących się mięsem ludzkim, a robiących oblawy na ludzi, których potem uprowadzali w swe kraje, gdzie ich wypasali, a szczególnie miały im smakować małe

dzieci. Wieść ta, jakby piorunem razila flisów, co tchu zaczęli wszelkie swe mienie wynosić w lasy, ostrzyć topory, robić zasieki; ale zaledwie dnieć zaczęło, wśród strasznych lamentów szlakiem sandomirskim tłumy ludu co prędzej uchodziły głosząc, że bliskie Grodzisko zrabowane stoi w płomieniach!

Krwawo dnia tego wschodziło słońce, jakby rumieniło się, że ma przyświecać tak okrutnej rzezi i pożodze! A zaledwie na chłopa podeszło ku górze, już słyhać było rzenie koni i złowieszcze: Allah! Pohańcy jak szarańcza rozsypali się po całym szlaku, a natrafiwszy wygon prowadzący do osady, rzucili się lotem sępów drapieżnych, rozwiedli swoje półkole i wypuścili chmurę strzał. Flisy wezwawszy Boga na pomoc i przygotowawszy łodzie przy brzegu do ucieczki, stanęli do obrony swych ognisk jak jeden mąż; to płatali toporawi, to wiosłami strącali ze zasieków czarne bestje, to rzucali na nich palącemi się głowniami, a nawet w smole umaczane kule słomiane zapalone, z procy wyrzucali pomiędzy konie tatarskie. Obrona trwała blisko cały dzień; pod wieczór dopiero Tatarzy spaliwszy zasieki, połowę prawie flisów w pień wysiekłszy, resztę wzięli na troki; zaledwie kilkunastu zdołało z żonami i dziećmi przepawić się na drugą stronę Sanu, i tam ukryć się w lasach. Tatarzy osadę całą zrabowali i spalili, a cofnąwszy się w pobliski las, gdzie dziś pole klasztorne wśród konarzystych osiwiątych dębów rozłożyli się taborami i zaczęli dzielić łupy i jeńców. (Z dębów pamiętających owe czasy, chociaż już są młodszej generacji, stoi jeszcze kilkanaście; jeden z nich jest w objętości czterech sążni). Wśród tych dębów, na jednym wzgórzu łysem, piaszczystem, na miejscu, gdzie dziś stoi klasztor, sprawili sobie krwawe igrzysko, bo zgromadziwszy poległych plemieńców na wielkim stosie drzewa, naokoło nabili mnóstwo palów, poprzywiązywali do nich postronkami setki jeńców, których uprowadzić nie mieli ochoty — około tych nagromadzili znowu drew i gałęzi, a podpaliwszy to wszystko, wyprawiali dzikie tańce, istne harce piekielne! Po odpoczynku nocnym, kiedy od wysłanego podjazdu dowiedzieli się o nadciągającej husarji polskiej, co świt dosiedli koni i roz-

puściwszy na żerdziach zatknięte końskie ogony, cofnęli się do hordy drogą znaczoną ogniem i mieczem.

Kiedy już ognie przygasły, flisy którzy ucieczką ocalili, po kilku dniach jakby lisy poczęli się skradać na zwiady; a kiedy upewnili się, że o Tatarach ani słychu, wrócili do swej osady Leżańska, wśród łez sklejali chaty, niektóre rzeczy odszukali po lesie i poczęli pracować na życie. Do swej świetności atoli pierwotnej już nigdy nie przyszli, bo powtarzające się później kilka razy napady tatarskie niszczyły wszelkie ich usiłowania, a kiedy w latach późniejszych król Zygmunt I. opodal założył nową osadę z jeńców tatarskich, (jak świadczą dotąd jeszcze nie zagubione typy, a nawet i obyczaje) i kolonistów niemieckich na prawie magdeburskiem, zapewniającem cały ich rozwój, — flisy zaczęli upadać i schodzić zupełnie z widowni dawniejszej. Osada ta nowa przyjęła nazwę: Leżańsko, która się później utarła na: Leżajsk, a doznając łask królewskich i opieki starostów, odtąd tu często przemieszkujących, przekształcała się w osadę silną a nawet ochronną. bo już i z natury otoczoną bagniskami i wzgórzami. Stan ten trwał spory kawał czasu, bo blisko wiek cały.

Pierwsi osadnicy, t. j. resztki flisów, poczęli ze serca nienawidzić swych sąsiadów, to też następstwem były częste kłótnie, bójki, a nawet rozbójnicze napady, gdyż flisy powoli, porzuciwszy swoje dawne zajęcia przekształcali się w szajkę złodziejską i stawali się postrachem okolicy, bo już to na czółnach Sanem, już to lasami podkradali się pod różne okoliczne dwory i wioski, i obławiali się sownie. Często gęsto robili zasadzki na kupców, napadali na galary ze zbożem, które Sanem płynęły ku Gdańskowi, a nawet razu pewnego zrabowali jakąś cerkiew, zkąd zabrali ornaty, kielichy i inne przybory kościelne. Starostowie leżajscy często przydybanych na złodziejstwie i rozboju gardłem sądzili i zwodzili z nimi ciągłe utarczki, aż wreszcie rozpędzili ich, chałupy im spalili, zaledwie kilka rodzin spokojniejszych przesiedliwszy do nowej osady. Toż gdy się увидzieli bez dachu, zakładali sobie siedziby w lasach wśród niepięzbytych zarośli, istne nory pomiędzy dzikimi leśnymi sąsiadami, i tak

powoli przekształcali się we wałęsającą się bandę zbójcecką bez żon i dzieci. Banda ta szerzyła się jak szarańcza na kilkanaście mil w około, niekiedy nawet zagrażała większym dworom; najchętniej atoli gościła około swej dawnej siedziby, bo tu przy wodzie i przy szlaku najłatwiejsze i najkorzystniejsze bywały oblawy.

Podanie ludowe niesie, że głównie przebywali w okolicy Leżajska wśród piaszczystych wzgórz, na tak zwanych niwach sandomirskich, gdzie dziś leśne bagnisko, zwane: Stojadło; tam mieli mieć we wzgórzu ogromną jaskinię z ukrytym wchodem, do której gromadzili swe skarby i zawsze tędy kręcili się, jakby na straży. Banda ich rosła jakby na drożdżach, bo o takich oczajduszach wnet rozeszła się wieść stugębna; zbiegali się do nich z różnych stron im podobni, tak że w krótkim czasie wzrosła do kilkadziesiąt, a nawet jak opowiadają było ich kilkaset głów. Byli pomiędzy nimi Węgrzy, Wołosi, Rusini, Niemcy, kilku Polesiuków a nawet kilku Tatarów; utrzymywali stosunki z różnymi opryszkami, dzielili się na oddziały, które nakształt armii robiły wyprawy, a kiedy w jednym miejscu groziło im niebezpieczeństwo, wnet jakby z pod ziemi wyrastali zupełnie w innej stronie. Kroniki klasztoru leżajskiego podają nam nawet niektóre imiona tych opryszków: naczelnikiem ich w ostatnich czasach był Wodzin Pałyga, pod jego komendą zostawali: Kubar, Józek Szelik, Garbek Kisiel, Podryk, Kurc, Staszko Niemek, Tryńko, Mohyla, Lecznar, Decko, Szyńko Szelihan, Sozani, Szmaholc, Filimko, Sernek Lejos i wielu innych. — Rzemiosło swoje praktykowali oni na różne sposoby; gdzie tylko nadarzała się sposobność, z całą pogardą życia rzucali się na upatrzone ofiary, a opór broniących się podwajał ich srogość i siłę. Tu opowiem kilka ich rozbójniczych napadów jako w bezpośrednim związku stojących z naszym opowiadaniem.

Przewąchali oni, że tędy mają dworzanie wojewody sandomirskiego prowadzić transport wina z Węgier, zebrali się tedy w liczbie znacznej i zaczęli w lasach, a kiedy posłyszeli turkot kół, wypadli na pierwsze wozy i pozabijawszy służbę poczęli się krzątać około uprowadzenia zdobyczy, gdy w tem



nadciągły dalsze, otoczone przez spory oddział zbrojnych dworzan, którzy natychmiast rzucili się na opryszków. Zaczęła się nierówna walka, opryski po dłuższym oporze poczęli uchodzić w lesne jary przed siłą przemagającą, zostawiwszy kilka trupów, i wnet znikli w kniejach jak kamfora. Ale dworzanie pochwycili kilku uchodzących, pomiędzy nimi Kubara, których też opodal zaraz w lesie powiesili na górze, dotąd zwanej : górą kubarską.

Raz znowu zrabowawszy dwór w okolicy Tarnobrzega, uprowadzili małe dziecię, które wśród siebie chowali w celu wykierowania go na zbója, ale dziecię to, które się zwało u nich : Tomasz Michałek, pomimo zachęty ze strony opryszków, nie przejęło się ich życiem, ale prosiło ciągle Boga o uwolnienie z ich rąk. Śnać była z niem łaska Boga, bo po kilku latach wśród jednej z takich wypraw zbójeckich uciekło i tułając się długo po lasach, żyło jagodami i korzonkami, aż zostało znalezione przez strzelców rządcy starostwa leżajskiego, Kaspra Głuchowskiego. Oddano je na posługi dworskie w miasteczku, gdzie Michałek wyrósł na tęgiego młodziana i jako taki nauczył się pędzić ślód i został starościńskim browarnikiem. Ten to Michałek, który także potomności przekazał ich nazwiska, napatrzył się dosyć na okrucieństwa, których się oni dopuszczali, a z których jedno zapisane w aktach klasztoru leżajskiego OO. Bernardynów, opowiadał w najdrobniejszych szczegółach : „Zdarzyło się, że około r. 1590-go z klasztoru przeworskiego wyprawiono dwóch zakonników, ks. Deodata i braciszka Bogusława na mieszkanie do klasztoru lubelskiego OO. Bernardynów. Ci w posłuszeństwie, z kosturem w ręku, obrali drogę przez lasy leżajskie, szlakiem znanym, jako najkrótszą, przez nocowawszy w miasteczku Leżajsku u ks. proboszcza pod ten czas ks. Wojciecha Wyszogrodzkiego, gdzie nasłuchali się wiele o okrucieństwach i rozbojach opryszków. Rano ks. Deodat, odprawiwszy mszą św., pokrzepiwszy się posiłkiem z br. Bogusławem — zaopatrzeni w skromną jałmużnę, wyruszyli w dalszą drogę, ale jak wskazują zapiski, zaledwie uszli z milę drogi, zostali napadnięci przez owych łotrów, powiązani i wśród ró-

źnych obelg i zniewag uprowadzeni. Gdy ich postawiono przed Wodzinem Pałygą, ten chciał ich zaraz powieścić, ale Szelik, Szmaholc i Sernek Lejos powstrzymywali go w tym zapędzie, bo chcieli mnichom pierwaj nalać gorącego sadła za skórę. Teraz dopiero zaczęły się straszne orgie, które przytomny temu Michałek później opowiedział: pozdzierano z nich suknie, żelazem rozpalonem robiono im znaki po ciele, targali im włosy z głowy, bili pięściami w twarz na wyścigi wieszali ich do góry nogami i po chwili znowu zdejmowali, wśród czego zakonnicy ci śpiewali psalmy i za nich zanosili modły do Boga; nad głowami ich jak mówił Michałek, unosił się obłok biały! Ten spokój ducha i wesołość w męczarni podniecały w opryszkach jeszcze większą żądzę pastwienia się: pochwytili tedy obydwóch, pucinali im języki, wybili zęby, a skrępowanych i poranionych przywiązali do drzewa i nasycali się przed nimi z uprowadzonymi kobietami: zwierzęcością wśród śmiechów i wrzasków, dodając sobie ochoty napojem; a kiedy się im sprzykrzyło to szatańskie igrzysko, poubierali ich w szaty kościelne w cerkwi zrabowane i na sośnie głową na dół powiesili. Ciała ich później same opadły, poszarpane przez ptactwo i ogryzione przez dzikie zwierzęta, a kości w kilka lat dopiero zostały pogrzebane przez Michałka na tem miejscu, gdzie dziś stoi figura murowana, w lesie blisko wsi Jelny, którędy wiódł gościniec. Ów ks. Deodat, jak opisują dzieje klasztorne, był to sługa boży gorliwy i tchnął pewną świętością, wśród mąk usiłował prześladowców swych nawrócić, nie prosił o życie, bo to własność Boga, a oni katując i zabijając ciało, duszy jego gotowali koronę męczeńską, ale ztwardniałym przypominał bożą sprawiedliwość i straszną karę. Przepowiadał im, że krew niewinna wyryje na czołach ich piętno hańby, okazując się przez wiele ich pokoleń jako znak nienawiści, żywionej ku braci jego, aż stanie pośród nich mąż, który pokutą i miłością Boga zmyje ich zbrodnie, — a oni, jako zakąta tych miejsc, staną się zgorszeniem okolicy. Przepowiedział też, że miejsca te, które niewinną krwią ludzką zostały skropione, staną się przybytkiem osobliwszej

czci Boga. — Słowa te spełniły się, bo o tem przekonują nas dalsze losy tej bandy opryszków.

W kilka lat po tym wypadku, a było to po r. 1595-m, połowa tych łotrów wyruszyła na rozboje w strony północne, w lasy tak zwane: janowskie, gdzie mając spółkę z innymi opryszkami, mieli zrabować upatrzony jakiś dwór, słynny z bogactw, a druga połowa zasiadła na czatach w tak zwanych: babskich dołach, koło Sanu, gdzie dziś wioska Przyhojec, w celu napadu na galary z pszenicą, którą z dworów p. Korniakta spławiano Wisłokiem do Sanu, a Sanem do Wisły i Gdańska. Niebawem po kilku dniach wyczekiwania pod wieczór, a było to jesienią, kiedy już i mgły wieczorne, a przy tem jakoś miało się na deszcz, — pokazały się z daleka ognie i światła; to były ognie na galarach. Opryszki podsunęli się do czółen, ukrytych w malutkiej zatoce, otoczonej wysoką i gęstą łożyną, przygotowani do napadu z toporami i nożami w ręce, poczęli się wymykać na prąd wody, a że to było już dosyć ciemno a i światła na galarach przygasły, nie mogli się obliczyć z nieprzyjacielem. Kiedy już galary nadpłynęły, z całą wściekłością wśród dzikich wrzasków rzucili się ku nim, i zaczęła się rzeź. Co chwila wśród jęków konających i przekleństw plusk odbijał się echem o brzegi, woda pienącemi falami z łoskotem uderzając o ściany przyjmowała do zimnego łona trupy, szumiąc, jakby ostatnie im wypowiadała pożegnanie! — Wnet znowu ucichło, napad został odparty, jeden galar został rozbity, zboże w nurtach rzeki pogrzebane, kilku orylów dworskich ubyło, ale za to pięciu opryszków schwytano i związane, reszta uszła! Opryszków pojmanyh, dla dogodzenia zemście i sprawiedliwości, na pierwszej nabrzeżnej olsze powieszono. Dokonawszy doraźnej egzekucji, podpłynęli jeszcze spory kawał wśród największej ostrożności, i dobiwszy do brzegu, rozłożyli nocne ognie opowiadając sobie przygodę i niebezpieczeństwo minione. Zdawało się im, że chmura ta gradowa już przeszła. Aż tu nad ranem nowy napad, gdy jeszcze na pół spali, ale nauczeni oryle wieczorną niespodzianką mieli w pogotowiu halebardy, toż co tchu stanęli do walki, w której czuli się w liczbie przewagą, a w odwadze

i sile nie ustępowali. Teraz dopiero zaczęła się straszna rzeź! Kłuli się nożami, siekli toporami, gryźli zębami chwytając się za bary, jak kto mógł bronił się i nacierał; po daremnym wysiłku poczęli i teraz opryszki uchodzić, ale oryle nie zadowolnili się ucieczką wrogów, lecz puścili się za nimi w pogoń, a dopadając i raniąc opryszków, pędzili ich w las. Opryszki kierowali swoje kroki ku owym wzgórzom, gdzie mieli swą norę, a dopadłszy tam znikli oryloom z przed oczu, zatarasowawszy wchód nagotowanem drzewem i kamieniami. Oryle spostrzegłszy schronienie zbójckie rozpoczęli stan oblężenia, zaczęli gromadzić nad jaskinią kupy drzewa, aby to później zapalić i jak borsuki z jamy ich wykurzyć. Dwóch starszych oryloom udało się szybko o pomoc do zamku leżajskiego, którą też niebawem otrzymali w liczbie kilkunastu jezdnych i pieszych.

Z tymi natychmiast wyruszyli w las, mając ze sobą powrozy, łopaty i inne przybory, z zamiarem zbójców żywcem pochwytać. Im bliżej atoli ku wzgórzom zbliżali się, tem głośniejsze słyszeli hałasy, a jakież było ich zdziwienie, gdy ponad jaskinią zobaczyli straszną bójkę! Przybyli rzucili się w zamęt bitwy z całą wściekłością, a wśród walki o życie lub śmierć dopiero po dłuższym czasie udało się dworzanom starostwa leżajskiego i oryloom p. Kornia-  
kta opryszków częścią wyciąć, częścią powiązać, których zaraz odstawili na zamek. Dworzanie sądzili, że to już koniec, ale gdy dowiedzieli się, że to są inni, — bo byli to ci, co podjęli wyprawę w lasy jano-wskie — a tamci kryją się dotąd w jaskini, zaczęli na dobre roboty oblężnicze. Przekonawszy się, że jaskinia nie ma innego wychodu, postanowili otoczyć ją naokoło, przez noc pilnować, ponieważ te utarczki zajęły im cały dzień, a nazajutrz zaraz rano zabrać się do dzieła. Oryle zostawiwszy straż na galarach, wzięli się do oblężania z całą energją. Wspólnie zaciągnęli strażę. zapalili ognie, któreby równocześnie miejscowości oświecały, i służyły do rozgrzania zziębniętych członków, bo to już i chłodno było, a przy tem chmury wysuwały się na niebie jedna za drugą, deszcz zaczął rosić i zrywał się wiatr przejmujący. Dodawali

sobie wspólnie odwagi krzepiąc się piwem grzanem a posilając wędliną. Jakoś im pomimo otrzymanych ran i kilku trupów, dosyć schodziło wesoło ; w tem około północy zrywa się wicher, deszcz zaczyna coraz silniej padać, wicher dmie coraz przeraźliwiej, co chwila gdzieś piorun uderzy ! Strach przejmuje czuwających, drzewa trzeszczą, jedne zginają karki, a drugie wpół jakby ścięte, z łomotem chylą się ku ziemi ! I cała ta gra piekielna nie ustaje, grzmoty hukiem napełniają powietrze, pioruny jeden za drugim padają, deszcz leje jak z cebra, zdaje się że służy niebieskie przerwały swe upusty ! W tem zagrzmiało strasznie ! Snać sędzia sprawiedliwy głosi światu swe wyroki ! Wiatr — jakby całe piekło jednym chórem — zawył okropnie ! Piorun uderzył z całą mocą aż się rozwidniło naokoło, i zdawało się orylom, że widzą w powietrzu jakieś czarne postacie. Włosy im stanęły na głowie, i plackiem padli na ziemię. Znowu się uspokoili, piorun znowu uderzył z całą siłą, aż się ziemia w podstawach swych zatrzęsła, a był to już ostatni ! W tej chwili nastąpiła grobowa cisza, a oryle i dworzanie twardo zasnęli, lecz jakie było ich zdumienie, gdy się przebudzili ze świtem ? ! Patrzą, — nie chcą oczom wierzyć ! Pytają się jeden drugiego, gdzie opryszki ? co się z nimi stało ? W miejscu jaskini duże jezioro ! Mróz ich przeszedł na wskrós, ale niebawem przeczuli wyroki boże i bijąc się w piersi powrócili jedni na galary, drudzy do zamku starosty. Jaskinia ze zbójcami zapadła się w ziemię, a w jej miejscu zostało się leśne bagnisko. Istnieje ono do dziś dnia, a lud okoliczny zwie je „Stojadło,“ która to nazwa miała się utrzcć z wyrazu : Stodjabłów, gdyż tak je pierwotnie zwano, pytającym się zaś o znaczenie tej nazwy opowiadają włościanie o strachach i błakających się duchach.

Często, mówią oni, można widzieć po wodzie pływające czarne ptaki, które mają być pokutującymi duchami zbójców, którzy się w ową noc ze skarbami w ziemię zapadli, a teraz tylko uwodzą przechodzących, a gdy kogo pochwyca, ciągną na dno, dla tego też lud okoliczny nocą omija stojadło, a kiedy wypadnie komuś tamtędy przechodzić lub je-

chać, to żegna się i modli do Boga, aby go ochronił przed złych mocą! Często zdarza się, widzieć chodzące postacie ludzkie po wierzchu wody, to zawo-  
dzące tany, to tarzające się po piasku, to w postaci ko-  
nia, lisa a nawet sarny wśród gęstych szuwarów, a  
które za zbliżeniem się ku nim, rzucają się wśród  
chichotu iście djabelskiego w bagnisko. Sam nie mia-  
łem sposobności, spotkać się z podobnym okazem,  
ale to mi nie przeszkadza dawać wiarę ludziom, którzy  
mi opowiadali o owych widziadłach.

Ale cóż się stało z pojmanymi opryszkami?  
Z tymi sprawa łatwiejsza, bo ci zostali przy życiu,  
starosta rozgniewany kazał początkowo łotrów wbijać  
na pal, ale wnet się rozmyślił, a osadziwszy ich we  
wieży postanowił dla nich wynaleźć inny sroższy je-  
szcze rodzaj kary.

Teraz na okolicę uspokoiło się zupełnie; opo-  
wiadano sobie ubiegłe dzieje, a opryszkami już tylko  
dzieci straszono. Od tego czasu upłynęło znowu lat  
kilka. Około r. 1600-go na tych miejscach, gdzie da-  
wniej Tatarzy wyprawili swe igrzysko, a później zbóje  
mieli swe wypoczynki, zaczęły znowu dziać się dzi-  
wne rzeczy, ale już innego rodzaju.

Ów wzmiankowany Michałek, człowiek pobożny,  
udawał się często do lasu jużto, aby się pomodlić za  
owych zakonników zamordowanych, na których grobie  
wzniósł prosty krzyż, jużto po łuczywo, i za każdą  
razą czuł wewnątrz jakowys niepokój; zdawało mu się,  
że widzi jakieś postacie, które znowu znikwały, że sły-  
szy jakieś głosy, aż razu pewnego gdy trwał na mo-  
dlitwie, uwidział jasność wielką, a w tej jasności dzie-  
wicę unoszącą się przecudnej urody, która jak opisują  
kroniki, tak się doń odezwała: „Michałku! nie bój  
się, ja jestem Marja, Matka Jezusa, i chcę, aby mię tu  
w tem miejscu szczególniej czczono, idź i objaw star-  
szym miasta tę moją wolę!” Posłuszny Michałek uczy-  
nił to, ale nie dano mu wiary. Widzenia takie i upo-  
mnienia powtarzały się kilka razy, aż nabożny Mi-  
chałek je wypełniał co do joty. Za rozgłoszenia tego  
rodzaju spotykały go różne kary i przesładowania,  
powoli przekonano się jednak, że mówi prawdę, i za-  
częto o owych dziwach opowiadać jeszcze dziwniejsze

rzeczy. Wnet z okolicy lud zaczął się zbiegać licznie na te miejsca, a wielu doznawało różnych łask, bo chorzy bywali uzdrowieni, a w różnych troskach zostający odchodzili z innym duchem i pocieszeni. A kiedy po kilku latach bawiący pod ten czas w grodzie tarnawieckim starosta leżajski i marszałek wielki koronny, Łukasz z Bnina Opaliński posłyszał o tem, wypytawszy się o wszystko Michałka i swego rządcy Kaspra Głuchowskiego, który nawet będąc Kalwinem, nawrócił się na katolicyzm, wtedy przekonany o dziwach, które się na piaskach wydarzyły, kazał tam postawić małą kapliczkę drzewianą, którą oddał pod zarząd proboszcza leżajskiego, mając to postanowienie, że w krótkim czasie własnym kosztem wzniesie wspólną świątynię. Zamiar ten jego byłby wnet przyszedł do skutku, gdyby nie zatarg jego ze sąsiadem Stanisławem Stadnickim, dziedzicem Łańcuta a starostą żygwułtowskim. Ów Stanisław Stadnicki miał to być straszny zawadjaka, człowiek srogich obyczajów, napastnik, ceniący bardzo nisko życie człowieka, czego dowody ustne dotąd, krążą po okolicy Żołyni i Łańcuta, bo ze sforą psów wyprawiał po polach harce i strzelał do ludzi, dlatego też na wieść o jego zbliżaniu się wszystko uciekało jak przed złym duchem, a jemu samemu nawet dano przydomek „djabła.“ Ten to Stadnicki urządził w swych lasach łowy, na których zaproszony Opaliński miał przypadkiem czy umyślnie psa jego zastrzelić, czem rozgniewany Stadnicki, po odbytych pojedynku, w którym został rannym, poprzysiągł mu zemstę. I rzeczywiście urządził najazd nieprzyjacielski na Leżajsk. O tem uwiadomiony Opaliński zamek leżajski polecił w obronę rządcy, a sam ze zbrojną drużyną wyruszył w pole na spotkanie. Jak wieść niesie, miała być potyczka na polach tarnawieckich, a inne znowu podania okoliczne twierdzą, że na polach leżajskich, gdzie dziś są wątoki. Druga wersja zdaje się być prawdziwszą, bo nawet blisko nich stoi dziś figura murowana, gdzie ma być pochowanym ów Stadnicki, który w tym napadzie został zabitym. Żołnierze jego w odwrocie napadli na Leżajsk, złupili i spalili z wyjątkiem zamku, którego brocił dzielnie rządcą a nawet owi zbójcy aż dotąd więzieni,

zostali uzbrojeni do obrony i dzielnie się spisali. Wypadek ten w dziejach Leżajska ma swoją doniosłość, bo Opaliński na przedstawienie rządcy swego, owych zbójców, którzy przyrzekli szczerą poprawę, ułaskawił i osadził na Karczownikach tarnawieckich, przydzielając ich do naprawy wałów i murów grodu tarnawieckiego. Działo się to około r. 1609-go.

Opaliński ową awanturą ze Stadnickim zmartwiony, wyjechał do Lublina, gdzie stronił od ludzi i całymi dniami zamykał się w pokoju, a jużto wyrzutami sumienia trapiiony, jużto mając dawniejsze postawienie, jużto dla przebłagania Boga, wyjednał królewski przywilej na wybudowanie świątyni z klasztorem, do czego dołączył bogate wyposażenie. Jakóż w r. 1610-m przybył do Leżajska i wydał w tej mierze stosowne zarządzenia.

Poczęto zwozić materjały, i w miejscu gdzie Michałek miewał widzenia, a na którym Tatarzy wyprawili krwawe igrzysko, położono fundamenta. Kości, które tu po piaskach bieleły i z ziemi w wielkiej ilości wydobyte, zgromadzono na jedno miejsce i pogrzebano sypiąc sporą mogiłę; mogiła ta znajduje się do dziś dnia w ogrodzie klasztornym i zwie się kopcem, na którym rosną 3 olbrzymie lipy, ku pamięci wówczas zasadzone. Do robót około wzniesienia murów kościoła i klasztoru użyto także owych ułaskawionych zbójców, którzy teraz zapomnieli już o dawnym swym życiu, bo u niektórych i wiek nie pozwalał, a kilku nawet pomarło. Kiedy po latach ośmiu stanęła precudnie-piękna niebotyczna świątynia z ogromnym klasztorem, otoczonym murami wysokimi, dziwnym zbiegiem rzeczy, Opaliński oddał je wraz z przyległym lasem i gruntami OO. Bernardynom, a owych zbójców, spokojnych już, osadził na piaskach pod murami klasztoru dla usług zakonnikom z obowiązkiem robienia tak zwanej pańszczyzny, w której trwali do znanych nam czasów. Tak to niezbadany jest Bóg w swoich wyrokach! Słowa katowanego ks. Deodata spełniły się co do joty. Kilkunastu z owych nowych osadników pojęło żony, które im Opaliński kazał przywieść z Rusi, i pomału z biegiem lat rozrosli się, a dziś stanowią już w sporej liczbie przedmieście le-



żajskie: Podklasztor, i zwa się piaszczakami. Ma się rozumieć, że nie wszyscy podklasztorzanie pochodzą od swych zacnych protoplastów, bo ostatnimi czasy wielu osiedliło się tu z innych okolic, ale przeglądając akta leżajskiego klasztoru można imiona tych opryszków odszukać. Z latami się one zacierały, i już to przez mimowolną lub umyślną zmianę liter, już to przez dodawanie końcówek znacznie się odmieniły, ale bystre oko w potomkach niektórych rychło spostrzeże pradziadów. Niedawno jeszcze, bo już na początku tego wieku, jakiś potomek Kurc przypomniał sobie dawne rzemiosło, był postrachem tej okolicy, kradł, rabował, znęcał się ze swymi spółnikami nad ludźmi, bił gwoździe w podeszwy bosych nóg, za paznogie zapychał drzazgi i t. d., a nawet włamał się wśród burzliwej nocy do skarbu kościelnego przy klasztorze leżajskim i skradł wiele kosztowności.

Zdarzało mi się spotkać z zapytaniami, które mi nieraz pątnicy z różnych stron zadawali, dlaczego to ci osadnicy tak są niedobrzy, w służbie bożej leniwi a szczególnie klasztorowi nieżyczliwi i nieprzychylni? Przyznam się, że na to nie umiałem dać im odpowiedzi, aż razu pewnego poznał mnie i wybawił z kłopotu zmarły już o. Korneli, rzecz tę tłumacząc następująco: „Synu — są to jego słowa — na nich ciąży klątwa boża wedle przepowiedni ks. Deodata, a łącząc się w biegu lat z okolicznymi mieszkańcami przez małżeństwa, stali się dla okolicy narzędziem zgorszenia.“ Słowa te jego wznieciły we mnie chęć zbadania ich przeszłości i popchnęły do zebrania nakreślonych wypadków w celu przekazania ich potomności a wydobycia z pomroki. Tu kres naszego opowiadania.

Na zakończenie krótką bodaj wzmiankę uczynię o cennych zabytkach i przedmiotach wartościowych, które posiada kościół i klasztor, zanim podam czytelnikom szczegółowy opis: kościół ogromnych rozmiarów, malowany wewnątrz fresco przez Strojnowskiego w r. 1752-m, mieści w sobie olbrzymich rozmiarów organ, pierwszy w Austrii, istne arcydzieło organmistrzostwa, ustawiony przez Głowińskiego w r. 1682-m. W prezbiterjum są stale cudnej roboty, rzeź-

bione przez braci zakonnych w r. 1648-m; w kościołach podobne rzadko dają się spostrzedz. Jest tu także oryginał malowidła Correggia młodszego, przedstawiający św. Franciszka na modlitwie w zachwyce- niu. Są tu obrazy naszego rodaka artysty-malarza ks. Lekszyckiego, bernardyna z 17. wieku. Zakrystja posiada stare wysokiej wartości przybory kościelne, a klasztor cenną z trzech tysięcy tomów złożoną bibliotekę, są w niej dzieła przeważnie treści teologicznej, chociaż nie brak także źródeł do historii i filologii. Biblioteka zachowana we wzorowym porządku i dobrym stanie pomimo ciągłego i różnego z niej korzystania przez różnych ludzi. Klasztor opasany wysokim murem ze strzelnicami i basztami; dawniej mógł być obronnym, chociaż w historii nie ma wzmianki, aby kiedyś bywał w opałach. Słowem! kościół i klasztor godne są zwiedzania, to też ciągle widzieć tam można podróżnych, już to w celach artystyczno-naukowych, już to ciekawych widzów. Częste odpusty gromadzą tysiące pątników z różnych stron. Widywałem pielgrzymów, przybyłych z ostatnich krańców Polski i Litwy, a nawet z Kijowa było kilka osób, które zwiedziwszy to miejsce, odjechały zadowolnione na duszy, z głębokiem przekonaniem o chlubie naszej dawnych ojców i z lepszą wiarą w przyszłość.

Pisałem w Leżajsku, 25. Sierpnia 1883-go r.

*O. Metody, Bernardyn.*

---

**O! jak niegodny jestem Ciebie, Panie!**

---

O! jak morderczo serce Twe przebijam,  
Jak wiele bólu przysparzam Twej ranie,  
Jak się grzechami ohydnie upijam!  
O! jak niegodny jestem Ciebie, Panie!

Z boleścią patrzysz na moją sromotę  
A okazujesz mi politowanie,  
Choć ja niewierny, sprawiam Ci zgryzotę,  
O! jak niegodny jestem Ciebie, Panie!  
Choć Bóg mnie łaski swemi obsypuje,  
Za mało skruchy dałem w odwet za nie,  
Za cóż więc dobry Ojciec mnie miłuje?  
O! jak niegodny jestem Ciebie, Panie!  
Padam przed tronem Twoim na kolana,  
I proszę! przebacz a miej zlitowanie,  
Tęsknię, ach! tęsknię do mojego Pana! —  
O! jak niegodny jestem Ciebie, Panie!

*Kazimierz G.*

---

## Z życia skazańca

(trzy chwile.)

---

Oto już idę, litośny Panie! —  
Usłyszeć wyrok słuźalców cara —  
Spraw! — niech mi siły do walki stanie,  
Niech mnie Twa święta wspomóże wiara—  
Bym wytrwał mężnie — o to w pokorze,  
Młody skazaniec, proszę Cię — Boże! —  
Niechaj im błysnę pogardą w twarzy!—  
Pogardą wszelkich mąk dla Ojczyzny! —  
O nich to młoda ma dusza marzy,  
Odkąd jam zamknion w murach zgnilizny!  
Odkąd mi szabla wypadła z dłoni  
I krew strumieniem trysnęła z skroni.  
Ciszej! — już słyszę straży stąpanie! —  
Idą mnie wywieść! — już klucz zazgrzytał! —  
Dajże mi siły, potężny Panie!  
Dziś, gdy męczeństwa dzień mi zaświtał; —  
Niech z dumą w twarzy spojrzę im w oczy, —  
Tym sędziom! — wzrok mój niech ich roztoczy! —

II.

Ha! — więc jam winny! — winny — miłością...!  
Bom bronił matkę, społem z innymi!  
Za pogwałconą obstał świętością  
Tej naszej polskiej, ojczystej ziemi. —  
O podłe płazy! — nędzne szkielety...!  
Car — Bogiem! — prawem wam knut! — bagnety! —  
A kto się dzikiej sprzeciwi tłuszczy,  
Niech na Sybiru zaginie puszczy. —

A więc na Sybir...! — o ziemio droga! —  
Matko! — za ciebie i w piekiel głębie!  
Ha! oni sądzą — sądzą, na Boga!  
Że mnie sybirska ziemia oziębi!  
Nareszcie — ruszam w pochód daleki —  
W pochód na Sybir! — o dobry Boże!  
Może gdzie w zaspach usnę na wieki —...  
Czy większą carska łaska być może  
Dla Polski, która wciąż katowana,  
Zrzucić pragnęła jarzmo tyrana?! —  
Lecz moja matka! — mój ojciec stary!  
Jak gołąb siwy! — słaby — schylony —  
Będzie miał siły dosyć i wiary,  
By przyjąć wieść tę, że syn stracony? —  
O daj mu siły przetrwania, Boże! —  
Niech go w tem Twoja dobroć wspomóż. —

Ruszamy tedy na krwawe bliźny!  
Żegnajcie kaźnie ciemne, cuchnące! —  
Krwia zabarwione synów Ojczyzny,  
Ludzkości rozpacz wiecznie niosące! —  
Bo się o wasze łamiał granity  
Świętych wzniosłych idei szczyty! —

III.

Zawyła burza w lodów krainie,  
W około śniegiem miecie wicher obficie! —  
W bezdennej puszczy ślad drogi ginie,  
I wilków słyhać złowrogie wycie. —  
A tam —, wśród śniegów w pas sięgających,  
Trzech szło skazańców w ciężkich okowach; —

Śnieg, im przymarzły do ciał stygnących,  
Stanowił odzież — hełmy na głowach. —  
Straszny to pancerz! — dusza się wzdryga!  
Pod nim i polskie serce zastyga! —

Szli chwiejnym krokiem, słabi — znekani, —  
Jak trzy szkielety wyszłe z mogiły,  
A tu ich nogi żelazo rani...  
Nagle jednemu zabrakło siły —  
I padł, wołając: „Ja żegnam grono.“ —  
Rozpacz zabłysła na druhów twarzy.  
Zmarłego w skrzepłe ręce ujęli,  
W nadziei rychło chatka się zdarzy; —  
I tak wciąż dalej po śniegach brnęli, —  
Ale daremnie! — wkoło step głuchy! —  
Ni ludzi śladu — ni światła w chacie,  
Tylko piekielne szalały duchy —  
Mknąc w powłoczystej, śniegowej szacie.  
Aż pod krzyż jakiś zaszli powoli. —  
Ustały siły — spocząć potrzeba;  
Bo już dni cztery w takim mozole  
Szli bez kropelki wody — bez chleba. —  
Spoczęli tedy.

Sen zwał im oko,  
I tak zasnęli twardo — głęboko,  
Że już się więcej nie obudzili...  
Niech im sen wieczny chwała umili! —  
Krzyż ich pod swoje przyjął ramiona,  
Otworzył wrota rajskiego łona,  
Przez które weszły razem trzy duchy...  
A wicher szalał po stepie głuchy! —

L w ó w, 12. listopada 1884.

*Mieczysław Romanowski junior.*

---

## Aforyzmy.

---

Żart życia wyrabia się w walce.  
Potęga myśli w ukryciu ;  
Więc bądź bezstronnym w twych sądach,  
Ale stronnikiem w twem życiu.

\*

\*

\*

Bez krwawych strat,  
Bez prac, bez szkód  
Myśl się nie zbudzi — ;  
Wpierw poznaj świat,  
Wpierw poznaj lud,  
Wpierw poznaj ludzi !

---

*G. Kohn.*

# Z „dumań wieczornych”

*Janiny Antonowiczównej.*

## ZBIÓR WIERSZÓW I PROZY.

---

Noc, cicha, ciemna, księżyc w obłokach! Rozliczne głosy i gwary i hałasy ziemskie ucichły. Nad ziemią płynie wielka, boża zaiste pieśń milczenia.

A duch ludzki, upojony melodją tej świętej pieśni milczenia, uczuwa całą potęgę Tego, który milczeniem nawet tak wymownie przemawia. I wielbi go i korzy się duchem i woła z głębi serca swego: Ojczy nasz, który jesteś! Ojczy, który jesteś w niebie i na ziemi i w duszy naszej i w idei wieków nieśmiertelnej i w dziejach ludzkości! Stań się Twoja wola, a będziem zbawieni i królestwo pokoju przyjdzie tu na nas!

Usnęły uśmiechy i łzy i westchnienia, a modlitwa oczyściła usta i serca pielgrzymów. I duch ludzki owiany urokiem natchnienia zwolna przechodzi w krainę marzeń, snów, w świat wyobraźni powiązanej w bezładne wiązki pragnień, wspomnień, wrażeń, nadziei, i kołysze się niemi i pieści!

A ciemne chmury płyną nad ziemią, ciche, lekkie, powiewne jak westchnienia tęsknoty.

---

Patrzę na drzewa, zielenią strojne  
I słucham szmerów wiosennych,  
Patrzę na jasne niebo spokojne,  
Śledzę bieg chmurek — wpołsennych. —

I tak mi dusza lekką się zdaje,  
Tak myśli biegną wysoko,  
Że do opisu — słów mi nie staje,  
Czuć tylko mogę głęboko.  
I Twą obecność śpiewa mi wiosna  
I dobroć Twoją, o Panie!  
I dusza moja szczęściem radosna  
Szele dzięki, modły, błaganie!  
Dzięki za wszystko, coś pięknem stworzył  
I za myśl moją natchnioną,  
Dzięki za czucia, coś w serce włożył  
I zbudził duszę uśpioną!  
A modły moje, to uwielbienie,  
Które szlę Panie do Ciebie,  
To hołd pokory, ducha wzniesienie,  
Racz je usłyszeć tam — w niebie.  
Prośba — o szczęścia chwilę jedyną,  
Zeszlij ją z niebios, o Panie!  
Złote natchnienia niech na mnie spłyną:  
Oto ma prośba — błaganie!

Zapadają mroki wieczorne, światła i cienie mięszają się w barwę sinawą, na nich gwiazdy wybiegają po jednej.

Zapalam lampę w samotnej mieszkalni mojej, patrzę na sinawe góry, na światelka, które pojawiać się poczynają w oknach wieśniaczych chat, rozrzuconych po górze. Myśli me dziwnie splecione wiją się bezładnym jakimś chaosem, a zdaje mi się jakbym nic nie myślała, nie czuła, nie żyła nawet.

Zdaje mi się, iż mam na skroniach jakąś przepaskę z żelaza, tak mi coś ścisną lodowem kołem myśli stargane.

Ludzkie śmiechy wciskają się tutaj z ulicy, drażniąc me uszy i mówią o szczęściu. Boże mój! Boże! jak to dziwnie jest przecież na świecie, jak to strasznie jakoś i smutno i samotnie.

Czy to mnie chyba tylko?!

---

Z tęczę girlandy płyną jasne,  
Brylantowe mosty płyną —



Wszystkie moje, moje własne,  
Wszystkie w duszy mojej giną.  
Opalowe po niebiosach  
Biegną ścieżki aż ku Bogu,  
Wieczorami lśnią po rosach  
Jasne krople po rozłogu.  
Aż do Boga myśli moje  
Zapłynęły wonne, czyste  
Jako źródeł lśniące zdroje,  
Jak brylanty tak ogniste.

\* \* \*

Kryształowe, opalowe  
Błyszczą wody po rzeczulkach,  
Słońce barwy szle ogniowe,  
Złoci krzyże na kościółkach.  
I marzenia Anioł senny  
Płynie w złotej z gwiazd koronie,  
Z skrzydeł sieje blask promienny,  
Czoło światłem bożem płonie. —  
Nad ubogą chatą płynie,  
I promienie swojej tęczy  
Szle ku śpiącej tam dziecinie,  
Jaśnia bożą czoło wieńczy.  
Potem dalej przez błękity  
Leci tam gdzie domek biały,  
Gałązkami bzu spowity,  
Wiankiem bluszczu skryty cały.  
Tam w gajku dziewczę młode,  
Gwiazdy płyną jej u czoła —  
Lecz łąą plami swą urodę,  
I choć piękna — nie wesola.  
Więc ją Anioł tuli biały,  
Rąbek tęczy swej na skronie,  
Blask światłości szle wspaniały,  
Rozsypuje fiołków wonie.  
Potem Anioł dobry święty,  
Ten co marzeń niesie blaski,  
Niewidziany, nieujęty  
Szczęściem darzy z bożej łaski.

Đąży tam, gdzie w zimnej chacie  
Młody chłopak nad książkami  
W ubożuchnej, biednej szacie —  
Złoci nędzę — marzeniami.

A więc w tę izdebkę ciemną  
Rzuca Anioł promyk tęczy,  
Praca chłopca nie daremną,  
Praca laurem skroń uwieńczy.

Jeszcze dalej Anioł spieszy,  
Anioł biały w srebrnej szacie,  
Nieść pociechę ludzkiej rzeszy  
I łzy koić w biednej chacie.

Tam w mieszkaniu cisza głucha,  
Płonie ogień na kominku,  
Cisza — tylko wicher dmucha,  
Piosnki niesie w upominku.

Przy stoliku wieszcz natchniony  
Kreśli słowa dane z nieba,  
Duchem Boga ożywiony —  
Czyż mu więcej szczęścia trzeba?!

Lecz promienne wieszcz oko  
Mgłą łez cichych się przyćmiewa,  
Bo mu w duszy tam głęboko  
Żal goryczą się rozlewa. —

On szczęśliwy!... o niestety  
Złudne tylko to połyski —  
Bo kto serce zna poety,  
Wie, że szczęścia on nie bliski. —

W serce jego wrasta krwawo  
Cierń boleści bliźnich jego,  
I źrenicę ćmi mu łzawą,  
Cierpieć każe za drugiego.

Więc marzenia Anioł senny,  
Anioł dobry, Anioł święty,  
Z tęczy niesie blask promienny,  
Nieschwycony, nieujęty.

I nad czołem wieszcz płonie  
Blask natchnienia myśli bożej,  
Wawrzyn wieńczy blade skronie,  
Wieszcz pracuje, działa skorzej. —

\* \* \*

Kryształowe, opalowe  
Płyną wody po granitach,

Ścieżki gwiazdne i tęczowe  
Płyną w górę po błękitach.  
Za tęczami myśl ma goni,  
Za gwiazdami ścieżką płynę.  
Biały narcyz trzymam w dłoni,  
W niebo lecę, w niebie ginę.

U stóp moich szumi morze,  
Srebrne piany lśnią na fali,  
Purpurowe płoną zorze,  
Złote słońce miga w dali. —

Płynę, płynę błękitami,  
Płynę ścieżką lazuruwą  
Nad gwiazdami, nad słońcami.  
Jasność bożą mam nad głową.

Czy też myślą zgłębię Boga?  
Czy zapadnę w straszne ciemnie?  
Czy mię dziwna przejmie trwoga?  
Czy duch Boży spłynie we mnie?

\* \* \*

Światła płyną, pieśni płyną  
Zefirami mgły sinawe,  
W toniach niebios, w blasku giną  
Piosnki, tony — smętne, łzawe.

Coraz wyżej, coraz bliżej  
Aż ku Bogu duch mój płynie,  
Lecę duchem, sercem chyżej;  
Kędy chwała Pana słynie!

Wszechświat, gwiazdy jasne, złote,  
Świetne słońca lśnią jaskrawe,  
Sieją w duszę żal — tęsknotę,  
Sieją dumy jakieś łzawe.

Wszechświat wielki — a na ziemi  
Białe śniegi lśnią różowo —  
Płyną zorze ponad niemi,  
Płyną, świecą purpurowo.

Morze śalą o brzeg bije  
Wielkie, śliczne, zwierciadlane,  
Lilia świeżą rosę pije,  
Wiatr oddechy szle różane.

A powoje rozkochane  
Otwierają swe kielichy,

Światłem gwiazdek pośrebrzane,  
Strojne w srebrne, w złote szychy.  
Czyż ze wszystkich ciał wszechświata  
Najpiękniejsza ziemia nasza?  
Że myśl ciągle ku niej wzlata —  
Że ją cudów czar okrasza!  
Nie — lecz inne twory boże  
Tak wspaniałe, niepojęte,  
Że się tylko duchem korzę  
W uwielbienie jakieś święte!  
Ludzki rozum taki mały  
Czyż pomieścić, pojąć zdoła  
Wielki, wzniosły, wszechświat cały,  
Kiedy śmierć mu patrzy z czoła!  
Wieszczce, boskie natchnień chwile  
Niosą czasem iskrę bożą —  
Lekkie, ciche jak motyle,  
I niebiosa nam roztworzą!  
A człek wtedy rozmodlony  
Promień świętej wiedzy chwyta,  
I ludzkości szle natchniony  
Wzniosłe prawdy, co tam czyta.  
Lecz człek często spi w powiciu,  
Choć go wieszczów budzą głosy,  
Jeszcze nadto ziemski w życiu,  
Rzadko dąży aż w niebiosy!  
Czarną ziemię kraje pługiem,  
Sieje ziarno, orze niwy —  
I w uspieniu sennem, długiem  
Wpół bezmyślny, wpół szczęśliwy.  
Lecz gdy myśli błyskawica  
Raz się wedrze w głębi duszy,  
To jak letnia nawałnica,  
Wszystko niszczy, burzy, kruszy.  
Wtedy ze snu człek się budzi  
I ciekawem pyta okiem,  
Pyta Boga, pyta ludzi,  
Zwodnym ludzi się urokiem.  
Żądny wiedzy, prawdy chciwy  
Chciałby ujrzeć cuda boże,  
Chciałby zbadać cuda, dziwy,  
Ale zgłębić nic nie może.

Chyba sztuką jedną tylko  
Aż do Boga wznieść się zdolny,  
I natchnienia krótką chwilką  
Gdy po gwiazdach buja wolny.

Lecz praw wielkich, praw wszechświata  
Wszak nie pojmie on rozumem,  
Choć się z wiedzą wieków zbrata,  
Choć otoczy mędrców tłumem.

Ludzkie oko przez lunety  
Śledzi, bada drogi nieba,  
Śledzi, bada bieg planety,  
Kędy biegnąć, iść jej trzeba.

Lecz świat oka tego mały,  
Wszak za kresy on nie sięga,  
Gdzie się kończy wszechświat cały,  
Gdzie gwiazd mleczna płynie wstęga.

Toż nie ludzi się nadzieją,  
Że pójdziemy gwiazdym szlakiem,  
Mleczną jasnych słońc koleją,  
W upojeniu niby jakim.

Przecież czuję, że ja płynę  
Siedmiobarwnym szlakiem tęczy,  
Ze w niebiosa lecę, ginę,  
Że mi jasność czoło wieńczy.

\* \* \*

Kryształowe opalowe  
Płyną wody po dolinie,  
Świecą słońca purpurowe,  
Błyszczą kwiaty na kalinie.

Kwiaty śliczne, miękkie, białe  
Niby puchy śnieżne, czyste.  
Róże płoną wonne całe,  
Tulipany lśnią ogniste.

Gdy zachodnie padną zorze,  
To świat cały jak skąpany,  
Płoną kwiaty, błyszczą morze,  
Słowik śpiewa rozkochany.

Wśród różowej mgły powodzi  
Srebrne dźwięki płyną z dala,  
To głos dzwonów się rozchodzi,  
To tak dźwięczy morska fala.

Słuchaj, słuchaj, dziecię nieba!  
Jeślić Bóg natchnienie daje,  
To je pieścić, chować trzeba,  
Bo w natchnieniu serce taje.  
Życie jakieś wzniosłe, święte,  
Gdy się mierzy je natchnieniem,  
Cele wielkie, niepojęte  
Grzeją serce bożem tchnieniem.

\* \* \*

Brylantowe lśnią powodzie,  
Świateł płoną milijony,  
Po kryształach płyną łodzie,  
Most tęczy zawieszony.  
Bluszcze płyną po granitach,  
Woda szemrze po murawie,  
Gwiazdy kąpią się w błękitach,  
Białe lilie lśnią na stawie.  
Z nieba anioł zeszedł biały,  
Anioł cichy, dobry, święty,  
Rozmodlony, mglisty cały,  
Nieschwycony, nieujęty.  
Rzucił promień tęczy swojej  
Na poblądłe moje czoło.  
Jakże lubo duszy mojej,  
Jakaż jasność lśni w około!  
Tak mi błogo, tak radośnie,  
I harfiany śpiew dokoła,  
Niby w raju — czy we wiośnie  
Złote blaski biją z czoła.

\* \* \*

Już mię żegna anioł biały  
I w niebiosy leci chyżo,  
Lecz on dla mnie będzie stały,  
Gdy dnie zwątpień się przybliżą.  
Żegnaj, żegnaj mi aniele!  
Nad mą głową płyn po niebie  
I wróc znów za dni niewiele,  
Bo mi smutno tu bez ciebie.

Niegdyś był człowiek dzieckiem. Robił noże z kamienia i toporki i mieszkał wolny pod namiotem z błękitów i robił sobie gliniane lalki, które swoim dziecinnym językiem „bogami“ nazywał.

Później z dziecięcia już idealny duch młodzieńca przezierać począł. Człowiek wyrósł na młodzieńca. Toż zadźwiękły tony i pieśni i bogi wznioślejsze a podobne ludziom na ziemi. Bogom poczęto budować świątynie i niepewna idea o duszy niby jakies niejasne jej przeczucie tu i owdzie w religiach i mitach przebijając się poczęło. Ondyny skandynawskie i germańska Walhala i podania o Hadesie lub o czarowncem Elizjum mięszają się, mącą, aż wreszcie rozplływają się w jednej wielkiej idei Jehowy. Z tej rodzi się wiara w Tróję — a godłem jej krzyż — a hasłem wiara, nadzieja i miłość. —

Człowiek rośnie duchem, olbrzymieje, uczy się kochać, poświęcać, uczy się cierpieć, a młodzieńczem natchnieniem dąży wyżej a wyżej. Na ramiona zarzucił powiewne okrycie i włos w kędziarach wije się po szyi obnażonej, ogorzałej od słońca.

Aż dojrzał młodzieniec i wyrósł na męża. Zaczął budować domki małe, wygodne, a ubranie obcinać i zwęzać, by mniej wychodziło materji. Włosy ostrzygł na głowie, założył kołnierzyk i krawatkę. Do kościoła chodzi w cwikierze, impertynencko zagłada w oczy kobietom, które umuskane i ubielone oczekują tych spojrzeń niecierpliwie. — Rozum obecnie zajmuje miejsce bóstwa. Z germańskiej Walhali stała się giełda. Z kościoła dom do spisywania dat urodzin, metryk chrztu lub pogrzebu, i podpisywania kontraktów słubnych. A tam gdzie mgliste ondyny w uroczych mieszkały krainach, tam dziś handlarze śledzi rozkładają beczki i sieci i łodzie i wozy ładowne.

Greki, co niegdyś w białej szacie i z wieńcem wawrzynowym na skroni kruszył kopie na igrzyskach, dziś został kramarzem i dobrze mu z tem. Ogniska zniczowe wytłaly, zamieniły się w popiół, a w tem miejscu garncarze wylepiają garnki i misy z czerwonej gliny.

Młodzieniec w ośmnastym roku życia jest przesyconym i przepalonym na żużel, dziewczę piętnastoletnie jest osobą zupełnie doświadczoną, a wspomina

z ironją, jakto niegdyś przed kilku laty czerwieniła się i piekła rączki.

Ludzkość dojrzała lecz silna jeszcze, bo spieszno jej ciągle. Jeździ po ziemi, pod ziemią, nad ziemią, a coraz szybciej i szybciej. Łączy oceany, telegrafuje popod morza, świeci piorunami, rozmawia o sto mil z osobami znanymi i słyszy ich głos jak najwyraźniej. Jeszcze wiele, o wiele siły jest w tym mężu dojrzałym, a co będzie, kiedy w końcu starość nadejdzie ?

---

Piosnko! spłyn ku mnie lekka, wesola!  
Zadźwięcz mi w duszy melodją śpiewną,  
Bądź mi zwiastunką natchnień anioła  
I weź odemnie tęsknotę rzewną!

Długie mi, długie ubiegły lata,  
A ja tęsknotą żyłam gryzącą,  
Żyłam wciąż smutna wśród gwaru świata —  
I tak spędziłam młodość kwitnącą.

A gdy zmęczona światową wrzawą  
Potrzebę pieśni w duszy uczułam,  
To pieśń ma była smętną i łzawą,  
I tylko rzewną skargę wysnułam.

Lecz dość tych smutków, — dość tych boleści,  
Życie ulata, dzień za dniem płynie,  
A przecież radość także się mieści,  
Nie tylko smutek, smutek jedynie.

Więc precz odemnie, żałośne pienia!  
Niech mi nadziei piosnka zadźwięczy,  
Niech pierzchną blade widma zwątpienia,  
Niech z róż girlanda czoło uwieńczy.

I łzawe dumki i piosnki smętne  
Niech precz odpłyną w szare obłoki,  
Niechaj ucichną skargi namiętne —  
Niech już ustanie smutek głęboki.

A ty spłyn do mnie, piosnko wesela!  
Harfianym tonem dźwięcz nad mem czołem,  
Niech po dniach pracy będzie niedziela,  
Otocz mię jasnym światłości kołem!

Na skrzydłach pieśni wzlecę w niebiosą  
I będę lekka i tak swobodna



Jak kwiat gdy chłodna padnie nań rosa,  
Jak w blaskach słońca lilija wodna!

I w duszy wtedy lżej mi już będzie,  
Bo miasto żalów chmurnej tęsknoty  
Światło i radość nieść będę wszędzie,  
I z marzeń wieniec uplotę złoty.

I lekką myślą i sercem hożem,  
Dźwiękiem piosenki złotej niesiona,  
Za jasnym światłem popłynę bożem  
I światu będę śpiewać natchniona.

Wtedy was bracia! czarem osnuję,  
Czarem tak lubym jak śpiew miłosny,  
I z mojej myśli dla was wysnuję  
Piosnkę tak lekką jak tchnienie wiosny.

Ile to zwiędłych nadziei błąka się w eterach,  
rozbłękitnionych światłem gwiazd i księżyców. Ile  
kwiatów zwiędłych na ziemi, gdy chmurne dnie listo-  
padowe zimnym dmuchną gniewem. Kto dziś swobo-  
dny? Zapomnieliśmy chyba że im mniej wymagań,  
tem większe szczęście, bo tem snadniej znaleźć za-  
dowolenie. W umysłach ludzkich noc — ciemno, pu-  
sto! Jałowa gonitwa za pieniędzmi, za stanowiskiem  
— oto wszystko. Aż rwie się serce i kraje w kawały  
i drga w piersi, gdy te ciągle rozhowory ludzkie o  
znekane obijają się uszy. Gdzie uciec przed tem  
życiem, gdzie skryć się przed nędzą materjalną, która  
łuną krwawą przyświeca w tym pośmiertnym jakimś  
pochodzie! Dajcie mi ciszy — pokoju! Uspijcie mię  
pieśnią miłości, niech mię unoszą tęczowe marzenia,  
niech słońce świeci na czoło me ostygłe, niech błę-  
kity niebieskie płaszczem gwiazdzistym otulą mię  
w rozkosz i szczęście. Niestety! Ludzkość w szalonej  
gonitwie, nikt ani spojrzy za siebie, każdy bieży,  
pędzi aż zmęczony i zdyszany, pada na spoczynek —  
do trumny. — Nic — ciemno — pusto — jam sama.

Boże! czyż już wszystkie gwiazdy rozdałeś?  
Czyż i jednej dla mnie nie zostało, Panie! Ojcze! o  
jedną gwiazdę Cię błagam! o jedną tylko. Zawieś  
ją nad mem czołem, niech mi świeci złota, drżąca  
w błękitach a niech będzie moja! O Panie! Ojcze!  
Daj mi gwiazdę miłości! Czyż nic dla mnie nie ma

u Ciebie? Więc pocóż mię tu rzucono na ziemię!  
Ziemię! tyś matką naszą, ty chyba jedna przyjmiesz  
mię w objęcia i prochy moje osłonisz w mogile!

Ha! tam błędny ogień migoce, biegnie i płynie  
i płąsa w powietrzu! Tak wabi uroczo, tak błyszczy  
zwodniczo, a oko biegnie ku niemu, a dłoń ma tak  
chciwie ku niemu się garnie! Więc idę za nim —  
idę z biciem serca, z nadzieją, z tęsknotą, z pragnie-  
niem... już, już blisko tylko ująć go w dłoń, lecz  
nagle — znika — a znów ciemno i czarno i pusto  
dokoła!

---

Mąż nauki, wieszcz natchniony  
Rzuca myśli błyskawice,  
Siadł w zadumie pochylony,  
Śledząc wieków tajemnice. \*)

Śnać zaciężył mu ołowiem  
Wiek nasz chmurny, smętny, blady,  
I lud co się snuje mrowiem,  
Niby sennych widm gromady.

Bo dziś ludy — same karły,  
Karły duchem, wołą, siłą,  
Myśli w szmaty się podarły  
I trucizną cuchną zgniłą!

---

\*) Wiersz, przez nas na tem miejscu umieszczony, osnuty został przez autorkę na tle rozprawy Sawicza-Zabłockiego „Kobieta,” umieszczonej przez nas w r. 1880. w czwartym „Roczniku Samborskim.” Wiersz autorki utalentowanej, wydrukowany następnie w „Dwutygodniku dla kobiet,” wychodzącym w Poznaniu „podał się (to są własne słowa redaktorki, p. Teresy Radońskiej) powszechnie w całej Wielkopolsce” i potwierdził niejako nasze zdanie, wypowiedziane już w ósmym roczniku, że zbiór „Dumań wieczornych” wydanych razem, przyczynić musi się niepospolicie do podniesienia znaczenia i rozgłosu szanownej autorki w kraju, a udowodnił równocześnie, że p. Wdowiszewski pisząc szeroko i rozwleknie o kobietach i nicując bez miłosierdzia pracą Sawicza-Zabłockiego w „Tygodniu,” mniej stokroć znał naturę kobiety od Sawicza, bo wszystkiemi swemi pracami o kobiecie i wszystkiemi sofistematami nie zdołał w żadnej kobiecie wywołać tak entuzjastycznego echa, jak Sawicz Zabłocki „Kobietą” swoją.

Wszędzie blade widmo złota  
Kościotrupie szczerzy lica,  
W złoto stroi się głupota,  
W szatę cnoty — zalotnica!  
Snać dni naszych wstrętne dzieje  
Przeniknęło wieszczą oko —  
I dojrzało, że nadzieje  
Jeszcze płoną — choć wysoko!  
I dojrzało, że nam przecie  
Jeszcze przyszłość rozednieje,  
Że się osiar wieniec splecie,  
Rozpromieni przyszłe dzieje!  
Lecz myśl jego, myśl natchniona  
Snać odgadła wieków winę,  
U stóp Boga rozmodlona,  
Przewidziała wszech-przyczynę!  
Wszech-przyczynę tej niedoli,  
Co się bładem widmem snuje,  
Co tak krwawo w duszy boli,  
Pasma nieszczęść nam gotuje!  
I w przeczuciu swoim wieszczem,  
Rozmodlony świtów zorzą,  
Upojony natchnień dreszczem  
Światu iskrę wskazał bożą!  
I rzekł ludom: wy nie winni,  
Żeście nędznych kartów ludem,  
Żeście senni i nieczynni,  
Żeście padli wieków trudem!  
Wy bezsilni, wy znękani,  
Obumarli, nędzni, słabi,  
Wy potokiem łez oblani,  
Gdy was obca przemoc grabi.  
Nie możecie własną siłą  
Wstrzymać wieków przesilenia,  
I nad ojców cnych mogiłą  
Świecić chwilę odrodzenia.  
Wicież kiedy owa chwila  
Spłynie na was w barwach tęczy  
I w nagrodę cierpień tyła  
Girlandami gwiazd uwieńczy?!  
Wtedy gdy niewieście w duszy  
Rozwidnieją iskry boże,

Gdy mgła zwątpień się rozprószy,  
Gdy zabłyszczą światła zorze!  
Was niewiasta w toń powiodła,  
I upadliście nikczemni,  
I rzuciwszy wzniosłe godła  
W ślad za zbrodnią biegli ciemni!  
Więc zmałały w nic olbrzymy,  
Myśli wieków rozbłąkane,  
Snują się jak mgliste dymy,  
W dnie pochmurne rozesłane!  
Lecz czas przecie wstać z uśpienia,  
Czas też, pracy jąc się zwawej,  
By zapomnieć dni cierpienia,  
By się otrząść z doli krwawej! —  
I myśl swoją i wołanie  
Zwróćcie chyżo ku niewieście,  
Niech z letargu myśli wstanie,  
Głosem prawdy ją podnieście. —  
Niech precz rzuci senne mary,  
Niech precz rzuci widmo złota,  
Niech do dawnej wróci wiary,  
Niech otwiera światła wrota!  
Jak kapłanka wszech-idei,  
Jako anioł-stróż wszech-cnoty,  
Niech nas wiedzie w świat nadziei  
I w świat natchnień szczero-złoty!  
Jako matka u kolebki  
Niech ci stanie czuła, tkliwa,  
A rósć będziesz silny, krzepki  
I myśl w tobie błysnie żywa.  
Ona czynów chęć rozbudzi,  
Pieśnią serce rozkołysze,  
Wśród spiek życia — żar ostudzi,  
Wśród burz — zaczaruje w ciszę!  
Takie były one słowa,  
Które wieszcz wyczytał z nieba,  
I wskazówka nam gotowa,  
Gdzie ratunku szukać trzeba.  
A więc siostry śmiało społem!  
Myśli wieków ku nam płyną!  
Dalej naprzód! w błękit czołem!  
Bośmy złęgo wszech-przyczyną!

Jeśli Bóg sam na nas woła  
I wszech-ludy patrzą społem,  
Czyńmy — każda — ile zdoła,  
Bo nam zbawczym być aniołem!

---

Wiecie wy bracia — jam raz słyszała,  
Jak chłopiec piosnkę śpiewał dziewczynie,  
Śpiewał o barwnej w gaju kalinie,  
O kwiecie róży, co blaskiem pała;  
O swej miłości, co będzie stała;  
O swoich czuciach, dla niej płonących,  
Jako żar słońca takich gorących!

A „ona” wiecie — „ona” się śmiała!  
Potem słyszałam, jak śpiewał drugi,  
Że ma najwięcej w całej wsi pola,  
I że najlepsza to jego rola,  
Gwarne w obejściu roją się sługi —  
Że złota będzie co zechce miała,  
I w całej wiosce mir, poważanie,  
Jeżeli żoną jego zostanie!

A „ona” — wiecie — znowu się śmiała!

I znów słyszałam piosnkę trzeciego,  
A tak ją nucił rzewnie i smętnie,  
Jakby się z bolem pieścił namiętnie,  
Jakby się losu skarżył srogiego!  
I taką prawdą piosnka ta brzmiała,  
Jakoby dźwiękiem pełnym tęsknoty  
Wyśpiewać chciała miłość sieroty,  
A „ona” wiecie — już się nie śmiała!

---

Noc. Świat uspiony. Księżyc wpółseny migoce  
za chmurą. Białe posągi stoją ciche, zadumane jak  
duchy zaklęte w tę śmierć wiekuistą. Śmierć rozwiewa  
swe cisze grobowe, płynie nad ziemią lekka, cicha,  
błyszcząca zimnem swem światłem, i chłodem jakimś  
śmiertelnym muska czoła gór i wieżyc i krzyżów.  
Na czarnej łodzi płynie dziewica. Fale się srebrzą,  
morze szmery niesie wpółsenne, tajemnicze. Od ra-  
mion płynie szata z białych kaszmirów. Włos czarny,  
miękki wije się po białej szacie i po ramionach. Żre-  
nicę utkwioną ma w niebie! A z nieba snąć czerpie  
natchnienie w swą duszę, bo źrenica jej błyszczy pło-

mieniem zachwytu, bo czoło łśni blaskiem gorącej myśli. W dłoni ma harfę o siedmiu strunach. I z wolna poczyną uderzać w struny białymi palcami. A po srebrnych promykach płyną akordy natchnionej pieśni, rozbrzmiewają w powietrzu lekkie, drżące a śpiewne jak nuty wieczornych dzwonów, głoszących: Ave Maria! W krótkce z dala podobne ozwały się tony, zbiegły i złączyły się razem i jednym akordem wzbily się w gwiazdy, w błękity. Na migotliwej powierzchni morza zarysowały się kształty łodzi nadpływającej z dala, i z wolna zbliżyły się obie te łódki do siebie. W tej drugiej stał młodzieniec i w rękę trzymał harfę siedmiostruną całkiem czarną, a na szyi miał krzyż żelazny, a na jasnych włosach bilet doktorski a za ubranie szarą bluzę wyrobnika. Łódź o łódź stuknęła krawędzią, spojrzenia młodzieńca i dziewczicy zbiegły się i społy razem, a tony harfiane jedną melodją wyśpiewały ich uczucia! Nagle muzyka ucichła, z uśmiechem podała dziewczica swą harfę kochankowi, ten wziął ją, zgniótł w dłoni i pokruszone drzazgi rozsypał po wodzie, a potem swoją zgruchotał i również wyrzucił na migotne fale morskie. Wyciągnął ramiona ku niej natchnionej, a ona swój wieniec narcyzowy zdjęła z czarnych warkoczy i złożyła w dłonie młodzieńca. On wziął ten wieniec, ucałował i na piersi swej ukrył pod szarą bluzą swoją i utulił kochankę gorącym objęciem i pochylił się ku niej z wyrazem miłości tak wzniosłej, iż równej chyba już nie ma na ziemi. W oku paliły się ognie rozkoszy i bólu zarazem.

— A więc już... już dzisiaj — wyrzekł, i usta mu drgnęły dziką rozpaczą.

— Już — odrzekła dziewczica, dziś miał być ślub mój, więc dziś tu jestem... chciano mię zawlec przemocą przed ołtarze, lecz.. umknęłam i jestem tu... twoja....

Uściskał ją silniej i coraz silniej tulił do piersi, a czoło mu bladło a oczy gorzały jak gwiazdy, lecz gorętszem i krwawszem było to światło w młodzieńczej źrenicy, aż na zbladłe policzki padł refleks świetlany od rozplomienionych tych oczu.

A ona tak wyglądała jak chyba wyglądać może

kwiat białej róży, gdy nań padnie pierwszy promyk jutrzeński.

Zbliżyli się ku krawędzi czarnej łodzi i jeszcze gorętszym objęli uściskiem, ona mu szyję oplótła ramiarami, aksamitny biret spadł z jasnych włosów a ustami ust tych drgających dotknęła — raz pierwszy.....

— Tyś moja — rzekł głosem nabrzmiętym rozkoszą, bolem, rozpaczą, miłością.

— Na wieki! — odrzekła, a głos jej był tylko jedną, pieśnią miłości i szczęścia... twoja, mój luby — powtórzyła. i twarz znów zbliżyła ku niemu... a już ją podniósł... stanął na krawędzi, łódź się pochyliła i... tylko fale wodne rozbiegły się mnóstwem kół szerokich... i zamknęła się znów otchłań zimna, milcząca, pełna tajemnic jak tonie wieczności. —

Na niebie błyszczały gwiazdy, świecił księżyc zadumany a nieczuły i tchnienie śmierci lodowe jakieś oblewało całą ziemię. —

Na drugi dzień o wschodzie słońca znaleźli rybacy dwie czarne łodzie na morzu, a w jednej była złota szpilka, na której tkwił jeszcze narcyz biały, zwiędły zupełnie, a dokoła pływały drzazgi z harf połamanych, a wietrzyk poranny muskał błękitne fale a słońce świeciło a dzwony głosiły pozdrowienie anielskie jak codziennie.

Starcy i kobiety opowiadają, iż o pełni księżyca coś gra zawsze na morzu niby dwie harfy, lecz młodzi śmieją się z tego i powiadają, że to bajka.....

---

W leśnem ustroniu ponad jeziorem  
Chodziło dziewczę letnim wieczorem.  
Śpiewało piosnkę zbierając kwiaty,  
A zórz wieczornych odbłask bogaty  
Złotą koronę kładł jej na skronie,  
Kwiatów płynęły rozkoszne wonie —  
Mgieł sinych warstwy ponad wodami,  
A woda błyszczy złotemi skrami! —  
Słowik gdzieś w gęste ukryty krzewy  
Wieczne swoje poczyna śpiewy.  
W powietrzu światel jasnych powodzie,  
Wiośniane święto w całej przyrodzie,

A mgły powiewne — jakby marzenia,  
Płynące falą boskiego tchnienia,  
Jakby uczucia lube, uroczę,  
Jakby natchnienia z niebios prorocze!  
A dziewczę, strojne w stubarwny wieniec  
I w ten przekrasny lica rumieniec,  
Spogląda w wodę jako w zwierciadło  
I snąć potęgę wdzięków odgadło;  
Bo jakiś uśmiech przemknął uroczy  
I zajaśniały błękitne oczy.  
Blask ten na poły pusty i tkliwy,  
A potem dalej — patrzy! — O dziwy!  
Przez zwierciadlane jeziora tonie  
Niby most z tęczy rzucony płonie!  
Stańto -- patrzy w długiej zadumie....  
Ha! któż dziewczęcia myśli zrozumie,  
Jakie przemknęły czucia gorące,  
Jakie marzenia błysnęły lśniące! —  
Dość że klasnęła z nagła w rączęta,  
Jakby w uroki dziwne zakłęta,  
Lubym uśmiechem otwarła usta,  
I tak się głośno ozwała pusta:  
„Spróbuję przecież przez most tęczowy  
Przejsć na zielone w dali ostrowy,  
A most ten unieść musi mię przecie.  
Jestem tak zwinna, lekka jak dziecię —  
Ledwie go dotknę stopą leciuchną,  
Na drugą stronę przemknę prędziuchno,  
I wodne lilie zerwę do wianka,  
By być piękniejszą oczom kochanka!“  
Tak bez namysłu płocha dziewczyna,  
Chociaż tu przed nią śmierci kraina,  
Choć ledwie śnieżną stopą nań stanie,  
Wnet się zapadnie w wodne otchłanie.  
Choć zimna topiel i grób gotowy,  
Przecież się rzuca na most tęczowy,  
Lecz most w tej chwili znika, o biada!  
Dziewczę w otchłanie zimne zapada. —  
I ginie w głębiach strasznej topieli,  
Tylko się jeszcze szata jej bieli,  
I miga wstążka jasnych warkoczy  
Pośród sinawej, wodnej przeźroczy.



Woda się w srebrne spieniła fale  
I na błyszczącym fal tych kryształe  
Miga się tysiąc wodnych obręczy,  
A po nad nimi zdradny most tęczy!

\* \* \*

Rankiem dopiero wierny kochanek  
Na falach barwny odnalazł wianek,  
Wianek, co zdobił dziewczyny skronie,  
Nim most tęczowy zawiódł ją w tonie!

---

Jakież tam cienie i mroki łzawe  
W tych zorzach płyną palących,  
Jakież migają ognie jaskrawe  
Wśród chmur tych czarnych, gorących!  
I dusza moja tak się wrywa,  
Tak wzlecieć pragnie za niemi,  
Tak pragnie stargać ciasne ogniwa  
Smutków i bólów tej ziemi!  
I raz choć w życiu, o! raz być wolną  
I rzucić ciężkie okowy,  
Raz być swobodną ptaszyną polną  
I bujać ponad ostrowy.  
O gdyby można jaskółki lotem  
Wzlecieć wysoko nad morza,  
Gdzie słońce błyszczący ogniem i złotem,  
Gdzie jasna iskrzy się zorza!  
I tam gdzie morze srebrną łśni pianą,  
Na dzikiej stanąć tam skale,  
I wzięwszy w dłonie lutnię kochaną,  
Piosnkę na morskie ślać fale!  
A potem w lekkiej rybackiej łodzi  
Tych posrebrzanych fal drogą  
Płynąć wśród światła i gwiazd powodzi  
I ciszą pieścić się błogą!  
I dźwiękiem pieśni i szumem morza  
Myśli kołysać stargane  
I płynąć jako jaskółka hoża  
Przez fale te posrebrzane!  
Niech łśni dokoła niebo i morze,  
Nad czołem blaski miesiąca,

W duszy niech będzie natchnienie boże  
A w ręku lutnia grająca!  
A chwila szczęścia za wieki stanie  
I w duszy wskrzesi swobodę,  
O taką chwilę błagam Cię, Panie!  
Za przeszłe smutki w nagrodę!

---

Po falach światła księżycowych lazurowym szlakiem biegnie myśl moja, lekka, powiewna jak motyl białoskrzydły.

Łany okrywają się powodzią zieleni, gaje rozbrzmiewają pieśniami, wody zimne, czyste migocą wśród szmaragdowych błoni i szmery swe wznoszą ku niebu.

Dokoła mnie duchów jakichś migotne płasają gromady. Wiirem szalonym kręcą się w koło, igrają wśród szlaków powietrznych, wznoszą się w chmurki białe wysoko — to lecą niżej nad ziemię. I moja dusza wraz z nimi puszcza się w tany powietrzne. Porwana siłą gwałtowną, w ich grono wplątana — lecę wraz z nimi, płasam, tonę w błękitach. Zwolna rozjaśniło mi się nieco w pojęciu mojem i poczęłam odnachodzić siebie samą, bo poczucie własnej osobistości z początku zniknęło mi zupełnie w tym wirze.

Ujrzałam obok siebie postać przepięknej dziewczicy — anioła. Na głowie miała wieniec z białych narcyzów. Z pod wieńca czarne włosy spływały na ramiona. A tak była piękną, tak natchnioną, iż zdało mi się, że to chyba bóstwo uosobione.

A natchnienie moje rzekło mi na to: „To myśl dziewczicy.“—

Dalej ujrzałam znów inną postać zupełnie. Był to mąż piękny, poważny, silny, z oka promieniły mu się iskry genjuszu — w dłoni swej trzymał zapaloną pochodnię.

A natchnienie moje rzekło mi na to: „To myśl mężczyzny.“—

I znów spojrzałam. A oczy me padły na postać niewieścią, płynącą szybko i miotającą się kurczowo na wsze strony. Twarz miała niby piękną, lecz wstrętną bezmyślnością swą i piętnem znużenia i dziwnej

apatji. Włos miała strefiony, szatę z pustych płatków jedwabnych, na szyi szklanne perełki. W jednej ręce trzymała wachlarz i różę, a w drugiej potargany rękopism i lutnię z porwanymi strunami. We włosach płonęła róża szkarłatna, a oko okolone było jakąś czarną siwością, a uśmiech był drgnieniem konwulsyjnym tych ust wybladłych, suchych jakby drewnianych. W koło niej wiły się węzowe jakieś linie ciemności, i była niby w chmurze czarnej, pełnej ponurej grozy i zwątpień. Płynęła dalej i dalej w chmurnym obłoku, w jaskrawej szacie z jedwabiu, wyciągała ręce ku gwiazdom — lecz one mknęły przed nią w odległe przestrzenie, a twarz jej stawała się coraz bledszą, coraz bardziej bezmyślną i zimną.

A na to rzekło natchnienie moje: „To jest myśl kobiety XIX. stulecia.“ —

I wiecie, wiele innych duchów spotkałam wśród fal tych powietrznych. Były tam duchy zbrodniarzów i uczonych, poetów i rzemieślników, lecz żaden, żaden nie był tak smutny tak bez granic nieszczęśliwy jak ten duch — myśl niewiasty nowoczesnej. Każdy inny miał gwiazdkę nad czołem swem, gwiazdę przyszłości; — nad nią tylko czarna ciemność płynęła. Ni wieńca wspomnień, ni promyka nadziei — nic — próżnia dokoła. Zawieszona między niebem i ziemią, rwie się ku niebu, to wraca na ziemię smutna, bezmyślna, lekka jak echa jakichś piosnek zaginionych.

---

Patrzcie! dom pusty, drzwi poroztwierane,

Tylko co trumnę z niego wyniesiono —

Jeszcze kadzidła trupie drżą rozwiane,

I jeszcze światła trupich nie zgaszono!

Strasznie, tak pusto, zda się nieme ściany

Jakież zmartwiałe stoją od boleści,

I nawet każdy lichy sprzęt drewniany

W swej fizjognomii niemą skargę mieści. —

Zdała dochodzą głuche dzwonów echa,

Echa ostatniej pieśni tu na ziemi,

A nad tem wszystkim słońce się uśmiecha

I trumnę zdobi barwy tęczowemi.

W przyrodzie spokój, chłodny wiatr powiewa,  
Drogą jak zwykle skrzypią ciężkie wozy,  
Zmarłych podzwonne echem rozebrzmiewa,  
A w domu rozpacz — smutek pełen grozy!  
Już po pogrzebie, w czarnej szacie żona  
Wraca, a za nią sierot małych dwoje,  
Czarną żałobą cała osłonią.  
Z płaczem do piersi tuli dziatki swoje.  
U progu domu staje nieszczęśliwa,  
Patrzy w około... Boże! Wielki Boże!  
Te puste ściany, światło dogorywa,  
I to pośmiertne stoi jeszcze łóżko! —  
W piersi rozpaczne szarpią się boleści,  
Zda się ulegnie przed tych wspomnień tłumem,  
I własną dłonią... ha! lecz duch niewieści  
Miłością, łzami walczy — nie rozumem.  
Dzieci jest dwoje — dla nich żyć potrzeba,  
Do dna wychylić czarę poświęcenia,  
By im też biednym nie zabrakło chleba,  
Za dwoje kochać a strzedz od cierpienia!  
Więc łzy ociera z bladej swojej twarzy,  
I dzieci tuli pełna pokrzepienia,  
A w łzawem oku już się płomień żarzy,  
Płomień cichego za nich poświęcenia. —

---

Noc. Rozmarzony i blady księżyc pływa w półsenny po toniach z błękitów i patrzy na ziemię, strojną w zielenie wiosenne, w narcyzowe girlandy i w błaski światła wieczornych.

Komnaty w pałacu wielkie, przestronne, wysokie. Okna gotykem pną się ku niebu, szyby kryształowe migają blaskiem świetlanym.

Na stoliku lampa rozkoszne różowe rzuca światło, dokoła rozrzucone księgi, obrazy, klejnoty.

A krzesła rzeźbione z wysokimi poręczami a złociste zwierciadła a wytworne kobierce świadczą, iż pan tu możny i bogaty zamieszkał.

Przy stole stoi dziewczica, czy duch może czy piękno wcielone, czy wieszczce natchnienie przybrało szaty kobiece i postać kobiety. Od czoła płyną jej włosy nie czarne, nie złote, lecz ciemne z połyskiem

migotnym i zwijają się w pukle i kędziory faliste, i pieszczotliwie otaczają czoło z alabastrów śnieżystych.

Szata jej biała, miękka, powiewna — czy z mgły, czy z puchów łabędziowych, czy z tych chmurków wiosennych, płynących w błękitnych toniach powietrznych, obwiewa ją całą.

Wieniec z konwalij zdobi głowę i skronie, a na piersi jej miłośnicie się tuli konwaliowa wiązanka.

I stoi wpatrzona w obraz, rysowany czarno na tle białem, tle papierowem.

Z obrazu wyziera twarz młodzieńca. Twarz piękniejsza od najpiękniejszych marzeń artysty. Śnać w godzinie natchnienia pomyśleć mógł Stwórca taki ideał wzniosłej piękności męskiej.

W oczach, w tych wielkich, czarnych oczach młodzieńca utonęła dziewczica rozplómienną źrenicą swoją i na śnieżnym policzku zakwitły purpury rumieńca.

I stoi wpatrzona i upaja się czarem słodczy i miłości i rozkoszy jakiejś, płomiennej a potężnej jak porywające dreszcze natchnienia.

Aż zdaje się jej w końcu, że czarne źrenice życia nabrały, że trysnął w nich promień uczucia, że drgnęły nawet, że patrzą w nią długo, przeciągle.

I czyta obietnice rozkoszy, obietnice miłości nieznaney, przeczutej chyba, wysnioney marzeniem, wyśpiewanej harfianą melodją wiosennej pieśni. —

A na czole młodzieńca widna niby świetlana smuga nieśmiertelności, a duch twórczy, potężny, wielki promieni się z idealnych rysów twarzy.

Im więcej się wpatruje rozmarzona dziewczica w tę twarz młodzieńczą, tem bardziej tonie w nieopisanym niebiańskim zachwycie.

Rozchylają się usta, czy kwiecie granatu, i ulata z nich lekkie, ciche westchnienie.

A oczy młodzieńca coraz jaśniej goreją. Czy to wieczność rozpala je blaskiem swych światel nieśmiertelnych? Czy chwila zapału? czy miłość?

— On żyje — szepcą usta zapatrzonej dziewczicy. — On żyje! Tak! wieczność z oczu mu patrzy! — On mnie kocha.

Gorętszej krwi fala nabiega do skroni dziewczęcej, jakieś melodie pieśni, czy tonów brzmią jej z daleka, a w oczach widnieją powodzie z błękitów.

„Takich oczu, takiej twarzy szukałam po całej ziemi, a nie znalazłam. Takie rysy jawiły się we wszystkich snach mej młodości, taka miłość, jaką on mnie pokocha — bezbrzeżna, wieczna, niebiańska była wykochanem rojeniem życia całego. Toż widzieć go muszę dziś jeszcze, zaraz, widzieć w przestrzeniach nieskończoności. Choć ciało jego, zabite własną jego ręką, spoczywa w ziemi głęboko i w proch już się może rozpadło, lecz duch jest, żyje — i kocha mię i wabi i ńęci ku sobie. Nie! on nie umarł, choć nie znałam go tu na ziemi, widzę tę smugę nieśmiertelności nad czołem, te blaski uczucia w przepięknych źrenicach.“

Oczy jej błyszczą gorączką jakąś dziką, a dreszcze po alabastrowych przebiegają ramionach. Coraz gwałtowniej i namiętniej patrzy się w obraz. Owładnięta szalem bezmiernym namiętnie i głośno wyznaje przed sobą samą miłość zrodzoną w jednej chwili, w jednym mgnieniu oka i postanawia pójść za temi oczyma z płomieni, pójść za tym wybranym, za tym nieśmiertelnym, za tym natchnionym. Więc chwyta słabą niewieścią dłonią broń straszną, samobójczą. Przykłada ją do czoła, strojnego w konwaliowe gałązki, i... raz jeszcze, raz ostatni na ziemi spoziera na uroczę źrenice młodzieńca! — ha! chwilę tylko... huk, dym i smuga krwi purpurowej dają świadectwo strasznego końca młodej, idealnie pięknej dziewczicy.

Noc... Księżyc zaziera ciekawy do wnętrza komnaty. Ojciec szaleje, rwie siwe włosy z rozpacz. U stóp jego leży córka, — dziecię jego jedyne! Biała jej suknia krwią zabarwiona gorącą. Wieniec konwaliowy krwią obryzgany. A ona sama biała i piękna jak kwiat konwalii — z uśmiechem rozkoszy na ustach niby uśpiona... marzeniem o miłości. Koło niej tłumy sług płaczą, koło niej lekarze chodzą i pochylają się nad nią i szepcą i rozmawiają półgłosem.

Aż orzekli na końcu, że było silne rozdrażnienie nerwowe, kończące się niespodzianym i gwałtownym napadem obłąkania.

Noc... Noc uroczą, majowa.

Wietrzyk szepce pieśni rozkoszy, rozdaje pocałunki miłości wszystkim strudzonym pracą i walką i bolem tego życia.

Na cmentarzu drzwi otwarte do bogatego grobowca, w nim nowa trumna z białego aksamitu. Na trumnie wieniec z wonnych białych konwalij. Nad twarzą szklana szybka nie wielka, by ojciec mógł czasem oko pieścić widokiem ukochanej jedynaczki.

A ona tam spi spokojna, cicha, z czarną plamą na skroni. Otulona miękkimi zwojami ciemnych włosów, a usta okrążone uśmiechem rozkoszy, a pokój błogi jakiś niebiański opływa ją tchnieniem wieczności.

---

Smutno gdy kwiaty w skwarne południe

Zwiędłe korony chylą ku ziemi,

Chociaż w poranku kwitnęły cudnie

I choć płonęły barwy świeżemi. —

Lecz stokroć smutniej, gdy w dniu wiosniane

Myśli się mgłami zgryzot osnują,

Skoro nadzieje burzą rozwiane

Cierpkim dnie młode zwątpieniem trużą.

Kwiat pochyloną podniesie głowę,

Gdy chłodne rosy wieczorem padną —

Lecz — czyż ożyją i serca owe,

Gdzie mary zwątpień raz się już wkradną?

---

Noc. Nieopisana tęsknota przebrzmiewa w tej ciszy nocnej, w tem lubem milczeniu.

Dawno uspięne nadzieje budzą się gwarnym rojem do życia i wołają rozgłośnym jękiem tęsknoty: Zapóźno!

Idźcie odemnie, marzenia, idźcie, nadzieje młodości mojej, idźcie a złóżcie się znowu do swego snu grobowego.

Wyście jak liście, co oschną na drzewach a wiatr je rozniesie po świecie, a ludzie podepcą.

Pocóż się macie rozwiewać burzą i wichrem, idźcie na dno mej duszy a usnijcie cicho, spokojnie — na wieki. —

Wszak ani jeden kwiat mój nie wydał owocu,  
ani myśl jedna nie stała się ciałem, ani nadzieja nie  
stała się prawdą.

Więc pocóż wstajecie i płyniecie ku mnie rojem  
ulotnym, cichym, bezbarwym, ja nic już czynić nie  
mogę, by was w ciało zamienić — zapóźno. Skwary  
południa nad czołem mojem a zorzy nie ma, ni dżdżu  
kropelki.

O nocy cicha, spokojna! ty jedna miękkim,  
pieściwem objęciem utulisz mię w swym mroku nie-  
skończonym jak wieczność, tajemniczym jak ona!

O nocy cicha, wonna, nocy letnia, pełna har-  
monii i wdzięku, pełna tchnień bożych! ty jedna może,  
co mię tulisz miłośnie, ty jedna chłoniesz w swe mroki  
nieskończone skargi moje i moje tęsknoty i łzy moje  
sieroce, a na szczęście zapóźno.

Myśli me jak czarne motyle rozbiegły się po  
śalach ciemności twojej, nad rankiem powrócą a usną  
może.

Noc, białe akacje oknem otwartem słodkie za-  
syłają mi wonie, a cisza upaja.

Gdzie szczęście, gdzie rozkosz, gdzie pokój?  
czy to czcze, puste wyrazy? czy dla nich ciała nie  
ma w wszechświecie? Zapóźno!

---

Pienią się gwarne wrzawy ludzkości,

Pełne zamętu, szumu, hałasu —

W szybkim pochodzie do bram wieczności

W pośpiechu dzisiaj leży duch czasu.

I nikt nie zważa kto mu na drodze,

Przewaga siły hasłem i bronią,

Tysiące pada, straconych srodze,

A po nich inni gonią i gonią.

Toż biedna pośród tłumów sierota

Trwożnem żrenica błyszczący wejrzeniem,

I serce w piersi krwawy ból miota,

A uśmiech ust jej bladych — westchnieniem.

Nikt jej przyjaźnej nie poda dłoni,

Do czulej piersi — nikt nie przytuli,

Nie mają czasu w gwarnej pogoni,

A z serc swych już się dawno wyzuli.



Za ciężką pracę, za cząstki życia  
Rzuca grosz tylko zimny, miedziany,  
By mogła kupić łachman okrycia,  
I chleb mieć gorzki, łzami skrapiany.

A łzy w ukryciu płyną po twarzy,  
Gdy duszę straszna boleść ugniecie,  
Chyba się czasem gwiazdom poskarży,  
Bo serca — dla niej — nie ma na świecie. —

---

Noc. — Ciemno! Deszcz płynie z niebios ku  
ziemi strugami, świat otulony czarną ciemnością.

A w małej izdebce pusto, sprzęt wyniesiono,  
umieciono czysto i kilku ludzi się krząta, by ustawić  
na środku katafalk.

Ustawiono, okryto bielizną, białe poduszki uło-  
żono i w głowach krzyż i dwie świece.

Wniesiono zwłoki starca.

W koło rodzina, dzieci, wnuki, bracia płaczą,  
klękają i modlitwą a łzami proszą Boga o pokój jego  
duszy.

Na rozległym pobojuwisku w kałuży krwi po-  
czerniałej leży trup młodzieńca — żołnierza.

Na białym czole zczerniałej krwi smuga, na piersi  
krzyżyk i kwiat jakiś uschły. A koło niego koń jego  
wierny --- stoi i głowę pochyla i rzy żałością i woła,  
by pan już wstał i dosiadł go, by razem, razem po-  
gnali jak dawniej.

I pochyla się nad nim zwierzę rozumne i łeb  
swój wierny kładzie na zimną pierś zabitego i rzy  
żałością!

A on leży skostniały, deszcz spływa mu z wło-  
sów, a na ustach niby uśmiech pokoju. A świst burzy  
i rzenie konia — to modlitwa za pokój duszy zabi-  
tego żołnierza. —

W trupiarni pusto.

Około północy drzwi skrzypnęły! Wniesiono  
ciało kobiety ciężkie, bezwładne niemocą śmierci.

Rzucono je na tapczan drewniany, głowa stuk-  
nęła, włosy czarne rozsypały się aż do ziemi.

Z ust najemników jakieś dzikie wybiegło prze-

kleństwo. Stróż trzyma w ręku latarnię i koło czarnego krzyżyka zapala świecę.

Twarz zmarłej wykrzywiona kurczowo. Żrenice błyszczą rozwarte okropnie, a w palcach garść włosów wyrwanych w przedśmiertnej męczarni.

Wyszedł dozorca, drzwi ciężkie za sobą zatrzasnął, przeciąg powietrza zagasił świecę, postawioną obok, czarnego krzyżyka.

Rój wstrętne go robactwa pełza w ciemności po zwłokach zmarłej, po oku nawpół rozwartem, a błyszczącym w ciemności nawet i po tych czarnych włosach, gładzonych pieściwie miękka dłonią kochanka przed laty — niedawno może.

A szmer i pluskanie deszczu, bijącego w szyby i dzikie najemnych posługaczy przekleństwa — oto modlitwa pośmiertna za spokój duszy — samotnej...

---

Patrz! Wianki mirtowe płoną w pożarach, pieśń omdlewa w skwarnej suszy powietrznej. Krzewy wawrzynów powiędłe giną od spieki pożarnej.

Lutnia pęknięta na dwoje, struny stargane jęczą jeszcze skargą ostatnią.

Ludzkość upaja się piołunami, goryczą, krwią swą serdeczną zaiste.

Patrz! Idea jedna góruje dzisiaj nad niemi. Idea jedna kołysze myślami narodów — idea użycia.

Użyć, użyć do sytu, upoić się szczęściem, żyć pełną piersią warem rozkoszy — oto hasło ludzkości.

Do tego hasła, do tego sztandaru spieszy każdy spragniony, zmęczony walką, a spieszy z wiarą w odrodzenie swe i w szczęście.

A na wielkiej chorągwi z czarnego aksamitu płonie ognisty napis — „cześć materji.“

A wyznawcy nowego hasła biegną pod czarną chorągiew i niosą w zapasie siły i rozum i młodość i wdzięki.

Melodje wiosennych pieśni przebrzmiały. Jesienne wichry niosą tęskne szmery na śalach powietrznych, niosą listki pożółkłe — — — niosą echa młodzieńczych idei.

Z królewskich pałaców — koszary dla żołnierzy.

Ze ścian zerwano obicia i zdjęto dawne obrazy, a ściany te nagie i puste skarżą się strasznie na człowieka-despotę. Z myśli ludzkiej znika różowe tchnienie poezji, ulatnia się świeżość młodzieńcza. Na cementarzach płoną światełka, okryte różnobarwnymi papierami, co niby pstre motyle migotnym rojem zleciały dla płoczej rozrywki.

Na barwnym tle dziejowem snuje się przędza delikatnej tkaniny salonowych dyplomatów — lud w krwawym znoju kraje czarną ziemię na chleb dla bogaczów.

A ostatni grosz nędzarza idzie do skarbnicy pańskiej.

Cnota — wyśmiana, wyszydzona, wzgardzona tuli się w cieniu białej kaliny lub pod ubogą strzechę wieśniaczej lepianki.

Ideał człowieka znikł.

Szkielet wychudły o łysej czaszce z pierśią wystygłą — jak wybladłe z dawnych wieków obrazy snuje się po ziemi.

Oto ludzkość. —

Lekarze zapisują wino i żelazo, bo w żyłach ich krwi już nie znajdziesz.

Patrz — tam nowa firma sklepowa „Zahnmacher et comp.“ „poleca sztuczne zęby z kości w złotej oprawie wedle najświeższego fasonu.“ —

Patrz — obok banku włościańskiego czarna tablica.

Na niej napis :

„Tu dostać można najprzedniejszych worków sercowych o czterech komórkach z przyrządem do sztucznego wprowadzania krwi i z klapą sercową najnowszego wynalazku.“ —

A dalej włosy i oczy i nosy i ręce. —

A mózgi?!

Tych jeszcze nie ma. —

---

W zaraniu życia twego, gdyś w półśennem niemowlęciem spoczywał w kolebce, a nianka śpiewała ci smętne dumy ludowe, stanął u twego wezgłowia anioł natchnienia. Od czoła mu złote włosy spływały, na głowie wieniec miał jasny a u ramion białe skrzy-

dła świecące. Lecz w twarzy jego była żałość jakaś rozlana, a w źrenicy łza migotała, a wieniec na głowie był wieńcem z cierni i kilka kropli krwi spadło z pod tego cierniowego wieńca na białe skrzydła i płonęły purpurą. Kilka łez spłynęło po srebrnej szacie i czarne tam porobiły się plamy. Tyś spało, dziecię — na ustach osiadł ci uśmiech pokoju. Nianka już śpiewać przestała, a matka twoja pochyliła się z miłością ku tobie i widząc uśmiech na uspięnej twarzyczce rzekła: „aniołek z nim rozmawia,” i ojciec się zbliżył, wzrokiem niewymownej miłości objął ciebie i matkę twą pochyloną nad tobą. a blask tego uczucia rozlał mu się niebiańską radością w obliczu. U wezgłowia twej kolebki stał ciągle jeszcze twój anioł białoskrzydły. Lecz zwolna coraz bardziej smutniała twarz jego. A na białej szacie ze srebra czarne od łez gorących plamy rozszerzały się więcej i więcej aż w końcu cała szata czarną się stała. Gorętsze krwi krople zbiegły ze skroni, stoczyły się po czarnej szacie na ziemię; a jedna kropla padła na twe czoło błdziuchne i z ust anioła uleciało lekkie, żałosne westchnienie. Wtedy snąc dotknął cię zimny powiew tego westchnienia owiewającego twe czoło mroźną boleścią, czy zaboląła cię główka od tej kropli purpurowej, bo twarzyczka twoja i usta wykrzywiły się boleścią, zacząłeś płakać żałosnie i z oczu łzy drobne perlami spłynęły na białe poduszki. Matka cię wzięła na ręce, utuliła, ogrzała, lecz tyś płakał i płakał coraz serdeczniej. Aż ten anioł raz jeszcze spojrzął na ciebie, raz jeszcze westchnął i zasłonił białem skrzydłem swoim twarz swą i znikł. Czarna szata długa, powiewna rozpląnęła się w dali, a tyś usnął ukojony pieśczętą na ręku twej matki. Od tego dnia już codziennie czuwa nad tobą i staje u twego wezgłowia twój anioł natchnienia, lecz szata zawsze go czarna obwiewa, a ty go już znasz teraz i kochasz i tęsknisz za nim choć wiesz, że on tam w niebie nosi imię anioła smutku.

---

Niebo, ziemia, stopy, morza,  
Gwiazdy, słońca płyną w dali —

Ja po morskiej stąpam fali  
I znam drogę wśród bezdroża!  
Noc w około cicha, senna,  
Ja nie lękam się ciemności,  
Bo ja dążę do światłości,  
Gwiazda świeci mi płomienna.  
W koło ludy trwożne, drżące  
Do snu cicho się pokładły,  
Z nieba gwiazdy dwie już spadły,  
W niebie, w wodzie dwa miesiące!  
Niech śpią sobie póki pora —  
Póki świt im nie zadnieje,  
Nie zahuczają głośne dzieje,  
Niech wypocznie ludzkość chora —  
Idę, stąpam gładką talą,  
Morze błyszczący zwierciadlane,  
Szumią pieśni nimf harfiane,  
Co się srebrnym dźwiękiem żalą. —  
Rozwidnione moje czoło,  
Złoty promień na nie pada,  
Jakaś świetnych tęcz kaskada  
Barwne nad niem tworzy koło. —  
Takie myśli płyną boże  
Roziskrzonym szlakiem złota,  
Że aż bierze mię ochota,  
Modlić — modlić się w pokorze!  
Lecz nie wszyscy śpią w pokoju....  
O tam wyżej, tam nademną,  
Nad oponą nocy ciemną  
U wiecznego światła zdroju, —  
U wszech-myśli ludzkich szczytu  
Rozjaśnione, czyste duchy  
Myśli swojej szlą okruchy  
Aż tu do mnie od zenitu.  
I te myśli ich natchnione  
Takie blaski mnie tu sieją,  
Poją wiarą i nadzieją,  
Z tęcz splatają mi koronę.  
A ja depcę gładkie fale,  
Depcę srebrne morskie piany,  
Z dala dźwięczy ton harfiany,  
Niby tęskne niesie żale. —

Tak mi błogo, tak radośnie,  
Same w koło mnie rozkoszy,  
Całe niebo w sercu noszę,  
Całe serce w niebo rośnie!

K O N I E C.

---

## Noc zadusznna

(z Saphira tłum. Maciej Wszelaczyński.)

---

Dzień jest dla ducha, a noc dla duszy; nie lubię dnia zadusznego, tylko noc zaduszną! Dzień dla pragnienia, noc dla przypomnienia; dzień dla skargi, noc dla łzy; dzień dla życia, noc dla śmierci; dzień przynależy przyszłości, a noc przeszłości; dzień szczęśliwego jest śpiewem, a noc modlitwą; dzień nieszczęśliwego jest oświadczeniem przeciwko zrządzeniom losu, a noc pogrzebaniem bólu i spuszczeniem się na wolę Wszehmocy.

Uciechy dnia kołują jak pstre ćmy o szarej godzinie wieczornej ociężale i słabiejaco w czem raz mniejszych kręgach, i spadają bez życia w czarny puchar nocy; boleści dnia są to jakby słupy dymu, w nocy wznoszą się one ognście i żarząco ku niebu jako słupy, jako słupy ogniste i płomienne!

Dniu zaduszny! Nocy zadusznna!

Każdy dzień jest dniem śmierci, a każda noc uroczystością pogrzebową! W każdej godzinie stoi człowiek między życiem a śmiercią, między ziemią a niebem, między grobem a zmartwychpowstaniem! „Śmierć“ ma „koseę,” ale „umieranie“ używa czasu jako „sierpa,” by podcinać minutę po minucie i sekundę po sekundzie życia!

Nocy zadusznna! W tej nocy chodzą po nad grobami pobożnych duchy ich dni żywotnych w po-

staci świetniejących aniołów i posypują milczące miejsce spoczynku niewiedniejącymi kwiatami!

W tej nocy odwiedzają posłannicy wieczności, aniołowie rodu ludzkiego groby tych, których żadna pośmiertna miłość nie nawiedza. Odwiedzają oni grób owych opuszczonych, którym dzień zaduszny żadnych żałujących nie sprowadza; — odwiedzają oni grób owych nieszczęśliwych, którzy niekochani zeszedli z świata tego i który w dniu zadusznym żadna ręka kwiatkiem nie umai; — odwiedzają oni groby tych, którym w życiu rosa była kamieniem żrącym, lotos pokrzywą a miłość nienawiścią, i którzy sobie daleko od ziemi rodzinnej najlepsze łoże ustalili, łoże do którego nie przystępuje w dniu zadusznym żadna żyjąca dusza z wspomnieniem; — odwiedzają oni groby tych nieszczęśliwych, którzy się przenieśli na nieskończone łożo, nie mogąc komu przed śmiercią jeszcze powiedzieć: „Smuciłem cię, ale cię jednakże kochałem, i śmierć zabiera z przed ciebie utrapienie, i miłość tylko pozostaje ci!” — odwiedzają oni na krańcach smętarzy nienaznaczone miejsca spoczynku tych nieszczęśliwych, którzy — ulegając tęsknocie za domem — prędzej powrócili, zanim ich Ojciec powołał, i których jednakże litościwy, wszystko przebaczący Ojciec jak syna zatraczonego przyjmuje, i sadzą im kwiatek i szepcą: „Ojciec kwiatów i dusz niezapomni i o was przy wiecznem wołaniu wiosennem!” — odwiedzają oni przeszarżane niemile miejsca, gdzie zagrzebane szczątki tych, którzy przed ludźmi zgrzeszyli, których ludzie sądzili i ludzie potępili, i robią znak pobożny nad ich miejscem i szepcą: „Zbłądziliście i zgrzeszyli, potępiono was i zasądzono, śmierć wasza nie była powołaniem Pana i grób wasz nie jest pobłogosławionym; wdowy po was nie będą was na miejscach spoczynku opłakiwać a dzieci wasze na nich modlitwy odmawiać —, ale gdy dojdzie kresu wielotysiącletni bój czasu z wiecznością, gdy się zawrze wieczysty spokój między ziemskością a niebiańskością, gdy istnienie odda nieśmiertelności swych więźniów, gdy wszechmocna wola Boga zatwierdzi sojusz łączący skończoność z nieskończonością, wówczas Bóg będzie odbywał sądy grzeszników i po-

kutników, oskarżonych i oskarżających, potępionych i potępiających, zasądzonych i sędziów, a przysięgli z grona jego archaniołów i światłości z nim razem zasiądą na sądy, i na północ i południe, na wschód i zachód staną otworem podwoje niebieskiej sali sądowej, i będą obecni wszystkie gwiazdy i wszystkie dusze niebiańskie, i proces wasz ulegnie rewizji przed sądem apelacyjnym najwyższej instancji i znajdziecie prawo i łaskę, bo tylko w naturze ludzkiej jest dwoistość prawa i łaski, w boskiej naturze stanowią oni jedność; a kto z was zostanie tam w górze uwolnionym, tego uniosą najświetlejsi aniołowie na kwiecianych ramionach z sądu najwyższego do nieba, a kto z was niewinnie leży w niepoświęconym grobie, tego wydobędą zeń śpiewające Cherubiny i zaprowadzą w łono łaski pośród dźwięków psalterzy i śpiewu sfer!" — odwiedzają oni groby tych, którzy leżą w przepaściach, do których żadna noga ludzka w dzień zaduszny nie dochodzi; odwiedzają oni zasypanych w szachtach i kopalniach, gdzie ni żona ni dziecię nie może kwiatuszka zanieść; — odwiedzają oni groby w morzu zatoniętych, o których śladach nawet żyjący nie wiedzą; — wszystkie te groby odwiedzają aniołowie Boga w noc zaduszną i spuszczają na nie kroplę rosy jako łzę nieba i przesyłają im pozdrowienie z góry jako kwiatek przypomnienia, i dają im światełko z wieńca gwieździstego jako pochodnię grobu i zmartwychpowstania z tamtego świata!

Bądź mi pozdrowiona luba, milcząca, melancholiczna, ciemnooka, zmarłych budząca nocy! Ty samotności jesteś wzniosłą pieśnią, którą noc wywieszczyła, ty święte milczenie jesteś pieczęcią, którą noc na czarno obrębiony list ziemi wyciska; ty łaknienie jesteś pocałunkiem, który ciche usta nocy z warg boleści wysysają, a ty przypomnienie jesteś wieczną różą grobową, którą zasadza zimno-błada ręka nocy na smętarzu miłości, na sercu naszym, pełnem drogich nieboszczyków!

Każde serce ludzkie jest smętarzem i grobowiskiem, grobem familijnym i mauzoleum! i każda noc jest dla samotnika nocą zaduszną, w której on od-



wiedza smętarz w sercu swem, i składa kwiaty na grobie istoty straconej, i wije swe modły w około urny matki, i sypie kwiatki na nagrobek dziecięcia, przyjaciela, boleśnie zaginionego, i zapala gorące i palące łyzy na pokrywie, pod którą spoczywa zamarte złamane serce w żywym złamanem sercu!

Czyliż życie ludzkie nie jest wiecznym pogrzebem? Nie jestże każdy odgłos dzwona nawoływaniem zegara śmierci? A każda przybywająca chwila nie zapowiadaż ona pogrzebu, a każda miniona sekunda nie jestże żalobnym powozem, toczącym się za trupem naszym?

Nacóż więc człowiekowi iść na smętarz, by uczcić swych umarłych? Do czego kwiaty i róże, te dzieci miłości przyrody, fałszywe i wszemu podobające się jak i ich matka?

Nie cierpią jej, tej przyrody, tej bezdusznej matki rzeczy, ona jest nielitościwą, hardą i samolubną!

Widziałem ból wijący się w około człowieka jak powój w około drzewa, widziałem niedolę szerzącą się w życiu jak zaraza, widziałem nieszczęście, zbytkujące do przesytu wnętrzościami ludzkości — a przyroda uśmiechała się i kwitła i przystrajała się w różane szaty i kwieciste przepaski! — Widziałem stopę ucisku, rozgniatającą wolność jak fiołek marcowy; widziałem geniusza prawa zaduszonego ręką kata; widziałem pół ziemi, wyglądającej jak Golgota, jak zbiorowisko czaszek ludzkich — a przyroda śmiała się i radowała, i kazała śpiewać pieśni swej kapeli leśnej, i swym nadwornym kuglarzom, motylom, przed sobą tańczyć, i powiewać sobie eterycznymi woniami z usługnych jej krzewów i kwiatów! —

Widziałem światło, zapadające w paszczę ciemności; widziałem zdradę, karmiącą się łzami szlachetnych, widziałem zawiść tańczącą kankana u krat więziennych niewinności, widziałem niewdzięczność, śmiejącą się szydersko, szarpiącą najcięższe nerwy uczucia, widziałem ziemię jako stolnicę samowoli i niebo głucho jak spiż — a przyroda śmiała się, śmiała i przesuwiała lotnemi chmurami i szemrzącymi strumykami po ziemi, i sypała obficie światło słoneczne, i umizgała się powiewami i woniami, i ostatniem je-

szcze balsamicznem tchnieniem namaszczała radośnie swój włos jesienny!

Jednakże czemuż przyroda? Czyliż ona sama nie jest bóstwem, nie jestże ona sama osłoną tylko, w którą się bóstwo przyodziewa, by oko ludzkie nie oślepiło na widok jego! I tej czarownej osłony, która się unosi to w postaci niebios gwiazdami utkanych, to wisi jako wdowi welon nocy smętnie i ciemno nad bezświatłą ziemią, nie podniesie żaden palec śmiertelny, nie przebiję żadne oko śmiertelne, nie przeдрze żaden okrzyk boleści, i tylko słowo poświęcenia się, spojrzenie bogobojności, łza nadziei i modlitwa serca przeciska się przez tę osłonę i zanosi nasze skargi i pragnienia, nasze łaknienia i nadzieje przed świetlane oblicze Bóstwa!

---

## W I E R S Z,

napisany

na obchód rocznicy Adama w Oświęcimie  
w Listopadzie 1880 roku.

---

I powalili ją nędzni mordercy  
I zarzucili jej powróż na szyję,  
A przekupieni przez katów oszczercy  
Wołali: Polska nie żyje!

O żyje jeszcze! Wszakże słyhać jęki,  
Wszak słyhać skargę rozgłosną na wroga,  
Sumieniem ludów wstrząsnęły te dźwięki  
I doszły do tronu Boga.

I wciąż brzmią jeszcze echa owych tonów  
Niby cudowny dźwięk harfy eolskiej —  
Toś Ty wyśpiewał cierpienia milionów,  
Adamie, tyś sercem Polski!

Tyś wskazał matce, jakim zbroić duchem  
I w jakie cnoty ma syna spowinać,

By się nie uląkł pod kata obuchem  
I umiał za swój kraj zginać.  
Pieśń twa nadzieją wionęła nad tłumem,  
Przewodnią gwiazdą twe natchnione słowo,  
Ty jesteś naszym światłem i rozumem,  
Adamie, tyś Polski głową!  
Choć wciąż musimy srogie walki staczać,  
Choć życie nasze jest ciągłą katuszą,  
Tyś nas nauczył cierpieć i przebaczać,  
Adamie, tyś Polski duszą!  
Pieśń twa czarowna stanęła na straży  
Narodowego pamiątek kościoła,  
Nikt go bezkarnie odtąd nie znieważy;  
Boś w nim zawiesił i miecz archanioła.  
I w przyszłość naszą tchnąłeś życiem nowem,  
Zwiastując jutrznię wieszczemi pieśniami,  
Adamie, tyś jest żywym Polski słowem,  
Ojczyzny swojej ustami!  
Tyś dojrzał życie pod śmierci całunem,  
Dojrzałeś syna i poety okiem,  
Adamie, tyś jest zbawienia zwiastunem,  
Zmartwychpowstania prorokiem.

---

## W I E R S Z,

napisany

na obchód rocznicy Adama w Oświęcimie  
w Listopadzie 1884. roku. •

---

Umarł wieszcz Polski, od Polski daleki,  
Zagasto światło, co piersi nam grzało,  
Natchnione usta zamilkły na wieki,  
Wielkie serce bić przestało.  
On, co nie szczędził dla ojczyzny trudów,  
Co ją tak kochał, cierpiał dla niej tyle —  
Żył jako tułacz w pośród obcych ludów  
I w obcej spoczął mogile.

Dziś się zmieniły okrutne wyroki:  
Adam powróci, dziś po latach wielu  
Możem odzyskać drogie wieszczą zwłoki  
I złożyć je na Wawelu.

Wielkie to święto dusze nam posili.

O spraw to, spraw to, błagamy Cię, Panie,  
Niech w tej tak ważnej dla narodu chwili  
Jeden z Twych cudów się stanie!

Gdy prochy jego — o czas ich nie zziębi! —  
Dotkną tej ziemi — drogiego mu łoża,  
Niech drgnie jej łono od morza do morza  
I iskrę wykrzesze z głębi.

Iskra ta niechaj pożar w nas roznieci,  
Co wszystkie nędze w sercach naszych spali,  
Wszystkie małości, wszystkie brudy, śmieci,  
Byśmy się czystymi stali.

Niech Polska będzie aniołów legionem,  
Jak padła waśnią, niech zgodą odżyje,  
Niech będzie jakby jednym wielkim dzwonem,  
W którym jedno serce bije.

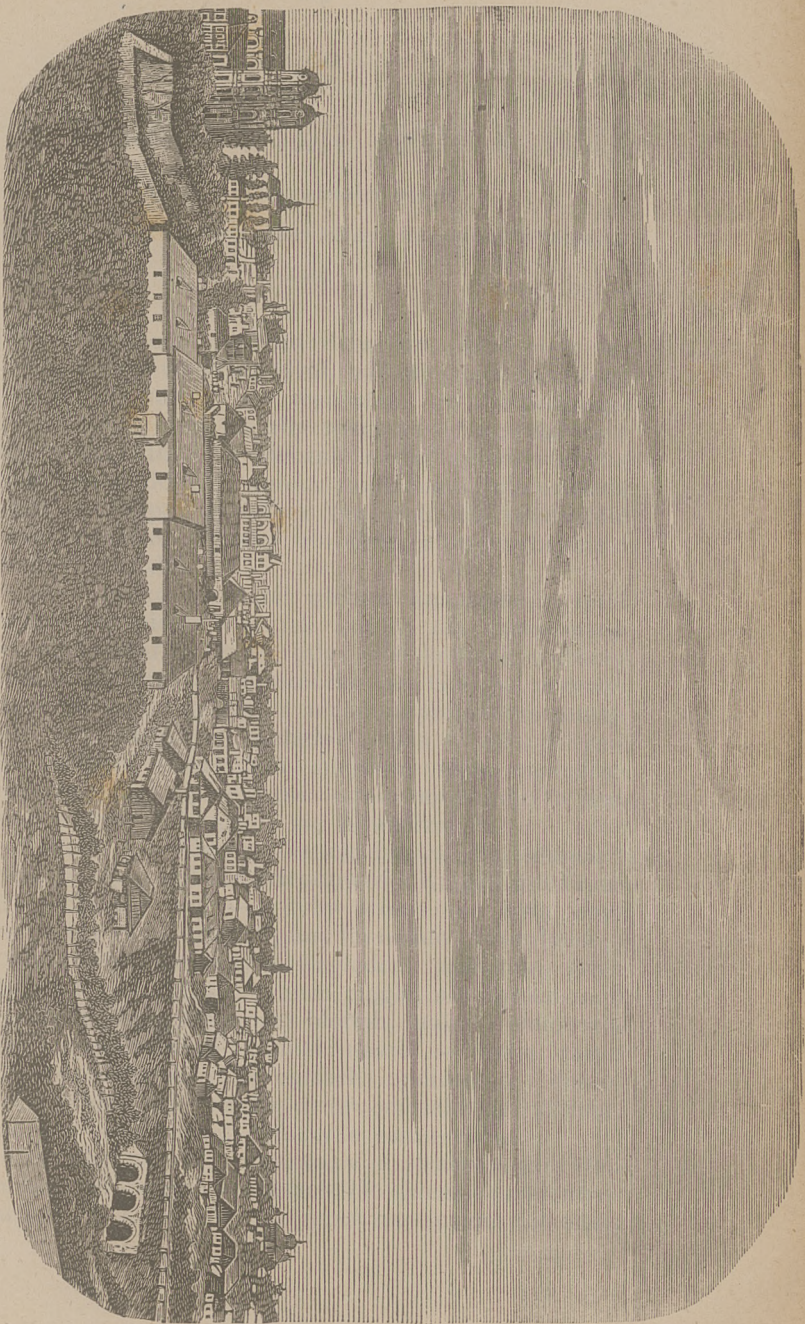
I niechaj będzie jako wszechświat Boży,  
Rzucon przez Stwórcę w przestrzeń nieskończoną,  
Tyle tam światów — jednak całość tworzy  
Harmonią niezamąconą.

Niech obok siebie żyją na tej ziemi  
Jak dobrzy bracia: Lachy i Rusiny,  
Wolni z wolnymi i równi z równymi,  
Jak jednej matki dwa syny.

Słaby niech dawne krzywdy swe przebaczy,  
Silny niech nigdy cudzego nie żąda,  
Wówczas zdumiony świat cały zobaczy,  
Jak wolna Polska wygląda!

Duch się Adama w niebie rozpromieni  
Nagrodą życia cierpienia i trudu,  
I słowo jego w prawdę się zamieni:  
Lud godny wieszczą i wieszcz godny ludu!

*Jan Majkowski.*



# Hrodzka po pożarze lipcowym r. 1885.

(Według fotografii Juliusza Dutkiewicza w Kolumnyi.)



# Nasze miasteczka i nasze pożary w Galicji.

obraz z rzeczywistości wzięty

(z ryciną wykonaną według fotografii Juliusza Dutkiewicza z Kołomyi.)

Może niejednemu zanadto dziwnym, albo zbyt naciągniętym wyda się tytuł, nadany przez nas pracy niniejszej. Niestety! nie wybrałem go dla próżnego rozgłosu tylko, ani też aby rozciekawić pewną część publiczności, która się wiecznie nudzi, z nudów chyba książki bierze do rąk i znowu znudzona dzieło odkłada na bok, jeśli praca autora nie potrafiła rozdrażnić nerwów opisem szalonej zbrodni, albo wybrykiem fantazji rozszalałej.

Nie! praca nasza ma głębsze znaczenie, i tytuł nietylko od niechcienia jak gdyby dla fanfaronady przez nas został wybrany, gdyż gdziekolwiek widzimy mniejsze lub większe miasteczko w Galicji, przywykliśmy do tego, łączyć z niem wspomnienia mniejszych, lub większych nieładów; ręka w rękę z tymi nieporządkami i nieładem miejskim idzie zaniedbywanie wszelkich przepisów ogniowej policji, a tem samem pożary rokrocznie się powtarzające.

Uczcili już Niemcy Galicję nazwą „Bärenlandu,” nazwał ją wróg polskiej narodowości Karol Emil Francoz, „Półazją,” my — gdyby ironia nie była zbyt okrutną i krwawą, nadalibyśmy jej miano „Feuerlandu,” na które pod niejednym względem zasługuje, gdyż nietylko u nas pali się prawie ciągle, ale oprócz tego mieszkańcy błogosławionej błotem, naftą i nieczystościami różnorodnemi Galilei naszej — mają także takie wyobrażenie o przepisach ogniowych i doniosłości tychże, jak chyba dzicy mieszkańcy „Feuerlandu,” w południowej Ameryce zamieszkali.

Niedbałości tej odrażający i straszny przykład dała nam w ostatnich czasach Horodenka pamiętnym pożarem 2. Lipca b. r. (patrz na rycinę odnośną,

przedstawiającą Horodenkę po pożarze.) Niestety! przykłady takie nie zostają odosobnione, gdyż rokrocznie widzimy łamy naszych gazet wypełniane wieściami o nowej i strasznej jakiejś klęsce ogniowej w Galicji, a jeśli zbadawszy prawdę — po nitce dojdziemy do kłębka — to prawie zawsze dostaniemy się do upokorzającego i smutnego dla nas rezultatu, że w najrzadszych tylko wypadkach przyczyna, nie dająca się z góry przewidzieć, ani usunąć, pociągnęła za sobą klęskę ogniową, po największej części zaś pożar wybuchł tylko z tego powodu, że nie uczyniono nic, aby mu zapobiedz, a uczyniono natomiast wszystko, co tylko rozszerzenie pożaru ułatwić mogło.

Że się ciągle tak dzieje — na to mamy dowody w rękę. Powie może niejeden, że i w Moskwie wydarzają się pożary, a może większe niż u nas, że w Turcji także często się pali; ale Moskwa i Turcja to kraje na w pół ucywilizowane, barbarzyńskie prawie, a my mamy przecież pretensję do wyższej cywilizacji. Więc weźmy przykład z sąsiadów innych: z Francji, z Niemiec. Tam pożary takich rozmiarów i tak często się powtarzające jak u nas w Galicji, chyba do rzadkich należą wyjątków, i słyszymy o nich tylko podczas wojen, kiedy wróg miasta jak Paryż albo Strasburg bombarduje, albo kiedy jak w Wiedniu podczas pamiętnego pożaru w Ringteatrze przy ścisku niesłychanym publiczności skutkiem zaniedbania przypadkowego przepisów ogniowych klęska nieobliczona w rozmiarach i skutkach swoich — powstaje. U nas nie trzeba wojny, nie trzeba ścisku publiczności na przedstawieniach teatralnych albo przy hecach cyrkowych — a przecież pożar zawsze na pogotowiu. Starajmy się bliżej poznać i zbadać przyczyny tyle złego. Oto w pierwszym rzędzie jest nią zaniedbywanie ustawiczne wszelkich przepisów ogniowych, w drugim złe i niewłaściwe zastosowywanie takowych.

Gdzie czystość bywa przestrzegana pod każdym względem, gdzie przepisy ogniowe istnieją nie na papierze tylko, tam nie słyszymy o klęskach ogniowych, pożar zaś jeśli wybuchnie, prawie zawsze bywa zlokalizowany. Jako wzory pod względem szybkiego ratunku służyć mogą między innymi miastami poniekąd



Lwów i Kraków, jako wzory czystości, która z szybkim ratunkiem idzie ręka w rękę, oprócz Krakowa służyć mogą: Biała, Bilsko, Brzeżany, Jasło, Krosno, Rzeszów, Stanisławów. W ogóle widzimy więcej czystości w domostwach i w miastach w zachodniej Galicji położonych, niż na Wschodzie, choć i tu nie ma reguły bez wyjątku, a Brzesko, Dąbrowa, Gorlice, Grybów, Tarnobrzeg, Tarnów i Wadowice nawet nie zachwycają oka wcale zbytnią czystością i schludnością, a pod względem zabudowań nie dają wielkiej rękojmii bezpieczeństwa od ognia.

Nigdzie jednak te — dla mienia publicznego tak ważne przepisy ogniowe — nie bywają tak zaniechane i zaniedbywane jak u nas na Wschodzie. Całe rzędy miasteczek a nawet i wielkich miast możnaby wyliczyć, gdzie dom do domu, a często jedna drewniana lepianka do drugiej przytyka, gdzie okna na to chyba istnieją, aby z nich pomyje i nieczystości wszelkiego rodzaju przechodniom na głowę wylewano, gdzie sługa nocną porą przy słabym blasku lampy bieliznę na strychu wiesza i t. d.

Staraliśmy się przyczynę kilku takich pożarów zbadać: prawie zawsze nieostrożność ludzka głównym była powodem. Oto np. Dąbrowa nawiedzona ogniową klęską w r. 1883 m, po raz drugi staje się pastwą płomieni 28. Czerwca b. r., a jeśli przy pierwszym pożarze jedna połać rynku się spaliła, to teraz w uzupełnieniu pali się druga, 90 domów zostaje uszkodzonych lub zniszczonych całkowicie, między niemi także piękna, nęcąca niezwykłą budową swoją synagoga dąbrowska. Przyczyną pierwszego pożaru nieostrożność żydowskiego piekarza, przyczyną drugiego nieostrożność żydowskich handlarzy jaj. Taka sama nieostrożność i niedbałość co do zachowania przepisów pożarnych wywołała pożar zeszłoroczny w Tarnobrzegu, gdzie w nadmiar nieszczęścia nie było nawet straży pożarnej. W ogóle w niektórych miastach zawiązują i rozwiązują, organizują i dezorganizują straż pożarną zupełnie według fantazji, tak jak gdyby straż pożarna nie była bezwarunkowo potrzebną dla chronienia i ratowania mienia współobywateli, ale jak gdyby instytucja straży ocho-

tnicznych ogniowych była tylko bawidelkiem — ot tak sobie dla parady. Jeśli skutkiem takiego lekceważenia ze strony publiczności i straż pożarna lekceważy sobie swoje obowiązki — nasza w tem wina, a nie ludzi, którzy ratując mienie bliźniego, mają prawo żądać od niego wielkiego poważania i wielkiej wdzięczności. Obustronny ścisły nadzór i obustronne poważanie przyczynią się do obopólnego umoralnienia i położą tamę wybrykom niektórych członków niegodnych straży pożarnej, na których publiczność nie bez powodu się użala. W Skale nad Zbruczem, w Borszczowie, w Jezierzanach nie widziałem straży pożarnej; w Stryju według opowiadań wiarygodnych obywateli tamtejszych nie ma jej wcale, w Husiatynie tak samo; w Żurawnie nie ma straży pożarnej, skutkiem czego jakoteż z powodu nieostrożności blacharza wybuchł tamże dnia 17. Listopada 1884-go r. przed południem pożar, który nawiedził kasyno żurawieńskie i przez spalenie lub częściowe zniszczenie książek naraził inteligencję żurawieńską na dotkliwe straty a na jeszcze dotkliwsze mógł narazić mienie obywateli, gdyby nie szczęśliwa okoliczność, że pożar wybuchł zimową porą, kiedy śniegi jeszcze nie stopniały; w Wyżnicy zawiązano straż pożarną dopiero po pamiętnym pożarze kwietniowym b. r., który większą część miasta w perzynę obrócił; w Horodence mimo dwukrotnych wielkich pożarów rozwiązano istniejącą już straż pożarną, a zawiązą ją może teraz dopiero po trzecim pożarze, kiedy ratować już nie ma prawie co.

Ale i straż pożarna na mało się przyda, jeśli nie zjedna sobie posłuchu ogólnego. Jestem za tem, aby jej nadać charakter urzędowy, nawpół policyjny, nawpół wojskowy, także i pod tym względem, że wszelkie nieposłuszeństwo, tchórzostwo, dezercja i t. podobne wykroczenia mają być karane ciężkiem więzieniem, postem i degradacją; że również jak w regularnej armii nie wolno żadnemu strażakowi zmienić lub opuścić miejsce pobytu bez wiedzy i zezwolenia naczelnika: że na głos trąbki strażak powinien być na pogotowiu i spieszyć na miejsce jak najbardziej oddalone od miejsca jego pobytu, skoro naczelnik go zawezwie, a kto wie, czy z czasem nie przyjdzie

do tego. Straż pożarna przyszłości powinna mieć w swoim gronie inżyniera pożarnego, który nie powinien pozwolić na budowę wadliwą domów i nieposłusznych pociągnąć do odpowiedzialności sądowej; powinna mieć rewizorów pożarnych, których obowiązkiem byłoby zaglądać do domów i nadzorować sługi, dopuszczające się jak wiadomo z niedbałości rozmaitych wykroczeń przeciwko bezpieczeństwu publicznemu; powinna mieć żołnierzy, podoficerów i oficerów, którzyby podczas ognia obowiązani byli do gaszenia, a podczas ciszy do ćwiczeń ustawicznych.

Gdzie znowu nie starczyłoby sił roboczych do wykonywania ustawicznego wszystkich tych przepisów, niezbędnych dla zabezpieczenia mienia, tam policja miejska powinna się złąć i zjednoczyć niejako z policją ogniową i wyręczyć ją w czynnościach; tam właściciele domów prywatnych i zajezdnych własną czynnością i czujnością powinni wyprzedzić czynność rewizorów pożarnych; tam wreszcie powinni skargi i zażalenia swoje wnieść do rąk odnośnej władzy, czy to wójta, czy burmistrza lub sędziego powiatowego, gdziekolwiek widzą niedbalstwo i opieślatość w wykonywaniu przepisów i w pełnieniu służby ze strony rewizorów pożarnych. Oprócz tego zbiegowiska podczas pożarów absolutnie nie powinny być tolerowane; kto przybiega z ciekawości tylko, niech się albo odstąpi, albo niech pomocnym będzie przy ratunku, w przeciwnym zaś razie do kozy z nim, tak samo do kozy z tymi, którzy czynnie lub słownie znieważają ratujących, albo co gorsza w ogólnym popłochu przywłaszczają sobie mienie sąsiada.

Skoro przepisy tu przytoczone sumiennie będą wykonywane, do czego ostatecznie przynaglone pilną potrzebą kraju, przyczynią się Reprezentacje krajowe a na ich czele Wysoki Sejm królestw połączonych Galicji i Lodomerji, skoro wraz z strażą pożarną stosunki asekuracyjne, zaniedbywane aż zanadto w Galicji, w pomyślnym kierunku drogą urzędową zostaną załatwione, wtedy ustaną równocześnie klęski ogniowe, które jak ta w Horodence, setki domów obracają w perzynę, tysiące ludzi pozbawiają mienia, ilość wielką ofiar pogrzebują pod gruzami, i przestaniemy

już raz na zawsze imiona naszych miast galicyjskich  
łączyć z pamiątką smutną naszych pożarów.

Kosów, 11. Sierpnia 1885.

*G. Kohn.*

---

## Pożegnanie Ojczyzny

(z wołoskiego Alexandri).

---

Piękny kraju mój kochany,  
O Mołdawjo droga ma!  
Kto cię rzuca, kto wygnany,  
Temu w oku świeci łza!  
    Pod twem niebem, gdyby w raju,  
    Snułem złotą marzeń nić —  
    Tak jak miłe dnie są w maju,  
    Tak w ojczyźnie miło żyć.  
Ciężka boleść mnie przejmuję,  
Bo opuszczać ciebie mam;  
W dali szczęścia nie uczuję,  
Chyba aż u niebios bram!  
    Kto wie może wyrok nieba  
    Nie dozwoli wrócić mnie,  
    I w obczyźnie będzie trzeba  
    Pędzić smutne, tęskne dnie!  
Rzucam cię, ojczyzno droga,  
Los zawistny gna mnie w dal,  
Serce ściska boleść sroga,  
Duszę gnębi ciężki żal.  
    Jeszcze patrzę raz dokoła —  
    Chociaż oko ćmi mi łza!  
    Ach! szczęśliwa i wesoła,  
    Żegnaj mi, Mołdawjo ma!

Wyżnica na Bukowinie.

*Alma Kovács.*

---

## Do myśli.

---

Leć myśli moja, leć w dal tę mglistą,  
Gdzie cel mych marzeń i złotych snów.  
Dzwoń pieśni wdzięczna, a nutą czystą  
Stracony spokój powróć mi znów,  
Abym mą lutnię mógł nastroić  
Jak dawniej, — marzyć, śpiewać, roić.  
Leć myśli moja, leć jak natchnienie,  
Wolna, swobodna pomykaj w dal.  
Serce? — zapomni, marne złudzenie....  
Leć myśli dalej .... rzuć próżny żal....  
Nieś mię od ludzi, bo mię złamią,  
Ulatuj myśli, bo cię splamią.  
Tyś czysta, szczytna, — oni mali,  
Pełna zapału — oni głąz.  
Tu zimno — pusto — leć tam dalej,  
W kraj ideału, co bez skaz,  
I przestrzeń ducha przeleć całą,  
Leć wszędzie — zewsząd powróć z chwałą.

Potok złoty 1885.

*Julian Nowakowski.*

---

## Opowiadanie starego Legjonisty

(Autoryzowane i wznowione przez autora wydanie).

---

Przed laty mniej więcej dwudziestu lub trzydziestu żył w kole naszym legjonista stary, napoleoński kapitan ozdobiony krzyżami.

Mimo sił steranych i podeszłego wieku, czuł gorąco z narodem, nienawidził Moskala i nie wiele

więcej kochał biurokratycznych naszych germanizatorów.

Na gawędkach w duchu takim spędzał często w gronie przyjaciół i dobrych sąsiadów noce całe; obrazy wojenne, obozowe, ustępy z własnego życia kapitana, przeplatały gęste kieliszki węgryna; i zdarzało się często, że powieściarz i słuchacze rozjeżdżali się podochoceni dobrze, przyczem jednak zawsze najmniej bywał dotknięty kapitan.

Na dobitek jeszcze żartował sobie kapitan z towarzyszków, co nie umieli dotrzymać mu placu przy kieliszku.

A kiedy czasem pozwolił sobie kto zrobić uwagę, że kapitan rozpaja ludzi, że sam czasem przebiera miarkę, miał zwyczaj odpowiadać: „nie warto patrzeć trzeźwym okiem na ten świat samolubny, na tych ludzi zkarłałych; a przy tem, ja się tak maskuję przed wrogami.“

I dopiął w części swego zadania; bo w ówczesnych policyjnych katalogach, w rubryce: *Politische Gesinnung*, zapisano było o kapitanie: *Ueberaus feindlich gesinnt, doch minder gefährlich ob der Neigung zu Trinkgelagen.*

Raz przecież udało się sąsiadom podstępem upoić kapitana z kretešem.

Kiedy nie mógł się już utrzymać na nogach i wyprowadzali go dwaj silni lokaje pod rękę do drożki, sąsiedzi w tryumfie towarzysząc mu na ganek, jeszcze mu powtarzali na odjeździe:

— A widzisz kapitanie, że spiłeś się jak bela. —

Wtedy kapitan oparty na służących odwrócił głowę z tajemniczym wyrazem ku współbiesiadnikom i rzekł mrugając oczyma:

— *Sprechen Sie deutsch, dass die Leute nicht verstehen, ja się tak maskuję...*

Długo sąsiedzi i znajomi kapitana żartowali z niego, jak on się maskował zataczając się, jak po niemiecku mówił, by nie domyśleli się słudzy że on pijany; na to miewał kapitan odpowiedź zawsze gotową:

— A któż nie maskuje się dzisiaj! — a kto maskuje się lepiej odemnie?

Majątek ma dziś najpierwsze znaczenie w świecie. Ileż to takich co blichtrzem powierzchownym starają się zamaskować istotny stan swój majątkowy, a prawie każdemu po pod blichtr podglądają ciekawi i wołają: Znam cię masiu!

Uczucia wzniosłe, prawość i cnota mają zawsze jeszcze jakoweś poszanowanie. A ileż jest także takich, co pięknymi słowami maskują podłość swoją, zbrodnię i samolubstwo, a lada przenikliwe spojrzenie przeglądając przez ich piękne słówka zawoła im: Znam cię masiu!

Jak struś ukrywszy głowę pod skrzydło mniema się schronionym przed okiem wroga, tak oni sądzą się ukrytymi pod maską przed oczyma świata. —

Tak mawiał nasz kapitan i sam zamaskowawszy się gęstemi kieliszkami, zwykle wygadał jakiś ustęp życia swego.

Raz tłumaczył nam dowodnie, że mężczyzna powinien zahartować pierś swoją od wpływu tkliwych uczuć, a na dowód, opowiedział następujące zdarzenie.

## I.

Pan Piotr, osiadły na dobrej wiosce podolskiej, chłop jak dąb, przystojny i szykowny, skoligacony pięknie i wykształcony, skończywszy rok trzydziesty zapragnął towarzyszek życia.

Trudno uniknąć takiej zachcianki choć raz w życiu, jest to malum necessarium, które jak ospę lub kur przebyć potrzeba człowiekowi.

Panu Piotrowi nie była wielce dokuczliwa ta słabość; bo z usposobienia umizgus, widziany wszędzie mile, przebiegał bliższe i dalsze sąsiedztwa wesoło, gdzie tylko były panienki na wydaniu. A było w czem wybierać, raczej, wybierać nie było co wiele, bo panienki wówczas w domach szlacheckich bywały wychowane bogobojnie, cnotliwie, zdrowe i hoże jak to mówią, i do stroju i do łożu.

To też pokręciwszy się trochę tędy i owędy, p. Piotr począł częściej przesiadywać w domu starosty B. — Mówią, że kraść dobrze daleko, a żenić się blisko — w ten sposób zrobił p. Piotr wybór najlepszy; panna jak łania, fortuna znaczna, dom zacny, a wszystko jasne jak na dłoni; więc p. Piotr oświadczył się o starościankę.

— Zwolna, zwolna panie bracie — mówił starosta panu Piotrowi z razu — nic nie mam przeciw tobie, tylko że ty z rodu umizgus: ś. p. twój ojciec a mój dobry sąsiad był także taki za młodu, chociaż później był najlepszym mężem; cierpliwości trochę panie Pietrze!

W pół roku jednak udobruchał się starosta; pan Piotr został przyjęty przez rodziców, a starościanka nie zepsuta czytaniem francuzkich romansów, skłoniła się do woli rodzicielskiej. —

Zaręczyny odbyły się hucznie.

Wszystko pamiętam doskonale, chociaż temu już blisko pół wieku; a miałem wtedy już lat sześćnaście skończonych i przyjechałem był z bliskim krewnym Rawiczem, którego synowie dziś tytułują się hrabiami, a który także był wtedy jeszcze kawalerem i zwykłym szlachcicem.

Już całe bliższe i dalsze sąsiedztwo było zebrane, już węgrzyn krążył w potężnych kielichach i kapela rznęła od ucha, kiedy dnia drugiego trzask biczów zapowiedział przybycie gości z dalszej okolicy. Mężczyźni za starostą wyruszyli na ganek. Przed pięciokonną landarą jechało dwóch konnych kozaków, w kurtach granatowych z amarantowemi wyłogami i lampasami, przepasanych amarantowemi pasami, przy których wisiały krzywe pałasze w żelaznych pochwach. Na głowach mieli czapki baranie z białemi denkami; wszystko to wedle barw herbu pańskiego. — Za landarą takich samych dwóch kozaków, dalej czterokonna buda krakowska z kuchnią i panną służebną, w końcu szlachcic jako marszałek jadącego dworu, także uzbrojony i z pistoletami w olstrach.

Były to czasy niespokojne, kozacy zapuszczali się samopas i w głąb kraju; więc o mil kilkanaście podróżując trzeba było być na ostrożności.



Kiedy landara stanęła przed gankiem, na skinienie starosty wystrzelono naraz z pięciu moździerzy, dwóch sążnistych hajduków zeskoczyło z poza landary do otwierania drzwiczek i spuszczenia stopni, a starosta przystąpił do podania ręki wysiadającej matronie.

Była to wdowa po Wojskim z Ciesielska, cioteczna siostra starosty z domu Jordanówna, wspaniała i przystojna jeszcze kobieta, za nią wyskoczył z landary młody dwunastoletni może synek jej, Franio, niosąc ogon jej sukni na prawem rękę, i najstarsza jej córka, panna Dorota.

Dobrze pamiętam, że suknia ogoniasta pani Wojskiej była z ciężkiej materji ceglatego koloru, że pani Wojska miała na pudrowanych napiętrzonych włosach berecik mały, z którego z pomiędzy kwiatów jasnych wyglądał wypchany koliber, a!e najlepiej pamiętam i wszyscy co żyją pamiętają pewnie postać czarującej panny Doroty, co po przywitaniach jak jasna gwiazda stanęła w kole kobiet, zwracając oczy wszystkich mężczyzn na siebie.

I pan Piotr przedstawiony przyszłym kuzynkom, zagapił się, jakby to nie był dzień zaręczyn jego.

Ależ bo to była piękność ta panna Dorota, jakich nie zdybiesz wiele na ziemi.

Wzrost wspaniały, kibić jak ulana, zgrabna i wiotka, włos bujny soboli, oko duże siołkowe, wyraźnie mówię wam, barwy siołka wiosennego, płęć śnieżna, a ten wyraz słodczy na twarzy, a ten uśmiech odpromieniający się w dołeczkach różanej buzi, w dołeczkach wiśniowych usteczek, w dołeczku okrągłuchnej bródki, wszystko to było coś tak czarującego, że trzeba było klękać i ubóstwiać pannę Dorotę.

Ja chociaż dopiero lat 16 liczyłem wtedy, byłem oczarowany z drugimi, nie mogłem oczu mych oderwać od niej! —

Trzy dni jeszcze trwała uczta prawdziwie pańska w domu starosty.

Młodzież dzieliła się na dwa obozy, połowa otaczała starościankę, bo najładniejsza panna co idzie za mąż, a między nimi był stale Rawicz; druga po-

łowa ubóstwiała pannę Dorotę i pan Piotr pojawiał się często koło niej.

Kiedy po kilku nocach bezsennych rozeszliśmy się po kwaterach dla wypoczynku i przebrania się, rzekł Rawicz do p. Piotra:

— Szczęśliwy ty Piotrusiu, za ten pierścionek co masz na palcu, dałby nie jeden połowę życia.

Pan Piotr ocknął się z zadumki i bąknął pod nosem:

— Może chciałbyś go nabyć?

Mało kto zwrócił uwagę na ten dyalog, ale to dostrzegł nie jeden, że przy wyjeździe cztery osób zwykle wesołych, sposępniało jakoś, starościanka, panna Dorota, Rawicz i p. Piotr.

W domu starosty, po wyjeździe gości, poczęto robić przygotowania do wyprawy, brakujące jeszcze rzeczy miało się uzupełnić na jarmarku w Ułaszkwcach, który wypadł jakoś w parę tygodni.— Wszyscy wiedzieli o tem i liczono na to, że zjadą się znowu w Ułaszkwcach

Bo trzeba wam wiedzieć, że jarmarki w Ułaszkwcach bywały dawniej nie to co teraz, trwały po parę tygodni, szlachta znaczniejsza zjeżdżała się jak na kontrakty, bywali kupcy z Carogrodu, z Moskwy, z Lipska, z Wrocławia, tak, że wszystkiego można było dostać w najlepszym gatunku i nie potrzeba było zapisywać sprawunków z Paryża lub z Wiednia, jak teraz.

Czem był dawniej jarmark ułaszkwiecki, możecie sobie wyobrazić z tego wierszyka:

W Ułaszkwcach jarmarek! — na polnej slobodzie,  
Gwarno, tłumno, pstrokato, jak w portowym grodzie;  
Tu narodów odmiennych błyszczą różne stroje,  
Pod rozpiętym namiotem leją się napoje,  
Brzmi muzyka cygańska, kuglarz Niemiec szczeka,  
Wołoch tabun arkanem okrąża z daleka,  
Ormian woły napędza, a wrzeszczy jak w lesie,  
Szlachcic butno na koniu, i kłamie i klnie się,  
Hucuł czapkę bakierzy, gapi się w natłoku,  
A żyd trzęsąc pejsami, wszystkich ma na oku.  
Przed szafasem drewnianym na podziw gawiedzi,

Turek towar ułożył i na nogach siedzi;  
Dym poważnie pociąga z długiego cybucha,  
Nic nie widzi, nie słyszy, choć patrzy i słucha.  
Minął kacap brodaty, mijają go żydzi,  
Kacap, chłopek i żydek dyftykiem się brzydzi,  
Tylko pany je cenią.....

Parę dni przed ułaskowieckim jarmarkiem pojawił się p. Piotr u starosty.

Trochę zastanawiała starostę dłuższa jak na narzeczonego przystało, niebytność p. Piotra; przyjął go jednak serdecznie; a kiedy po przywitaniu po krótkiej gawędzie o sprawach publicznych, o gospodarce, chciał starosta prowadzić p. Piotra do kobiet, p. Piotr zakłopotany, mniej mowny jak zwykle, zmarniały, zmieniony, padł nagle do nóg starosty.

— Co to jest panie Piotrze? — zapytał zdziwiony starosta, dostrzegając dopiero teraz na twarzy p. Piotra zmianę.

— Panie starosto dobrodzieju — wyjąknął p. Piotr na kolanach — przyjaźń jaką zaszczycałeś śp. ojca mojego, wysoki szacunek jaki mam dla domu jaśnie wielmożnego starosty, nie pozwala mi oszukiwać dłużej..

— Wstań! wstań! kochanku! pewnie jakieś figle kawalerskie, psoty jakieś, a może dłużki, chociaż wiem, że rządny i dobry gospodarz z ciebie, ale to się trafia przy stoliku, to jakoś pokryje ręka mojej córki..

— Jam nie godzien ręki tego anioła — wykrzyknął p. Piotr — urok jakiś owionął mnie nieznanym, odkąd ujrzałem pannę Dorotę, myśli moje, uczucia moje tylko nią zajęte! — i zakrył twarz w obie dłonie.

Zmarszczył czoło p. starosta na to wyznanie. Nie miło to się dowiedzieć ojcu każdemu, że czarowniejszą jest druga jakaś od córki jego, chociażby nią była najbliższa, najmilsza krewniaczka. Począł krokiem szybkim chodzić w około klęczącego p. Piotra, wreszcie zwalniając kroku, bąknął przeciągle:

— Czy tak? — i wyszedł zwolna z pokoju, zamykając drzwi za sobą, i zostawiając na środku pokoju klęczącego p. Piotra z twarzą zasłoniętą rękoma.

Sam opowiadał nam później tę scenę p. Piotr. Co się z nim działo, łatwo wyobrazić sobie. Już mu się snuły w żywej wyobraźni starościńscy hajducy z perskim kobiercem, to znowu ciemna turma zamkowa, kiedy po długich kilku minutach, które mu się godzinami wydały, przebudził go z tego otrętwienia dźwięczny śmiech dziewczycy, wtórowany rubasznym cha! cha! cha! starosty.

Zerwał się jak oparzony, sam nie wiedząc, czy ma się witać, czy uciekać, czy skryć się do myszej dziury, bo starosta z żoną i córką stanęli nad nim jak straszni sędziowie.

— A widzisz bałamucie! już odkłęczałeś na pokucie, a teraz na domiar kary weź twój pierścionek z rąk mojej córki napowrót; bo moja córka nie może być narzeczoną człowieka, co parę tygodni zapomniał o niej! Tak — zwróć jej pierścionek napowrót, tak, Deus non conjunxit jeszcze, więc jesteście wolni. —

Smutno zrobiło się p. Piotrowi, jak sam wyznał później, że starościanka z taką radością zwróciła mu pierścionek, i tak chętnie pochwyciła swój pierścionek z rąk jego, próżność jego była podrażniona wielce; bo trzeba wiedzieć, że znając wszystkie zalety swoje, nie jednym powodzeniem rozpieszczony, był pewnym, że w serduszku starościanki zajął już miejsce.

Ten zawód obraził dumę jego boleśnie.

Córki dobrego wychowania nie miewają tajemnic przed matkami, dostrzegł potwierdzenie tego p. Piotr także na swobodnem obliczu starościny. Ale z drugiej strony myśl o pannie Dorocie, myśl o delikatności starosty i o swobodzie odzyskanej, przywróciły mu żywość jego właściwą i najlepszy humor.

Sam opowiadał nam później, że tak wesołego wieczoru nie spędził przedtem nigdy w domu starosty.

W ciągu tego wieczora dowiedział się, że starosta nie pojedzie do Ułazkowiec, że pani Wojska tam będzie z panną Dorotą, polecono mu zawieść ukłony, i zaprosić w imieniu gospodarstwa panią Wojskę do domu starostwa.

Nawet starościanka bąknęła nieznacznie, by po-

kazał pannie Dorocie swój pierścionek, bo go widziała na palcu starościanki i podobał się jej bardzo; może znajdzie podobny kupić sobie w Ułazkowcach.

Jakoś tak się zdarzyło, że najwięcej mówiono przez ten wieczór o Wojskiej. — Dowiedział się przytem p. Piotr, że mając kilkoro dzieci, i tylko z dostatniego dożywocia żyjąc okazale, nie będzie mogła dać wielkiego posagu.

Nic to jednak nie zrażało zamysłów p. Piotra, a kiedy na wyjezdnem starosta żegnając go serdecznie, rzekł mu:

— Słuchaj p. Piotrze, słabości ludzkie są liczne i niezbadane, ale człowiek powinien panować nad niemi. Dorota jest moją krewną; gdybyś okazał się rzeczywistym bałamutem, ze mną sprawa! — i pokręcając lewą ręką wąsa, silnie prawicą uściśnął dłoń p. Piotra; p. Piotr ucałował z uszanowaniem rękę starosty i wyjechał wesół jak ptaszek.

W Ułazkowcach na jarmarku wszyscy znajomi wyglądali daremnie przybycia starosty z córką i żoną.

Tylko p. Piotr nadleciał swobodny i wesoly jak nigdy.

— Gdzież tak siedział Piotrusiu? — zapytał Rawicz — pewnie u nóg bogdanki?

— Tak jest kochanku, oddałem jej na żądanie ten pierścionek, którego mi tak zazdrościłeś, możesz starać się o uzyskanie go, oto widzisz zwrócono mi także mój.

Na tę wieść p. Rawicz został jak przykuty w miejscu a p. Piotr pobiegł dalej ku szałasowi Turka, gdzie miał nadzieję zobaczyć gromadzącą się zwykle pleć piękną. —

I nie zawiodła go nadzieja bynajmniej; — w gronie nadskakującej młodzieży i całej pstrokacizny kobiet różnego wieku, jaśniała jak słońce panna Dorota; a na widok witającego w około p. Piotra, zbliżającego się wprost ku niej, zajaśniała jak słońce u wschodu, purpurą. —

— Czy między towarami całego Wschodu jest co takiego, coby mogło być ozdobą, coby nie zgasło przy pani? — zapytał z umizgiem p. Piotr pannę Dorotę.

— Wiele potrzeba dla družki pańskiej narzeczonej, a pokrewnej mojej starościanki, by jej ten piękny dzień uweselić... i pan nie zechce by družka zgasa zupełnie przy pannie młodej. —

— Jeżeli pani ma wzgląd jaki także na mnie, jeżeli pani raczyłaby mi także dzień jaki, nie jeden, uweselić, to niech pani podwójny zapas u Turka zamówi, aby starczyło pani na wyprawę... bo były narzeczone starościanki, nie jako družkę swoją, lecz jako pannę młodą pragnąłbym widzieć panią, byłby mi to dzień najpiękniejszy!

— Bałamut pan, nie wierzę, zawsze ja chcę być pierwiej družką starościanki — dodała zakłopotana.

— Nie wierzy pani? nie dobra! wszak starościanka sama zerwała ze mną, zażądała zwrotu pierścionków, ot jak pani widzi na palcu moim.

Panna Dorota rzuciła okiem na pierścionek znany jej dobrze, pokraśniała bardziej, i zwracając się żywo do matki, rzekła wesoło:

— Pan Piotr jedzie od starostwa.

— Czy nie będą na jarmarku? co tam słyhać czy zdrowi? — pytała pani Wojska.

— Właśnie polecili mi z uniżonym ukłonem zaprosić panią Wojskę dobrodziejkę do siebie na dni parę — odrzekł p. Piotr, kłaniając się z uszanowaniem przed panią Wojską — sami nie będą na jarmarku, wszyscy zdrowi.

— Wszak mieli wiele rzeczy do wyprawy kupować jeszcze.

— Zapewne zatrzymają się z wyprawą — ciągnął z naciskiem p. Piotr — bo starościanka zażądała odemnie zwrotu pierścionków, dostałem kosza.

— Co? co? co? — zapytało kilka głosów.

Pan Piotr odpowiadał w około, a panna Dorota stojąc na uboczu, przeglądała w zamyśleniu towary Turka, który wbrew zwyczajowi swemu, odrzucił cybuch, zerwał się z otrętliwości swojej, nie spuszczać się na swego Greka usłużnego, sam z niezwykłą ruchliwością podawał towary pannie Dorocie, pożejając ją oczyma.

Był to tryumf nadzwyczajnej piękności panny Doroty. I gruchnęła wnet pogłoska w Ułaskowcach,

a ztąd po całej okolicy, że p. Piotr dostał kosza od starościanki, że pani Wojska wyjechała do starostwa na dni kilka, że p. Piotr nieodstępnie towarzyszył p. Dorocie, a za nim jak cień, mój krewniak Rawicz.

Gdybym był francuzkim romansopisarzem, wyśnułbym z tego prawdziwego zdarzenia tomów kilka; tak jako kronikarz sucho wam powiem, że za kilkanaście miesięcy w domu starosty wspanialsza niż poprzedzająca uczta trwała tydzień cały, bo tą razą nie zaręczyny, lecz ślub starościanki z Rawiczem.

Znowu rznąła kapela od ucha, znowu lał się węgrzyn i bito z moździerzy, kiedy po licznych toastach powstał starosta z pełnym kielichem zapowiedzieć świeże zdrowie.

— Panowie! należałoby nam wypić družbów zdrowie. — (Družbą był p. Piotr, i ja ośmnastoletni chłopak już wtedy, a bliski krewny Rawicza). — Ale czyż warto pić zdrowie bałamutów? Starszy p. Piotr, bałamucił mi córkę czas jakiś, a z młodszego, Bóg wie, co za bałamut urośnie pod tym mundurkiem! — (byłem już w mundurze kadetów) — więc wypiję tylko pod warunkiem, jeżeli przyrzekną nie być bałamutami.

Na to podskoczył p. Piotr do starosty, począł go całować w rękę, dalej pobiegł do pani Wojskiej, ukląkł i począł całować po nogach, i wreszcie poleciał do družki, do p. Doroty, ukląkł, złożył ręce jak do modlitwy — i zawołał:

— Tu zbawienie jedyne dla bałamuta!...

Panna Dorota rozpromieniona jak poranna zorza, zakłopotana, spuściła oczy na niego.

— Dosiu! — rzekła pani Wojska do córki, zostawiam ci wolność zupełną.

Na to panna Dorota z anielską słodyczą podała piękną rączkę p. Piotrowi, którą on nie zaniedbał obsypać całusami.

I stanęła piękna para obok siebie zwracając oczy wszystkich pełne podziwu.

— Ha! kiedy tak się mają rzeczy — ciągnął dalej przygotowany starosta — to wypijmy pierwiej zdrowie tej pary narzeczonej! Ale znowu pod wa-

runkiem, by bałamut nie latał dłużej, by wesele było za miesiąc najdalej, o co pokornie proszę wielmożną Wojskę, miłą krewniaczkę moją, jeżeli nas wszystkich tu obecnych życzy sobie mieć na weselu w swym domu.

Nie mogła wymówić się pani Wojska na takie zakłęcie. Starosta wychylił kielich z trzewiczka panny Doroty. Zagrzmiały mōździerze, wrzała huczna kapela. Jak w tęczę patrzałem w pannę Dorotę, która obok pana Piotra stała z pół godziny bez jednego trzewika, słuchając jego szeptów, dozwolewszy mu jednej ręki do gorących całusów.

A kiedy przyszła kolej na mnie wychylić kielich, zdało mi się, że z węgrzynem przez gardło przełykam żółć i lzy moje. Dziwne miotały mną uczucia, to zazdrość, to błogosławieństwo dla miłej istoty. —

Wreszcie przemogłem siebie; widząc szczęście na jej obliczu, oszołomiony winem, natchniony jej widokiem, zdobyłem się na odwagę, przemówiłem śmiało do starosty.

— Teraz ja śmiem prosić Jaśnie Wielmożnego starostę o wypicie zapowiedzianego zdrowia družbów, jeden już przestał być bałamutem i przysięga stałość niebiance swojej; drugi ja — przysięgam chociaż młody, stałość i wierność mojej wybranej — bog-dance.

Wszystkie oczy zwróciły się na mnie z uśmiechem, jakby pytając o imię tej mojej wybranej.

Wtedy cisnąc silną prawicą rozkołysane piersi, jak gdyby mi pęknać groziły, podnosząc kielich wypróżniony drugą ręką, wyrzekłem silnie, stanowczo :

— Tak jest, przysięgam żyć tylko dla niej, dla mojej wybranej, żadnej prócz niej znać nie będę, a nią jest — ojczyzna moja!!

— Niech żyje! niech żyje nasz młody chwyt! — zawołali, wypili, uściskali, a nawet kobiety piły zdrowie moje i ścisnęły dłoń moją.

Żadne jednak uściśnienie tak piersi mojej nie ożywiło jak uściśnienie rączki panny Doroty, mimo-woli padłem przy dotknięciu tej rączki na kolano. Z tem uściśnieniem palącym dłoń moją pobiegłem pod Raclawice, na Samo Sierę, pod Lipsk i na szanice



Warszawy, czuję dziś jeszcze na dłoni to palące uściśnienie, chociaż nie złamałem przysięgi mojej dla mojej bogdanki i nie złamię! póki krwi kropla płynie w żyłach moich.

— Złamałeś kapitanie — zażartowali słuchacze — pięć promieni z pięciu dołków p. Doroty, dwa słońca jej ocz siólkowych, zraniły ciebie bardziej niż gerylasówki hiszpańskie, włos jej soboli obmotał serce twoje jak skorupa ślimaka.

— Ha! rozpustnicy! dodajcie węgryzna, niech się zamaskuję przed wami. U was uczucia kładą się na wagę złota albo rozkoszy, wam potrzeba romanśów albo użycia, a panować nad namiętnościami waszemi, a wytrwać w niedoli, a pracować wytrwale nie umiecie, pieszczochy!

— Sprechen Sie deutsch, kapitanie! aby ludzie nie rozumieli, ależ powiedz nam, co się stało z panną Dorotą! nie dąsaj się, powiedz kapitanie! prosimy.

Kapitan wychylił kieliszek, potarł czoło i mruczał dalej jakby do siebie.

— Wielkie szczęście zwykle trwa krótko na ziemi. Panna Dorota po dziesięciu lęciach najszcześniejszego pożycia (widziałem ich parę razy, raj to był w ich domu) owdowiała.

— Dolejcie mi sąsiedzi!

— I nie złamałeś przysięgi twojej i wtedy!

— Bluźniercy! jam walczył pod orłami wielkiego cesarza. P. Piotr zostawił dwóch dorodnych synów, oba byli w powstaniu roku 1831, jeden z nich żyje jeszcze.

— A panna Dorota?

— Jeżeli się modlić umiecie, zmówcie Anioł pański, albo raczej módlcie się do niej, pewnie między świętymi.

## II.

Stary nasz kapitan lubiał grywać wiseczka — a bywał to wiseczek nie taki jak dzisiaj pytlowany. licytowany, z kólkami wykładanemi, gdzie wszystko

widocznie jak na talerzu. Zwykle milcząco, poważnie jak do ważnego aktu, zasiadało czterech graczy; każdy wydobywał z woreczka cztery monety jakiegoś pamiątkowe, (kapitan swoje napoleondory, komornik cwancygiery z Matką Boską) do markowania lew i honorów.

Po zadaniu pierwszej karty nastawała cisza zupełna; obowiązkiem partnera było poznać z karty wygranej, czy to inwit, czy miejsce stosowne do impasu, czy wypada na powrót odegrać kolor — a pomylić się w rachubie — broń Boże! — Ztąd wyrażały się w czasie rozdawania kart, między partjami i robrami, żwawe sprzeczki, które nieraz hałaśliwie wyrastały do wielkich rozmiarów, tak, że milczący widzowie i słuchacze powątpiewali nieraz o harmonii graczy i nie dopuszczali, by partyjka złożyła się kiedy znowu.

Ale gdzie tam; — następnego wieczora znowu te same kłótnie, te same sprzeczki; tylko z ostrzeżeniem wstępnem: — A uważaj pan lepiej dzisiaj! — komorniku.

— Kapitan sam nie liczy, nie pamięta, a czepia się do ludzi — po co śpiewać przy grze?

— Ja cicho sobie pod nosem — to nie przyczyna żeby zapominać o inwicie, a kiedy p. Konstanty swoje „i szumyt i hudyt“ ciągle mruczy, ja przez to nie zapominam o inwitach, i karty raz zadanej, nie cofam nigdy!

A przecież, mimo całej powagi i milczenia, gracze mimowolnie zdradzali karty swoje w rozmaity sposób.

Kapitan mając złe karty, nucił zwolna: „Przyszli Niemcy do kraju — według swego zwyczaju,“ gdy miał lepsze karty, na żywsze tempo śpiewał: „Przez Tarnopol i Brzeżany, przez Rohatyn aż do Stryja!“ — a gdy miał jeszcze lepsze, bardzo dobre, to siedział cichutko, tylko od czasu do czasu lewego wąsa podstrzępiał palcami — p. Konstanty zaś, gdy miał nie złą kartę, nucił z cicha: „Wid światłyci do światłyci, taj wid seła do seła,“ gdy miał lepszą, to żywiej i głośniej: „I szumyt i hudyt“ — a komornik, ściśle niby to przestrzegał przepisów,

ale gdy mu przyszła lepsza karta w miarę tego, o ile była lepszą, posuwał się na krzesło i z krzesłem do stolika, to od stolika — aż nieraz trzeszczało krzesło. Proboszcz zaś, ten mając złą kartę, poziewał — lepszą mając, patrzył po graczech na wszystkie strony wesoło.

Tak zdradzała się zawsze tajemnica, ale nie było na to rady, bo nie było reguły w dziele Choila obejmującej te wypadki.

Gdy zaś kapitan zwyciężył, wołał zwykle przed wypłatą: Płać panie Polak, kota nie maluj, nie poziewaj, krzesła mi nie psuj — płac panie Polak, kota nie maluj!...

— To wszystko dobrze, kapitanie; ale śpiewasz: „Przyszli Niemcy do kraju” a nie opowiesz nam nigdy jak to było -- i co to znaczy „kota nie maluj?”

— Stare facecje — czy nie wiecie?

— A gdzież my to pamiętamy; — opowiedz kapitanie.

— Chłopcze! daj wina — no — to słuchajcie...

— Po zajęciu Galicji przez Austryję, utworzyło się pole dla wędrowców germańskich.

Tam naszpikowana buda żydowska wysypała na raz jak trojański koń ze siebie całe towarzystwo, to pojedynczo, to po dwóch, to po trzech, przemyka się żwawym krokiem generacja młodsza z cielęcami torbami na plecach, — tam znowu czuła rodzina wózek otacza mały, na wózku drobne szwabiatka, a ciągnie wózek pies chudy; — słowem, jak szarańcza piesza i lotna spada na żyzne pola plemię teutońskie.

Tendencja to była rządowa, by świeżo nabyty kraj napełnić swojemi ludźmi. —

Dobra koronne, stołowe, starościńskie, zakonne, funduszowe, zabrał rząd na kamerę, — żupy solne na własną gospodarkę, w miasteczkach znaczniejszych ustanowił cyrkule; potrzeba było więc Kreishauptmannów, kreiskomisarzów, kreiskancelistów, kreisdragnów i t. d., potrzeba było ferwalterów, kasjerów, kontrolorów, oberfersterów, unterfersterów i t. d., potrzeba

było polizeidyrektorów, polizeirewizorów, landratów, financratów, apelationsratów i t. d. i t. d. — którzyby wszyscy wiernie kochali rząd, i po niemiecku urzędowali, którzyby ściągali także swoich krewnych i znajomych za sobą. —

Grunta dominikalne w kameralnych dobrach rozdano na własność kolonistom germańskim, aby cywilizowali lud wiejski; słowem, w lat parę germanizm wciśnął się nowym klinem w biedną Słowiańszczyznę! —

Otóż — zawsze wesoła i dowcipna, chociaż już dobrze nie młoda, jedzie razu pewnego sobie dworno i okazałe do Stanisławowa pani starościna Kosakowska z domu Potocka. Obok niej w karecie panna Róża, skarbnikówna Buska, powinowata; — szesnastoletnia, smagła, dorodna, czarnowłosa dziewa, z ciemnym okiem i dziubkami na pełnej twarzy, żywa, i takiego wdzięku co to nie gaśnie i w późniejszym wieku.

Kiedy minęły Rohatyn i gwarzą tak sobie swobodnie, w tem wyjrzy starościna z karety, a tu drypcze po błocie obok chudy Niemczyzna w ciasnych porteczkach, w kusym fraczku, z wysokim kapeluszem na głowie i cielecą torbą na grzbiecie. —

Starościna kazała stanąć. —

Wnet przyskoczył barczysty szlachcic, pokojowiec starościny, pytając o rozkazy.

— Zaproś Wasze tego Niemczyka tu do mnie.

Panna skarbnikówna opowiadała później, jak Niemczyk zakłopotany kłaniał się niziutko przed pokojowcem, jak zrozumiawszy wreszcie o co chodzi, przystąpił nieśmiało do karety, i zdjawszy pokornie kapelusik, patrzył w starościnę milcząco.

— A z kąd Bóg prowadzi panie Niemcze?

— Von draussen aus Böhmen, Frau Gräfin!

— A dokąd, jeżeli wolno wiedzieć?

— Nach Stanislaw zum Kreisamt, Frau Gräfin!!

— A to siadajże Waćpan ze mną, siadaj, — ja starościna dawna, a ty będziesz pewnie wkrótce starostą nowym — siadaj — siadaj, a pamiętaj, jak będziesz stałostą, żebyś mi nie buntował chłopów.

Bo trzeba wam wiedzieć, że Niemcy rozgospodarowawszy się w kraju, wkrótce nad nim rozwiesili swoją dewizę: „Divide et impera.“ — Schlebiali chłopom i brali w opiekę przeciw panom, a podchlebiali szlachcie, dawali tytuły, na co zawsze szlachta nasza łakoma. Zaprowadzili jakieś postulatowe sejmy, na których nikomu nie wolno było mówić, tylko trzeba było wysłuchać wszystko, co gubernator Niemiec podyktował, przeczytał i powiedział, trzeba było ukłonić się raz, drugi i trzeci, trzeba było być na obiedzie u gubernatora, u prymasa i u marszałka, a jeżeli ktoś tak się wyrwał do mowy jak p. Urbański z Komborny, to dostał upomnienie od gubernatora, że mówić nie wolno, tylko słuchać trzeba, i kwita.

Szlachta zniewieściła pod rządami Stanisława Augusta, ogłupiała do reszty; chwyciła tytuły hrabskie, marszałkowskie, baronowskie i Bóg wie jakie; — karmiła, poila i smarowała lada kreiskancelistę, by mieć spokój z chłopami; płaszczyła się, uczyła dzieci po niemiecku, a przybysze teutońscy śmieli się w duchu, poniewierali krajowców!

Jaka szlachta była zawsze łakoma na tytuły, wyobrazicie sobie łatwo z tego zdarzenia. Kiedy ten sejm postulatowy, trzydniowy, miał się rozpoczynać, szlachta sadząc się na ekwipaże, wyrzekłszy się strojów narodowych, poprzebierawszy służbę w liberje różnych barw, podług obyczajów zagranicznych, ciągnęła za gubernatorem i prymasem długim szeregiem przed katedrę lwowską, gdzie się solenne odprawiało nabożeństwo.

Dowódca miejskiej milicji, major Kiereczyński szedł na ulicach, aż na Krakowskie przed akademię swoich grenadjerów, fiziljerów i strzelców, w katedrze bractwa i cechy stały przy chorągwiach swoich.

A był nadjechał z Podola szlachcic Bajkowiecki, ciekawy widzieć tę paradę, wcisnął się do kościoła i stanął sobie obok chorągwi krawieckiej.

Z drugiej strony — naprzeciw krawieckiej chorągwi, stała chorągiew jakiegoś bractwa, raczej siostrzyczek jakichś, bo ją trzymała ładna mieszczaneczka.

Wszystko to obojętne było dla p. Bajkowieckiego, w jego oczach błyszczały tylko złote szlify mundurów stanowych, w jego uszach z kościelnym chórem brzmiały tylko tytuły sąsiadów jego, których widział przed sobą — a łowczy, a krajczy, a cześnik, a skarbnik, a podkomorzy, a marszałek! a on co? nic! — prosty Bajkowiecki! — Nieborak westchnął! — westchnął także obok niego krawczyk dorodny przy chorągwi — i westchnęła naprzeciw przy chorągwi ładna mieszczańeczka; czy może także pragnienie tytułów rozkołysało te dwoje piersi?

P. Bajkowiecki oglądnął się i dojrzał jak te dwie wdychające osoby kłaniając chorągwiami pilnowały siebie oczyma, jak równocześnie spuszczały chorągwie, i dotknąwszy się końcami, podnosiły je równocześnie, zawsze oczyma zwrócone ku sobie.

P. Bajkowiecki znał się na piękności — mile spoglądał na mieszczańeczkę — ale cóż? zawsze myśl panująca, tytuły, szlify, ordery — jak fura siana zajeżdżała mu głowę — znowu wyteżył oczy przed siebie na szczęśliwych sąsiadów swoich, a co go gorszyło nie mało, to że p. skarbnik buski powinowaty jego, nie przystroił się w mundur, tylko wystąpił w kontuszu po staroświecku.

W tem coś dotyka się ledziutko ręki jego i szepcze słodziutko: panie dobrodzieju! — Oglądał się i zachmurzył — to krawczyk śmiał się dotknąć ręki jego; gdyby on był w mundurze stanowym — pewnie byłby się nie odważył krawczyk dotknąć jego szlacheckiego ramienia!

Jeszcze bardziej się zachmurzył i odwrócił się rubasznie.

Aż tu znowu ten sam głosik słodziutki — Panie dobrodzieju! mam konieczną potrzebę wyjść na chwilkę tylko, proszę potrzymać chorągiew, tylko chwileczkę.. Pan Bajkowiecki oglądnął się zachmurzony, a zobaczywszy na twarzy dorodnego krawczyka wyraz pokory i niepokoju, widząc w ruchach jego wielką niecierpliwość, pomyślał sobie: trudno w nagłej potrzebie nie politować się nad bliźnim, zwłaszcza w kościele... zresztą w takim natłoku kto tam dojrzy w czyim ręku chorągiew krawiecka, korona nie spa-

dnie mi z głowy — i przytrzymał chorągiew nieznacznie, a przystojny krawczyk ukłoniwszy się grzecznie, z miłym uśmiechem znikł w ciżbie.

Ale nie tylko ta myśl chrześcijańska przesunęła się po pod czupryną p. Bajkowieckiego, przypomniał sobie, że trzymanie chorągwi krawieckiej daje mu prawo patrzeć w oczy ładnej mieszczaneczki — a nawet w najgorszym razie dotykać swoim końcem chorągwi koniuszka jej chorągiewki... Kiedy nagle ktoś mu mruknął nad uchem: A czego stoisz gamoniu, kłaniają chorągwiami! — Już chciał na odlew odpowiedzieć po podolsku temu gburowi, kiedy z drugiej strony doleciał go cienki głosik:

— I cóż tam się gapisz osle! kłaniaj chorągwią! Nie było rady — trzeba było uleść presji, objawiającej się nawet pod bokami jego, srebrnymi gałkami lasek mieszczan poważnych — cała nadgroda za te obelgi, była w nadziei rozmawiania z ładną mieszczanką; — lecz jakże smutne było rozczarowanie jego, gdy w jej miejscu spostrzegł zyzowatą chudą babinę, której to zapewne piskliwy głosik interpelował go tak dosadnie.

Złamany na duchu tą nagłą metamorfozą z buznego szlachcica stał się automatem; kłaniał chorągwią ile razy potrzeba było, daremnie prosił stojących obok, by przyjęli w ręce ten sztandar krawiecki — rzucić na ziemię poświęcany obraz w kościele — herezja! przyjąć nikt nie chce: „Kiedy się obrałeś grzybem, to leż w kosz — a co to ja twój sagas, jak ty tam jakiegoś magnata...” były odpowiedzi. — I tak ocierając pot z czoła, oglądając się za krawczykiem daremnie, przestał całe nabożeństwo, myśląc w duchu, dobrze mi tak, to moje spodnie winne temu! — już mi dwa razy nabawiły kłopotu — trzeba mi było występywać w nich znowu dzisiaj!

Bo p. Bajkowiecki zrzuciwszy niedawno strój narodowy, przebrał się był wedle mody ówczesnej: Buty palone, spodnie łosiowe, kamizola pąsowa, żaboty, chustka biała na szyi z wielkim fontaziem, i frak papuzi z guzikami żółtemi.

Pierwszy raz pokazawszy się w tym stroju na jarmarku, zagadnięty został przez kupców końskich dalszych po niemiecku, co była zniewaga nie mała,

i na co fuknąwszy się zuchwale, o mało nie został przetrzepany furmańskimi batogami; — drugi raz wystąpiwszy w tym stroju na sąsiedzkich imieninach, usiadłszy na cenzurze, usłyszał dwuznaczne: „Łosia obdarł, w łosia się ubrał...” (a był czas dłuższy plenipotentem wojewody Łosia, z kąd urosła znacznie fortuna jego), i znowu gdyby nie wyborby węgryńskie p. skarbnika buskiego, i nie wymowa poważna tegoż, byłby się musiał może rąbać za swoje spodnie łosiowe, wreszcie we Lwowie, gdzie już panowie zaczęli swoich kamerdynerów ubierać w ten sposób, a krawczyk znając się na modzie najlepiej, nie poznał w nim wielmożnego dziedzica Bajkowieckiego, gdzie krawczyk słyszał nie raz ten polonez:

Dawniej wiedziałem komu się uklonić,  
Pan szedł w kontuszu sługa zaś w kubraku,  
Dzisiaj pomyłki trudno się uchronić,  
Bo pan i sługa, obydwaj we fraku.

Gdzie tedy krawczyk ośmielił się podciągnąć pod chorągiew krawiecką szlachcica podolskiego, dostającego spóźnione wiadomości o zmianie mody.

Wszystko to winne te spodnie moje szelmoskie! — pomyślał — jak tu nie wierzyć w złe i w dobre fata? — i złamany na duchu, pokorny, spocony jak gdyby wymłócił własnoręcznie całą kopę swojej pszenicy podolskiej — dotrwał do końca, co mu też zostało policzone za największą zasługę, chociaż nie w niebie — to przynajmniej w Galicji.

Bo kiedy przetrwał już najcięższe chwile, kiedy po skończeniu nabożeństwa całe świetne towarzystwo przechodziło koło niego, a on stał skulony jakby się chciał skryć przed oczyma sąsiadów i znajomych, kiedy mijając go sąsiad krajczy, sąsiad łowczy, sąsiad cześnik, udali, że go nie poznają, jeden pan skarbnik buski oglądnięwszy się — poznał go, przystąpił, powitał uprzejmie.

— I ty tutaj, panie Bajkowiecki — jak się masz? ale jaki ty nabożny, trzymasz jeszcze chorągiew, no — chodź już — weźcie panowie bracia chorągiew od p. Bajkowieckiego.



Na przemówienie skarbnika przystąpiło kilku mieszczan poważnych i sam cechmistrz odebrał chórągiew z rąk jego, kłaniając się z uszanowaniem przed skarbnikiem, jako znanym i powszechnie poważanym obywatelem z pode Lwowa. —

Pan Bajkowiecki odetchnął głęboko jak więzień wypuszczony z kaźni, i szedł obok skarbnika jak dziecko za matką.

— No — do widzenia się — zapewne stoisz u Kurnika, — spodziewam się, że za parę godzin skończy się ta komedia sejmowa, i ty pojedziesz do mnie na noc — za dwie godzin będziemy w moim domu.

Pan Bajkowiecki przyjął z podziękowaniem serdecznem zaproszenie skarbnika, ale nie stał u Kurnika tylko leżał przez tych kilka godzin jak po parnej łaźni, jak po malignie — rzeczy kazał spakować, fatalne spodnie darował stróżowi w oberży, czekał tylko przybycia skarbnika, by ucieknąć ze Lwowa. I czekał nie długo, — w kilka godzin przyszedł skarbnik zachmurzony.

— Jedźmy, już oni mnie tu nie zobaczą więcej na tej niemieckiej komedji, jedźmy! za dwie godzin spoczniemy pod mojemi polskimi lipami — jedźmy!

I rzeczywiście za parę godzin wjechali na zielony dziedziniec dworu pana skarbnika. Rozjaśniło się czoło p. skarbnika na widok domu własnego.

Brytany na łańcuchach zwietrywszy przybycie pana nadszczekiwały wesoło, żrubaki biegnąc po dziedzińcu, obskoczyły czwórkę skarbnika, witając wracające koniki, z gumna wyglądął wąsaty ekonom i gumieny stary, jakby czekając na rozkaz, a na ganku całe grono dzieciak skarbnika, zbliżało się po starszyźnie całować rękę jegomości.

Po wąsatyach trzech braciach, po starszej siostrze przystąpiła panna Róża, za nią młodsza siostra, a w końcu najmłodszy kilkuletni Romcio.

— Jak się matka ma? zapytał skarbnik.

Pani skarbnikowa zapadała często.

— Jejmość ma się lepiej, przechadza się w sadku wiśniowym.

(Był zwyczaj starodawny w domu skarbnika nazywać gospodarstwo jejmość i jegomość.)

— Moje panny, przedstawiam wam pana chorążego Bajkowieckiego.

Skarbnik w drodze od Bajkowieckiego dowiedział się o całej katastrofie, uśmieł się serdecznie, nazywał go ciągle chorążym, i w ten to sposób p. Bajkowiecki przyszedł sposobem łatwym do tytułu, który mu tak zasmakował, że byłby się obraził później, gdyby kto był zapomniał nazwać go chorążym.

— To taki był chorąży p. Bajkowiecki? — wtrącił komornik, — a czemuż nam tego nie powiedziałaś pierwej. Kapitanie, wszak ja sam pisząc listy do niego tytułowałem go chorążym, to było nielegalne!

— Czy legalne, czy nielegalne, jeden to djabeł! — odfuknął kapitan wychyliwszy kieliszek wina — czy owi legalni tytułowi nasi czynią kiedy zadosyć obowiązkom, jakie wkłada na nich tytuł? Byłe go złapać, byłe dogodzić swej próżności, a potem...

— Ależ kapitanie, skończ nam historję o szwabiku, czy nie kazała go pani starościna Kosakowska skąpać na przewozie w Martynowie.

Pani starościna Kosakowska, jak wam już mówiłem, słynna była z dowcipu i dobrego humoru. Takie kobiety nasze, tak jak i Francuzki, chociażby nie młode i nie ładne, tak umieją się zastosować do każdego wieku i tak ożywić towarzystwo, że wciągną najchłodniejszego w tok swoich myśli.

Wsadziwszy do karety sobie żarcikiem niemczyka i widząc w mowie jego dosyć szczerości, w oku błękitnem dosyć poczciwości, dowiedziawszy się, że nazywa się Franc Mühlbach, że jest synem biednego mielnika w Niższej Austrii, że był bezpłatnym praktykantem przy cyrkule w Czechach, a teraz w nadziei 200 zł. rocznej płacy zdąża do cyrkulu w Stanisławowie, poczęła starościna nieznacznie przechodzić do wykładu obowiązków, jakie człowiek ma dla ziemi, która go żywi, dla towarzystwa, w które wchodzi. Nie przepomniała wyświecić uważnemu słuchaczowi krzywd, jakie szczep słowiański ponosi zdawna od germanizmu, przyczem także nie zaniedbała bąknąć o możebnej porze odwetu na wzór Grunwaldu i psiego pola.

Słowa starościny nie padały na rolę niewdzię-

czną; po kilkugodzinnym popasie na przewozie w Siwce, nakarmiony dostatnio z podróźnej kuchni starościńskiej dwudziestodwuletni młodzieniec, czuł się w dalszej podróży jakby w rodzinnem kole, a przyznać potrzeba, że nienawistny nam ten żywioł germański w ustroju państwowym, łakomy i zaborczy w politycznem stowarzyszeniu, ma w domowem życiu pewne cnoty łagodności i ludzkości.

Tem chciwiej połykał Niemczyk słowa starościny, ile że straciwszy matkę w bardzo młodym wieku, wyobrażał sobie, że słyszy nauki matki.

Nawet skarbnikówna, zrazu żartobliwa i pusta słuchała uważnie, i nie patrzyła już tak pogardliwie na Niemczyka.

Tak zajechali już późnym wieczorem do Stanisławowa. — Tu trzeba było jeszcze na dobitek, by Niemczyzna, do wsiadania i wysiadania z karety nie nawykły, a otarłszy się o ludzi wyższego towarzystwa, chcący się okazać zgrabnym, w korwetach i ukłonach wyskakując, naruszył sobie nogę tak, że począł utykać.

Dostrzegła tego starościna; a że kobiety od czasu Samarytanki, łatwo w sercach swoich dają przystęp litości dla wrogów nawet, więc starościna kazała Niemczyka troskliwie odprowadzić do oberży, kazała dworzaninowi swemu na swój koszt pielegnować go starannie do czasu wyzdrowienia, i na nowe gospodarstwo, jakby basarunek jaki, wypłacić mu pięćdziesiąt czątych.

— Wolałaby była kazać mu wyliczyć pięćdziesiąt bizunów i napędzić tam, zkąd przywędrował — wtrącił pan Konstanty — a basarunek mogła była posłać n a c h D r a u s e n.

— Ba! zapewne, tybyś tak zrobił panie Konstanty, ty to umiesz doskonale, ale u kobiet inne zwyczaje, inne prawa, inne ustawy.

— *Mulier vult decipi* — bąknął komornik.

— Nawet skarbnikówna Róża dowiadywała się pilnie o zdrowie towarzysza podróży, i wyraziła się, że szkodaby była, gdyby taki ładny Niemczyk ochromiał na całe życie...

— Ale się wylizal Niemczysko? nieprawdaż —

Un kraut verdirbt nicht — wedle ich przy-  
słowia.

— Przeciwnie — przeciwnie! kuleje do dziś  
dnia.

Minęło lat kilka. — Starościna zapomniała o Niemczyku, którego dla żartu wsadziła była sobie do karety; myśmy z wielkim cesarzem Francuzów przebiegali zwycięzko w różnych kierunkach Europę, kiedy po rozbiciu Prus, a upokorzeniu Wiednia, wkroczył oddział konnicy z korpusu księcia Józefa do Krakowa, i małemi partjami rozsypał się po Galicji, w zamiarze przyłączenia tej oderwanej dla Austrii części naszej wielkiej ojczyzny napowrót do księstwa Warszawskiego — był to rok 1809.

Śp. pan Józef Zaremba najlepiej skreślił ten ustęp krótki w annałach galicyjskich swoim humorystycznym wierszykiem:

Pod Złoczowem na pagórku  
Zeszło się dwa szwaby;  
Ach! wie geht's dir lieber Bruder,  
Bo ja bardzo szlaby.  
Und mir geht es auch nicht besser  
I ja drugi taki,  
Jakże można być tu zdrowym,  
Gdy idą Polaki...  
Pamiętasz ty rok dziewiąty,  
Die verfluchten czasy,  
Kiedy przyszło sieben Polak  
Mit grossem hałasy!  
Jeden kichnął, drugi krzyknął,  
Trzeci stuknął w dloni,  
Aż tu nasi braw soldati,  
Hajt wszycki na koni!...

Rzeczywiście — parcie zwycięzkiej armji cesarza Francuzów działało silnie na kilkadziesiąt mil przed siebie jak prąd elektryczny; — z jednej strony śmiałym rodakom naszym dodawało otuchy; tem bardziej, że na własnem śmieciisku, — z drugiej strony, pani-

czną trwogą przejmowało zaborców nieprawych, bo mówią: na złodzieju czapka gore!

Jak stado wróbli na przelot sokoła, jak plewa rozlatuje na podmuch wietrzyka, tak napływ biurokracji germańskiej pierzchał na widok chorągiewek polskich.

Tam śmiały wachmistrz Jaszczold z pośrodka nieprzyjaciół obozu porywa generała niemieckiego Knoringa na konia i uwozi; — a zdemoralizowana brygada wrogów cofa się ku Bukowinie; — tu trębacz zuchwały samotrzeć, zamaskowany kurzawą pędzonego stada świń, wyplasza głośnem trąbieniem bataljon piechoty z cyrkułowego miasta, objeżdża takowe w różnych kierunkach i zamawia kwatery dla polskiego pułku, którego nikt nie doczekał się później; tam znowu kilkunastu krajowych ochotników pod wodzą siedmiu ułanów, opanowują miasto cyrkułowe, wprowadzają starostę Polaka, wywożą na drewnianych kobyłach zaskoczonych beamterów, odbierają kasę dosyć próżną, a nad kasą malują kota z olbrzymimi pazurami i z podpisem: „Oto kasjer austriacki!“

Słowem, ruch gorączkowy zapanował w przebudzonej Galicji.

Szlachta ocknąwszy się z letargu, formowała nowe pułki, Potockiego, Rozwadowskiego, ekwipowała własnych poddanych i dostawiała do tychże, zaciągała się sama na ochotnika, odbierała dobra kameralne pod własny zarząd, obsadzała opróżnione przez Niemców urzędy, a nocami, ścieżkami, lasami, germanizatory przemykali ku węgierskiej granicy.

Zaraz w chwilach pierwszych tej ruchawki, pan skarbuik buski, blisko stolicy osiadły, dostał upoważnienie odebrania dóbr kameralnych pod swój zarząd.

Nie usunął się od poleconej mu czynności, objechał dobra kameralne, grzecznie wysłuchał sprawozdania zatrwożonych terwalterów, powierzył im nadal (ku wielkiemu ich zdziwieniu) pełnienie służby, pod warunkiem składania raportów osobiście, czego nie zaniedbali bynajmniej z wielką wdzięcznością i uniżonością, i powrócił do własnych włości. — Nie o takiej polojowej służbie marzył on dla ojczyzny.

Przed laty trzydziestu kilku wybiegłszy z do-

brzyńskiej ziemi — tego gniazda Nałęczów — on w barskiej konfederacji „bywał pod wozem ale i na wozie,” osadziwszy się na pode lwowskiej ziemi wychował na to trzech synów dorosłych aby ich osobiście poprowadzić w szeregi przy czerstwym zdrowiu mimo lat sześćdziesięciu, nie na to dwa solwarki swoje wzorowem gospodarstwem urządził jak zegarek, by je nie mógł powierzyć na czas jakiś ekonomom starym, nie na to zesypał do woreczków kilka tysięcy złotych czerwonych by pleśniały, kiedy ojczyzna potrzebuje prócz ramienia — złota.

Długo w noc chodził pan skarbnik po swoich pokojach, pomuskiwał wąsa, gładził się ręką po krzyżach, uśmiechał się do starej augustówki, próbował zamków tureckich pistoletów i przespawszy się tylko parę godzin, raniutko przywołał najstarszego syna.

— Panie Janie, chociaż to ty paliwoda, ale jako najstarszemu synowi należy ci się, byś wyręczył ojca! — Weź sto czątych do kieszeni, weź waszą czwórkę (panicze mieli swoją czwórkę, jegomość swoją, a skarbnikowa z córkami swoją), weź waszego furmana i lokaja i jedź mi zaraz do Lwowa, postaraj mi się tam, aby nadzór dóbr kameralnych przydzielono komu innemu, dowiedz się co się tam dzieje z formacją pułków nowych i powracaj mi wcześniej przed wieczorem.

Pan Jan ucałował rękę jegomości z uszanowaniem, uśmiechnął się wesoło, i za pół godziny już był na bryczce.

Pan skarbnik wszedł do pokoju córek. Panna Róża z młodszą siostrą, schludnie poubierane, siedziały przy robocie ręcznej (najstarsza była już wydana).

— Dzień dobry moim panienkom, jak się spało?

Panienki podskoczyły ucałować rękę jegomości.

— No dobrze, widzę po waszych rumianych buziach, a jak tam kasa moja stoi Róziu (panna Róża była kasjerką ojca).

— Cztery woreczki z dukatami są pełne po tysiącu, a w piątym, z którego nadebrał teraz Jasio z rozkazu jegomości sto dukatów, zostało czterysta. Miedzaków jest pięć woreczków po sto florenów. Pan

skarbnik składał u córki zawsze dopełniwszy setkę dukatów i setkę miedzią florenów, a bankocetle niemieckie nosił przy sobie.

— Dobrze, dobrze moja panno, ucz się składać i liczyć, jak mnie czasem nie będzie w domu dłużej, abyś umiała zdać rachunek, bo matka cierpiąca nie może się kłopotać wszystkim.

Wyszedł wesół, dosiadł żwawo ulubionego de-resza, wyruszył w pole i na drugi folwark o pół mili.

Tu nakazał staremu ekonomowi, by nie spuszczał się na dyspozycję, by sobie podług zaprowadzonego porządku sam umiał dać radę, kiedy jemu samemu w sprawach dóbr kameralnych wypadnie wyjechać czasem na dłużej z domu. — Tak dzień zeszedł; — pod wieczór pan skarbnik począł się niecierpliwie, ciągle wyglądał przez okno, wychodził na ganek, na podwórze, za podwórze, na drogę, a pana Jana jak nie ma tak nie ma.

Już i noc późna, wszyscy posnęli, pan skarbnik nadśluchuje czy nie zaszczekają brytany — cicho i cicho, a pana Jana jak nie ma tak nie ma. Raniutko pan skarbnik woła młodszego syna.

— Ten pan Jan to szalapat, posłałem go do Lwowa, a on się gdzieś zawieruszył między pannami pewnie. Ty choć młodszy panie Wincenty ale sensat jesteś, weź moją czwórkę, mego surmana i lokaja, weź sto czątych od Rózi, i jedź mi do Lwowa, odzyskaj pana Jana i wracajcie oba wcześniej, bo was potrzebuję w domu.

I pan Wincenty wyruszył żwawo, ale nie powrócił tak samo.

Pan skarbnik wyczekiwał i dzień drugi i noc drugą daremnie powrotu synów!

— Co u licha ci młokosy myślą sobie, nauczę ja ich mores, jak służyć rozkazu ojca.

Kiedy tak mruży i gdera pan skarbnik, wsuwa się nieśmiało syn jego następujący z kolei wiekiem pan Stanisław, i stojąc pokornie, czeka, póki sam ojciec nie rozpocznie rozmowy.

— Co tam panie Stanisławie, braci nie ma jeszcze ze Lwowa?

— Gdyby jegomość pozwolił, tobym pojechał po nich.

— Co ty? młokosie, utoniesz tam w miastowym wirze prędzej niżeli tamci — przecież pan Wincenty nie to co ty — sensat, filozof, i ani mu to w głowie powracać — o, widzisz go natrę ja im uszu.

Pan Stanisław stał jak trusia.

— Ale zresztą — fuknął pan skarbnik — poproś matki, niech ci pozwoli swojej czwórki i swoich ludzi, i zawołaj mi tu starego Zyburt.

Pan Stanisław wybiegł wesoło, i wnet stawił się stary Zyburt.

— Mości Zyburt! widzisz Wasze, jak mi synowie rozhułali się we Lwowie, weź aspan dwieście dukatów od panny Róży i jedź z panem Stanisławem do Lwowa odszukać tych szalapatów — jeszcze nie dziwię się panu Janowi, to paliwoda, ale pan Wincenty sensat, choć młodszy, powinien był pamiętać o rozkazach ojca.

I znowu rankiem wyruszyła trzecia bryka z trzecim synem pana skarbnika do Lwowa, i znowu pan skarbnik czekał daremnie przez dzień cały z niecierpliwością.

Wreszcie nad wieczorem zadudniło na dziedzińcu; pan skarbnik wybiegł na ganek. — Był to stary Zyburt bez pana Stanisława i bez lokaja skarbnikowej.

— Hej! mości Zyburt, gdzie wać podział moich synów, moich ludzi, moje konie?

— Pan Jan z ludźmi i końmi zaciągnął się do pułku Potockich, proszę pana skarbnika dobrodzieja, a pan Wincenty z końmi i ludźmi, do pułku Rozwadowskich, proszę pana skarbnika dobrodzieja, a pan Stanisław z lokajem jejmości, w mundurach ułańskich byli już obydwaj, kiedym odjeżdżał — proszę pana skarbnika dobrodzieja.

— A niechże ich pan Bóg kocha, jak mnie starego osadzili na koszu — nie mam z kim pokazać się w szeregach — odbiegli mię synowie, i muszę jak dziad jaki siedzieć w domu.

— To jeżeli jegomość zostanie w domu sam, to proszę o pozwolenie, ażebym na własnym koniu moim towarzyszyć mógł panu Stanisławowi.

— Co ty? stary!



— Jak to stary? proszę pana skarbnika dobrodzieja — fuknął Zyburt, prostując drobną figurkę swoją; — wszak jegomość tylko półtora roku młodszy odemnie, a służyliśmy razem pod panem Puławskim, to mogę czuwać teraz nad synem jegomości. I kiedy nie raz płoszyło się Moskale, to można teraz jeszcze przepłoszyć trochę hołodrygów Niemców.

— No no, zgoda, zgoda, tylko to wstyd będzie dla mnie, żeby ja młodszy siedział w domu jak kura na grzędzie — ja silniejszy — i potarł Skarbnik ręką po krzyżach i pokręcił wąsa.

— Jegomość ma córki w domu i Romcia jeszcze malca, a pani skarbnikowa dobrodziejka słabowita, a fortuna piękna, trzeba dla dzieci zachować — przy tem służba krajowa inna jest także — dobra kame-ralne, sejmy, będzie robota i dla jegomości.

— Ta, ta, ta, — to dla kalek, dla niedołęgów, ale ja Bogu dzięki nie ułomek — no, ale kiedy tam już chcesz koniecznie, to weźmiesz bułana sobie ze stajni, na twojej hetce dobrze liczyć kopy, ale nie uganiać za temi szoldrami — a panna Róża wypłaci tobie coś na drogę, aby było coś i na luzaka.

Taka to była wówczas gotowość do korda na wet u starych — i tak ochotnika przyrosło, że wyczyszczono wnet kraj z Niemców, jakby pozamiatał.

Nie długo jednak trwały polskie rządy w kraju. Napoleon kierując się inną polityką, spokrewniwszy się z domem Habsburgów, nie mając zaufania do Polaków, oddał Galicję znowu Austrii.

Nowo poformowane pułki z wyższych rozkazów ustąpiły z Galicji w części do księstwa Warszawskiego, w części do legionów armji wielkiej, a w części rozproszyły się po kraju i osiadły po domach.

Jak mrowie z pod ziemi ściągali się na powrót biurokratyczni germanizatorowie na swoje posady z większą nienawiścią dla krajowców.

Taki kasjer, któremu nad wypróżnioną kasą namalowano kota olbrzymiego z potężnymi pazurami i z podpisem: „Oto kasjer austriacki!“ pewnie starannie wytarł ze ściany kota i napis, ale nie wytarł go z pamięci swojej.

A kiedy poświęceniem dla sprawy krajowej,

kontrybucjami niemieckimi, zdzierstwami, redukcjami, podupała szlachta nie mogła się czasem uiszczyć z podatkiem, kiedy szlachcic jaki słodziutko do pana kasjera takiego przemówił: „Proszę o cierpliwości trochę panie kasjerze dobrodzieju!” — To mu kasjer nabor-muszony odpowiadał ze złością: „Niks panie Polak czerpliwości — płac panie Polak, kota nie maluj! — płac!”

Taki starosta, który na drewnianej kobyle wyjeżdżał z cyrkułu, za powrotem wyteżył wszystkie siły, by dokuczyć szlachcicowi.

Wielce pomocną ku temu była mu instytucja mandatarjuszów, co płaćni przez obywateli a zawiśli od rządu — między młotem a kowadłem — dwulicową musieli przybrać powierzchowność, ale też często i w dwuznaczny wyradzali się charakter, i musieli być szpiegami chlebobawców swoich, rodaków swoich.

Ciężko bolał nad takim stanem kraju pan skarbnik Buski.

Wprawdzie majątek jego nie podupał zupełnie, wprawdzie rząd nie dokuczał tyle co drugim (ku wielkiemu zdziwieniu p. skarbnika), wprawdzie powracających trzech synów starszych poosadzał na dzierżawach i pozostał w domu tylko z panną Różą, młodszą jej siostrą i najmłodszym Romkiem, ale nie przeczuwał pomyślności dla ojczyzny i to bolało najciężej; — ociężał, sposepniał.

Panna Róża dawno lat dwadzieścia skończyła — ale nie myśleli bynajmniej o tem rodzice widząc jak wiele wielbicieli stara się o jej rękę — pewni, że nie osiedzie na koszu.

I pannie Róży jakoś nie było spieszno iść za mąż.

A był między wielbicielami panny Róży i pan Morawski, powinowaty daleki skarbnika. Jako taki przesiadywał częściej w domu skarbnika jak drudzy; a to nawet od lat siedmiu podobno. Raz tedy, kiedy właśnie był p. Morawski, zatoczył się przed ganek skarbnikowskiego dworu koczobryczek elegancki parokorny i wysiadł Niemiec w pełnej gali urzędowego uniformu.

Nie bardzo spieszyl się pan skarbnik na powi-

tanie takiego gościa; — po zameldowaniu przez lokaja dopiero, wszedł Niemiec z ukłonami grzecznymi do skarbnika.

— Jestem Franc Mühlbach, starosta tutejszego cyrkułu, i mam sobie za pierwszy obowiązek złożyć uszanowanie moje panu skarbnikowi dobrodziejowi.

— Dziękuję, proszę siadać — rzekł chłodno pan skarbnik; — więc pan Kreishauptmann nie dawno... (Skarbnik uważał za ubliżenie dla starostów antenatów swoich nazywać przybysza na polskiej ziemi, satrapę rządu niepolskiego, tytułem polskim.)

— Pół roku wprawdzie — odpowiedział czystą polszczyzną p. kreishauptman — ale zajęcia wiele przy uporządkowaniu przerwanych rządów cesarskich, nie dozwoliły mi prędzej przyjemności podziękować panu skarbnikowi dobrodziejowi w imieniu rządu za...

— Nie poczuwam się do niczego, za co mi rząd austriacki mógłby dziękować — przerwał skarbnik porywczo.

— Pan skarbnik dobrodziej zapomniał, że administracja dóbr kameralnych miała w osobie pana dobrodzieja opiekuna pełnego ludzkości i umiarkowania dla urzędników, w czasie tej przerwy rządów...

— A, to interes czysto krajowo-ekonomiczny, uważam, że ludzie obznajomieni z miejscowymi stosunkami i trybem administracji pożyteczniejsi są na razie niż nowicjusze; mniemam, że służyłem ojczystemu krajowi skuteczniej, zostawiając dawnych urzędników na ich posadach.

Rozmowa przerwała się na chwilę. Skarbnik zadzwonił i kazał przynieść wina.

Po kieliszku, pan kreishauptmann widocznie nabrał odwagi. Kręcił stosowany kapelusik w rękach, poprawiał szpadzinkę u boku, wreszcie przemówił jeszcze słodszy głośm:

— Uprzejmość pana skarbnika dobrodzieja ośmiela mnie zarazem osobistą moją prośbą zanieść do Wpana dobrodzieja, moją prośbę, w której zawiera się całe szczęście przyszłe moje.

— Słucham pana Kreishauptmana.

— Od chwili przybycia mego do kraju znam córkę Wpana dobrodzieja panną Różę.

— Pan Kreishauptman zna córkę moją?

— Tak jest, w karecie pani starościny Kosakowskiej podróżowałem dzień jeden z panną Różą. Skarbnik uśmiechnął się złośliwie.

— A pragnieniem serca mojego, pragnieniem duszy mojej byłoby podróżować z nią tylko całe życie moje — ciągnął dalej...

Skarbnik jak oparzony o mało nie zerwał się z krzesła.

— Ha! skórka na buty! Czy do tego stopnia posuwacie zuchwałość waszą, że córki obywatelskie w kontrybucję zabierać chcecie — pomyślał sobie — czy moja córka sroce z pod ogona wyleciała, by lada przybysz wyciągnął po nią rękę — pomyślał, i o mało nie wymówił, jednakże gościnność polska nie dozwoliła mu przyjmować niegrzecznością zapłaty Kreishauptmana, przypomniał sobie przy tej sposobności, co mu nigdy nie przychodziło na myśl — że panna Róża zbliża się do trzydziestówki, i czasby pomyśleć istotnie o wydaniu jej za męż. Skarbnik w pomysłach swoich i wykonaniu był sprężysty.

Pan Kreishauptman ośmielony milczeniem skarbnika zakończył:

— Ośmielam się prosić Wpana dobrodzieja o pozwolenie starania się o rękę panny Róży.

— Tak, tak — odrzekł wesoło pan skarbnik — przypominam sobie tę historję, opowiadała mi córka moja, a nawet nazwisko p. Kreishauptmana teraz mi się przypomina, już to te nazwiska cudzoziemskie zawsze mi wylatują z pamięci.

Skarbnik zadzwonił — kazał dać wina i prosić pana Morawskiego.

— Ale że też pan Kreishauptman tak późno przypomina sobie moją córkę — w tej chwili wszedł Morawski.

— Pan Kreishauptman Franc Mühlbach — przedstawiał skarbnik — pan Jan Morawski, mój powinowaty i narzeczony córki mojej Róży; pan Kreishauptman tak późno zaszczycił mnie swoją bytnością, spodziewam się, że zechce mi nagrodzić że pozwoli wyłożyć konie i przenocuje w domu moim — kończył skarbnik, uśmiechając się figlarnie pod wąsem.

Jak piorun z nieba spadły słowa skarbnika na dwóch przedstawionych sobie. Pan Kreishauptman ujrzał obalone wszystkie nadzieje swoje, co zagrzewały go do pięcia się na posadę znakomitą, godną wedle wyobrażeń jego, ręki panny Róży. Pan Jan Morawski przyzwyczajony przez lat siedm odbierać od panny Róży wymijające odpowiedzi — zwątpiwszy już prawie zupełnie o swoim szczęściu, nagle niespodzianie ujrzał urzeczywistnienie swoich marzeń.

— A panna Róża ?...

— Panna Róża, zawiadomiona o woli ojca zastosowała się do niej chętnie. Chociaż wyznać potrzeba, że mile wspominała czasami Niemczyka z karety pani Kosakowskiej. W końcu musię przyznać, że pan Kreishauptman okazał się wiernym przyjacielem domu skarbnika i wszystkich krewnych jego, że nie był bynajmniej polakożercą. Syn jego walczył ze mną pod Grochowem r. 1831.

*Pius Nałęcz z Witoszyna.*

---

## Z fragmentów społecznych.

Trubadur:

---

I.

### GWIAZDA PRZYSZŁOŚCI.

.. Śpiewał i głosem pięknym czarował — porywał  
Młody trubadur, pełny szlachetnych zapałów,  
W których swe szczęście widział, życie odnajdywał,  
Pieszcząc w swem sercu róże — kwiaty ideałów!  
Miał debit... Najważniejsza chwila w jego życiu  
Nadeszła! Jakże blaskiem zaszły mu źrenice!  
Oddech miał gorączkowy... tłumił go w ukryciu,  
Tłumił w piersiach, choć oczy płonęły jak świece!...

— Zwycięzył! Wtedy błysła mu gwiazda nadziei,  
Ogień w duszy rzeźwiącym gasił tchem — pokla-  
skiem...

Bo żar sławy go palił, jak w skwarnej moszei  
Kwiat południa się pali pod słonecznym blaskiem...  
Wtedy marzył... jak innych przemarzyło wielu...  
Wtedy miał jedną żądzę — żądzę do wielkości...  
I natrętny go w duszy trawił głos: do celu!  
A zdumiony świat wołał: to gwiazda przyszłości!

## II.

### SŁAWA.

Czas uleciał... trubadur istną duszą sceny...  
Dziś opera — i trudno już o bilet w kasie,  
Występ gościnny to, choć podwyższone ceny,  
Lecz nie jeden meloman w istnym ambarasie...  
Trubadur dziś podejmie tysiące — tysiące...  
Cóż mu z tego, że darzą go hojną zapłatą,  
Gdy połowę jej włoży w potrzeby naglące...  
— A że pieniądz nie ceni — potępić go za to?  
Wieczór był brylantowy — bo trubadur śpiewał,  
W miejscach jak błyskawica, gdy w piorun zagada,  
To znów jak lzy tak rzewnie głos z piersi wylewał,  
Grzmoty oklasków zebrał... Deszcz nań kwiatów spada!  
(Pierwszy raz taki sukces kinkiety ujrzały)  
I sensacja dokoła... przerywana wrzawa...  
— Jutro dzienniki krzykną: teatr trząsł się cały,  
Scenę pokryto laurem....

Sława! sława! sława!

## III.

### NIEDOLA.

...Co to za ślepy dziadek pod lipą spoczywa,  
Jak gołąb cały siwy... i zmawia pacierze?  
I na strunach swej liry posępnie przygrywa?  
— To los pastwi się życiem na biednej ofierze...  
To nasz stary trubadur! Tchu zbrakło z latami  
I wzrok osłabł.. Dziś we wsi żywi się z jałmużny,  
I znają go już wszyscy — i witają sami...  
Czasem o droge spyta go jaki podróżny...

Czasem coś i zarobi, gdy u chłopa stypa...  
Bo dziadek umie trącić i skoczne piosenki..  
Z pyłu sławy zostały mu — lira i lipa,  
Towarzyski niedoli — towarzyski męki!..  
Czasem — głupie dzieciśka mu się przedrzeźniają:  
Wówczas zwykle starcowi spływają łzy strugą..  
Tak rok za rokiem mija, lata upływają..  
— Wreszcie los się zlitował!..  
Biedny żył tak długo!..

*Alfred Stehlik.*

---

## Wyzwolona.

---

### I.

#### MŁODOŚĆ.

**D** była piękną... i pełna dziewiczej urody,  
Los się uśmiechał szczęściem pogodnej dziewczynie,  
Los, co zdawał się bujać jak chwila swobody;  
Lecz chwila — jedna chwila... jakże prędko minie!  
Dziewa myślała: sercem podbiję świat cały,  
I rozkwitną się róże na życia granicie,  
Bo usłyszała głosy, co w piersi jej drżały,  
Że dotrze szczęścia, celu, schwyci jasne życie;  
Że gwiazdy z niebios zdejmie, podścieli podłogę  
Wielką i nieśmiertelną, jak przestrzeń bez końca;  
Że z odwagą tytanów strąci w przepaść trwogę,  
A miłością uczucia poruszy blask słońca!  
Jakże bujną nadzieją kwitła jej uroda..  
— Czyż dziwić się należy — gdy marzyła — młoda?

### II.

#### OFIARA.

Pękły marne nadzieje jak bańki złudzenia,  
I wszystko się zmieniło -- zachmurzyły nieba;

W piersi dziewicy tłumią się ciche westchnienia,  
Przed nią zjawił się upiór: głód, i krzyknął: chleba!  
Przyszła nędza... Staruszka matka leży chora,  
Ciężkie liczy godziny — gdyby jaka rada?  
Lekarz zapisał leki przeszłego wieczora,  
Lecz nie ma za co kupić — Fatum odpowiada...  
Więc bez leków — żywności leży... Straszna chwila...  
A dokoła się jawi świat dziki: rozpusta!  
Co trzosem drwiąc potrząsa; zbytkiem się przymila...  
„Miałabym w jej ucieście swoje kalać usta?  
„I upaść? i znikczemnieć? stracić dobrą sławę?  
„Lecz matka moja biedna potrzebna pomocy,  
„A ja matkę tak kocham... Mam w duszy obawę...  
„Czy nie lepiej?... Wszak dzisiaj jeszcze skona w nocy...  
„Ha! ofiarą być trzeba...  
„Chwilo wielkiej wagi!  
„Opinio! rzuć kamieniem... mnie siły — odwagi!!“

. . . . .

### III.

#### WZGARDA.

A świat?...

— Czyli się dowie ludzkiej walki treści?

Czy zdoła wnikać myślą w smutne położenie?

Czy odkryje szczyt uczuć potęgi niewieściej?

Opinia — czyż oceni cios straszny: cierpienie,

Walkę ducha?!

— Nie! krzyczy: upadła! upadła!

Wyrokiem potępienia ciska jak petardą,

Chcąc zniszczyć wielkość serca, której nie odgadła,

Aby cel poświęcenia napiętnować wzgardą!

Aby głosem urągania porzucić ją w błoto...

A brak serca dla matki chyba nazwać:

— cnotą!

*Alfred Stehlik.*



## Kondukt.

---

Go to za czarny koturn furgonu się wlecze  
O karym koniu — który wytężając siły  
Kroczy. . gdzie powołują nas losy człowiecze..  
Na cmentarz? — Zimną trumnę rzemienie pokryły..  
Kondukt pusty... bez ludzi, bez przyjaciół grona  
I całą pogrzebową — żałobną kolumną  
Trumna prosta, żebracza, farbą poczerniona..  
Czy z drewna— srebra—złota trumna zawsze trumną!  
Z boku widnieje napis: „z Armatei“ biały,  
Płatny diak z krzyżem w ręku podąża na przedzie,  
I koń sposepniał... jakby był wzruszony cały  
Tą pustką.. że samotną taką trumnę wiedzie..  
— Więc żadne za nią usta nie zmówią pacierze,  
Tem lepiej, że (płacone) nie dostały płacę..  
Ni żalu... ani fałszu nikt tu nie spostrzeże,  
I wiatr chyba zaśpiewa: „Requiescat in pace!“  
— Spokojny — kto po sobie ni sieroty biednej  
Nie zostawi... samotny na tej ziemi kona!  
Kto do smutku nie skłoni duszy ani jednej..  
Lecz chwila jego skonu jakże sposepniona!  
A samotny był zmarły, jak łza, co gdy spadnie  
Na mogiłę... A grób mu wykopała nędza..  
— Lecz kto umarł? katolik? odstępcą? któż zgadnie?  
Gdzie ksiądz? !..  
— To żebrak umarł, więc nie było księdza!

*Alfred Stehlik.*

---

# Dumki Tarasa Szewczenki.

przełożył z ruskiego W. F.

## I.

Nie dla ludzi, nie dla sławy,  
Nie dla lekkiej, czczej zabawy  
Dusza moja lutnię stroi...  
To dla siebie, bracia moi!  
Milej płyną mi godziny,  
Znośniejsze me męki,  
Gdy z za Dniepru, z Ukrainy  
Przylatują dźwięki.  
Na papierze mi się ścielą  
Z płaczem, albo śmiechem  
Jakby dzieci, i weselą  
Mą duszę swem echem.

Lubo jakoś sercu memu,  
Błogo mnie też z nimi,  
Jakby ojcu bogatemu  
Z synami drogimi.  
I wesoła prośba leci  
Do Wiecznego Boga,  
By nie wysłał moich dzieci  
W kraje mego wroga.  
Niechaj lecą już do gniazda  
Swego rodzimego.  
I powiedzą, jak źle gwiazda  
Świecei u obcego.  
A z wesołą twarzą zdrową  
Przyjmie ich rodzina:  
Ojciec stary kiwa głową  
Przywitając syna,  
Matka łaje: „Bodaj dzieci  
Już się nie rodziły!”  
Z ust dziewczyny piosnka leci:  
„Hej, wrócił mój miły!”

II.

Patrzę ja na step niezmierny,  
Na rozległe pole!  
Czy mi da Bóg miłosierny  
Choć na starość dołę?  
W Ukrainę szedłbym świętą,  
Gdzie mnie myśl prowadzi...  
Tamby może mię przyjęto,  
Byliby mi radzi...  
Tambym spoczął, choćby mało,  
Modliłbym się wszędzie...  
Lecz porzucę myśl tę śmiałą,  
Bo z niej nic nie będzie.

---

Jak w niewoli mam żyć trudzie,  
Gdy nikną nadzieje?  
Powiedźcie mi, dobrzy ludzie,  
Ach, bo oszaleję!

27. września 1883.

---

## Enoch Arden.

Napisał Dr. Albert Zipper.

---

Rzadko spotkać się można ze zjawiskiem, iżby autor obcej narodowości tak dalece zajął czytelników, że kochają go jak swego, że prawie wyżej go cenią od własnych ziomków, że mu zupełne prawo obywatelstwa w literaturze swej przyznają. Nie dziwilibyśmy się temu wcale, gdyby przedmiot poematu wzięty był z życia obcej narodowości, gdyby dotyczył jej najważniejszych przymiotów lub interesów narodowych: słusznie jednakowoż zastanowi nas zjawisko takie,

jeżeli treść poematu nie pozwala zaliczać go do tego działu. Wtedy możemy być przekonani, że musi to być utwór niemałej wartości, który u obcych potrafił zdobyć sobie tylu serdecznych zwolenników.

Takim to utworem poezji jest „Enoch Arden,” powieść wierszem Anglika Alfreda Tennysona. Niemcy posiadają już kilka jej tłumaczeń; a niejedno tłumaczenie doczekało się już kilka wydań. Jeden zaś przekład, ku któremu ze szczególną sympatją publiczność się zwróciła, przekład Roberta Waldmüller Duboc, mimo owe tłumaczenia współzawodniczące i tańsze, sam jeden w ciągu 16 lat doszedł do edycji dwudziestej piątej, którą nakładca, księgarz H. Grüning w Hamburgu, jako jubileuszową, ozdobioną wdzięcznemi rycinami, niedawno w świat puścił.

I my posiadamy tłumaczenie tego klejnotu najnowszej poezji angielskiej — ale podziela przekład ten los tylu innych martwych kapitałów w skarbcu naszej literatury: nikt go nie zna. Pisma wierszem i prozą Stanisława Koźmiana, w r. 1870 u Żupańskiego wydane, po wielu cennych pracach oryginalnych i starannych tłumaczeniach po największej części z literatury angielskiej, na samym końcu pierwszego tomu w całości mieszczą piękny bardzo przekład powieści poetycznej „Enoch Arden.” Posługując się miejscami tym wzorowym przekładem podamy zrazu treść tyle ulubionego u Anglików i Niemców, a także u Francuzów niemało cenionego poematu.

---

Długą skał ścianę morze spienione przerwało,  
Tworząc przestrzeń piaszczystą. Nad brzegiem pod skałą  
Kilka dachów czerwonych, kościół mchem okryty,  
Dalej wązka ulica wspina się na szczyty.  
Gdzie tętni wzniosły wiatrak; a za nim wyżyna,  
Warowna w duńskie szanice, kres niebios odcina;  
W jej zgięciu jak w kotlinie, lasek się zieleni,  
Gdzie młodzież chodzi zbierać orzechy w jesieni.

Na tym piaszczystym brzegu, mija sto lat może,  
Troje dzieci, z trzech rodzin, wszystko troje hoże —

A n c i a L e e, najśliczniejsze dziewczę tej doliny,  
F i l i p R a y, syn młynarza, syn jego jedyny,  
E n o c h A r d e n, sierota po majątku rozbitku,  
S z o r s t k i, r z u t k i, na dziecko odważny do zbytku —  
Troje na pełnym brzegu bawiło się dzieci,  
Wśród twardych lin, w krąg zwitych, wśród szernia-  
łych sieci,  
Rdzawych kotwic i na brzeg, wyciągniętych łodzi,  
Budując zamki z piasku, klaszcząc gdy nadchodzi  
Fala co je zalewa, pierzchnąc przed spienioną,  
Ścigającą w odwrocie aż ją głębie schłona,  
I tak drobnych stóp ślady zostawując codnia  
Które znów codzień fala ścierała przechodnia.

Tam zabawiały się dziatki: to Filip, to Enoch bywał gospodarzem, a gospośią zawsze Ancia, która w sercach pacholał miłość rozniecała. Zdawała się obu zarówno kochać, ale wnet okazało się, iż silniejszy Enoch u Ancii zwyciężył. To też gdy szybko przemienęły lata dziecinnych igraszek, energiczny Enoch wszelkie siły i myśli swe w jednym tylko skupiał zamiarze, by jak najrychlej do pewnego zarobku i własnej chaty doprowadzić. Powiodło mu się też jak najlepiej: wszak nie było nadeń zwinniejszego wioslarza, sprytniejszego rybaka na całym wybrzeżu skalistym, a zarobek wszędzie się doń uśmiechał. A nieśmiałemu, cichemu Filipowi serce zabolalo, gdy pięknego jesiennego wieczora wybiegłszy w leszczyne ujrzał tam parę szczęśliwych kochanków.

Pobrali się Enoch i Ancia. On twardą pracą zarabiał na życie rodziny, to bliżej to dalej sieci rozstawując na morzu i połów w najdalsze okolice na targ rozwożąc. A kiedy wieczorem, a nieraz po kilku dniach dopiero wracał, cieszył się swem domowem szczęściem, wierną żoną i urodziwemi dzieteczkami, synkiem i córeczką, nad którymi czuwała piękna Ancia. Ale nie trwałe szczęście śmiertelnych: już siedm lat przeżyli ze sobą małżonkowie, gdy Enoch w odalonym porcie z masztu się poślizgnawszy ciężkie poniósł uszkodzenie. Długo się leczył: ale tymczasem inny rybak ubiegł go w sprzedażach i chleba pozbawił. Z niezmierną radością przyjął tedy Enoch we-

zwanie znajomego właściciela okrętu, żeby na nim jako majtek do Chin się udał: zdawało mu się iż takim sposobem więcej zarobi, a kilkakroć podróż powtórzywszy stanowczo polepszyć zdoła był swej drogiej rodziny, że dziecieczki lepiej wychowa i spokojniejsze życie im zabezpieczy. Dlatego też chociaż sam bolejąc niepomiernie, powróciwszy zdrów do domu, opierał się wszelkim prośbom żony, poraz pierwszy tedy mu się sprzeciwiającej, i nie chciał zmienić raz powziętego postanowienia.

Aby zaś Anci i dzieciętkom nie zagrażał niedostatek, sprzedał miłą łódź, z którą tyle przygód i burz go łączyło i nabył wiele drobnych towarów, jakich ubodzy rybacy kupują a jedną izbę na kram zamienił. Dniami i nocami strugał, kleił, przytwierdzał półki i ławy, a dopiero późno w ostatnią noc przed podróżą żmudnego dzieła dokończył i twardym snem usnął. A nazajutrz rano, że był bogobojnym, ukłęknał w pokorze.

„I w tym tajnym zachwycie, gdy łza spływa z powiek,  
I gdy Bóg jest w człowieku a w Bogu jest człowiek,  
Błagał dla drobnych dziełek i żony o pieczę,  
Cokolwiek z nim się stanie.“

Potem z żoną i dziećmi się zegnał, a najtkliwiej z wążem niemowlęciem które jako drugiego synka małżonka niedawno mu powiła. Ancię pocieszał obrazami świetnej przyszłości, ale nie zdołał ukoić jej smutku, ani odwrócić myśli czarnej, która ją trapiła, głosu wewnętrznego, który szeptał, iż go już nigdy nie zobaczy. Tak opuścił Enoch żonę i dzieci i ziemię rodzinną.

Zajęła się wprawdzie Ancia gorliwie kramikiem, by pracować dla siebie i dla dzieci — ale bez powodzenia. Bieda nieraz przyciskała, że stratą zbywać musiała towary i przekonała się wreszcie iż dalej tak żyć niepodobna. A najmłodsze dzieciątko ciągle chorowało, i mimo całej nieustannej troskliwości biednej matki umarło. Pochowawszy niemowlę, przygnieciona bolem z oczyma łzami zalanemi, samotna w izbie siedziała, gdy drzwi się otwarły a wszedł Filip, którego

nie widziała od wyjazdu męża. W imię dawnej przyjaźni i zażyłości przemówił do niej, by nie chciała odepchnąć prośby jego: „Enocha wybrałaś,” rzekł, silniejszego wołą, któremu pierwszeństwa nigdy ja nie odmawiałem. Czemuż on cię zostawił samą! Wszak tylko na to, by mózdz dzieciom dać lepsze wychowanie! Otóż pozwól mi, posyłać dzieci twoje, chłopczyka i dziewczynkę, do szkoły... Gdy Enoch powróci, obliczymy się. — Nie odmówi mi tej jedynej łaski!”

Jak nie mogła Ancia przyjąć takiej serdecznej ofiary przyjaciela z lat dziecinnych swego i Enocha! Rozrzewniona uścisnęła jego rękę, a dobry Filip odszedł szczęśliwy z swego dzieła. Odtąd zajął się dziećmi jak ojciec — ale z obawy plotek rzadko tylko u Ancy bywał, tylko przez dzieci to warzywa i owoce, to króliki, to mąkę, to jakiś datek, to piękną różę — pod rozmaitemi pozorami aby unikać domysłu jałmużny — Ancy posyłał.

Nie znał on co się w duszy tej biedaczki działo;  
Bo jeśli ją napotkał, była zbyt nieśmiała,  
Aby z serca pełnego wdzięcznością bez miary,  
Mogła wyjąknąć słówko w podzięk za te dary.  
Z dziećmi było inaczej. Oddał się im cały,  
Był wszytkiem dla nich. Skoro zdala go ujrzaly,  
Biegły w jego objęcia. One też jedynie  
Zdały się rządzić w jego domu i we młynie,  
Jemu zwierzały wszystkie radości i żale,  
Z nim grały, i z nim wszędzie przebywały stale,  
Zwąc go ojcem Filipem. Tak zyskiwał w miarę  
Jak tracił Enoch, który dla nich bladł jak szare  
Jakieś widmo, sen jakiś, lub jak ranną porą  
Postać w mroku ujrzana przez dalekie drzewa,  
Co niknąc w coraz mglistsze rysy się rozwiewa.  
I tak minęło spełna już lat dziesięcioro,  
Odkąd Enoch w dalekich gdzieś tam krajach gości,  
A żadnych dotąd o nim nie ma wiadomości.

Jednego jesiennego wieczora wyszły dzieci z Ancią do leszczyzny, przybył i „ojciec Filip”, którego z radosnym krzykiem dziatki witały. Wkrótce rozbiegły się po orzechy, Ancia zmęczona usiadła, a

przy niej pozostał Filip w milczącej zadumie. Wszak znajdowali się w tem miejscu, gdzie tyle lat temu na szczęśliwe oświadczyły Enocha patrzył. Nareszcie przerwał Filip milczenie i chciał zrzucić ciężar, który oddawna pierś mu tłoczył, przemówił do Ancii i wspominał, jak to już dziesięć lat nie ma wiadomości od Enocha, że bez wątpienia zginąć musiał. „Ja kocham dzieci twoje, one mnie, nie mogłem ci dotąd pomóc jakbym chciał... ale przyjm moją rękę... będę ojcem twym dzieciom... a dość będzie dla mnie szczęścia gdy mnie najwięcej po Enochu pokochasz.“ —

„O zaczekaj, Filipie!“ — strwożona przerywa —  
„A gdyby Enoch wrócił? Ach! ja nieszczęśliwa!  
Lecz nie wróci!... Zaczekaj... rok... wszak to nie długo,  
Ja zmądrzeję, a w tobie będzie to zasługą!“  
Filip ze smutkiem odparł: „Kto czekał, mój Boże,  
Całe życie, ten jeszcze dłużej czekać może!“

I tak minął rok — ale Ancia jeszcze zwlekała — minął miesiąc i dłużej — a dobry Filip rzekł już ze smutkiem: „Odłóż, Anciu, do jakiej chcesz pory!“  
A języki życzliwych sąsiadów i sąsiadek nie próżnowały... plotki i zuchwałe domysły krążyły po całej wiosce... Ancia zaś zwlekała, mimo że coraz głębszy smutek na twarzy Filipa zmorą ciężył na jej sercu, mimo że dzieci jedno tylko żywiły pragnienie, drogiego „ojca“ widzieć połączonego z drogą matką.

Nareszcie jednej nocy Ancia z niepokoju bezsenna, zerwała się z łóżka i biblię otworzyła jako niebiańską wyrocznię; palec spoczął na wyrazach: „Pod drzewem palmowem.“ — Cóż to znaczy? Zamknęła księgę i śród nawału myśli zasnęła. A we śnie widziała Enocha w słonecznym blasku pod drzewem palmowem. Spokój znalazła w tem widzeniu, wierzyła, iż Enoch już skończył doczesny żywot, iż już palmę w niebiosach uzyskał.

Filip i Ancia wzięli ślub — ale niespokojnie biło jej serce, zdawało się że jakaś postać ją ściga, dokoła jakieś szepty się odbywają.

Ale w krótkim czasie gdy hoże dziecko przybyło, Odżyła sercem, Filip stał się wszystkim dla niej, I żaden tajemniczy strach już jej nie rani. — —



Gdzież tymczasem był Enoch? Szczęśliwie przybył do Chin, i już z radosnem sercem do domu wracał, gdy szalona burza okręt rozbiła, a tylko on wraz z dwoma towarzyszami na samotną wysepkę się schronili. Ale towarzysze go odumarli, a on jeden pozostał z bolem i łzami wśród czarownej przyrody zwrotnikowej.

### Nieraz widma w tłumie

Przesuwały się przed nim, to znów sam w zadumie  
Zwiedza dawnych przyjaciół, w znane miejsca wnika...  
Dzieci, ich gwary, Ancia, ich domek ubogi,  
Ulica w górę, wiatrak, i lesiste drogi,  
Dwór, cis, koń co go woził, wreszcie łódź sprzedana,  
Głuchy jęk w szarem morzu, w jesieni mgła z rana,  
Rosa na trawie, deszczyk, zapach zwiędłych liści...  
Wszystko mu się w pamięci jak na jawie iści.  
I raz mu zadzwoniło w uchu, i wśród ciszy  
Zdało mu się że dzwony swej parafii słyszy,  
Choć słabe, lecz wesołe, niby ślubne dzwony,  
Zerwał się, zatrząsł, jakby piorunem rażony... —  
I skoro oprzytomniał, i gdy znów spostrzeże  
Wkoło siebie bezludnej tej wyspy wybrzeże,  
Byłby umarł pod grozą samotności na niem...

Do opuszczonej wysepki nigdy okręt nie przybijał, a już żegnał się Enoch z nadzieją powitania kiedyś na nowo ziemi rodzinnej, gdy przypadkiem jakiś okręt wichrami zbity z właściwego kierunku, pewnego dnia koło wyspy kotwicę zarzucił. Załoga wyszedłszy na wybrzeże znalazła tam Enocha posiwiąłego, z brodą po pas, bełkocącego raczej niż mówiącego, i zabrała go ze sobą. Dopiero po jakimś czasie odzyskał Enoch mowę i przygody swe opowiadał. Litościwi ludzie chociaż nie należeli do jego narodowości, przyjaźnie go przyjęli, zebrany datkiem wsparli i w porcie, z którego przed laty wypłynął, na ląd wysadzili. Enoch zaś puścił się co tchu w drogę ku domowi tak długo niewidzianemu.

W późny słotny wieczór jesienny przybył do rodzinnego gniazda. Długą ulicą schodząc i oczu podnieść nie śmiać, gdyż wciąż niedolę serce mu wróżyło, przywłókł się do domu, gdzie z Ancią i dziećmi

siedm szczęśliwych lat przeżył. Słucha... patrzy — pusto, a przez mgłę czerni się na ścianie napis, że dom na sprzedaż. — Zszedł tedy dalej ku zatoce i wstąpił do nędznej, walącej się gospody, aby tam przenocować i zamieszkać. Staruszką gospodyni nie poznając zmienionego zupełnie Enocha, jęła mu wszystkie nowiny opowiadać, a przede wszystkim jego własne dzieje, odjazd bez powrotu, niepowodzenie handlu, dobroć Filipa, Anci ciągle zwłoki...

### Na Enocha twarzy

Współczucia ni ruch żaden, ni cień nie oznacza,  
I zda się że ta powieść mniej wzruszy słuchacza  
Niż mówczynię. Lecz kiedy ona w końcu doda:  
„Tak Enoch już zgubiony... przepadł... co za szkoda!“  
Wstrząsając siwą głową, żalosnemi tony  
Dwukroć powtórzył z jękiem: „Zgubiony... zgubiony!“

Ale jeszcze raz ujrzeć pragnął twarz Anci i zobaczyć czy szczęśliwa. W takim zamiarze pewnego wieczora wszedł na górę sąsiadującą z domostwem Filipa. Niebawem

Błysło mu w oczy okno światelkiem jaskrawem,  
I ściągnęło ku sobie jak morska latarnia  
Nęci ptaka wędrowca, aż w zrab na jej szczycie  
Uderzy, i rozbije strudzone swe życie. —  
Wnętrze tchnęło swobodą. Wesoła, bogata,  
Od naczyń i od sreber skrzyła się komnata.  
Obok kominka siedział Filip z prawej strony,  
Silny, czerstwy, ów rywal niegdyś odmówiony,  
Siedział, wzięwszy swe hoże dziecię na kolana.  
Jasnowłosa dziewczica ku niemu podana,  
Obraz Anci, choć wyższa, ręką podniesioną  
Kołysząc zawieszony pierścionek na nici,  
Kusi dziecię, a malec próbując czyschwyci,  
Wznosi dłoń, lecz wciąż chybia, lecz w śmiech całe  
grono.

Z lewej strony ogniska mateczka szczęśliwa  
Spozieraając na dziecię, raz w raz się odzywa  
Do syna co stał przy niej; na młodziana twarzy  
Uśmiech, znać że z nim matka o czemś miłem gwarzy.

Gdy Enoch widział z dworu to swobodne grono,  
Ujrzał żonę co była już nie jego żoną,  
Dziecię jej, lecz nie jego, które ojciec ściska,  
Cały spokój, uciechę szczęście u ogniska,  
Własne dzieci tak piękne, i tego co stawa  
W jego miejscu i dzierży wszystkie jego prawa  
I miłość jego dzieci — ach! wtedy w rozpaczy...  
(Wprawdzie wszystko wprzód wiedział, lecz jakżeż  
mniej znaczy  
Powieść niżli sam widok!) — wstrząsł się, zachwiał  
cały,  
I schwycił się gałęzi, bo uczuł że gotów  
Jak grom sądu wiecznego, ryknąć rykiem grzmotów,  
Coby całe to szczęście od razu strzaskały.

Więc cośnał się ukradkiem jak złodziej, przy-  
czołgał się do furtki i wyszedł... Tu po za obrębem  
szczęśliwej dziedziny, chciał klęknąć, ale upadł bez-  
silny, zarył swe palce w mokrą ziemię, i już tylko  
o śmierć błagał Pana. Ale po chwili prosił, by zdołał  
zachować tajemnicę, by nigdy ona i dzieci nie do-  
wiedziały się o nim, by nigdy pokoju dobrej małżonki  
nie zamącił. Lecz myśl o dzieckach, nadludzkie usiło-  
wania aby pokonać tęsknotę, która tyle lat całą jego  
istotę wypełniała, pozbawiły go zmysłów i leżał w o-  
śłupieniu. A gdy znów siły zebrał i dalej ku zatoce  
wracał, odzywało się w jego duszy silne postanowie-  
nie: „Nie powiem, niech się ona nigdy nie dowie  
o niczem!”

Otóż jedynie to silne przedsięwzięcie, mocna  
wiara, modlitwa i praca bądźto rybacka około łodzi,  
bądźto inne jakieś zajęcie podtrzymywały biedny  
umysł Enocha. Ale pracując bez nadziei, zaradzał  
potrzebie ciała ale nie duszy, i nie mógł żyć dłużej.  
Właśnie w rok po powrocie zachorował, tak że nawet  
już łoża opuścić nie mógł. Ale nie skarżył się i tylko  
powtarzał: „Święć się wola Boża!”

Bo pewnie żaden majtek w rozbitym okręcie  
Z takim szczęściem nie wita łodzi na odmęcie,  
Gdy ujrzy skoro wicher z brzegów mrok odwieje,  
Ze mu łódź niesie pomoc i życia nadzieję

Jak Enoch kiedy teraz ujrzał że mu złota  
Z pomroku świta zorza lepszego żywota.

Kiedy tak już koniec życia przeczuwał, zwierzył się starej właścicielce gospody, kazawszy jej na biblię przysiądz, że dochowa tajemnicy aż do jego śmierci. Gdy się gospodyni dowiedziała, że to Enoch, którego przecież tak dobrze znała, nie chciała słowom jego wierzyć i dopiero zwolna dawała się przekonać i łzami się zalewała, słuchając opowiadań nieszczęsnego. A wtedy byłaby natychmiast wybiegła wśród ludzi i wszystkim opowiadała, że Enoch wrócił — a już przynajmniej gotowa była po dzieci Enocha pobiegnąć, ale Enoch wzbraniał:

Nie mieszaj mi pokoju w ostatniej godzinie,  
Niech mój zamiar bezpiecznie do portu dopłynie.  
Siądź, słuchaj i wykonaj co ci tu powierzę:  
Gdy ujrzysz Ancię, przyświadcź zem w chwili skonania  
Szczerze za nią się modlił, błogosławił szczerze,  
Kochając ją o ile uczciwość nie wzbrania,  
Kochać żonę już cudzą — kochając tak tkliwie  
Jak ją kochałem w pierwszym miłości porywie.  
I mej córce co taka podobna do matki  
Powiedz zem mego tchnienia poświęcił ostatki,  
Aby jej błogosławić. I upewnij syna  
Że i jemu gdy przyszła ostatnia godzina,  
Jam z serca błogosławił, w tej ciężkiej przeprawie.  
I Filipowi powiedz że go błogosławię,  
Bo on zawsze nam sprzyjał.. O resztę nie stoję...  
I jeśli dzieci, które nie znały mnie prawie,  
Chcą mnie widzieć po śmierci, niech przyjdą oboje,  
Jam ich ojciec... Lecz matki niech z sobą nie biorą...  
Gdyż dla niej twarz na trupia mogłaby się zmorą  
Stać na resztę żywota... Mam ja przecież dziecię,  
Mam jedno co na tamtym powita mnie świecie.  
Oto które ucięła i dała mi włoski;  
Jam je nosił przez wszystkie te lata i troski,  
I myślał że je z sobą zaniosę do grobu,  
Lecz wszak teraz już wieczność połączy nas obu.  
Widzę, już mi się stamtąd me dziecię uśmiecha!  
Więc daj to matce... dla niej będzie to po ciecha,

I dowód żem ja Enoch!”

I wreszcie trzeciej nocy od owej narady,  
Gdy Enoch spał bez ruchu i śmiertelnie blady,  
A Miriam czuwa nad nim, drżemiąc na przemiany,  
Rozległ się huk od morza tak straszny że ściany  
Wszystkich domostw w zatoce wstrzęsły się z posady.  
Enoch zerwał się, powstał, wyteżył ramiona  
Ku morzu, i nadiudzką zaryknawszy mową:  
„Żagiel! Żagiel!... Jam zbawion.. ma nędza skończona!”  
Padł — to było ostatnie nieszczęsnego słowo.  
Tak duch ten bohaterski uleciał ku niebu...  
I nigdy tam większego nie było pogrzebu.

---

Autor „Enocha Ardena,” Alfred Tennyson, urodził się 1809 \*) w Somersby w hrabstwie Lincolnshire. Życie jego, o ile wiemy, spływało bez szczególnych zewnętrznych wydarzeń. Studium oddawał się w słynnym „Trinity-College” w Cambridge. Po Sonthy'm, zmarłym r. 1843, Tennyson został „Poëta laureatus of England,” z którymto tytułem łączy się pensja skromna wprawdzie, ale wystarczająca do odpędzenia powszednich trosk, które już tylu poetów zmarnowały. Z czasem doszedł do znacznego majątku, gdyż bajeczne sumy płacono za jego utwory; tak za jeden z najśłabszych poematów swoich: „Sny morskie” otrzymał od wiersza dziesięć funtów szterlingu — a jest tych wierszy 313! Zamieszkał w cudownym wiejskim ustroniu, oddając się zupełnie pięknu i poezji. Niedawno został do stanu baroneta wyniesiony.

Po raz pierwszy wystąpił na widownię r. 1842 ze zbiorem poezyj, którym krytyka i szczęście nie sprzyjały, lubo zdobiło je kilka prawdziwych pereł: śliczne ballady. Dziesięć lat milczał. A kiedy nanowo w szrankach się jawił, szturmem zdobył i krytykę i publiczność i stał się ulubieńcem, najpopularniej-

---

\*) Według „Kürschners Conversations-Lexicon.” Zwykle podają jako rok urodzenia 1810.

szym poetą swych ziomków. Od owego pierwszego tryumfu wydał wiele dzieł, i to w każdym rodzaju poezji; uprawiał z powodzeniem opisowo-opowiadającą, dydaktyczną i liryczną, próbował sił w dramacie. W dramacie jest najslabszym: „Królowa Marja” i „Król Harold,” mimo niektóre piękne miejsca, mimo poprawną formę i poetyczną dykcję, należą do najniezszczęniejszych tragedyj, na jakie kiedykolwiek zdolni skądinąd poeci się zdobyli. Boć energiczna akcja, rwący i porywający tok wypadków czego dramat i scena koniecznie wymaga, najbardziej są obce epickiemu genjuszowi Tennysona. To też gdy w Anglii uparli się bezwzględni wielbiciele poety-laureata i dramat jego na scenę wywlekli, z największem tylko wysileniem zdołali mu jaki taki succès d'estime uratować. I to tylko w Anglii! Bo u obcych i najrozrzutniejsza wystawa i najsprytniejsza reżyserya nie byliby zdołali ocalić sytuację...

Otóż za te słabe tragedje po królewsku wynagradza Tennyson czytelników całym długim szeregiem pięknych i bardzo pięknych dzieł. Poezją jego można uważać za skryształizowanie wszelkiego wdzięku, który tkwił w różnorodnych prądach, co jego wystąpienie poprzedzały.

„Olbrzymie pokolenie poetów” — mówi Taine w znakomitem dziele o angielskiej literaturze — „dopiero co wymarło. Przeszło ono jako burza. Wszystko doprowadzali do ostateczności i bezmiaru. Jedni zbierali gigantyczne legendy, gromadzili sny, badali wschód, Grecję, Arabię, wieki średnie, przepelniali wyobraźnię ludzką barwami i fantazjami ze wszystkich stref. Inni w metafizyce i etyce się błakali, niestrudzeni nad losem człowieka przemyśliwali, życie śród patosu i jednostajności pędzili. Inni mieszając zbrodnię i bohaterstwo, przez ciemność i błyskawice przewiedli pochod twarży wykrzywionych i strasznych, z wyrzutów sumienia rozpaczających, wzniosłością rozjaśnionych. Chciano ochłonać po tylu trudach i ekscesach. Opuszczając kierunki fantastyczny, sentymentalny i szatański, zachwycano się Tennysonem. W nim spostrzegano wszystkie formy i idee, które bezpośrednio przedtem były upodobane, ale oczy-

szczone, powściągane, w złoty styl ujęte. On zakończył epokę; zbierał i używał co inni posieli. Jego poezja była podobna do pięknych letnich wieczorów: wprawdzie rysy krajobrazu są jeszcze te same co za dnia — ale rażący blask firmamentu złagodniał, pokrzepione rośliny znów się podnoszą, a spokojne słońce u widnokregu, na lasy i łąki, które dopieroco żarem paliło, zarzuca harmonijną siatkę różowych promieni.“

Jakiś osobliwy czar cechuje wszelkie twory poetyczne Tennysona. Realista w szczegółach, w sytuacjach, w obrazach jest oraz naitkliwszym, najdelikatniejszym, najbardziej dziewiczym idealistą. Przedstawi nam przed oczy najdokładniej zajęcia, otoczenie, obyczaje prostych ludzi, których wykształcenie nie wydelikacilo, obcowanie ze światem nie ogładziło — ale dotykalny. praktyczny realizm wyziera jasny i piękny z poza jakiejś uroczej, powiewnej, srebrno mglistej tkaniny idealnej. Ta zgoda między kierunkami skądinąd sobie wrogimi, tak trudna, a tak szczęśliwie przeprowadzona, tworzy oryginalny urok poezji Tennysona i jest najwyższą jej zasługą.

Pomiędzy wielu większemi poematami, jego jak: „In memoriam,“ „The princess,“ „Maud“ „Kings Idyls“ powołani znawcy pierwsze miejsce przyznają poematowi „Enoch Arden“, obok którego godnie staje „Aylmé's Field.“ Na dziś wracajmy do „Enocha Arden“, od którego wyszliśmy.

„Enoch Arden“ jestto rzecz stosunkowo szczupłej objętości, w małym formacie zaledwie kilkadziesiąt stronic licząca. Pół godziny — nie więcej zajmie jej przeczytanie. Ale kto raz ją przeczytał, z serdeczną sympatją często jeszcze do niej wracać będzie.

Bo tu lśnią wszystkie wdzięki Muzy poety-laureato. Obraz następuje po obrazie, scena po scenie, jędrnie i wyraziście kilku wierszami kreślone, a staje przed oczy tak plastycznie, jakby poeta o mniejszych zdolnościach i uboższej inteligencji na wielu stronach przedstawić nie zdołał. Tę garstkę ludzi na wskrós poznajemy, cenimy, kochamy, współczujemy z nimi: bo nie są to malowane figurki, lecz żywi nasi bracia, a krew i duch łączą ich z nami. Charaktery te nie

skreślone według jednej modły: każdy szlachetny, a z resztą każdy na wskroś inny. Misternie zaś przeprowadzona ta charakterystyka. Już zaraz u zarania dzieciństwa widzimy w zarodku wszystko, co bieg lat i doświadczenie życia bujnie rozwijają; konflikt już w samym założeniu tkwiący jest przedmiotem całej powieści: a rozliczne fazy jego, pytanie jak wypadki zewnętrzne i usposobienia działających ów konflikt przeprowadzą — to nitka Ariadny, która czytelnika naprzód wiedzie, postępującego za nią coraz bardziej zapala, by dojść ciekawego celu swej drogi...

A ileż w tym poemacie prostoty i uczucia... nie chorobliwego sentymentalizmu, lecz uczucia rzeźnego, które czytelnika do głębi porusza — a lubo tu nie ma intryg i zawikłań, uwaga nasza czuje się przytrzymaną siłą magnesową...

Nie rozszerzymy się dalej nad poematem, któremu u rozmaitych narodów „vox populi” pierwszorzędną wartość przyznała. Chcieliśmy nań zwrócić uwagę tak czytelników przyjaciół poezji, jak artystów i deklamatorów, dla których trudno o wybór stosowniejszy. Przekład Stanisława Koźmiana, wierny oryginałowi a przytem prawdziwie polski. Życzylibyśmy wnet zobaczyć w osobnem wydaniu: takim sposobem dopiero „Enoch Arden” stałby się przystępnym dla szerszego koła czytających.

---

V.

## Z podań legendy żydowskiej.

„Izraelu! tyś lud mój wybrany!”

(Wiersz, poświęcony przez autora p. L. C. w D.)

---

W uszach dźwięczy mi nuta przeszłości,  
Nuta pełna uroku i siły,  
Gdy wskrzesiwszy ród wiernych z mogiły  
Pan mu drogi torował wielkości;



Gdy zwyciężył nad wrogiem zawziętym;  
Gdy w noc wieczną pograżył tyrany,  
I zachęcał lud głosem swym świętym :  
„Izraelu ! tyś lud mój wybrany !“

I za głosem tym, za tą wskazówką  
Wiernych odtąd gromada chadzała,  
Choć im piekła groziła moc cała,  
Oni jedno przestrzegli wciąż słówko,  
A tem słówkiem : „Bóg jeden, Bóg wielki !“  
I spokojnie dźwigali kajdany ;  
Miast pociechy głos brzmiał rodzicielki :  
„Izraelu ! tyś lud mój wybrany !“

O ! bo żydzi dawniejsi, to nie to,  
Cośmy teraz w nich widzieć przywykli ;  
Dla pospólstwa do ofiar nawykli,  
Kierowali się cnoty podniętą !

O ! bo dziwny ten naród szermierzy  
Do czci budził stałością szatany,  
Czerpiąc siły w odgłosie pacierzy :  
„Izraelu ! tyś lud mój wybrany !“

Dziś się wszystko zmieniło ; handlarze  
Miejsce mężów zajmują sławetnych —  
O namiętnych obliczach i szpetnych  
Zewsząd dziś się krzątają zbrodniarze.  
Dawnaż mają przypomnieć nam świetność  
Ich cuchnące zgnilizną łachmany ?  
Nie ! wyrazu ich razi nas szpetność :  
„Izraelu ! tyś lud mój wybrany !“

Lud wybrany, co księży swych truje ? \*)  
Co wybrańców obrzuca swych błotem ?  
O zarobku wciąż marząc, li o tem,  
O tem ciągle śni, pieniądz rachuje ?  
Wszak obłudą się zdają ich modły ;  
Więc daremnie się modlą kapłany,  
Głos napróżno dla rzeszy brzmi podłej :  
„Izraelu ! tyś lud mój wybrany !“

---

\*) W roku 1848. otruto we Lwowie postępowego rabina Abrahama Kohna wraz z całą rodziną ; najmłodszy jego potomek a autor przytoczonego wiersza został kaleką skutkiem zamachu zbrojców. We Lwowie dotąd jeszcze ulica w pobliżu Benedyktyńskiej nazywa się Kohnowską.

Wy Chusyści, co łudząc imieniem, \*)  
Pobożności się mianem chełpicie,  
A narówno z pogany wierzycie  
W cudotwórcy moc \*\*) z trwogą i drżeniem!  
Wy, co łudząc układem i mową  
Wstręt budzicie w pospólstwie nieznany,  
Nie! nie do was odnosi się słowo:

„Izraelu! tyś lud mój wybrany!”

Jak ów człowiek, tej nazwy niegodny,  
Który w żydzie nie widząc współbrata,  
Nieszczęśliwym pogardza, pomiata,  
Myślom dając kierunek swobodny,  
Tak wybraniec być Boga nie może  
Ów Chusyta, wybraniec mniemany;  
Nie dla niego więc słowa brzmią boże:

„Izraelu! tyś lud mój wybrany!”

Pozostała się garstka wybranych,  
Ludzie z wszelkich to praw są wyjęci:

„Wy kacerze, poganie! przekłęci!”

Taki brzmi im głos tłuszczy rozpasanych.

Silnie zastęp tych ludzi się trzyma,

Choć zawiścią pospólstwa ścigany,

I sztandaru Bożego się ima:

„Izraelu! tyś lud mój wybrany!”

W nas to, w garstkę tak szczupłą, tak małą  
Wszystkie gromy niebiosów wciąż godzą;  
Ciernie z pola nam pracy się rodzą,  
Walka zwycięstw nie wieńczy nas chwałą.

Jak placówka stracona stoimy,  
Naród wiernych w nas poniewierany,  
W imię Boga wołamy, walczymy:

„Izraelu! tyś lud mój wybrany!”

---

\*) Chusyta, a raczej według źródłosłowa: Chusyd, Chusyda znaczy „pobożny.”

\*\*) Takich cudotwórców, czyli aby rzecz właściwie mianem ochrzcić, takich świętych oszustów ma Izrael niestety co nie miara. Intratne ich rzemiosło jest najlepszym dowodem, że po dziś dzień lepiej się opłaca tumanić i ogłupiać ciemną i głupią masę ludu, niż działać w kierunku rzetelnej reformy i oświaty z wykluczeniem wszelkiego fanatyzmu i chęci robienia prozelytów. Najlepiej o takim uczeniu ludu w wstecznym kierunku świadczą miejscowości osławione, jak: Husiaty, Bełz, Mikołajów i inne.

Starowierców nienawiść nas goni,  
Bo nam postęp i wiara są hasłem;  
Z wzgardy słowem, przez wieki niezgasłem,  
Chrześcian skąpi uścisku swej dłoni.  
A my stoim jak skała wśród burzy,  
Jak szczyt wieży stoi niezachwiany,  
I wołamy tem silniej, im dłużej:  
„Izraelu! tyś lud mój wybrany!”

Więc po klejnot ostatni, po wiarę  
Naszycj ojców podstępnie sięgają,  
Odszczepieństwo w nas sztucznie wmawiają,  
By ułatwić nam krwawą ofiarę;  
Odszczepieństwo od nauk zakonu,  
Odszczepieństwo od wiary nam znanej,  
Choć w głos Boży wierzymy do zgonu:  
„Izraelu! tyś lud mój wybrany!”

Tyś nie na to wybrany, byś ożył  
Na jedwabnem i miękkim posłaniu,  
Lecz byś cierpiał i w ofiarowaniu  
Swego ja szereg zasług położył.  
Tyś wybrany, by uczyć współbraci,  
Błąkających jak zastęp zbłąkany,  
Gdy potęgę głos Boży już traci:  
„Izraelu! tyś lud mój wybrany!”

Cóż nas wreszcie obchodzić to może,  
Że lud prosty zdań naszych nie dzieli?  
Wszak przykładu my z niego nie wzięli,  
Bo wierzymy w moc twoją, o Boże!  
My wierzymy, że zbawisz lud wierny,  
Zbawisz w imię potęgi ci danej;  
Bo przemówiłeś doń miłosierny:  
„Izraelu! tyś lud mój wybrany!”

Plemię nasze od innych uboższe,  
Wy dla siebie zostawcie zaszczyty,  
Nam zostawcie ból cichy, ukryty,  
Nam zostawcie to, co nam najdroższe!  
Nam poczucie tradycji ojcowskiej,  
Stosów krwawych wspomnienia i rany,  
Przekonanie niezłbite, głos boski:  
„Izraelu! tyś lud mój wybrany!”

H u s i a t y n, 8. Grudnia 1885.

G. Kohn.

# Potępiona,

allegorja.

---

Ø gdzieżem Panie! czy na Twoim świecie?  
Którego dary są własnością przecie,  
Ogólną, wspólną nas wszystkich tułaczy.  
O czemuż wszakże, kiedym kij żeb aczy  
Wzięła do ręki i po świecie błądzę,  
Żadnych drzwi ludzkich nie warkną wrzeciądze,  
By dać schronienie? Gdy siły zwątlone  
W żmudnej pielgrzymce, ciało obnażone,  
Drżące od zimna... Jam szukała słońca,  
W koło mnie ciemność i ciemność bez końca.

O gdzieżem Panie! czy na Twojej ziemi?  
Barwnej kwiatami, zioły pachnącemi?  
O czemuż wszakże gdy się schylę po nie,  
Pod moją ręką same puste błonie!  
Ni rózy pączek, by się weń ustroić,  
Ni dobre ziółko, by niem ból ukoić.  
Czym tylko jedna wybrana na ziemi  
Na cierń i głogi, by się zdobić niemi?  
O kiedyż dojdę ja do tej przestrzeni,  
Gdzie świeci słońce, gdzie się gaj zieleni?

Ach otóż źródło! płynie złota struga  
Wody przejrzystej. Tam droga nie długa,  
Więc tam się pomknę, tam może ochłodzę,  
Tam może będzie koniec ciemnej drodze!  
Ach! dalej, dalej ku tejże dolinie,  
Gdzie woda czysta jako kryształ płynie,  
Już czerpię z jasnej powodzi strumienia,  
Lecz przebóg! woda w lawę się przemienia.  
Słońce i kwiatek i woda zdrojowa,  
Wszystko, ach wszystko przedemną się chowa.  
I gdzież się udać, aby ziemia swoja  
Już raz wyrzekła: Ach! tyś córka moja!

A więc do wiosła! Popłynę w nadświaty,  
Po których płynie skowronek skrzydlaty;  
Tam się ożywię świeżym wiatru wiewem,

Tam się upoję jego dźwięcznym śpiewem,  
Tam może on mnie do piersi przytuli,  
Gdy tu na ziemi są wszyscy nieczuli!  
Lecę, już płynę w nadziemskie sklepienia...  
W locie tym nagle zabrakło mi tchnienia,  
Ni wiatru powiew, ni błędna ptaszyna  
Lot tu nie zwróci... Cóż to za drożyna?  
To woń siarczana, tu piorunów gwary,  
Złe duchy tutaj trapią swe ofiary.  
O gdzież jest ziemia? o gdzie są niebiosy?  
Gdzie ptasząt śpiewy? gdzie aniołów głosy?  
Bo kędy błędne moje zwrócę oczy,  
Zewsząd mię tylko dymna mgła otoczy.  
Czy w niebo wleczę, czy ziemi dotykam,  
Pośmiertnych cieni twarze napotykam.  
Czy więc już wszystko stracone na ziemi?  
Ach nie! bo między gwiazdami jasnemi  
Zeszła mi znowu gwiazdeczka zbawienia,  
Która mi wróży koniec potępienia....

Pisano w r. 1863.

*Emilja z Balińskich.*

---

## O wychowaniu dzieci.

Odczyt na korzyść ochronki sierót.

---

Do moich słuchaczy.

Trudne na moje nieudolne siły wzięłam na siebie zadanie. Trudno zaiste mnie, która od niedawna dopiero sama szczycę się rozkosznem mianem matki, mówić o wychowaniu dzieci, i to wobec tylu poważnych i doświadczonych matron.

Moim celem jednak nie jest, dawać wskazówki, lub nowe ogłaszać teorie — bynajmniej. Oto chcę

o czemś mówić, a ponieważ ten przedmiot obecnie najwięcej mię zajmuje, stał się niejako istotą moich myśli, więc zbieram je i oddaję jako grosz wdowi na ofiarę dla biednych, osieroconych dzieci, które pozbawione serca i opieki macierzyńskiej, oczekują od nas pomocy i wsparcia.

Spieszmy więc z czem możemy — a Chrystus lichwą nam zapłaci. Wszak on sam wyrzekł: „Ktokolwiek co jednemu z tych maluczkich czyni, mnie czyni.“ W imię więc miłości Chrystusa czem kto może niech się przyczynia na wzór pewnej głośnej damy, o której o. Marchał wspomina w dziełku swoim:

„Wasza Pasterska Mość — pisze ona do jednego z wielkich biskupów Francji — Opatrzność Boska zesłała mi 1000 franków na zakupienie kaszmirowego szala. Obliczywszy że sprzedaje się po 12½ grosza funt chleba, tobym 4000 tegoż musiała dźwigać na swych ramionach, coby mię niezawodnie zgniotło. Odsełam więc te pieniądze Waszej Pasterskiej Mości, prosząc abyś je raczył rozdać ubogim.“

Ileż to my kobiety podobnych ciężkich szalów dźwigamy! Czyż kilka łokci koronki odjętej, lub parę kwiatów odpiętych od stroju, zmniejszyłyby nasz urok? przyćmiły naszą piękność?

Nie błyskotki, nie kwiaty,  
Klejnoty wśród złota,  
Najozdobniejsze szaty  
Niewiasty — jej cnota. —

---

Nie potrzebuję mówić, że jednym z najważniejszych zadań społecznych jest wychowanie.

O wychowaniu publicznem zamilczę — jest ono pod opieką Państwa, pod kontrolą społeczeństwa, idzie z postępem oświaty powszechnej ręką w rękę podług wypróbowanej metody, zastosowanej do obecnego wymagania.

Idzie mi więcej o wychowanie domowe, stanowiące podstawę przyszłego życia człowieka, jednostki społeczeństwa, narodu.

Przyszłość dziecka spoczywa w rękach rodziców,

oni biorą na siebie odpowiedzialność w obec Boga i społeczeństwa za wychowanie przyszłych synów Ojczyzny, przyszłych ojców pokolenia nowego.

Od nich to zależy, by dziecię wątłe stało się silnym mężem, zdolnym do stoczenia walki z nieprzyjacielem, namiętnościami swemi, by rozróżniwszy złe od dobrego, odrzuciwszy kłokol od ziarna, nie ugięło się pod wpływem złego świata. — Rodzice syna swego uczynią Neronem lub Św. Wincentym à Paulo, Robespierrem, lub Św. Franciszkiem Salezycznym.

Cóż więc jest właściwie wychowanie?

Jestto (tłumacząc z łacińskiego) doskonalenie, jestto wywieranie wpływu istoty rozumnej na drugą, podobną sobie, aby jej zdolności fizyczne, umysłowe i moralne tak rozwinąć, żeby ją uczynić zdolną do samodzielnego pracowania nad osiągnięciem swego przeznaczenia, zakreślonego przez Opatrzność.

Mylnie więc sądzą niektórzy, że wychowanie zasada się na nauczaniu kilku języków, na przyswojeniu sobie świadomości fachowych, posiadaniu kilku talentów i możliwości popisywania się niemi — nie! to tylko część wychowania, to kształcenie umysłu. A gdzież serce? Gdzież duch? ten skarb Istoty wyższej, to piętno Bóstwa?

W tę właśnie stronę cała uwaga rodziców zwróconą być powinna.

Trzy więc są gałęzie wychowania: fizyczna, umysłowa, moralna.

Pierwszą nie będziemy się zajmować, jest bowiem w tym kierunku osobna nauka higiena, traktująca o utrzymaniu ciała w warunkach, odpowiednich zdrowiu.

O wzbogaceniu umysłu wiadomościami znajdziemy stosowne wskazówki w nauce dydaktyki.

Kształcenia zaś serca i duszy ku cnotliwemu życiu i niezatarciu obrazu bóstwa, uczy nas pedagogika. O niej też pomówimy. —

Komuż więc powierzone strzeżenie skarbu z piętnem bóstwa? Czy ojcu? Tak i nie. Tak, bo on jako głowa rodziny trzyma ster rządu; on jest kapłanem ogniska domowego — nie, bo zajęty życiem publicznem, nie może się oddać w zupełności wycho-

waniu swoich dzieci, gdyż i tak większą część dnia spędza przy pracy na chleb powszedni — powinien jednak radą i przykładem dopomagać w tem świętem a trudnem zadaniu matce, której Bóg powierzył losy świata. Matka — to imię najświętsze po Bogu, najśłodsze i najmiłsze, które pierwej dziecię sercem przeczuje, niż je wymówić potrafi — to uosobienie miłości. Matka jest kapłanką rodziny, strażnicą chrześcijańskiego obyczaju, aniołem domowego ogniska i szczęścia. Jeżeli kościół powinien być matką w stosunku do wiernych, matka chrześcijańska jest sama kościołem dla dzieci swoich.

Ona dzieci oświeca w prawdach wiary; ona je pociąga do znajomości Boga i Chrystusa, daje kościołowi, zdradza jemu. Kościół jest sługą Chrystusowym, szafarzem Bożym dla całego świata (mówi św. Paweł) a matka sługą kościoła, szafarzem objawienia i łask jego dla dzieci swoich. Ona jest pierwszym misjonarzem, pierwszym apostołem, pierwszym ewangelistą, pierwszym pasterzem, pierwszym biskupem, pierwszym kapłanem, pierwszym kościołem dla dzieci swoich. Do niej należy, zasiewać w dziewicze ich serca ziarno wiary i pobożności. Nie znam nic szlachetniejszego, nic wyższego, nic świętszego nad matkę chrześcijańską, objawiającą Boga dziatkom swoim (o. Ventura).

Dziecię więc nie tylko życie doczesne, lecz i wieczne matce zawdzięcza. Będąc z nią tak ściśle zespolone, spoczywając przy jej sercu, którego bicie nadało pierwszy ruch jego życiu, odtąd ciągle czerpie z niej soki życia. Do matki należy wyżywienie dziecięcia, bo jest to prawo Opatrzności; w ten sposób dopełnia ona stworzenia, staje się coraz więcej matką. Kobieta wtenczas tylko świetnieje w prawdziwej swej piękności, gdy trzyma swe dziecko na ręku, czerpiące u jej piersi życie.

Wiem, że to utrudzające, ale nie wtedy gdy matka szlachetna, mocna i zdrowa przyjmie raczej na siebie ten nadmiar trudu, niżby miała skarb swój oddawać w ręce najemne, by do jej krwi obca się mieszała i dozwolić, by dusza najdroższej istotki pod obcym a nie jej wzrokiem się przeludzała, a może spaczała, płamiała! Bo doświadczoną jest rzeczą, że nie-



mowlę nie tylko w swych oczętach wzrok matki odzwierciedla, jej uśmiech w swym uśmiechu odbija, głos naśladuje, wyrazy powtarza, ale i uczucia wewnętrzne niezatartym śladem ryje w wrażliwej duszyczce. To też wielkiej bardzo wagi na przyszłe życie są wrażenia pierwsze, z któremi dziecię się spotyka na wstępie do życia. Słone to, ale dobre zdanie, że wychowanie dziecka do czwartego roku ukończone być ma. Co później nastąpi, jest wynikiem pierwszego, wpływem dawnych wrażeń.

Jakżeż więc najważniejsze zadanie życia oddać w ręce służby, która, choćby najpoczciwsza, nie zawsze wolna od zarzutu co do moralnych pojęć.

Gdyby więc obowiązki nie pozwalały, wyłącznie zająć się wychowaniem dziatwy, to ster wychowania dzierżyć powinna matka nawet wtedy, gdy dziecię swe oddaje w ręce najświetlejszych nauczycieli,— bo matka powinna być dorastającej córce przyjaciółką, powiernicą, dojrzewającemu synowi ideałem kobiety, puklerzem wśród burz i niebezpieczeństw życia, gwiazdą polarną, do której zwracać się będzie po zbawienie i nieraz zatrzyma się nad przepaścią, wspomniawszy święte imię matki, dotknąwszy medalika, jej ręką przy chrzcie św. w niemowlęctwie na szyi zawieszzonego. Łzom to i czulej troskliwości Św. Bazyli winien swe zbawienie, św. Ludwik, król Francji tak mocną i czystą świętość.

Wszystko to daje dowód, jak wielki wpływ ma matka nad dziecięciem, jak więc powinna się przysposobić, żeby niem nie skrzywić, nie złamać tej wątłej roślinki.

Przedewszystkiem niech obudza w młodej duszy dziecięcia poczucie wiary, wcześniej nagina do postępu w cnocie, otacza młody kwiatek bacznością i czuwaniem, by obcy wpływ go nie zmroził. Ona powinna wszczepiać zasady miłości Ojczyzny, ludzkości i zamiłowanie do pracy dla dobra bliźnich w umysł młodociany dziecka.

Największą zwrócić trzeba uwagę na najszlachetniejszą część człowieka: *s e r c e*. Św. Augustyn powiada: „Idea jest córką serca.“ Uczucie jest źródłem wszystkiego, co piękne, wielkie i wzniosłe w człowieku. — Uczucie jest niby boską światłością, która objawiając duszy piękno obowiązku, tchnie w nią skrytą siłę ku wy-

pełnieniu onego, (powiada jeden z ojców kościoła.) Szczęśliwe dziecię obdarzone bogatym posagiem uczucia, a matka tem łatwiejszą ma pracę w kierowaniu; boć najłatwiej mówić sercem do serca, najlepiej się jest rozumianym, jakoby pochwyconym.—

Jakżeż więc skarb ten od rdzy zepsucia chronić należy! A nic łatwiejszego jak nadać zły kierunek, czyli pozwolić osiąść tej rdzy; bo serce w skutek grzechu pierwородnego szuka zawsze przedmiotu fałszywego, bądź w rzeczach zmysłowych (jak bogactwa), bądź w samem uczuciu niewłaściwem. Rzeczą więc matki jest, tak uchwycić serce dziecięcia, tak je zniewolić do siebie, żeby nie miało czasu rzucić się na manowce. Gdy ją ukocha całym zasobem młodego uczucia; przez nią ukocha prawdę, Boga, Ojczyznę, obowiązki, pracę, i ze zdrowym poglądem dojrzeje; a wtedy już nie upadnie, bo Boga mieć będzie jako ideał dobra, piękna i święta.

Uczucie religijne, pobożność, to kwiecie wiary, woń nadziei, promień miłości (mówi o. Ventura.) Odróżnić ją trzeba od fałszywej dewocji, która tylko karykaturą, parodją jej jest.

„Ten lud cził mię wargami, ale serce jego dalekie jest odemnie,“ rzekł Chrystus. — Więc nie na odmawianiu pacierzy, na wysiadywaniu w kościele, na obleganiu konfesjonału polega pobożność, ale na ściśletem pełnieniu obowiązków, na zgadzaniu się z wolą Bożą, na zaparciu się własnego ja, a odnoszeniu wszystkiego do Boga. Nie mówię, żeby zaniedbywać praktyk religijnych, bo to by było sprzeciwianiem się prawom kościoła; lecz wyłącznie opierać się na literze nie na czynie, mija się z celem nauki katolickiej: „módl się i pracuj.“ Pracą więc modlimy się, pracą nieprzeciążającą siły dla dobra naszego i bliźnich na chwałę Bożą. —

Niech więc matka chrześcijańska zawczasu wpoi w duszę dziecięcia cześć Bóstwa, nauczy szanować kapłanów jako namiestników Chrystusa, wspierać ubogich, kochać bliźnich, a wtedy będzie prawdziwą niewiastą apostołem, matką chrześcijańską.

Drugiem uczuciem po Bogu ma być patryjctyzm. U nas w Polsce tego zaszczepiać nie trzeba, tak razem

z nami wyrasta. Trzeba mu tylko nadać właściwy kierunek, żeby się patryjotyzm nie ograniczał na uniesieniach, zapałach, słowach, lecz na wytrwałej pracy, połączonej z korzyścią kraju a przynoszącej bogactwo Ojczyzny i byt ziomków.

Miłość ta, płodna w cudy, obowiązuje każdy stan, każdy wiek, płęć każdą. Nie tylko obywatel, służący w wojskowym, czy publicznym zawodzie, ale i rolnik i przemysłowiec, pomnażający bogactwa ziemi, i uczone, podnoszący jej oświatę, i nie wiasta, strzegąca w domu swym tradycji świętych przodków, ratująca obyczaje narodowe od obcych wpływów, dźwigająca dółę kmiecią; nawet dziatki przysposabiające się do przyszłych obowiązków, a nadewszystko świątobliwi kapłani, pośredniczący między narodem a Bogiem — zasługują się Ojczyźnie.

Ukrócajmy skłonność do zbytku, przykuwajmy do rodzinnej roli nie dopuszczając wałęsania się po obcych krajach i roztrwania tam ojczystych bogactw, ni też marnowania grosza na stroje, sprowadzane z zagranicy, a gnębiące przemysł domowy. Poznajmy własne błędy, samowolę, niezgodę, brak wytrwałości, i poprawiajmy się, a będziemy nie tylko dobrymi katolikami, ale i prawdziwymi Polakami.

To jest podwalina wychowania. Na tym gruncie zasadzony szczep wyda szlachetne owoce. To będzie opoka, na której twierdzą hudować można.

Matka, szczerze zajmująca się dzieckiem, czuwająca nad niem pilnie, łatwo pozna wrodzone skłonności jego i korzystając z nich, będzie je uszlachetniać, podnosić lub wytępić.

Jeżeli rośliny potrzebują różnych klimatów, różnorodnej gleby i sposobu pielęgnowania, tem bardziej dziecię, ta najszlachetniejsza istota stworzenia, wymaga prowadzenia i postępowania, zastosowanego do fizycznego temperamentu i częstokroć z tego wynikłego moralnego usposobienia.

Główne rodzaje temperamentów są:

Sangwiniczne, odpowiadające usposobieniu uczuciowemu.

Choleryczne — ognistemu.

Melancholiczne — marzycielskiemu.

Flegmatyczne — ciężkiemu.

O szczegółowym rozbiore tych temperamentów mówić dziś nie będę — podam tylko jako przykład kilka rysów i uwag.

Dziecię z usposobieniem sangwini cznym jest bardzo uczuciowe, działa za pierwszym popędem niewytrwale, niecierpliwie, nierozważnie, unosi się gniewem, skłonne do miłostkowości. Rozwinąć więc baczność na serce, ująć je sobie, przemawiać doń w chwilach gwałtownego uniesienia i łagodnością zwyciężać trzeba niecierpliwość.

U choleryków wybitną cechą wola zaślepiona, pycha uporna, lekceważenie drugich, namiętność — despotyzm. Z temi łagodnością nic nie wskórasz, tu trzeba siły, stanowczości niezachwianej, spokoju. Uporu nie przezwyciężysz uporem, ani gwałt gwałtem, bo to wywoływałoby tylko większy bunt. Tu rozum ovladnąć trzeba i przezeń działać, w ten sposób nawet pychę się upokorzy, przedstawiając ją jako słabość i brzydotę.

U marzycieli przeważa wyobraźnia, dobrze kierowana tworzy genialne nieraz pomysły, dzieła zdumiewającej uczoności, ale nieraz idzie na manowce, zasklepia się sama w sobie, zasmakowuje w beczynności i tworzy samolubów. Zajmować dzieci, posiadające podobne usposobienie, pracą umysłową, rozrywać ich dumania — to praca nad marzycielami. Charaktery to często apatyczne, roztargnione, wyrażające dziwaków, skłonne do skąpstwa, choć z drugiej strony nie czujące żadnej ofiary, pochopne do poświęceń, bo nic nie kosztują i skryte. Potrzeba więc, chcąc nimi kierować, wzbudzić w nich zaufanie, żeby się dusza skryta otworzyła i dała pociągnąć ku prawdzie.

U flegmatyków najmniej zalet, bo cichość, łagodność i pobłażliwość ich są raczej przyczyną ubóstwa ducha. przyniesionego ciężarem materji. Największą wadą flegmatyków jest lenistwo i zaciętość towarzysząca tępości umysłowej. Tu silne wstrząśnienia najlepiej działają, pomagają zaś towarzystwo i przykład dobry.

Ktokolwiek zgorzsy jedno z tych maluczkich, le-

piejby mu uwiązano lamień młyński i zatopiono w głębokościach morza — mówi pismo święte.

Niejednokrotnie rodzice sami są zgorzeniem dla swych maluczkich, choć nie rozmyślnie — ale przez nierozwagę, lekkomyślnem słowem, nawet napomnieniami cel dobry mającemi. Nie mówże dziecinie: „Nie kłam,” bo to właśnie naprowadza myśl kłamstwa, tylko: „Mów prawdę.”

Ileż to razy rodzice, nie mogąc sobie dać rady z rozgrymaszonym dzieckiem, straszą je dziadem, wilkiem, djabłem. To błąd wielki, nietylko bowiem rozstraja nerwowo i źle wpływa fizycznie, ale ryje w młodociany umysł piętno tchórzostwa, nie łatwo dające się zetrzeć.

Biada rodzicom, jeżeli ich dziecię na kłamstwie złapało, cała ufność przepadła, cały wpływ stracony! Rodzice prawdomowni, łagodni, szlachetni, pobożni, żyjący ze sobą w zgodzie, zaszczepią przykładem swym te same cnoty w potomstwie swoim.

Ważną też rolę w wychowaniu odgrywa otoczenie, krewni, goście, służba. Wszystko, cokolwiek dziecię otacza, cała atmosfera, którą ono oddycha, zostawia piętno swe na duchu jego, nawet stanowisko społeczne rodziców nań wpływa. Dziecię, wychowane w dostatku, blasku, świetności, skłonne jest do despotyzmu, pogardy dla innych, kaprysów, samolubstwa, jednym słowem: nie zna potrzeb nędzy. Dziecię ubogie skłonniejsze do pochlebstwa, do zazdrości, do goryczy rozdrażnionej chciwością — ale dobrze prowadzone, pierwsze potrafi hojnie dzielić się z ubogimi; drugie nabierze hartu, stanie samoistnie i wytrwale do pracy.

Wychowując zaś dzieci swoje nad stan, ubodzy rodzice większą czynią dzieciom krzywdę, jak dobrodziejstwo i błędzą bardzo — lepiej zawczasu nauczyć pracy, odmawiać sobie wygod, przyjemności, rozkoszy; bo uniknie się w następstwie życia pełnego niezadowolenia i zawodów, i miasto wdzięczności doczeka się od własnych dzieci pogardy.

Wybitną też cechę swej narodowości nosi dziecię. W chłopczynie polskim poznasz zaraz tęsknotę słowiańską, wyczierającą z oczu, a najmiłszą zabawką jego będzie szabelka, którą władać już za młodu się

wprawi ku obronie Ojczyzny, podczas gdy mała Francuzeczka odrazu ruchliwością swoją zapowie ci do-wcipną władczynię salonów. Wrodzone więc odcienia charakteru u nas będą: wspaniałomyślność przy roz-rzutnym nieporządku, bogactwo zasobów przy braku pracy, pochopność do ofiar przy niewytrwałości.

Tęskne mogiły ukraińskie wychowują poetów; nieprzejrzane okiem stepy rozszerzają serce; głębokie puszcze litewskie tajemnicze piętno ryją na duszy ich mieszkańców; krakowskie śmiejące doliny całym wdziękiem sobie właściwym rozweselają usposobienie tamtejszego ludu, i działają inaczej niż żary włoskiego nieba i smukłe szczyty Tyrolu.

Najbliższe jednak otoczenie największy wpływ wywiera. Dziecię prócz rodziców naśladuje najbar-dziej starsze rodzeństwo. Krewni i goście są także polem do ćwiczeń w usłudźności i ugrzecznienu, a przy łożu chorego domownika, pod strzechą wie-śniaczą lub w udzielaniu jałmużny najpiękniejsze spo-soby znajduje dziecko rozwijania miłości chrześciań-skiej.

Z bolem serca wspomnę jeszcze o jednym wiel-kim błędzie, którego się matki w wychowaniu dopu-szczają. A błędem tym — to czynienie różnicy mię-dzy dziećmi, obdarzanie wybrańca większą miłością, a co gorsza, bo i to się zdarza niestety prześlado-wanie nienawiścią upośledzonego dziecka.

Miłość powinna być nieskończona i dla każdego pełna, choć postępowanie róż-ne z powodu różnych charakterów u dzieci. To też dziecię chętnie przyjmie surową nawet karę, ale braku miłości, objawiającej się niesprawiedliwością, nie wybaczy nigdy, i w ten sposób tworzy się Kainów, w ten sposób powtarza się historia Józefa biblijnego. Jeżeli które dziecię wy-maga szczególniejszej miłości i opieki czulszej, to upośledzone od natury albo wad pełne, a dla matki każde powinno być drogie, bo jej własne, bo Boże; więc choć grunt lichey przedstawia więcej pracy, ale z cichą wolą, z łaską Bożą, sercem matki cuda tworzą.

Wspominając o karze nadmienię, że powinna być zarówno jak i nagroda miłośna, sprawie-

dliwa, dorażna. Miłośna, bo tylko dobro dziecka na celu mająca, nie w gniewie, nie w uniesieniu wymierzona. ani też za drobnostki. Sprawiedliwa, a nie pobłażająca wedle kaprysu i widzimi się. Dorażna, żeby dziecię poznało, za co ją odbiera, bo wrażenia w umyśle dziecięcia prędko nikną; zapomni więc ono przewinienie, a kara zapóźno wymierzona wyda mu się niesprawiedliwą i minie się z celem.

Rosnie więc wonny kwiatek pod promieniem słonecznym serca macierzystego, nieświadome zła, w rozkoszy, wśród zabaw, gdy przychodzi czas, że trzeba się rozstać ze skarbem swoim, oddzielić gałązkę od pnia, czyli rozumialej: oddać do szkół. Dzieje się to zwykle około lat siedmiu, prędzej bowiem nie powinno się dziecka do nauk książkowych nakłaniać. Już i tak dziecię pojętne będzie dość umieć, znając Boga, zasady wiary, ważniejsze postacie biblijne i polskie z opowiadania matki. Gdy potrafi rozróżnić zwierzęta domowe, rozpozna kwiatki w ogródku, własną ręką sadzone; gdy będzie wiedzieć, iż chleb robi się z mąki, nie z gliny, że zarówno kamienie jak i błyskotki w klejnotach mamusi wyrastają w ziemi; rozpozna kolory i nazwie każdy, gdy się dowie, iż ludzie żyją na ziemi, która jest taką samą, jak te piękne świecące gwiazdy na niebie, że na tej ziemi są lasy, góry, rzeki i t. d. Oto pierwsza dogmatyka, historia, zoologia, botanika, chemia, mineralogia, fizyka, kosmografia, geografia dziecięca.

Zbyt wczesne uczenie książkowe nuży umysł wątły, wycieńcza siły i często zuiechęca do prawdziwej nauki, a daleko więcej dziecię nauczy się rozmawiając z rodzicami swymi, lub słuchając opowiadań ks. proboszcza, niż z książki w szkółce elementarnej.

Mogliby mnie posądzić zacni pedagogowie o zamiar, że propaguję przeciw uczęszczaniu dzieci do szkółek. Bynajmniej! można mieć to, lub owo zapatrywanie a nie narzucać go innym, ja jednak podobnego zapatrywania nawet nie mam, owszem dla chłopców sędzę, że nauka wspólna publiczna jest konieczną; niech się chłopak wcześniej zaprawia do życia publicznego, uczy koleżeństwa, hartuje wśród przeciwności, ociera między różnorodnymi żywiołami,

Ale o ile na chłopców zbawiennie, o tyle źle na dziewczynki to wpływa, a szczególnie, jeżeli wysełanie dzieci do szkółek odbywa się bez nadzoru. Nie mam nic do zarzucenia godzinom, przepędzonym pod okiem nauczyciela, ale dość wspomnieć tylko o tych, entre-aktach godzinowych, o przed i po szkole, dość przyjrzeć się dziatwie, wylęgającej z gmachu szkolnego, przysłuchać się ich rozmowom, przekleństwom, usłyszeć płacz z powodu odniesionych guzów podczas koleżeńskiej walki, aby dziecię, a mianowicie dziewczynkę, chroniąc od szkody fizycznej i moralnej, zatrzymać w domu, bo chociażby nic w domu nie skorzystała, to przynajmniej nic nie straci, a przy rozwoju obecnym oświaty każda matka potrafi, pierwszych elementarnych nauk udzielić dziecięciu, szczególnie przy pomocy ojca, który lepiej wolny czas od pracy użyje na polu pedagogicznym i dydaktycznym na korzyść swego potomstwa, niż na polu zielonym na szkodę własnego zdrowia i kieszeni a na korzyść potomstwa Izraelowego.

Dziewczynka, to roślina egzotyczna, potrzebująca cieplarnianego klimatu, t. j. czulej troskliwości i nadzoru matki. Nawet starsze dziewczynki lepiej niech się chowają w domu, wprawiają do tych cichych cnót niewieścich, kształcą przykładem matki na skrzętne gosposie, zacne obywatelki, dobre żony i troskliwe matki. Tego nie nabędą na żadnej pensji, choćby je otoczono najstaranniejszem wychowaniem, ale rodzinnego życia tam nie ma, które tak niezbędne dla serca każdej niewiasty, bo „kobieta wśród rodziny (powiada jeden z ojców kościoła) okazalszą jest niż palma ze swemi lśnjącymi liśćmi na górze Tabor, piękniejsza niż winna macica, rozwijająca swe grona i kwiaty przed słońcem, wdzięczniejsza niż róża wśród cierni zakwitła. Szczęśliwsza od owej rzymskiej matrony, o której wspominają dzieje, a która wskazując na owoce swej miłości odzywa się do ludzi i Boga: „Oto moje skarby, oto moje klejnoty.“ One stają się jej pociechą na ziemi i splecą jej wieniec w niebiosach.“

*Felicja z J. B.....*

---



# Polskie typy

(z Juliusza Lothara. \*)

## I. GRYMAŚNICA.

Pełna dąsów, pełna fochów,  
Smętna, blada gdyby cień,  
Chorująca wciąż na nudy,  
Próżnująca z dnia na dzień;  
Niezgodliwa i kłótniwa,  
Wszelki jej porządek zbrzydł,  
Łajac sługę za miedziaki,  
Trwoni złoto że aż wstyd!  
Włos w nieładzie, strój pomięty,  
Koło ust lubieżny śmiech,  
Cała się przedstawia prawie  
Jak próżności rodny grzech.  
Rozdrażniona, nie zna zgody,  
Plotek cały zapas ma,  
Nie serdeczna, ani rzewna,  
Romansowa albo mdła.  
Jak lokrecja dla przyjaciół,  
Skora zawsze sługi bić,  
Za leniwa, aby kochać,  
Chłodna zbyt, by przyjaźń czcić;  
Błyszcząc frazesami czczemi,  
By zasłonić próżnię swą,  
Wymagania zna dla siebie,  
A dla bliźnich swych jest złą;  
Lecz ze wdziękiem zapoznanej  
Rolę odgrywając wciąż,  
Której według jej wartości  
Dotąd nie ocenił mąż —

---

\*) Pod tym tytułem umieszczamy w wiernym przekładzie prace poetyczne niemieckiego autora, piszącego pod nazwą Juliusza Lotnara, a sympatyzującego tak szczerze z narodowością naszą, choć — rzecz szczególna! — po polsku tyle nie umie, aby polską książkę w oryginale mógł przeczytać i zrozumieć. (Przyp. Red.)

Oto typ jest grymaśnicy,  
Jaki nam podaje świat:  
Trzykroć biada uczciwemu,  
Który w sidła takiej wpadł!

## II. KOBIETA POLSKA.

Nadobna, jako róża w lesie  
A smukła, gdyby wierzba rośla,  
Lśniąc jak robaczek świętojański,  
Przedstawia nam się postać wzniosła.  
Korale ust — jak życia czara,  
Co się ognistym lśni napojem,  
A z ramion białych na dół spływa  
Włos lśniący, złoty gęstym zwójem.  
Uśmiechem, pełnym serdeczności  
Swe potęguje wciąż powaby  
W uroku wiecznej lśniąc młodości,  
Co czarem wzrok olśniewa słaby.  
A gdy się w sercu młodocianem  
Raz pierwszy w życiu miłość budzi,  
Swym czarem lica jej okrasza  
A wdziękiem swym zachwyca ludzi;  
Gdy z głębin duszy się wyrывa  
Natchnienie gdyby strumień lawy,  
W całunów żarze dusza tonie  
A w oczach promień lśni się łzawy —  
O! wtedy duszę zachwycając  
Jak wieszczka patrzy w swym zapale,  
Sybiru śniegi ozłacając,  
Wzburzając wzrokiem morza fale.  
Lecz choć się równa z gołębicą,  
Spokoju której nic nie zburzy,  
Madonnę wzrokiem przypomina —  
Niechno widnokrąg się zachmurzy,  
Niech grozi wojny krwawym szlakiem,  
A cała postać jej się zmienia,  
Bo myśli: „Może mi się uda,  
„Współdziałać w dziele wybawienia!“  
I bohaterka w niej się rodzi  
I męczennica, ofiar chciwa,

Co wzrokiem kraj swój wyswobodzi  
I Polskę złączy w swe ogniwa!  
Tak czują Polki i działają  
Piękności znając swej uroki,  
Gdy odsłaniają od niechcenia  
Drobniutką nóżkę, robiąc kroki,  
Aż młodzian, gwoli swej kochanki  
I w wirze tańca rozpasanym  
Trzewiczek zdejmie z nóg bogdanki,  
Po brzegi pełniąc go szampanem,  
A swej dziewicy pijąc zdrowie  
Z naprędce wymyślonej czary  
Tak jako przed nim już ojcowie,  
Obyczaj przodków wznawia stary.

*G. Kohn.*

---

## Anna.

Wspomnienie z przeszłości.

Skreśliła L \* \* \*

---

Ostatnie promienie zachodzącego słońca oświecały Wierchówkę, jedną z większych wsi przecudnie u stóp Karpat położonej, gdym wjeżdżał do plebanii smętnie i zacisznie rozsiadłej w pośrodku dużego sadu.

Nie pierwszy to raz stare i skrzypiące wrota otwały się na moje przybycie a bujna i wysoka trawa uchylała się pod memi stopy...

Serce głośniejsze bić poczęło i myśl odbiegła daleko, daleko w dawno minione czasy. Ciche westchnienie wydobyło się mimowoli z głębi łona. Dawne, owe błogie czasy, chwile szczęścia niezamąconego, gdzie one?...

U progu pojawiła się wychudła i przygarbiona postać dobrze mi znanej Olany, pełniącej obowiązki gospodyni w zacisznej plebanii od czasu śmierci mał-

żonki ks. P., który był proboszczem obrz. gr. w pięknej i bogatej Wierchówce.

— Ach panieńku — zawołała po pierwszych słowach przywitania — toż sam Pan Bóg was sprowadza tutaj, bo jegomość coś bardzo zaniemógł. Od kilku dni nie opuszcza łóżka i ciągle mnie wysyła, bym szła na wzgórek, gdzie czarny krzyż stoi i ztamtąd wyglądała, czy pan nie przyjeżdża. To zły znak, — rzekła po chwili — nigdy bywało nie wysyłał mnie jegomość, a przecież nie jeden raz przyjeżdżaliście do nas; ale i to prawda, każdą razą, jakeście przyjechali, tak znów zapadał jegomość przez wiele dni w ciężki smutek i zadumę. Hej, hej, bo też to nie łatwo zapomnieć o takiej krasawicy, jaką była córka jegomości Anna, świeć Panie nad jej duszą — i pochyliła pobożnie głowę.

— Nie łatwo, nie łatwo zapomnieć — powtórzyłem i weszliśmy do obszernej izby.

Na łóżku spoczywał siwy jak gołąb staruszek. Pożółkłe i zmarszczkami głębokimi poorane oblicze rażąco odbijało od śnieżnej białości pościeli, oczy staruszka z widocznym niepokojem skierowane były ku drzwiom. Ujrawszy mnie uśmiechnął się słabo i przemówił cichym głosem:

— Dobrze zrobiłeś mój synu, żeś wcześniej niż każdego roku przyjechał. Zapewne to takie zrządzenie Opatrzności, bo ja się już u schyłku czuję, pójdę tam, gdzie mnie moja wierna żona i... dodał rzewnym głosem, moje jedyne dziecię. moja droga Andzia oczekuje. Ty zaś mój synu, oddasz mi ostatnią przysługę, zamkniesz mi powieki!

Synu mój! — czym się nie mylił? wszakże staruszek nigdy mnie tak nie nazywał, dla niego zawsze tylko byłem panem Zbigniewem. Nieznane dotąd uczucie zadrgało w sercu mojem; pełen wzruszenia pochyliłem się nad starcem i pełen uszanowania ucałowałem wychudłą jego rękę.

— Ojczy, odpędź te czarne myśli — począłem z wolna i z cicha przemawiać do niego, odzyskasz siły, to więcej jak pewna i znów niebawem jak co roku pójdziemy...

— Na grób Andzi, oj nie — przerwał staruszek,

ty sam chyba tą razą pójdziesz zmówić „Zdrowaś” za jej duszę czystą i anielską. Idź nawet zaraz mój synu, ona pierwsza od wszystkich; opowiesz mi kiedyś, o czem rozmawiałeś z nią, a teraz zanieś jej ostatnie pozdrowienie odemnie.

Wyszedłem. . Podążyłem dobrze mi znaną ścieżką udeptaną i wąską, prowadzącą od plebanii ku cmentarzowi wiejskiemu.

Tam, w zacisznym ustroniu, gdzie zmarli spoczywają snem wiecznym, ukląknę na drogim mi grobie, i cicha modlitwa na skrzydłach miłości wzniosła się... do Boga?... nie! do zmarłej!

Wstałem i oparłem się o pomnik.

Wszystko było takie same jak przed laty, tylko brzoza płacząca, którą zasadziłem, rozpuściła bujniej smętne swe warkocze. Ostatni promień słońca jaszkrawy padł na nie i okolił listki złotemi obwódkami; lekki powiew wietrzyka zaś pieścił gałązki drzew, które cichym szmerem opowiadały sobie powieści o zmarłych. I mnie się również zdawało, że dolatują mnie ciche, słodkie słowa miłości, wyszeptane ustami mej Anny...

Cały utonałem myślami w przeszłości, zdawało mi się, że postać jej obok mnie stoi, oddech jej owiewa mnie, że wyciąga ku mnie białą dłoń swoją... Anna!...

Przeniosłem się w dawno minione czasy, w czasy, na wspomnienie których musi zadrgać struna w sercu każdego Polaka; rok 1863 stanął mi przed oczyma!

Każdemu znane są wypadki owego roku i smutne wyniki powstania. Wszystkie nadzieje rozprysły się, nadzwyczajne wysilenia spелzły na niczem, i każdy, kto prawdziwie miłował Ojczyznę, cierpiał w dwójnasób.

I ja również znękany i zbolały po czynnym udziale w powstaniu, postanowiłem opuścić widownię tego dramatu narodowego i udać się do Galicji, by uniknąć prześladowań Moskali i zwiedzić nieznanne mi dotąd góry Karpat.

Żywo mnie do tego także i matka moja namawiała, bo liczne i codziennie wykonywane aresztowania

wzbudzały w niej słuszną obawę, by i mnie los podobny nie spotkał.

Wybrałem się zatem w podróż a zwiedzając Karpaty wszerek i wzdłuż jako turysta, zagościłem do Wierchówki. Szczególnie piękne położenie tej wioski skłoniło mnie do cokolwiek dłuższego tam pobytu.

Wtedyto robiąc wycieczki w okolicę, jednego pamiętnego dnia poznałem Annę.

Ujrzałem ją siedzącą pośród ciemnego boru u stóp szemrzącego strumyka. Było to dziewczę piękne idealną tą pięknnością, przemawiającą tak żywo do serca młodzieńca, który w świat wchodzi z nieskażonym uczuciem, z całym zapalem marzenia, z wiarą niezachwianą.

W jasnobłękitnej powiewnej sukni i takiejże barwy wstęgami w złocisto połyskujących warkoczach a w ręku pęk polnych kwiatów, z których wiała wieniec, wydała mi się istną rusalką.

Oczy jej duże, piękne i nieokreślonej jakiejś barwy to na wieniec patrzyły, to znów marząco tonęły w mglistej dali.

Obok niej, na murawie leżała książka otwarta, której kartkami lekki zefirek igrał a na drzewie pobliskiem zawieszony był duży słomkowy kapelusz.

Ujęty czarodziejskiem zjawiskiem stanąłem i wstrzymałem oddech z obawy, by nie spłoszyć rusalki i wpatrywałem się w nią z zachwytem.

W pierwszej chwili nie spostrzegła mnie, dopiero gdy silniejszy powiew wiatru zaszeleścił kartkami książki, spojrzała w ową stronę i ujrzała mnie.

Oczy nasze zbiegły się a wzrok jej czysty z rodzajem lekkiego zdziwienia spoczął na mnie. Zapalił on w pierwszej już chwili płomień w mem sercu.

A ona ?

Snać przeczuła to, bo spuściła oczy i powstała chcąc zapewne odejść.

W tem zerwał się silniejszy wiatr, a pochwycawszy kilka kartek, osobno w książce leżących, poniósł je na bystrą wodę strumyka.

W okamgnieniu wskoczyłem i porwałem je a uchylając z uszanowaniem kapelusza oddałem.

— Dziękuję panu — odpowiedziała dźwięcznym

głosem, i uśmiechnąwszy się lekko, wzięła kartki i włożyła na powrót w książkę, na okładzinie której dostrzegłem nazwisko naszego ukochanego Mickiewicza.

Nie wiem jak się stało, żem przystąpił do nieznaney mi dziewczynie i towarzysząc jej wszcząłem z nią rozmowę. Z początku odpowiadała mi nieśmiało i spuszczała z zakłopotaniem oczy, lecz dostrzegłszy zapewne, że nic we mnie nie ma tak odstrasającego, zaczęła z naiwnością dziecka przyrody szczebiotać.

Opowiadała mi, że jest jedyną córką proboszcza obrz. gr. w Wierchówce i że ją matka odumarała, gdy była trzyletniem dziecięciem a ojciec sam wychował ją i udzielał nauk, że go bardzo kocha, bo ją tyle pięknych rzeczy nauczył. Mówiła mi też, że lubi odhycwać sama długie przechadzki, że nigdzie jej tak dobrze nie jest jak pośród tych pięknych drzew w pobliżu strumyka srebrnego lub na łące kwiecistej, bo to wszystko dawni znajomi i przyjaciele, z którymi od lat dziecięcych w zażyłości pozostaje. Nawet częste utyskiwania starej Olany, pozostającej od czasów niepamiętnych w domu jej ojca, nie mogą jej odwieść od tych wycieczek, i chociaż Olana często gdera utrzymując, że dla szesnastoletniej panienki nie wypada, błąkać się samej po lesie, to woli wysłuchać bury niż rzec się bujania wśród powabnej przyrody.

Takie i t. podobne rozmowy prowadziliśmy przez całą drogę i gdyśmy do plebanii skręcali, to gawędziliśmy już ze sobą, jak gdybyśmy się od lat kilku przynajmniej znali.

Wkrótce po poznaniu Anny zacząłem częściej bywać w domu jej ojca. Gościnnie przyjmował mnie ruski proboszcz a ponieważ był światłym człowiekiem, więc nigdy nie brakło przedmiotu do rozmowy. Często też Anna przeczytała nam jakiś wierszyk tęskny, jakąś myśl podniosłą, skreśloną przez nią samą, a pisała bardzo pięknie i uczuciowo.

Czar, który we mnie wzbudziła, potęgował się z dniem każdym, a gdym poznał jej piękną duszę i anielskiej dobroci serce, wtedy pekochałem ją na zawsze. Tem bardziej zaś uznałem ją godną uczuć moich, że Anna będąc Rusinką co do obrządku, sercem gorąco Polskę jako wspólną macierz kochała

i wraz ze mną mocno nad dolą nieszczęśliwą znękanego narodu bolała.

I Anna oddała mi również swe serce z całą ufnością dziewczęcia, co po raz pierwszy kocha, więc nie dziw, że na takim gruncie wykwitła miłość święta, czysta i wzniosła, jaka mało komu tu na ziemi przypadła w udziale.

Wtedy to prosto i bez ogródek prosiłem ojca o jej rękę.

Odpowiedział mi, że wprawdzie życzeniem jego było, by Anna została żoną człowieka tego samego obrządku i narodowości co ona, gdy atoli jest mi wzajemną, nie chciałby zagradzać szczęścia swemu jedynemu dziecięciu. Na razie radzi mi jednak, bym się jeszcze namyślił i zbadał stan serca swego dokładnie i czekał, aż te burzliwe czasy miną i zawita spokój.

Taką odpowiedź dał mi ojciec Anny. Ja atoli zauważyłem, że zacnemu kapłanowi, wzrosłemu w zwyczajach tradycyjnych dawnych czasów, trudno przychodziło pogodzić się z myślą, by córka jego poślubiła kogo innego, jak ruskiego księdza.

Pomimo to płynęły nam dni uroczy i szczęśliwie niemal; u boku ukochanej czułem się takim dobrym jakimś i innym człowiekiem, jak dotychczas, toż śmiało rzec mogę wraz z Ujejskim:

„Była cicha i anielska

„I kochała mnie,

„Jak piosenka jaka sielska

„Płynęły nam dni.“

Jeden cień tylko pojawiał się wówczas na tej świetlanej drodze żywota mego. Był nim daleki kuzyn Anny, Spirydion, alumnus mający przyjąć za rok święcenia kapłańskie. Znając Annę od lat dziecięcych miał on jak mi się zdawało zamiar, połączyć się z nią węzłami małżeństwa.

Mimo, że pewien byłem wzajemności Anny, nie mogłem znieść widoku ponurego Spirydiona. Razu jednego napomknąłem nawet coś o nim Annie i objawiłem jej moje obawy co do niego, lecz ona odpowiedziała mi jak zwykle z dobrocią, że to tylko przewidywanie, że Spirydion bardzo dobry człowiek i że miała



czas poznać go, ponieważ znajomość ich sięga jeszcze lat dziecięcych, żebym go więc na równi z nią polubił.

Nie wiem jak nazwać uczucie, które żywiłem dla Spirydiona. Nie była to zazdrość, lecz jakiś wstręt mimowolny i odraza, z których nie mogłem sobie zdać sprawy, ponieważ mi się Spirydion nigdy w niczem nie naraził, ale owszem na każdym kroku wysiłał się dla mnie na wyszukane i przesadne grzeczności. Niekiedy nawet udawał serdeczność.

W tem nagła wiadomość o niebezpiecznej chorobie matki powołała mnie na powrót do Królestwa.

Jakby dziś widzę blade i zasmucone oblicze mej ukochanej przy pożegnaniu, i gdy na odjezdnem ręką stałem jej ostatnie pozdrowienia i wołałem: „Do widzenia niebawem,“ wtedy potrząsała tylko główką, gdyby w złowrogiem przeczuciu.

Poczeiwy pleban żegnał mnie również niemniej serdecznie dodając, bym rychło powracał. Zalecał mi też, bym się miał na ostrożności, wszędzie bowiem czyhają teraz na powstańców.

Spirydiona nie było podówczas w domu, bo przed tygodniem jeszcze wyjechał na kurs teologiczny jak mówił, pomimo, że się wykłady nie były jeszcze rozpoczęły.

Zaledwie tylko do granicy dojechałem, gdy mnie nagle straż obskoczyła i przyaresztowała. Jak grom z nieba spadła na mnie ta katastrofa. myślałem bowiem, że już zapomniano o mnie. Później przy in-dagacji dowiedziałem się, że mnie w mej nieobecności poszukiwano i że teraz w dwójnasób cięższa kara czeka mnie, aniżeli byłaby przed wydaleniem się mojem z kraju nastąpiła.

Tak więc ze szczytu szczęścia runąłem w bezdenną przepaść. Po krótkim i nader pobieżnem śledztwie zasądzono mnie na długoletnie więzienie, a komu to wszystko zawdzięczyć miałem, o tem dowiedziałem się przypadkiem później.

Oto Spirydion denuncjował mnie do urzędu moskiewskiego.

Nie jestem w stanie opisać boleści, która mną owładnęła podówczas, bo wszystkie drogi żywota zamknęły się przedemną. Więcej jak prawdopodobna

śmierć matki, możliwa utrata ukochanej i długoletnie jak grób straszne więzienie, oto przyszłość, która mi się przedstawiała. Jakoż rzeczywiście w kilka dni umarła mi matka a dobra nasze uległy konfiskacie.

Już kilka lat siedziałem w więzieniu, w ciągu których kilkakrotnie posyłałem wiadomości o sobie Annie; napróżno! nie było żadnej odpowiedzi. Nareszcie dziwnym i nieprzywidzianym jakimś zbiegiem okoliczności zostałem z wieloma innymi ułaskawiony.

Po odzyskaniu wolności uporządkowałem sprawy majątkowe i udałem się do Galicji a ztamtąd do Wierchówki.

Najrozmaitsze uczucia miotały mną w miarę gdy się zbliżałem do miejscowości, mieszczącej skarb mój. Jak mnie powita, czy mnie jeszcze kocha, jak wygląda? Te i tym podobne myśli nasuwały mi się a serce biło tak mocno, jak gdyby pierś rozsadzić chciało.

Dojechawszy do wrót, zastałem je zamknięte a na podwórzu wysoka trawa i rozmaite zielska bujnie porozrastały się; wszędzie było cicho i pusto. Złowrogiem przeczucie ocknęło się we mnie.

Spiesznie podążyłem do mieszkania i z gorączkowym pośpiechem odchyliłem drzwi od izby, gdzie zwykle Anna przesiadywała. Wszystko zdawało się tam być jak przed wyjazdem moim; tylko doniczki, w których rozrastały się niegdyś tak rozkosznie kwiaty, pielęgnowane ręką mej ulubionej, stały próżne, gdzieniegdzie tylko sterczał jeszcze uschły bądzylek. Przed stolikiem, na którym leżały opylone książki i uschłe kwiaty, siedział całkiem osiwiiały staruszek i czytał z dużej książki. W staruszku tym poznałem ojca Anny.

Począłem witać się z nim i żywo pytać o Annę.

Staruszek nie odpowiedział mi nic, tylko wzrokiem zboliałym powiódł po mej twarzy a potem wzięwszy mnie za rękę, zaprowadził... na cmentarz.

Tu ujrzałem mogiłę a na niej nagrobek z imieniem mej ulubicnej!

Co się wówczas ze mną działo, Bóg jeden wie tylko; ja tyle przypominam sobie, że w nadmiarze boleści łzy potoczyły mi się po obliczu i serce lodo-

wacieć zaczęło, zdawało mi się, że umrzeć muszę! Nareszcie staruszek zabierając się do odwrotu, pociągnął mnie za rękę i w te odezwał się do mnie słowa:

— Widzisz, toś ty jej mordercą!

Chciałem mu coś odpowiedzieć na to, lecz on ciągnął dalej:

— Cicho, nie przerywaj mi, posłuchaj a opowiem ci, jak to Anna zasnęła snem wiecznym. Niedługo po odjeździe twoim przyjechał Spirydion i przywiózł straszną nowinę, że cię na śmierć skazano. W pierwszej chwili nie chciałem jakoś temu wierzyć, ale po krótkim zastanowieniu się wydało mi się to możliwem, bo tam, dokąd jechałeś, wszystko możebne. Jakie wrażenie to na dziecięciu mem zrobiło, łatwo możesz się domyślić; wiedło mi i marniało jak różyczka pod powiewem wiatru jesienno, aż w pół roku po twoim odjeździe, kiedy przyroda zaczęła się budzić do życia, życie uleciało z niej. — Tak więc jesteś ty przyczyną jej śmierci — mówił już nieco łagodniej pleban; ach, gdyby nie była cię poznała, żyłaby dotąd a ja na stare me lata nie zostałbym sam jeden na świecie ze smutkiem w sercu!

— Ale jakżeż to być może! — przerwałem, wszakże kilka razy pisałem z więzienia, czy listy moje nie doszłyby?

— Listów żadnych nie otrzymaliśmy — odpowiedział pleban, i to pewnie jeszcze Spirydiona sprawa była w tem, bo po odjeździe twoim koniecznie domagał się, bym mu Andzię dał za żonę. Ja zaś nigdy nie byłbym mu dał dziecięcia mego, bo poznałem, że potworna dusza w tym człowieku; widząc, że mu się nie wiodą osnute plany, wyrzekł się wiary ojców i ojczyzny i przeniósł się do Rosji, gdzie już teraz wysokie stanowisko w hierarchii prawosławnej zajmuje. — A teraz — dodał po chwili, powracaj z kąd przychodzisz; Anna do ostatniego tchnienia myślała o tobie i z imieniem twem na ustach uleciała jej dusza. Ja ci nie złorzeczę, ale nie mógłbym dłużej znieść widoku twego, bo to mi żywo przeszłość przypomina a pragnę też jak najrychlej sam pozostać z smutkiem moim, z którym się już zrosłem. Za rok możesz znów przyjechać, a teraz bywaj mi zdrów!

To mówiąc podążył spiesznie do wnętrza plebanii, a ja zostałem sam z bolem i rozpaczą w sercu. Utraciłem co miałem najdroższego na ziemi!

Co roku przyjeżdżałem od czasu owego do Wierchówki i wysłuchawszy nabożeństwa, za wieczny spoczynek zmarłej odprawionego, wraz z ojcem jej spieszyłem potem na cmentarz, by się do niej pomodlić. Wspomnienie o niej pozostało dla mnie tą gwiazdką, która mi przez całe życie przyświeca!

Gdym się z moich rozmyślań ocknął, było już zupełnie ciemno na cmentarzu i tylko blade światło księżycy osnuwało się srebrzystą nicią mieszkania zmarłych.

Powróciłem do zacisznej plebanii, nad którą tymczasem anioł śmierci wionął skrzydłem swoim.

Zastałem martwe tylko zwłoki szlachetnego plebana i starą Olanę w ponurem milczeniu oddającą ostatnie posługi swemu panu.

Z wyprowadzeniem zwłok ojca Anny w cmentarne zacisze, urwała się ostatnia nić wspomnień wiążąca mnie do ziemi.

Wszyscy, którzy memu sercu drodzy byli, udali się na wiekuisty spoczynek, ja sam jeden przeżyłem ich; toż żyję tylko przeszłością a przyszłość moja, to grób.

W Dunajowie, 12. Stycznia 1883.

---

## Do młodej poetki.

---

W lat dziewiczych twych zaraniu  
Marzysz piękno, miłe dziecię!  
Jak na wonnem z róż posłaniu,  
Śniesz tęczowo o tym świecie.  
Jak w obłonkach drzemią kwiaty,  
Jak rusalka marzy, śpiewa,  
Marzy umysł twój bogaty

I poezję w dźwięk przelewa.  
Skarby uczuć jak kryształy  
Czyste w duszy masz zamknięte,  
Ty dla Polski tak zbolelej  
Żywisz czucia wzniosłe, święte.  
Zła nas dola nie odstrasza.  
Wytrwać trza nam do ostatka,  
Bo ta ziemia wspólna nasza,  
Polska wspólna nasza matka.

. . . . .  
. . . . .

Marząc w zachwyty godzinie  
Myśl w ideał cię przestwarza,  
Niby mgła przejrzysta płynie,  
Postać twoją wyobraża  
Z jasnym czołem promienistym,  
Co natchnione z bożej woli,  
Ozdobione światłem czystym  
W wieńcu złotej aureoli!

*Marja z Rusiłowa.*

---

## Do moich siostrzyczek

Mani i Syluni Z.

---

Siostrzyczki moje! na życia drogę  
Chcę wam zaśpiewać piosenkę,  
A więc pozwólcie że jako zmoję,  
Nastroję moją lirenkę.

Wyście w wiosennem zaraniu życia  
Trosk i zawodów nie znacie —  
Nad wami czuwa już od powicia,  
Anioł w cnej matki postaci.

Jam już zaznała burzę żywota —  
Ni obcem mi już cierpienie —  
Wielu nadziei spełzła nić złota —  
Nie jedno znikło marzenie!

Chcę wam powiedzieć, co w walce z losem,  
Najlepszą tarczą na świecie,  
Wy nie wzgardzicie siostrzanym głosem,  
Piosnkę mą skromną przyjmiecie.  
Trzy są anioły, jasne świetlane,  
Trzy stróże szczęścia naszego,  
Z nieba od Boga ludziom zesłane,  
Zawsze i wszędzie nas strzegą.  
Pierwszym aniołem jest — miłość Boga,  
Miłość pokorna, prawdziwa,  
Ona nas wiedzie do niebios proga,  
Otuchę w serce nam wlewa.  
Drugim aniołem — miłość ojczyzny,  
Tej naszej Polski kochanej,  
Dla której tylu poniosło blizny,  
Tyle krwi było przelanej.  
Trzecim aniołem — miłość rodziny  
I domowego ogniska.  
Przy którym błogo płyną godziny,  
Z którego źródło cnót wytryska.  
Gdy miecz boleści rany zadaje,  
Cierpienie przygnębia duszę,  
Pierwszy aniołek u boku staje  
I srogie słodzi katusze.  
Gdy rozprószeni po całym świecie  
Nie mamy z swoich nikogo,  
Drugi aniołek wnet do nas zleci  
I szepce: „Masz Polskę drogą.“  
Kiedy w zwątpieniu złych myśli rzesza  
Wystawia ducha na próbę,  
Trzeci aniołek do nas pospiesza,  
On nas ratuje od zguby.  
Niech was anioły te, siostry moje,  
Otulą skrzydły swojemi,  
Niech na was zleją łask swoich zdroje  
I raj wam stworzą na ziemi.

Wyżnica na Bukowinie.

*Alma Kovács.*

## Biblioteka Mickiewicza.

(Z „Dziennika Polskiego“).

Naród, który nie czci genjuszów swoich, nie jest godnym imienia narodu, nie jest ich samych godnym. Ztąd też widzimy, że ludy przodujące cywilizacji wciąż tak wielką otaczają pamięć mężów, którzy wieki całe oczekiwani, zjawili się wreszcie w społeczeństwie z gwiazdą u czoła, aby myśli narodu, a często ludzkości całej na nowe pchnąć tory, uczuciom bieg nadać inny. Zimna, kupiecka Anglja kultem religijnym prawie otacza imię Szekspira, a Goethe-Verein niemiecki to istny zakon, którego hasłem i celem służba u stóp ołtarza weimarskiego Jowisza.

Naród polski z chlubą też wyrzec może, iż godnie stara się okazać cześć i wdzięczność temu, który jest najszlachetniejszym wyrazem, wcieleniem serca i myśli polskiej, który sam o sobie powiedział:

„...duszą jam w moję ojczyznę wcielony,

Ciałem połknąłem jej duszę:

Ja i ojczyzna, to jedno;

Nazywam się miljon: bo za miliony

Kocham i cierpię katusze...”

Trzydzieści lat upłynęło od śmierci Mickiewicza, a grosz zbierany do grosza urósł już w sumę krociową i czas już niedaleki, kiedy złoto zebrane ofiarnością narodu przetopi się w spiż, mający wieki świadczyć o uwielbieniu dla wieszczka. Wdzięczność narodu i w inny objawia się sposób: życie jego i dzieła są przedmiotem poważnych badań i roztrząsania; każdą myśl, każdą iskrę uczucia, która tliła w szlachetnej piersi wieszczka, staramy się pojąć, odczuć i składowy skrzętnie w skarbcu narodowej literatury. To też biblijografia literatury poświęconej Mickiewiczowi liczy dziś setki numerów, a któż zliczy ulotne pisma i drobne artykuły?

Rok bieżący złożył spuściznę duchową wieszczka w ręce narodu, odtąd dzieła jego należą do wszystkich. Zaraz też zjawilo się kilka wydań dzieł poety,

zapowiedziano kilka nowych jeszcze, a każde z nich chciałoby zabłąkać się aż pod wieśniacze strzechy, każde i niezamożny może nabyć łatwo. Szczęśliwym też nazwać się godzi rok obecny i z tego względu, że w nim zjawilo się dzieło dra Chmielowskiego, jednego z najlepszych znawców żywota i dzieł Mickiewicza, a treścią jego całe życie i dzieje twórczości geniuszu.

Pierwsze to dzieło tak obszernie, a nadto źródłowo opracowane, lecz sam autor nazwał je tylko „zarysem biograficznym“ Adama, nie jest więc ono ostatnim krytyki wyrazem.

Tak więc na polu obywatelskim, że tak powiemy, a mamy tu na myśli wzniesienie pomnika w Krakowie, na polu wydawniczym i literackim, czynimy, co w siłach naszych i mocy, aby okazać cześć narodowemu genjuszowi.

Czyśmy już atoli spełnili przez to wszystkie obowiązki, uścili się z całego długu wdzięczności w obec tego, przy którego Homeryckim stole pokolenia całe karmy ducha i serc karmy będą szukały?

Każdy przyzna zapewne, że w zamian za skarby otrzymane z rąk wieszczu ofiarowaliśmy mało, a przekonanie to właśnie skłoniło nas do napisania słów niniejszych.

Narodowe Muzeum w Krakowie otrzymało już od Wład. Mickiewicza, który w Adamie czci ojca i wieszczu zarazem, dar wspaniały, a mianowicie te wszystkie zabytki po Mickiewiczu, które się znajdowały w ręku jego syna. Nie wątpimy, że z czasem wzrośnie ten zawiązek we wspaniałe i cenne Muzeum Mickiewicza, gdzie spoczną wszystkie pamiątki po nieśmiertelnym wieszczu rozrzucone dziś po kraju. Mybyśmy jednak poszli o krok dalej i z tem Muzeum pragnęlibyśmy widzieć połączony jeszcze dział inny, nieodłącznie należący do pierwszego, a nim — Biblioteka Adama Mickiewicza.

Każdy, kto się tylko bliżej zajmował badaniem dzieł wieszczu i jego życia, nie zaprzeczy bez wątpienia, że niezmierne napotykał trudności w gromadzeniu potrzebnych mu źródeł. Nie chcąc się dłużej rozpisywać nad tem, wspomniemy tylko, że we Lwowie chlubiącym się kilku bibliotekami nie można w żadnej



z nich znaleźć wszystkich wydań dzieł poety — objaw smutny zaprawdę. A cóż dopiero mówić o zagranicznych dziennikach rosyjskich, francuskich i innych, o drobnych broszurach odnoszących się pośrednio lub bezpośrednio do Adama, a tak ważnych dla biografą? Mickiewicz spędził tylko lata pierwszej młodości w ojczyźnie, reszta życia upłynęła mu po za granicami Litwy ukochanej, po części w służbie u obcych, którzy choćby z tego względu zajmują się osobistością polskiego geniusza, a wiadomo przecież, jak żywo zajmował on się w pewnym okresie życia polityką europejską, jak żywy brał w niej udział. Poznanie tej właśnie epoki w życiu poety przedstawia dla badaczy w kraju żyjących niepokonane trudności: dzienników francuskich lub włoskich z piątego i szóstego dziesiątka naszego stulecia nie masz w bibliotekach polskich.

Pokolenie współczesne wieszczowi starzeje się, wymiera. Ludzi znających go osobiście, będących z nim w bliższej lub dalszej styczności przerzedzają się szeregi, a z nimi zstępuje do grobu tradycja najwiarygodniejsza, bo z pierwszego płynąca źródła. Póki czas zatem, należy przystąpić do spełnienia obowiązku i zebrać wszystkie, choćby najdrobniejsze szczegóły o wieszczu, przechowywane w ustnem podaniu, znane mniejszym lub większym kołom, lecz nieznanie ogółowi. Wezwać przeto potrzeba publicznie wszystkich, mających jakiegokolwiek wspomnienia o wieszczu drukiem dotąd nieogłoszone, aby je spisali tak, jak każdego stać na to i przesłali do onej Biblioteki Mickiewicza, której myśl rzucamy tą drogą. We wspomnieniach tych znalazłoby się bezsprzecznie wiele zapisków podejrzaney wartości, lecz wybór i sąd krytyczny należałby do przyszłego biografą poety.

Pragnęlibyśmy zatem, aby w Krakowie przy Narodowym Muzeum lub też we Lwowie przy Zakładzie im. Ossolińskich powstała biblioteka poświęcona wyłącznie autorowi Pana Tadeusza, a obejmująca trzy główne działy.

Pierwsze miejsce zająć winne zapewne w tym zbiorze wydania dzieł poety i to wydania wszystkie, tak zbiorowe, jakoteż pojedynczych utworów i roz-

maite przekłady tychże. Pożądaną byłoby rzeczą, gdyby i rękopisy znajdujące się często w rękach niepowołanych ustrzedz można od zagłady, zgromadzając je ile możności, lecz rzecz ta byłaby nader trudną do wykonania, bo wiele z nich znajduje się w publicznych zbiorach, wiele w posiadaniu ludzi prywatnych, którzy za żadną cenę nie rozstaliby się z świętymi pamiątkami. Wierne odpisy atoli możnaby pozyskać bez trudu.

Dział drugi w Bibliotece Mickiewicza zajęłyby wszystkie dzieła, artykuły, wiersze i inne utwory nim samym się zajmujące, dalej dzieła kreślące obraz stosunków współczesnych poecie, wśród których on żył i działał, a wreszcie rzadsze dzieła pisarzy ojczystych i obcych, którzy jakikolwiek wpływ wywarli na jego wykształcenie lub twórczość.

W trzecim oddziale, niemniej ważnym jak dwa poprzednie, mieściłyby się niewydane dotąd wspomnienia o wieszczu, choćby najdrobniejsze, i rozbiory dzieł jego zalegające w rękopisach, bez względu na wartość skrzętnie gromadzone.

Wiadomo naprzykład, że przedwcześnie w roku zeszłym zmarły w Paryżu krytyk i literat Adam Rządźewski (Aer) lat kilka poświęcił pracowitemu zbieraniu szczegółów tyczących się dzieł wieszca i jego życia, że chwalebny wiedziony pietyzmem najmniejszą zapisywał drobnostkę a tak zebrał istną encyklopedję Mickiewiczowską. Z pracy tej zaledwie okrucy okazały się w druku, a jakiż los spotka rękopis cały, zawierający, o ile sądzić można po ogłoszonych wyjątkach, źródła wielkiej wartości? Obecnie spoczywa on w Paryżu, lecz kto wie, czy nie zatraci się tam na wieki, a praca kilkoletnia, cenna i potrzebna pójdzie na marne. Gdyby zaś istniała biblioteka, o której mowa, rękopis dostałby się zapewne do jej zbiorów i w rękę powołanego krytyka w niejednym wypadku rzuciłby światło na postać wieszca, podał nieznanne szczegóły. O zgromadzeniu wszystkich dzienników zagranicznych a współczesnych Mickiewiczowi i marzyćby nie można, część ich zaledwie zebrałby się udało, lecz o ważniejsze odpisy postarałby się można z łatwością, wszak nie ma zakątka na ziemi, gdzieby

nie było Polaka, a nie ma Polaka, któryby choć listkiem drobnym nie chciał się przyczynić do wieńca chwały Adama.

Czy jednak myśl założenia podobnej biblioteki dałaby się urzeczywistnić, czy stworzenie instytucji takiej możliwe? Bez wahania odpowiadamy — tak. Zanadto bowiem jesteśmy przekonani tak o patriotyzmie Polaków, jak też o wzrastającym z dniem każdym uwielbieniu dla wieszczki i wpływie jego na naród, abyśmy choć chwilę o tem powątpiewać mogli. Przedewszystkiem funduszków zrazu nie potrzeba żadnych. Chodzi głównie o przyjęcie w zasadzie podanej tu myśli a następnie o rozszerzenie jej w najrozleglejszych kołach, \*) w takim zaś razie pewni jesteśmy, że naród, choćby tak jak nasz ubogi, że naród, który zebrał przeszło 100.000 zł. na pomnik dla wieszczki, pospieszy chętnie z ofiarą mniejszą niż ofiara grosza, z ofiarą książek. W iluż to domach marnieją nieraz najcenniejsze dzieła, ile skarbów prawdziwych w książkach rozlicznych leży bez użytku dla tego, że sprzedać je nie zawsze jest sposobność, a nie ma często nikogo, ktoby zachęcił do złożenia ich zakładowi publicznemu w ofierze. Wierzymy też że wydawcy i autorowie polscy z chęcią przodowaliby w szlachetnem spełnieniu obowiązku narodowego i że każdy z chęcią przesłałby do Biblioteki Mickiewicza dzieło wydane przez siebie, jako objaw hołdu i wdzięczności. Wszak tyle zakładów istnieje u nas ofiarnością publiczną, same nawet Muzeum Narodowe w Krakowie zawiązek swój i dalsze istnienie zawdzię-

---

\*) Wszystkie czasopisma polskie życzliwe tej sprawie upraszamy o przedrukowanie niniejszego artykułu. (Przypisek autora.) Redakcja „Roczników Samborskich“, która swoim kosztem wydała już poprzednio przekład arcydzieła Mickiewicza na rzecz pomnika wieszczki i dotąd z rozprzedaży na tenże pomnik uzyskała 17 zł. 38 ct., chętnie czyni zadość prośbie autora, przedrukowując jego artykuł celem obznajomienia nim także koła swoich czytelników, i przysłużenia się dobrej sprawie; wiadomo jej bowiem z własnego doświadczenia, że wszelkie prace literackie po czasopiśmiech i dziennikach rozrzucone nikną niespostrzeżenie jak efemerydy, a tylko artykuły, w książkach umieszczone, zachowują się dla pamięci późniejszych pokoleń. (Przyp. red.)

cza po większej części szlachetności naszych artystów, czyżby więc przypuszczać można, że w sprawie, której głównym celem hołd dla największego geniusza narodu, publiczność polska pozostanie obojętną, zwłaszcza gdy nie z grosza, o który u nas tak ciężko, lecz z książek żądanoby ofiary.

Zarząd biblioteki tej nie wymagałby też osobnej władzy, bo jak wspomnieliśmy wyżej, wcielić ją można do jednego z istniejących zakładów narodowych we Lwowie lub Krakowie. a one z pewnością nie usunęłyby się przed niewielkim trudem zarządzania instytucją zwolna się rozwijającą i wzrastającą zrazu tylko darami. Z czasem zaś, gdyby się znalazł fundusz potrzebny, a znając ofiarności i szczodrość polskich magnatów wątpićby o tem nie należało, można by przystąpić do sporządzania odpisów z bibliotek zagranicznych i do kupowania dzieł brakujących, nigdy jednak nie wzrosłaby zapewne biblioteka do takich rozmiarów, aby aż wymagała osobnego zarządu.

Powołanie do życia podobnego zakładu jest — powtarzamy z naciskiem — obowiązkiem naszego pokolenia: za lat niewiele zapóźno już być może, i spotkać mógłby nas ciężki zarzut następców naszych, że nie uczciliśmy godnie męża, którego dzieła są arką przymierza między przeszłymi a przyszłymi laty...

Myśl naszą polecamy przeto gorąco rozwadze myślącego ogółu, a przedewszystkiem opiece patrijotycznego dziennikarstwa polskiego. Nie jest ona, jak to wykazaliśmy powyżej, mrzonką nie do urzeczywistnienia, nie jest i bez praktycznego celu. Celem jej oprócz złożenia hołdu wieszczowi i okazania, iż umiemy czcić narodowe wielkości, jest ułatwienie biografom wieszczą wyzyskania materiałów niedostępnych dotychczas dla wielu lub mało znanych. Wówczas zaś znajdzie się bezwątpienia mąż, który umiejętnym piórem zdoła odkryć przed narodem tajniki myśli i uczuć największego z wieszczów naszych, który w idealnych rysach odtworzy wiernie nieśmiertelną jego postać, a pomnik taki winien zaprawdę prędzej pośród nas stanąć niż pomnik spiżowy.

## U mogiły Augusta Bielowskiego. \*)

Posyp się ziemię zroszona łzami!

O Augustynie! módl się za nami!

Posyp się ziemię! on w ciebie ciskał

Klejnotne ziarna, chociaż nie błyskał.

Posyp się ziemię! ziemię niewoli!

Bo i on urósł z tego co boli!

Dumna bądź ziemię! bo jeżeli wrogi

Przeszłości chcą ci wydrzeć skarb drogi,

To on go zaklął wśród takiej głębi,

Której żąb hieny, ni szpon jastrzębi

Nie zryje nigdy do zmartwychwstania.

Tyś mi był łaskaw — jak ta puszczy łania,

Co mlekiem darzy pustelnika knieje,

Ty mi po gwiazdach mówiłeś, że dnieje,

Kiedy mnie nocy zimno tu przeżarło!

I serce ogrzał, aby nie zamarło....

Więc na popioły drogie co drzemia,

Łzami zroszona, posyp się ziemię....

*Władysław Tarnowski.*

\*) Władysław Tarnowski, wielkiego talentu poeta i muzyk, wyrażał się zawsze o Augustynie Bielowskim z największym uznaniem i przyjaźnią. Umiał go ocenić jako poetę, badacza historycznego i wzorowego patriotę, który za niepodległość Polski walczył w 1831 r. i przez resztę życia swego ciągle był czynnym dla sprawy polskiej. Nagła śmierć Bielowskiego, bo nie chorując umarł niespodzianie, wywołała ogólny żal w kraju. Żalobę kraju i własnego serca wyraził Wł. Tarnowski w Marszu żałobnym, komponowanym na pogrzeb Bielowskiego i w dwóch pełnych uczucia smętnego wierszach. Drugi z tych wierszy, nigdzie dotąd niedrukowany, ogłaszamy w Samborskim Roczniku. Niedługo przeżył Bielowskiego. Wiadomo, że Władysław Tarnowski umarł także nagle na okręcie City of Tokio, na Oceanie Spokojnym, niedaleko od San-Francisco w 1878 r. Zwłoki jego sprowadzono z Kalifornii i pochowano we wsi Wróblewice, w Samborskim, która była jego własnością. Grób jego jest na cmentarzu przy cerkwi.

## Do J. I. Kraszewskiego.

Na niezmiernej przestrzeni znajomego świata,  
Zbroczonego krwią ludów, pod jarzma wtrąconych,  
Istnieje jedna ziemia, przez sroższego kata  
Ciężona boleśniej od innych zgębnionych.  
Choć łono jej zszarpane krwawemi ofiary,  
Których daninę płacą wszystkie pokolenia,  
Natchnione duchem Twoim nie straciły wiary  
W odkupienie Ojczyzny z pod cierpień brzemienia!  
Wieszczemi słowy Twemi natchnienia boskiego  
Zagrzewane pół wieku do pracy wytrwałej,  
Wytkniętą drogą dążą do celu świętego,  
By zagoić raz rany piersi ich zbolalej,  
By uprosić choć małą cząstkę takiej wiary,  
Co niepojętem męstwem skarłałej postaci  
Włała odwagę, dzielność, te nieziemskie dary,  
Włała przemoc olbrzyma, by ocalił braci!  
A olbrzym ów potężny i szalonej siły,  
Martwy sercem, swem ciałem poległ do mogiły.

\* \* \*

W krainie tej, przepelnej \* wołą wielkich męży,  
Drgają serca walecznych, by dobyć oręży,  
Dla stargania raz więzów. Wśród mordów, pożogi  
Rzuciły na nią z hańbą nikczemne jej wrogi.  
Wiary, siły i męstwa, nie braknie zapału,  
Tam gdzie miłość Ojczyzny starczy ideału.  
Gdzie poświęcenia ziarno wielcy wieszczę sieją,  
Tam serca męczenników pałają nadzieją.  
Zamarli, siłą słowa skrzepieni, znów dzielni  
Staną się zwycięzcami, będą nieśmiertelni,  
A choć lata męczeństwa powolnie mijają,  
Chociaż wrogi im nowe pęta nakładają,  
Dźwigną się własną siłą, a Twojemi słowy!  
Zanuca zmartwychwstania nasz hymn narodowy!

Zawisznia, 31. Stycznia 1879.

*Emilia z Balińskich.*





MARJA BARTUSÓWNA  
urodzona 10. Stycznia 1854 we Lwowie,  
† 2. Października 1885 tamże.



## DWIE MOGIŁY.

WSPOMNIENIA POŚMIERTNE.

*skreślone przez*

redakcję »Roczników Samborskich.«

(Z cynkograficznym portretem Marji Bartusównej.)

Rok 1885., który pod niejednym względem zawiódł nadzieje rodaków, przysporzył im natomiast krwawych doświadczeń wiele, powiększył szeregi ofiar, wyrwał z naszego grona nie jednego, po którym społeczeństwo żałobę nosić winno. O dwóch takich poległych w twardej walce życia i mnie w niniejszych wspomnieniach mówić wypada. Są to postacie śp. Mikołaja Bołozza Antoniewicza, autora „Anny Oświęcimówniej“ i poetki Marji Bartusównej.

Zastrzegam się z góry przeciwko możebnym zarzutom, opierającym się na podstawie, że wspomnienia te są niewyczerpujące, ale tylko krótkie i pobieżne. By je treściwszemi uczynić, musiałbym dokładniej znać obydwie postacie literackie, o których wspominać mi wypadło, a nie wszystkie szczegóły życia prywatnego kwalifikują się także dla szerszej publiczności. Koszyc, znany literat i osobisty przyjaciel rodziny Bartusów, określił wreszcie żywot umarłej tak dokładnie, że nie mnie iść z nim w zawody.

Jeśli porównamy działalność i rodzaj tworzenia Antoniewicza a Bartusównej, jakąż ogromną znajdziemy różnicę! On, żebym się tak wyraził, orzeł, król ptaków, gnieźdzący na szczycie stromej skały, duch siłą twórczą najbliżej spokrewniony duchom Słowackiego, Goszczyńskiego, Czajkowskiego, Grozy; ona, słaba gołębica, tęsknemi tonami swemi przypominająca nieraz dźwięki Edmunda Wasilewskiego i smutne dumki Kazimierza z Królówki! Śp. Antoniewicz

w stosunku do twórczej siły swej, bardzo mało tylko prac ogłosił drukiem i nie wiele zostawił w rękopisie, ale to, co napisał, miało wartość pomnikową spizu; śp. Bartusówna w stosunku do Antoniewicza pisała i ogłaszała drukiem wiele, zbyt wiele może, przynaglona potrzebą i zmuszona żyć z pracy pióra.....

Było to 4. Czerwca r. 1885. podczas chwilowej niebytności mojej, kiedy otrzymałem następną kartkę pośmiertną:



Mikołaj Bołoz Antoniewicz,  
porucznik czwartego pułku ułanów wojsk polskich z 1831 r.

kawaler krzyża „Virtuti militari,“

poeta, urodzony w 1801 roku, zmarł 1. Czerwca 1885 r. w Radziszowie pod Krakowem, po krótkich lecz ciężkich cierpieniach, opatrzony ŚŚ. Sakramentami.

Wyrowadzenie zwłok z pałacu w Radziszowie do miejscowego dworca kolei odbędzie się we Środę dnia 3. b. m. o godzinie 4-tej popołudniu, złożenie zaś zwłok zmarłego do grobów familijnych w Stanisławowie w Piątek dnia 5-go b. m. o godzinie 6-tej popołudniu. Na smutne te obrzędy, pozostała rodzina zaprasza Krewnych, Przyjaciół i Znajomych.

#### Nabożeństwo Żałobne

odbędzie się w Poniedziałek d. 15. Czerwca b. r. o godzinie 10 rano w kościele OO. Reformatów w Krakowie. . . . .

A więc znowu zgasło życie ludzkie, życie bogate w walki, w czyny, w myśli! Warto też o niem powiedzieć, chociażby tylko pobieżnie.

Śp. Mikołaj Antoniewicz, urodzony w r. 1804, a nie 1801 jak kartka pośmiertna mylnie podaje, pierwsze studia pobierał u Bazylianów w Buczaczu. Matka jego była z domu baronówna Kapri; rodzonego brata miał tylko jednego Andrzeja, który młodo zmarł

przyrodnich miał atoli pięcioro, dwóch braci Wincentego i Jakuba i 3 siostry Marią (Baronową Emingerową,) Antoninę (następnie Namiestnikową Waclawową Zaleską a matkę obecnego Namiestnika) i Sebaldową. Zdaje się także, że w dalszem pokrewieństwie został z księdzem i poetą Karolem Bołozem Antoniewiczem.

Burzliwe usposobienie i porywczy, namiętny charakter Mikołaja nie pozwoliły mu długo spocząć. To też na pierwsze hasło powstania, spieszył on pod znaki orła białego, aby Ojczyźnie oddać krew i mienie. Odznaczył się też osobistą walecznością tak dalece, że otrzymał rangę porucznika i order „virtuti militari.“

Po upadku powstania śp. Antoniewicz jak wielu innych musiał się schronić za granicą. Tam zaznajomił się z powagami literackimi i poetami pierwszorzędnymi, z którymi do końca życia pozostawał w stosunkach przyjaznych. Znany jego stosunek z Kraśzewskim, znany niemniej stosunek z Lenauem, którego poznał jeszcze dawniej i który dłuższy czas razem z Antoniewiczem w Wiedniu przemieszkiwał, nim echo powstania autora „Anny Oświęcimówniej“ powołało do broni. Lenau następnie między innymi przełożył także na język niemiecki wiersz Antoniewicza „Pożegnanie Galicji,“ napisany w chwili, gdy już Ojczyzna poetę polskiego pod broń wołała, (patrz wydanie poezyj lirycznych Lenaua w Reklama „Uniwersalnej bibliotece,“ patrz także Wurzbacha „Biographisches Lexikon.“)

Antoniewicz z Lenauem prowadził ożywioną bardzo korespondencję, którą wypadaloby wydać coprędzej tak w interesie literatury niemieckiej, jak i polskiej.

Nie wiemy na pewno, z którego roku datują początki pracy literackiej Antoniewicza; ale szczegół ten ma podrzędną tylko wartość, gdyż Antoniewicz, jakeśmy już poprzednio nadmienili, nie celuje ilością, lecz jakością prac i pod tym względem wielce zbliżony do Malczewskiego i do Leisewitza.

Zagranicą zawarł też śp. Antoniewicz znajomość z hrabiną Wiktorją z Mieroszowskich Dembńską, go-

racą jego zwolenniczką i protektorką, u której ostatnie lata życia swego spędził, prowadząc w jej zastępstwie jako rządca interesu hrabiny.

Jej też poświęcone drugie, poprawne i Grotgera ilustracjami zaopatrzone wydanie dramatu narodowego „Anny Oświęcimówny.”

Na samym wstępie dzieła, ozdobnie wydanego i w Wiedniu u OO. Mechitarystów wydrukowanego, widzimy autograf autora, datujący jeszcze z Paryża z r. 1856 i poświęcony

„Wiktoryi.”

W znak czci mojej i wdzięczności

Twe tu imię daję;

Przez nie, zmarła dla miłości,

Anna zmartwychwstaje.

Niech te ośm znaków jego —

Jak ośm szkaplerzy

Na jej piersi — ją ustrzegą,

Gdy w nią złość uderzy!

I nie ważyła się też najwybredniejsza wymyślność, ani złość niepowołanych krytyków uderzyć w to arcydzieło, w tę perłę dramatyczną sztuki narodowej! Kto mógłby nawet po przeczytaniu słabej, najprozaiczniejszą prozą napisanej powiastki historycznej o Annie i Stanisławie Oświęcimach Samborzanina Jaszowskiego — przypuścić, że na takim tle osnuty został potężny dramat Antoniewicza?!

Autor „Anny Oświęcimówny” udowodnił swoim dziełem, że mylą się bardzo krytycy niemieccy, jeśli twierdzą, że polska sztuka pozbawiona warunków scenicznych, nie potrafi ze siebie wytwarzać ani jednego udułego dramatu. Nie mówiąc o innych głośnych już dramaturgach polskich, jak o Słowackim, Starzeńskim, Brzozowskim i wielu innych — sama jedna „Anna Oświęcimówna” starczy za dziesięć pseudodramatów narodowości obcych. To też zaraz na pierwszym przedstawieniu, które się odbyło na scenie krakowskiej, obsypano autora wieńcami, i „Anna Oświęcimówna” dotąd pozostała i pozostaje wraz z „Urjelem Akostą” Antoniewicza bardzo wdzięcznym przedmiotem tak dla deklamatorów, jakoteż dla pierwszorzędných scen polskich, byleby się tylko zawsze

znalezli artyści, zdolni z prawdziwem zrozumieniem rzeczy odgrywać role takie jak Łaszczka, Pustelnika, Anny, Zuzanny i Stanisława.

Na tej samej wyżynie prawie co „Anna Oświęcimówna“ stoi przekład z „Urojela Akosty“ Gutzkova, dokonany przez Antoniewicza. Gutzkow, któremu Antoniewicz tłumaczenie swoje przysłał, dziękuje za nie w osobnym liście, umieszczonym przez tłumacza w drugiej poprawnej edycji swego „Urojela.“

Oto słowa niemieckiego autora:

„Mit Dank empfing ich das mir zugesendete Exemplar des polnischen Uriel Akosta. Ich fühle, wie tief ich Ihnen, hochgeehrter Herr Bruder, dafür verbunden bin, dass Sie mein, wie ich nun sehe, unvollkommenes Werk ganz vollendet in Ihrer schönen Sprache mit solcher Kraft und solchem Gefühl wie neu schufen. Ich habe meinen deutschen Uriel verstanden, Sie aber Ihren polnischen verstanden und empfunden. Mein Uriel ist ein trockener Philosoph, Ihrer ein warmliebender Vernunftglauber und so ist er tragischer aufgefasst. Freilich sollte ich Ihnen für diese geniale Umgestaltung des Uriel nicht danken, denn Sie entwinden mir dadurch den Dichterkranz; der meinige ist nur ein Gerippe, dem Sie einen schönen Körper und darin ein fühlendes Herz gaben. Ich kann mich von nun an nicht mehr als Originalautor des Uriel denken, bitte aber mir die Ehre zu gönnen, mich dabei als Ihren Mitarbeiter anzusehen. Ich übersende zugleich den „Juden von Amsterdam,“ ein Werk eines angehenden dramatischen Dichters, der mein Freund ist. Er verspricht viel; bitte darin um Ihre Meinung und empfehle ihn und mich Ihrer werthen Freundschaft. Mit Achtung, Gutzkow. Frankfurt a. M.  $\frac{6}{10}$  1851.“

Jeśli Gutzkow tak pisze, Gutzkow, który obok Laubego uważany jest za jednego z pierwszorzędných dramaturgów niemieckich, to nie możemy pochwały tej uważać za próżny, nic nieznaczący komplement, tem bardziej że Gutzkow poznawszy z przekładu „Urojela Akosty“ wysokie dramatyczne zdolności Antoniewicza i nie ufając własnemu sądowi, jemu do oceny przesyła pracę dramatyczną młodszego przy-

jaciela. I w istocie! Kto z uwagą przeczyta Antoniewicza „Urjela Akostę,” ten niezawodnie przekona się o tem, że pochwały Gutzkowa nie są bynajmniej przesadne. W dramacie choć tylko tłumaczonym a nie oryginalnym, pełno jest ustępów wysoce poetycznych, pełno ustępów o porywającej sile, żebym tylko przytaczał jeden z pomiędzy wielu, a mianowicie scenę, w której wyklęty i na poniżającą pokutę przez zgromadzenie rabinów skazany Urjel Akosta powstaje i przemawia do ludu:

Rozwiń się w słowo,  
Myśli gnębiona,  
Ciemnią grobową!  
Powstań z twej trumny,  
Duchu mój dumny,  
Siłą Samsona!  
I raz ostatni wstrząsając włosem,  
Ruń w te kolumny!  
Prawdy roztrzaskaj je głosem!  
Słuchajcie ludy  
Wyznania Judy!  
Fałsz! co czytałem wam z synagogi!  
To nie z mej duszy! —  
To, wśród katuszy,  
Z ust mi wydarli te prawdy wrogi!

Wobec potęgi myśli „Anny Oświęcimówniej” i „Urjela Akosty” — inne prace poetyczne Antoniewicza blednieją i schodzą na drugi rząd, chociaż i między niemi nie brak prawdziwych pereł poezji i natchnienia. Przedewszystkiem podziwiać należy w tym starcu świeżość umysłu, która go nie odstąpiła do ostatniej chwili i umożliwiła liczne udatne improwizacje, wzniesione w formie toastów przy rozmaitych uroczystościach.

Taki toast wznosił on przy jubileuszu Kraszewskiego, w którym czcąc zasługi jubilata równocześnie zręczną alluzję uczynił do ówczesnego Prezydenta miasta Krakowa a obecnego Marszałka Galicji Zyblkiewicza; toast, lecz o wiele słabszy wznosił on także na cześć Siemiradzkiego; ale najbardziej udały z wszy-

stkich tych toastów jest toast, wzniesiony na uczczenie jubileuszu rocznicy listopadowej, obchodzonej w r. 1880 we Lwowie.

Jako współpracownik wydawnictwa na cele dobroczynne samborskie, umieścił on w drugim tomie tegoż wydawnictwa sławną swoją baladę „Hasło i Odezew.“ Nie jednego uderzy podobieństwo tej balady ze znaną „Nächtliche Heerschau“ Zedlitza. I nie wątpimy też, że myśl przewodnia z niemieckiego autora została wzięta. W opracowaniu jednak znajdzie uważny czytelnik od razu to „coś,“ co różni jak najwyraźniej pracę polskiego autora od pracy niemieckiego i nadaje jej tę cechę oryginalności, właściwą tylko polskim utworom. Bohaterem niemieckiego poematu jest Napoleon, bohaterem polskiego Kościuszko; cień Napoleona upomina się o ziemskie prawa, o berło, które mu wydarto, cień Kościuszki upomina się o prawa narodu, zgwałcone przez ciemnych; w koło osoby Napoleona gromadzi się zastęp Marszałków i Generałów, w koło osoby Kościuszki z wyjątkiem chyba księcia Poniatowskiego, tylko prosty ale poczciwy nasz lud polski, uzbrojony w kosy, przyodziany w sukmany i siermięgi; hasłem Napoleona, „Francja,“ a odezewem: „Święta Helena;“ hasłem Kościuszki, „Polska,“ a odezewem: „Nie zginie!“

W moich „Wrażeniach z podróży“ uczyniłem wzmiankę o Antoniewiczu, którą dla zaokrąglenia niniejszego szkicu załączam:

„Pięć ćwierci mili od Jarosławia położona wieś Rudołowice, a w niej zamieszkuje sędziwy poeta Mikołaj Bołoz Antoniewicz, autor „Anny Oświęcimównej.“ Być w Jarosławiu a jego nie odwiedzić, jemu nie oddać wyrazów czci i uwielbienia należących się jego talentowi, znaczyłoby tyle, co być w Rzymie a nie widzieć papieża. To też spieszyłem się jeszcze w przeddzień mego wyjazdu, by się przedstawić żołnierzowi-poecie. Antoniewicz (niech nieprzychylni o nim mówią co chcą), jest to postać, która ma wielkie znaczenie. Przyjaciel od serca Lenaua i Kraszewskiego już jako taki nie może nam być obojętny, gdyż niejako osobistością swoją po-

średniczy między dwoma narodami i łączy takowe. Na ninie zrobił on szczególne wrażenie, wrażenie człowieka, który umie milczeć, a którego milczenie jest wymownem, ale który także umie być popędlivym i namiętnym. Wzrok jego przenikliwy iście czarującą ma siłę, to też nie dziwota, że całe jego otoczenie drży przed nim, najmniejszym jego skinieniom podlegając. Zrobił on' na mnie także wrażenie człowieka, który nie lubi udzielać się światu. I dobrze robi! bo świat nie uznaje swoich wybranych, ale baczność swoją zwraca jedynie na usterki ludzkiej natury, od których nikt wolnym nie jest.

Mikołaj Bołoz Antoniewicz jest to jeszcze krzepki starzec, który dobrze widzi i ma silną rękę, ale zdaje się słuch ma cokolwiek przytępiony. Pokazał on mi na zakończenie książkę, w której umieszczone jego prace poetyczne, odbite (zdaje się) prasą ręczną. Z tych wierszów szczególnie podobała mi się balada „Szaleniec.“

Dodam, że wrażenie, jakie wówczas na mnie wywarł, i następnie nie uległo wielkiej zmianie.

Stosunki rodzinne zmusiły Antoniewicza, przenieść się z Rudołowic do Radziszowa, wioski w pobliżu Krakowa położonej. Tu był bliżej rodziny swojej, jakoteż rodziny hr. Dembińskiej. Ztąd też wziął on udział w uroczystościach literackich i innych, których nigdy nie brak w podwawelskim grodzie. Tu doszła go także nieszczęsna wieść o śmierci brata Jakuba, prezydenta sądu krajowego w Krakowie.

Ostatnią pracę poetyczną Antoniewicza widziałem umieszczoną w „Wiśle,“ książce zbiorowej, wydanej w Krakowie na rzecz powodzian. Wiersz wywymieniony zatytułowany „Dąb i wierzba“ uderza świeżością i młodzieńczą siłą zwłaszcza, jeśli się rozważy, że go starzec 80-cioletni drżącą ręką nakreślił. Wkrótce potem zaniemógł sędziwy poeta i nie udzielał się już nikomu. Śmierć hr. Dembińskiej ledwie o kilka miesięcy wyprzedziła śmierć jego.

Co się z rękopisami niedrukowanymi po jego śmierci stało, — nie wiemy. Być może, że takowe odstąpił krewnym, być może także, że je zniszczył. Miewał bowiem zwyczaj, niszczyć wszystko, co go



nie całkowicie zadowolilo, a był niezmiernie wybrednym tak co do prac obcych, jak i własnych. Jakie zaś pod tym względem miał wymagania i w jaką niekoniecznie salonową formę je ubierał, o tem najlepsze wyobrażenie dadzą pojedyncze ustępy z listu de dato Rudolowice 28. Marca 1881, do mnie wystosowanego:

• .....„Wierzaj mi Pan, że gdy teraz moje dawniejsze utwory przepatruję, to ledwie że nie połowa idzie na kominek — chociażby może nie jeden, i Pan sam nawet powiedział: szkoda!

.....„Załączam tytuł „Tygodnia“ — \*) byś w nim przeczytał, co o Pańskim wydawnictwie piszą. Spodziewam się, że będziesz ostrożniejszym i nie będziesz umieszczał piśmidła i wierszydła „studenckie“ — w których towarzystwie nie radbym, aby moje nazwisko figurowało.“

Nieraz usiłowałem namówić go do tego, aby niektóre wybitniejsze prace umieszczał w „Rocznikach“ moich; on jednak odpowiedział mi, iż usłuchawszy rady przyjaciół na zamiar, wszystko razem zebrać i zbiorową urządzić edycję dzieł swoich, dla tego wstrzymuje się na razie z ogłoszeniem pojedynczych prac po pismach. Śmierć zniweczyła jego zamiary. Niechże bodaj skromny mój głos w „Rocznikach Samborskich“ przyczyni się do tego, by porużyć kwestję, zagrzebaną może w piasku, a nie mniej przez to piekącą. Imię patrioty z r. 1831, imię przyjaciela Lenaua i Kraszewskiego a autora „Anny Oświęcimównej“ nie powinno przebrzmieć bez echa, nie powinno zniknąć w wiekuiętą noc zapomnienia, jak meteor, co na horyzoncie błysnie. Obowiązkiem jest narodu, urzeczywistnić marzenia poety i w edycji zbiorowej jego dzieł wystawić mu pomnik, którego nie zniszczy żaden wróg, nie obróci w popiół dzia-

---

\*) Jest to wzmianka o recenzji czwartego tomu wydawnictwa na cele dobroczynne, umieszczonej w „Tygodniu.“ Gdyby śp. Antoniewicz wiedział, na jaki sposób się teraz często recenzje fabrykuje i że ostra i zjadliwa krytyka niekoniecznie jest sumienna, jak również bezwzględny panegiryk nie świadczy o wartości dzieła żadnego, możeby mi oszczędził niesprawiedliwej i nieuzasadnionej wymówki. (Przyp. aut.)

łanie zgubne czasu, pomnik trwalszy od spiżu i granitu, pomnik myśli polskiej. Wszakże myśl tę wiekiustą, nie dającą się wytepić ni knutem cara, ni edyktami banicyjnymi Bismarka, myśl tę jedynie miał na oku autor „Anny Oświęcimównej,” kiedy pisał:

„Nie zginie!” — wołała zbryzgana  
Krew batem w katorżniach podziemnych;  
„Nie zginie!” — wołała strzaskana  
Kość knutem przez katów najemnych;  
„Nie zginie!” wołały strumienie  
Krwi świeżej Warszawą płynące:  
Zhańbione kościoły, kamienie  
Ofiarną krwią w niebo dymiące.  
I wołał ów pogrzeb tak tłumny  
Poległych, bezbronnych wśród grodu;  
To ciernie wieńczące ich trumny,  
W oznakę męczeństwa narodu.  
Wołała i ta Cytadela,  
Męczeństwem zmieniona w świątynie:  
A wtórzył im krzyż Zbawiciela  
Przez wrogów strzaskany: „Nie zginie!”

\*

\*

\*

Szczegóły powyżej podane czerpałem bądź z pism i z ust samego Antoniewicza, którego znałem osobiście, bądź z korespondencji, prowadzonej z nim i spokrewnioną mu Marją z Rusiłowa, bądź też z korespondencji i rozmów, wymienionych z innymi członkami rodziny poety, między którymi wymieniam także Dra Jana Boloza Antoniewicza z Monachjum, któremu również niektóre szczegóły z życia nieboszczyka mam do zawdzięczenia, a między innemi także wiadomość, że w rękopisach po śp. Antoniewiczu pozostałych znajduje się niewydany dotąd dramat: „Braniec z pod Warny” i że w dodatku do „Czasu” z r. 185..? wydrukowany został poemat Antoniewicza: „Dziewczę z Martignes,” mający cechę wyższej wartości.

Kiedy autor „Anny Oświęcimówniej,” przeżywszy najświetniejsze czasy swojej sławy literackiej, uspiomy wspomnieniami przyjaźni Lenaua, w sen kołysany sukcesami dramatów i poezyj swoich zasypiał na laurach — wtedyto zaledwie budzić się zaczynał talent Marji Bartusówniej, próbując lękliwie pierwszych kroków na arenie ślizkiej, którą nazywamy powodzeniem literackiem. I nie równa się też jej głos potędze słowa, którą podziwiamy w utworach Antoniewicza, ani myśl jej nie posiada głębokości myśli Krasińskiego, a talent jej ma zupełnie odrębną cechę. Wyżej od Bartusówniej na polu czystej liryki stoją Hajota i Iza, oraz autorka „Wieczornych dumań,” wyżej na polu poetycznej prozy Śnieżko-Zapolska; z tem wszystkim jednak nie da się zaprzeczyć, że pomiędzy bardzo wybitnymi talentami w pierwszym rzędzie stoi Bartusówna, i że jakiś czas nawet gdy zastój na polu pracy literackiej szczególnie w Galicji wśród kobiet uczuwać się dawał, ona była jedyną, która samotność tę głosem swoim ożywiła i znalazła naśladowniczki.

Sp. Marja Bartusówna urodziła się we Lwowie 10. Stycznia r. 1854. Wcześnie, bo już w piątym roku życia swego straciła ojca; wcześnie, bo już w ósmej życia wiosnie próbowała sił swoich na polu literackiem. Wychowanie, jakie otrzymała we Lwowie w pensji znanej z prac swoich Felicji z Wasilewskich Boberskiej, przyczyniło się wielce do rozwijania jej wiedzy i ukształtowania charakteru.

Stosunki familijne zmusiły rodzinę do zmiany pobytu. Młoda poetka wraz z matką swoją przeniosła się do Kołomyi, gdzie pierwsze swoje prace poetyczne umieściła w piśmie literackiem „Jutrzenka,” wychodząceni pod redakcją Dra Wąsowicza. Świeżość młodzieńcza i urok owiewające te prace, spowodowały ówczesnego redaktora „Dziennika mód,” Wołodęgo Skibę (Władysława Sabowskiego), mieszkającego w Krakowie, do wycieczki o stokilkadziesiąt mil z Krakowa do Kołomyi celem poznania poetki i zaangażowania jej w szeregi swoich współpracowników. Zapelniał też pismo swoje bezustannie jej pracami, ale o zapłacie ani myślał; ona zaś za skromną była, aby się upominać o honorarjum. Tymczasem

prace jej coraz więcej zyskały zwolenników piśmiu Sabowskiego. Posypały się jak z rogu obfitości słowa uznania dla redaktora i jego współpracownicy, a jedną z tych rymowanych pochwał p. t. „Do młodej poetki“ pozwoliliśmy sobie nawet umieścić na str. 214 niniejszego rocznika. Do najudatniejszych prac jej, pochodzących z tego pierwszego okresu tworzenia należy „Biały narcyz,” przedrukowany następnie za wiedzą autorki w ósmym tomie naszego wydawnictwa. Jest to niejako allegorja z życia własnego, w której poetka smętnemi ale prawdziwemi barwami opisuje obowiązki, jakie ciężą na Polce wobec rodziny i kraju, obowiązki które nieraz każą zamilczeć głosowi serca i marzeniom o szczęściu własnem, gdzie przemawia okrutną i nieubłaganą siłą loiki — głos obowiązku.

Zabiegi, czynione o jej rękę a którym Bartusówna nie sprzyjała, sprzykrzyły jej pobyt w Kołomyi. Pod wpływem chwili tej powstały jej „Myśli przedślubne,” które pod niejednym względem uważamy za plon chybiony i wadliwy, i zaznaczamy to tu jak najwyraźniej, aby hołd oddać prawdzie. Poetka była rozdrażniona do najwyższego stopnia, kiedy napisała wiersz rzeczony: poznać to z całej jego treści. Nie znając rzeczy i nie ugruntowawszy ich jak należy, niesłusznie i niesprawiedliwie przedstawia oblubieńca nieupragnionego w kształcie potwora jakiegoś, którym on nie był. Był on sobie tylko zwyczajnym śmiertelnikiem, którego inteligencja nie sięgała poza obręb zwykłego mieszczanina, którego Niemiec tak trafnie nazywa „Spiessbürgerem,” czyli „Philistrem.” Ale kto wie, czy nie właśnie wobec takiego męża wpływ natchnionej poetki okazałby się zbawiennym, przyczyniłby się do jego uszlachetnienia?

Dla uzyskania niezawisłości udała się poetka do Lwowa. Tam Rogosz poznawszy się na jej talentach, zaangażował ją jako współpracowniczkę do „Tygodnia,” i może on sam jeden z pomiędzy wszystkich galicyjskich wydawców — płacił jej choć sumienie, bo aż 25 zł. na miesiąc. Wkrótce jednak Rogosz porzucił redakcję „Tygodnia” i opuścił Lwów, a wtedy znowu nędza w oczy zajrzeć zaczęła niedoświadczonemu dziewczęciu.

Wydawcy wyzyskiwali po swojemu. Drukowali, chwalili, ale o płacy jakiej takiej nikt nie myślał. Wtedyto Bartusówna, zahartowana w szkole nieszczęścia, pracować postanowiła na własną rękę. Obznajomiwszy się jeszcze w r. 1876 z Józefą Jaroszyńską, z nią wspólnie prowadziła na ul. Halickiej szkołkę freblowską, którą następnie porzuciwszy, objęła jako nauczycielka kierownictwo w ochronce małych dzieci na ul. Staszica, l. 5. Wśród rozmaitych zaburzeń i opuszczenia znalazła ona prawdziwą przyjaciółkę i nieodstępną towarzyszkę, oddaną jej całym sercem, w Józefie Jaroszyńskiej. Zaczyna ta niewiasta, której Bartusówna także swoją „Wilję Szlachecką“ jako wspomnienie chwil spędzonych wspólnie w Hnidawie, poświęciła — należy do najszczerzych przyjaciółek Bartusównej, z którą dzieliła smutne i radośne chwile i którą pielęgnowała z uznania godną gorliwością w ostatniej jej chorobie.

Wśród ucisku materialnego nie zamilkła jednak muza Marji Bartusównej. W r. 1874 widzimy jej wiersz „Sen szczęścia,“ pełen głębokich i pięknych myśli, umieszczony w „Sobótce,“ księdze zbiorowej, wydanej na cześć Goszczyńskiego. Zdaje się, że to pierwsza jej próbka poetyczna, umieszczona w książce i że poprzednio tylko po tygodnikach i czasopismach perjodycznych rozrzucała tęskne swoje dumki. Figuruje bowiem tylko skromnym podpisem „Marja.“ Dwa lata później, gdy Władysław Bełza poezje jej w osobnej książce wydał, podpisała się już jako „Marja B.“ Pod koniec życia swego figuruje jako „Marja Bartus.“

Wydanie jej poezyj, dokonane przez Bełzę a następnie przez Gubrynowicza, musiało się wydawcom nieźle opłacić, skoro się okazała potrzeba drugiego nakładu. Materialnie zaś autorka ani na pierwszym, ani na drugim nie zyskała wiele. I pod tym względem również niezadowoloną była z tego wydawnictwa, że nakładca chcąc umożliwić odbyć w Warszawie, pokieroszował niemiłosiernie najpiękniejsze ustępy a pieśni patriotycznej treści zupełnie pomijał. I tak aby uniknąć podejrzeń cenzury moskiewsko-warszaw-

skiej widzimy na str. 112 ustęp, stanowiący prawdziwe szkaradziństwo rymotwórcze :

„O! w mojem życiu zimnem, biedaczem  
Gdzież taki drugi zaciszny kątek?”

A miało być :

„O! w mojem życiu zimnem, tułaczem” i t. d.

W zbiorze, wydanym przez Belzę, widzimy prace rozmaitej wartości i treści. We wszystkich widać formę wyrobioną i polot myśli poetyczny. Jednak sądzę, że nie daleko odstępimy od prawdy, jeśli twierdzić będziemy, że stosunkowo najmniejszą wartość mają te wiersze, w których autorka opiewa własne bole i rany, choć boleść jej jest prawdziwa a płacz szczery, podczas gdy płacz poetycznych jej przeciwników i przeciwniczek tylko kaprysem i afektacją jest i w żałosny grymas się przeistacza. Większą nierównie wartość mają wiersze w tej książce zawarte, w których autorka opiewa bole i rany społeczeństwa. Prace prawdziwie natchnione, prace najwyższej wartości poetycznej, w których autorka, pisząc o przygnębionej ojczyźnie swojej, staje się wieszczką — naturalnie ze zbioru Belzy musiały być wykluczone. Ale i to, co pozostało, posiada mimo wszelkich kaleczeń redaktorskich i względów cenzuralnych swoją cenę. Wielkie znaczenie i wartość niepospolitą ma wiersz „Do poety salonów,” odnoszący się do żyjącego jeszcze obecnie rymotwórcy, nierównie większą jednak wartość „Aktorka,” który to wiersz niniejszem przytaczamy :

„Spójrzycie! — na głowie szychową koronę —

Na szatach ma jedwab kosztowny —

Śmiech rzuca jej sztuka na usta spalone,

A na twarz rumieniec kunsztowny.

I wyszła — królowa piękności i blasków,

I sieje słów perły dokoła,

A przed nią wre burza szalonych oklasków,

A za nią... płacz Stróża-Anioła!

Zgubiona! — dlaczego! — spójrzycie w jej lica —

To lica — natchnionej kapłanki!

To wielkiej idei oddana dziewica

Do świętych walk — staje tu w szranki!

I sztuki przeczyste poślubia ognisko  
Ku światłu podnosząc ramiona —  
Dlaczegoż nad wielkiej tej duszy kołyską,  
Zawisnął sąd straszny: — zgubiona!?

Dlaczego? — o świecie! — odpowiedz, — bez maski  
Niech ujrzę twe brudne oblicze! —  
Dlaczego? — bo patrzeć nie możesz na blaski,  
Co sieje to czoło dziewicze! —  
Bo słuchać nie możesz tych wielkich słów dźwięku,  
Czystemi głoszonych ci usta, —  
Dopokąd nie pęknie hart piersi tej w jęku,  
Nie skala jej oddech rozpusty!

A służą ci w dziele współniki zbyt chętne; —  
Sieć intryg misterna i zradna —  
I ufnej młodości porywy namiętne,  
I złota potęga wszechwładna...  
I podłość, co prawdą się mieni nikczemnie,  
I wszystkie ludzkości szkielety —  
Tak wiele, tak wiele! — by tylko pchnąć w ciemnie,  
Majestat bezbronnej kobiety!

A potem, w złoconej rozparłszy się łoży  
Okłaskiem — urągać zdeptanej!  
Nim życia gorączka złamaną gdzieś złoży,  
Bez dachu, na nędzy łachmany!  
Nim biedne jej serce ten straszny sen prześni,  
Co rajskiem się zaczął widzeniem —  
Nim padnie kochanka wielkości i pieśni,  
Pod ciężkim pogardy kamieniem!

Bo pocóż ku słońcu — tak śmiało, zuchwale,  
Skrzydłata jej dusza ją niosła —  
I gromy trzaskała na ludzkich serc skale —  
I stała wśród tłumu — wyniosła!  
I miała odwagę o prawdzie mu prawić,  
Wśród ducha wysień i dreszczów?!

Bawiła przez chwilę! — świat lubi się bawić,  
Krwia ofiar i łzami swych wieszczów!"

Edycja Bełzy, o której poprzednio uczyniłem wzmiankę, jedną tylko przyniosła autorce rzeczywistą korzyść: oto że jej imię rozgłośnem się stało w Warszawie, zyskując jej zwolenników, jakimi byli Odyniec, hr. Róża Krasińska i inni. Tymczasem pracowała

Bartusówna podwójnie i podwójnie nadwerężyła słabe swoje siły w zawodzie nauczycielskim, któremu nie odpowiadała ani fizyczną siłą, ani wewnętrznym powołaniem, ale pełniła go z wielką sumiennością i gorliwością uznania godną jako obowiązek, któremu za dość uczynić wypadło, i w zawodzie literackim, do którego się rwała całą duszą, a który jej tyle nawet nie dał, aby najskromniejsze zaspokoić wymagania. Z tej epoki datują piękne jej tłumaczenia rozmaitych pieśni Lenaua, a mianowicie jego „Polenlieder,” umieszczone następnie urywkami w „Ruchu literackim” datuje niejeden wiersz oryginalny wielce patriotycznej treści, ogłoszony później w „Ruchu literackim” i innych pismach perjodycznych lwowskich.

Poznałem ją po raz pierwszy we Lwowie we Wrześniu r. 1877., a było to podczas wystawy lwowskiej. Wtedy była jeszcze zajęta prowizorycznym kierownictwem w ochronce małych dzieci. Następnie widzieliśmy się tylko od czasu do czasu i rzadko, ponieważ dłuższy czas nawet nie było jej we Lwowie.

Po zwinięciu szkoły treblowskiej i po opuszczeniu prowizorycznej posady w ochronce starała się Bartusówna jeszcze trzy razy o posadę wiejskiej nauczycielki z jaką taką płacą. Trzy razy otrzymała nieodpowiednie miejsca, w których przeciążenie pracą zawodową słabe i wątłe jej siły do reszty stargało i z których wróciła do Lwowa z zarodem suchot: miejscowości te Sokolniki (w pow. lwowskim), Łazany (w pow. wielickim) i Nienadowa (w pow. przemyskim.)

Raz przecież, a to bezpośrednio po porzuceniu posady w ochronce lwowskiej próbowała poetka, wydobyć się z tego jarzma i udała się do Warszawy celem zabezpieczenia sobie tam lepszej i świetniejszej przyszłości. W Warszawie starała się o przyjęcie na tych deskach teatralnych, które dla niedoświadczonych młodzieńczych umysłów tyle mają uroku. Próba nie powiodła się. Wróciła Bartusówna do zawodu nauczycielskiego, do prozy życia — na zawsze. Odyniec, którego jej poemat „Marja Magdalena” do tego stopnia zachwycił, iż jej jako współpracownicze drogę utorował do znaczniejszych wydawnictw warszawskich



i za nią do wpływowych mecenasów się wstawiał nawet w Galicji, — Odyniec nie mógł jej przecież świetniejszej ani nawet spokojniejszej przyszłości zabezpieczyć.

Po trzech próbach nieudanych szkolnictwa w Sokolnikach, Łazanach i Nienadowej musiała wreszcie zawód nauczycielski z powodu nadwątlonego zdrowia porzucić, i przeniosła się do Lwowa na stały pobyt. Tu — jeśli takie życie w ogóle życiem nazwać można — biedowała okropnie, utrzymując się jedynie prawie z honorarjów warszawskich, bo o lwowskich nawet i wspominać nie ma co. A było się o co troszczyć; śp. Marja już wówczas bowiem, t. zn. ledwie parę lat przed śmiercią swoją nie tylko własnem swoim utrzymaniem zajmować się musiała, ale troszczyć się także o los sędziwej matki, która po raz drugi wyszedłszy za mąż za leśniczego Preyera i po raz drugi owdowiawszy, nie mając żadnych bliższych krewnych do córki się przeniosła i z nią wspólne prowadziła gospodarstwo. Musimy też zgasłej zawczasie poetce przyznać, że wzorowo i przykładnie rozumiała swoje obowiązki córki, że matki nie opuszczała do ostatniej chwili swego życia, że z nią się dzieliła jak niegdyś wspomnieniami sławy i szczęścia znikłego zbyt wcześnie, tak teraz nędzą swoją i niedostatkiem.

Jeśli w takich skromnych warunkach żyjąc, węgając niejako, przez 3 lata się głodziła odejmując sobie od ust prawie, żywiąc się herbatą i jajem, to nie dziwimy się temu wcale, bo życie we Lwowie jest z wielkimi wydatkami połączone a najlichsze pomieszkania kosztują jeszcze niestósownie drogo; ale dziwimy się, że znalazła w sobie jeszcze dosyć hartu duszy i natchnienia, aby pracować wśród takich warunków i co więcej wyłaniać z głębi duszy najdoskonalsze, najlepsze swoje prace, dojrzałością swoją o całe niebo przewyższające pierwsze prace liryczne, nie ze wszystkiem udatne. Nie potępiamy ją za gorzki i ironiczny, ale pełen prawdy życiowej wiersz „Do śmierci,“ ale potępiamy tych, którzy nie-ludzkiem swoim postępowaniem i wyzyskiwaniem kupieckiem jej zdolności wiersz rzeczony spowodowali.

Za najlepszy dowód, na jakiej wyżynie wówczas stał jej talent, niechaj służy fakt, że dramat jej „Wanda,” urywkami w „Tygodniku illustrowanym” warszawskim umieszczony mimoto, że w wydaniu rzeczonym był zaledwie fragmentem, zawierającym tylko piąty akt sztuki, wywołał entuzjastyczną ocenę Kraszewskiego, w której nestor piśmiennictwa naszego twierdzi, że kraj powinien autorce wyznaczyć stypendjum.

Bezpośrednio po „Wandzie” następują inne nie mniej cenne prace, jakoto poemat epiczno-liryczny „Czarodziejska fujarka,” wydany staraniem redakcji „Gazety Polskiej” w Czerniowcach i nowele „Po śmierci” i „Wiązanka konwalij,” oraz „Duch ruin,” z których to nowelek „Wiązanka konwalij” wyszła nakładem „Gazety Narodowej,” a „Duch ruin” nakładem „Ogniska Domowego.” W „Wiązance konwalij” zużytkowuje autorka z wielką wprawą doświadczenia, zrobione w sferach wyższych, podczas gdy „Duch ruin,” powieść dzika i fantastyczna, osnutą została nie na tle salonowem, ale na podstawach pa-trjotyczno-ludowych.

Po raz ostatni widziałem się z Bartusówną we Lwowie w Maju r. 1884, właśnie w chwili kiedy jej „Czarodziejska fujarka” prasę opuściła. Byłóż to przeczcucie, że się więcej nie zobaczymy i że przed rozstaniem wiekuistem dobrzy znajomi powinni pamiątki między sobą wymieniać? Nie wiem! Dosyć, że wtedy zaszczyciła mnie egzemplarzem swojej „fujarki,” zao-patrzonem własnoręczną dedykacją i żądała, abym się w zamian wpisał do jej albumu, w którym figuro-wały już autografy Odyńca, Bełzy, hr. Konarskiej i innych. Ja, nie zastanawiając się długo, w pamięt-nik jej zapisałem się następnemi słowy:

„Ponad dziewczęcia opuszczonem łóżem  
Bóstwa radziły już skrycie,  
Czem ją obdarzyć, by w imieniu bożem  
Toczyć spór mogła o życie.

I rzekła jedna, w której ręku przedza  
Losów ludzkości spoczywa:  
Mistrzynią wielką i wszechwładną nędza;  
Pracuj — bo nędza cię wzywa.

Tys córką ludu! nie w magnackiem kole  
Błysnąć ci natchnieniem cudu!  
By poznać ludu radości i bole,  
Do biednych zniż się, do ludu!  
I rzece druga: Jam jest karmicielką,  
Co wiedzą darzy spragnionych;  
Bądź przewodniczką, bądź nauczycielką,  
Dla biednych i opuszczonych!  
Twardy to żywot i praca nużąca,  
Ale nie praca bez celu;  
Kształć dziatwę, sama wiedzy wciąż pragnąca  
I bądź przykładem dla wielu! —  
I rzece trzecia: — Gdy cię już zwątpienie  
Do czarnej zbliży mogiły,  
Na skroń z niebiosów spłynie twą natchnieniem  
I wątle podtrzyma siły.  
I wyższą będzie ponad wszelkie ciosy  
Umysłu twojego dzielność;  
Ja cię pokrzepię jak kropelki rosy,  
Jam twórczość, jam nieśmiertelność! —  
Dziś ta, co niegdyś dzieckiem była małym,  
W hożą urosła dziewoję,  
I chwała wieszczów dzisiaj jej udziałem,  
I pióro — mieczem na boje.  
Toż spiesz dziewico! tam gdzie przeznaczenie  
Chwiejne twe kroki kieruje,  
Niech przewodnikiem będzie ci natchnienie,  
Co w oku twem połyskuje!  
Nauką serca, chlebem ducha twego  
Łam się i nadal z narodem,  
I duszą swoją rozświeć ciemnie jego,  
I przoduj mu swym zawodem!  
A gdy się zbliży snu anioł i skonu,  
Gdy dni się urwi twych przedza,  
U przedwiecznego wymódi wtenczas tronu,  
Byś nie zaznała, co nędza!

Niestety! zaznała ona jej, a to w najokropniejszej postaci. Coraz rzadziej wpływały zasiłki z Warszawy, coraz mniej wystarczając na potrzeby codziennego życia, a lwowscy wydawcy wyzyskiwali po swojemu. Co pomogły skargi nieszczęsnej sieroty,

która pracą rąk swoich i siebie i matkę utrzymać musiała? cóż pomogło, że jednego z tych niesumien-nych wyzyskiwaczy nawet w „Kurjerze lwowskim“ wampirem przezwano? To groch o ścianę!

Śmierć Odyńca, jednego z największych zwo-  
lenników i protektorów talentu Bartusówniej, oddziały-  
wała również zgubnie na zwałtony jej organizm. Siła  
pierwotna ducha i energja zaczęły opuszczać nieszczę-  
śliwą i nastąpił rodzaj apatji. To powolne konanie,  
to umieranie za życia — to coś okropnego! A mu-  
siała się czuć bardzo opuszczoną od świata i bardzo  
samotną, skoro z wyjątkiem Jaroszyńskiej, Koszczyca,  
matki jej i Machczyńskiej mało kto czuwał u jej łoża;  
skoro najszczerzy, najprawdziwszy wyraz jej bólu  
streścił się w znanym wierszu jej „Do śmierci;“ skoro  
kronikarz niedzielny Lam w swojej „kronice“ publi-  
czność nawoływał do składek miłosiernych dla scho-  
rzałego, opuszczonego słowika naszych kniei, aby mu  
umożliwić wyjazd do cieplejszych krajów!

Jeśli skutkiem takich nawoływań uśpione sumie-  
nie publiczne powoli ze snu budzić się zaczęło; jeśli  
pojedyncze osoby i korporacje nie zbyt spieszenie  
podążyły z pomocą dla nieszczęsnej, czyż mamy się  
zachwycić ich ofiarnością? Jeśli w tłumie ofiarodawców  
przypadkowo znalazł się jeden z tych nakładców,  
którzy się z bogacili jej pracą a przyczynił się może-  
bnie najdrobniejszym datkiem do ulżenia jej nędzy,  
toż mamy mu to poczytać za szczyt poświęcenia?  
Nie!... A znowu jeśli imieniem prawa dopominała się,  
aby jej prawa autorskie szanowano i uwzględniono,  
czyż można jej to poczytać za natręctwo i zarozu-  
miałość, jak niektórzy pragną? Wszakże nietylko o  
swoje, ale także o utrzymanie matki swojej musiała  
się troszczyć, a więc jako dobra córka miała nietylko  
prawo, ale i obowiązek upominać się o to, co się  
jej prawnie należało! Jeśli żołnierz, który w boju o  
kaleczał, może liczyć na stałe wsparcie państwa, jeśli  
nawet nieubłagane prawo od pewnego rodzaju podat-  
ków uwalnia literatów z powodu znakomitych  
przysług, jakie wyświadczają społeczeń-  
stwu, to te znakomite przysługi nie mają stanowić  
prawnego tytułu dla nich, na podstawie którego mo

gliby zażądać kategorycznie od społeczeństwa, aby zabezpieczyło im i rodzinom ich byt niezawisły! Wszakże literat i poeta także jest żołnierzem, żołnierzem oświaty, a poświęcenia jego i ofiary są stokroć większe aniżeli żołnierza, który pierś nadstawia kulom i bagnetom wroga!

Ale spuśćmy zasłonę na ten wstrętny obraz targów literackich! Uzyskawszy z wielką biedą zasiłek pieniężny, aby się udać w miejsce kąpielowe, wyjechała poetka do Kulasznego celem leczenia się. Zapóźno! Niewyleczona wróciła do Lwowa, gdzie choroba jej gwałtowne uczyniła postępy. Nie straciwszy do ostatniej chwili przytomności umysłu, pielęgnowana to przez matkę swoją, to przez jedyną prawie wierną jej przyjaciółkę, Jaroszyńską, skonała dnia 2. Października r. 1885. na rękę matki.

Wiść o śmierci poetki lotem strzały rozbiegła się po Lwowie, i poruszyła najobojętniejsze nawet umysły. Ta, którą za życia opuszczono, po śmierci miała jak to mówią „piękny pogrzeb.“ Vanitas vanitatum, omnia vanitas!

Śmierć Bartusównej przypomina mi prawie życiem ustępnym odnośny z moich „Wrażeń z podróży“... „O rodzie ludzki! Jakie często gorzkie i przykre uczucia budzisz w myślicielu! Na wszystko stać cię! I na zabawę i na rozrywkę i na rozpustę nawet znajdzie się u ciebie grosz gotowy: nie brak nam też licznych towarzystw dobroczynnych, i zwierzęta prześladowane mają już naturalnego swego obrońcę w człowieku. Ale nie ma dotąd towarzystwa, opiekującego się człowiekiem — myślicielem, człowiekiem — pracownikiem, stworzonym w podobieństwie Boga, skoro choroba go ubezwładni. Natomiast jednak lubimy stawiać pomniki nieboszczykom, a właściwie próżności naszej. Prawda, że martwy pomnik wystawiony dłutem rzeźbiarza, mniej nas kosztuje aniżeli utrzymanie żyjących.“

I tak się też stało! Ledwie zwarła poetka oczy do snu wiecznego, a już tworzy się komitet pań, aby jej wystawić pomnik! Przyznamy otwarcie, że tylko jedną praktyczną stronę w całym tym pomysle widzimy, a mianowicie, że się ubogim ludziom da zatrudnienie.

Co do drugiej części planu, aby nadzwyczajki pozostałe ze składek obrócić na wspomaganie biednych i utalentowanych literatek, to tylko w takim razie widzę ja w tem cel praktyczny, jeśli towarzystwo, zajmujące się ulżeniem doli literatek, wyda ich prace. Literaci i literatki — to dumny naród, a z wyjątkiem chyba groźnej choroby, to każdy z nas, gdyby nawet najuboższy, wolałby z pewnością kamienie tłuc, niżli rękę wyciągać po taką zapomogę! W Paryżu powstało towarzystwo, mające na celu chronienie młodych i niedoświadczonych literatów od wyzyskiwania wydawców a to za pomocą bezpłatnego wydawania ich dzieł i zabezpieczania ich w ten sposób od kosztów druku. My w Galicji chyba nigdy nie doczekamy się tego.

W wierszu swoim, zatytułowanym: „Na starym żydowskim cmentarzu w Pradze“ pisze Ada Christen, wielka realistka między poetkami, zajmująca wśród niemieckich to stanowisko, które Konopnicka zajmuje wśród polskich:

Pochylona raz nad grobem  
Löwa, mędrca i rabina,  
Słyszę, jak go tłumy wielbią,  
Jak wychwała w głos rodzina.  
I zdziwiona pytam żydów,  
Czemu znieważając cienie  
Mędrca, który tu spoczywa,  
W grób rzucają mu kamienie?  
Na to dano mi odpowiedź:  
Stary zwyczaj ma to w sobie,  
Że żyjących czcimy kwiatem,  
A kamieniem tych, co w grobie.  
Zwyczaj iście to pogański!  
My chrześcianie już nie za tem,  
Żywych ukamieniowawszy,  
Groby ich wieńczymy kwiatem.

Z małą różnicą był to także los poetki polskiej. Zaledwie mogła zawarła się nad jej zwłokami, a już znalazł się nieznany poprzednio pismak, który w otwartą trumnę cisnął kamieniem. Uwagi „Stefana“

nad wierszem Marji Bartusównej „Do śmierci,” uczną na wskroś skrajnym ultramontanizmem i bigoterją, napiętnować chyba możemy jedynie mianem „szlachetnej denuncjacji,” a jeśli autor dochód z swojej bazgraniny przeznaczą dla matki tej, której pamięć on poniewiera, to chyba sami nie wiemy, czy śmiać się, czy oburzać na to.

Słusznie też „Śmigus”\*) wybiera go na bohatera komicznego, na „rycerza o smutnej postaci,” pisząc o nim:

„Radzę sześć tuszów codziennie,  
A gdyby nie skutkowało,  
To ogół głowę na czysto  
I nieco wybiczuj ciało.  
Twa literacka działalność  
Godna co najmniej orderu,  
Ty jeden mógłbyś napisać  
O cierpliwości papieru!”

A matka poetki także nie zaspala sprawy. Wystosowała do wszystkich czasopism polskich list z prośbą o umieszczenie. I my umieszczamy list rzeczony. Brzmi on:

„Dowiedziawszy się, że jakiś nieznany p. „Stefan” przeznaczył czysty dochód dla mnie z rozsprzedaży swej broszury, zatytułowanej: „Kilka uwag nad ostatnim wierszem ś. p. Maryi Bartus p. n. Do śmierci” niniejszem oświadczam publicznie, iż tej ofiary nigdy nie przyjmę, jako uwłaczającej pamięci najdroższej mej córki. Upraszam przeto szanowną redakcję o umieszczenie niniejszego oświadczenia i o wezwanie innych dzienników do łaskawego powtórzenia mej deklaracji. — Lwów, 28. listopada 1885 r.

Henryka Bartusowa.

My zaś od siebie dodamy, że literaci i ich rodziny w ogóle nie potrzebują wsparcia tego rodzaju,

---

\*) Nr. 5. z 1. Grudnia r. 1885. Autorowi broszury p. t.: Kilka uwag nad ostatnim wierszem ś. p. Marji Bartus.

jakiego im z łaski swojej udzielać chciałby pan „Stefan“, ale korzyści prawne ciągnąć pragną jedynie z własnych, nie zaś z obcych prac, a jeśli komitet obywatelski ustanowiony celem uporządkowywania i wydawania zupełnego zbioru pism śp. Marji Bartusównej, zamiary swe do skutku doprowadzi, to i matka poetki więcej na tem zyskać będzie i literatura więcej na tem uzyska, niżli na całym szeregu bezwartościowych i bezimiennych broszur bezimiennego pana „Stefana.“

Sambor, 4. Kwietnia 1886.

G. Kohn.

## W wiejskim poranku.

(Niedrukowany wiersz śp. Marji Bartus z czasów starań jej o posadę nauczycielki w ochronce lwowskiej i po pobycie 8mio-miesięcznym w szkółce freblowskiej p. Józefy Jaroszyńskiej, swej najserdeczniejszej i najwierniejszej przyjaciółki, gdy odwiedzały razem krewnych tej ostatniej w Przemyskiem.\*)

Ranek się budzi w promieniach świtu,  
W gazowych chimurek srebrnych ostonie;

---

\*) Wiersz niniejszy śp. Bartusównej, który redakcja „Roczników Samborskich“ zawdzięcza uprzejmości pani Jaroszyńskiej, najwierniejszej przyjaciółki poetki, będzie zapewne cenną relikwią dla wszystkich wielbicieli talentu Bartusównej. Redakcja „Roczn. Samb.“, aby wiersz ten zachować od zagłady, której z przebiegiem czasu najwartowniejsze prace ulegają, ogłasza go niniejszem a następnie wraz z innemi odda go do rąk komitetu, zajmującego się publikacją zbiorową prac pozostałych poetki. (Przyp. Red.)



Wśród lazurowej fali błękitu  
Zachodni księżyc blednie i tonie.  
Różowe blaski igrają tęczą  
W dyamentowych kropelkach rosy,  
Muszki zbudzone z cicha już brzęczą  
I słyhać ptasząt zmieszane głosy.

Boże mój, Boże! jakże to pięknie,  
Jak wiecznie świeże i wiecznie nowe!  
Otworzę okno... cicho uklęknę...  
Niech chłód owionie płonąca głowę,  
Niechaj jak dawniej urok poranku,  
Słodka harmonja w całej naturze  
Uciszy wrące tak bez ustanku  
W znękaney piersi walki i burze! .

O! jak mi błogo, ciszy Aniele!  
O! jak bezpiecznie pod skrzydłem twojem!  
Dla tych, co troski wzięli w podziele,  
Najwyższe szczęście zwie się spokojem —  
Komu wciąż wyrok kazał tu Boski  
O serc i murów potraćać głązy,  
Dla tego dworek wśród miłej wioski  
To — na pustyni — obraz oazy!...

Jakżeby słodko płynęło życie...  
W pośród ścian białych takiego dworu  
Rozkochanemu w tych nieb błękiecie,  
W blaskach słonecznych i szumach boru!  
Z dala od strasznych wirów żywota,  
Gdzie wśród przepaści wije się droga,  
Gdzie podróżnikiem wicher losu miota,  
A przewodniczy zdrada i trwoga! —

Jednak ja bluźnię! o Panie, Panie!  
Nie słuchaj słów tych skargi dziecięcej!  
Zawsze i wszędzie niechaj się stanie  
Święta Twa wola — nie pragnę więcej!  
Wszak każda droga wiedzie ku Tobie,  
Byle jej prawd Twych świeciły zorze,  
Byleby wyrzec można przy grobie:  
Żyłam i ginę, jak chciałeś, Boże!

Życie — to ciągly trud i ofiara,  
Darmo nas w kwietne ustronia wabi!  
Szczęście, to piękna i zradna mara,  
Siatką marzenia... — snutą z jedwabi —

Czarowna złuda! promień zbląkany,  
Może zaziemskich światów odbicie,  
Jak obietnica dla nas zesłany,  
Że takie będzie zaziemskie życie!  
Panie! Tyś w rękę dał mi pochodnię,  
Aby noc bliźnim rozświecać czarną,  
A ja spokoju pragnę niegodnie,  
A ja się trwożę misją ofiarną!  
O! każ Twym słowom, by mi świeciły,  
Wzmocnij na pracę cichą, mozolną....  
Bo gdy jej oddam wszystkie me siły,  
Dopiero wtedy —  
spocząć mi wolno!...

Pnikut, w domu p. Karoliny Markiewicz, 24-go Lipca 1877 r.

*Marja Bartus.*

---

## Mozart i Hummel. \*)

---

Hummel w cechu Mozarta brał mistrza święcenia,  
Ale mu czasem było już nie do zniesienia.  
I raz rzekł niecierpliwie: „O mój mistrzu drogi,  
Wszak szedłeś w moim wieku torem własnej drogi,  
Samodzielnie tworzyłeś o młodzieńczej woli,

---

\*) Wiersz ten napisany w r. 1866 w Lipsku, gdzie Władysław Tarnowski bawił dla uzupełnienia swojego w muzyce wykształcenia. Był on wtedy uczniem sławnego tamtejszego kouserwatorjum. W czasie mojego pobytu w Lipsku bywał często u pani Honoraty z Gillerów Kremerowej, siostry Agatona, odznaczającej się jako wirtuozka na fortepianie, zmarłej w r. 1878. Dom jej był dla niego wśród obczyzny jak dla podróżnika zielona oaza wśród piasków Sahary. Znajdował w nim bowiem żywe uczucia patriotyczne, wspomnienia Polski i rozmowę w języku ojczystym, — do której każdy Polak tak tęskni wśród obcych.

A mnie każesz motety i fugi powoli  
Kręcić, kręcić i kręcić ciągle jak żakowi,  
Sądzisz, że niepodola me skrzydło lotowi?"  
Z naiwnością geniuszu Mozart odrzekł błogą:  
„Bom ja o pozwolenie nie prosił nikogo!”  
Dykteryjka podwójnym urokiem odziana,  
Bo ją z ust Maurycego słyszałem Hauptmana. \*\*)

*Władysław Tarnowski.*

## Koń na mogile.

Leży Krakus, leży,  
W piasku na dolinie,  
Z przekłutego boku  
Ciepła krewka płynie.  
Siermięga sukienna  
Na nim potargana  
Dobyta szabelka  
Na troje spękana,  
Wierny konik grzebie  
W piasku po kolana,  
Grzebie kopytami  
Mogilę dla pana.  
Jużci ją wykopał,  
Jużci pana złożył,  
Jużci ją zasypał  
I sam się położył  
I zarżał śmiertelnie....  
Rozpękły jelita,  
I wyprężył szyję,  
Wyciągnął kopyta.

---

\*\*) Hauptmann, nestor konserwatorjum Lipskiego,  
autor sławnego arcydzieła: *Metrik und Harmonik*.

Wrony z okolicy  
Siadały na sośnie,  
Ścierwa nie ruszyły,  
Krakały żałośnie.

A wilczyśka z boru  
W kółko obchodziły,  
Głodnemi pyskami  
Przeraźliwie wyły.

Nawet muchy żerne  
Choć rojem latały,  
Na wiernym koniku  
Nigdy nie siadały.

Słońce go spaliło,  
Gdy szło na padoły,  
I wierny się konik  
Rozsypał w popioły.

Piołun z tych popiołów  
Bujny liść rozwija,  
Tak to w żalu zgorzkle  
Niemowna bestyja. —

*Stefan z Opatówka.*

---

## Król i astronom,

(z niemieckiego.)

---

Mów guślarzu! kłamco stary!

Co twa roi mózgownica?

Jakie gwiazdy wiodą gwary,

Jakie wieści masz z księżyca?...

Tyś astronom, a twój cały

Rozum w niebo się zacieka;

Mów szalbierzu osiwiały!

Jaka też mnie przyszłość czeka? —

Królu! — królu! nie uchroni

Dumnej głowy ci korona,

Łzy w niej błyszczą u twej skroni,  
Łzami ludu okupiona.

A na niebie tak czytamy:

Dawno skrzepe łzy rozpląną,  
Wzbiorą w górę mosty, tamy,  
Rwąc potoczą się doliną.

Królu! królu! choć w szkarłacie  
Lśnisz jak słońce u zachodu,  
Pewnie w krwią zbroczonej szacie  
Drżysz trwożliwie jak wśród lodu

Bo na niebie sąd na złego,  
Krew niewinnych w żar się zwieni,  
I grzesznika nieszczęsnego  
Pożre w paszczy swych płomieni.

Królu! — królu! nie sądz sobie,  
Żeś bezpieczny na twym tronie,  
Bo on wzrósł na ludów grobie,  
I na kościotrupów łonie.

A na niebie napisano:  
Trupy wskrzesi świeże życie,  
Zbójcę zemstą swą dostaną,  
Choć późno — lecz nieodbicie. —

*Pius Nałęcz z Witoszyna.*

---

## Bibliografia.

---

Dział bibliograficzny, rozpoczęty przez nas jeszcze w przedostatnim roczniku, tak obficie ze stron wszystkich zaopatrzony został w materiał literacki w kształcie książek i pism, że redakcja „Roczników Samborskich,” prowadząca dział bibliograficzny, w prawdziwym znajduje się ambarasie w obec szanownych dawców; rocznik nasz bowiem już na ukończeniu a szczupłość miejsca nie pozwala nam, każdą pracę tak treściwie rozbierać i oceniać, jakobyśmy chcieli. Tyle

mamy słów na usprawiedliwienie w obec tych, których nadzieje literackie przez zbyt pobieżną ocenę ich dzieł zostały zawiedzione. Co do dzieł samych, nadesłanych nam, to dla lepszego rozglądu i systematyczniejszego opracowywania pozwalamy sobie, podzielić je na 4 kategorie, które też w następnym porządku omawiać będziemy: a) gazety i czasopisma, b) książki pamiątkowe i roczniki, c) wydawnictwa dla ludu i młodzieży, oraz książki naukowe, d) książki mieszanej treści.  
(Redakcja „Roczników Samborskich“.)

### a) Gazety i czasopisma.

Tu zajmuje pierwsze miejsce znana już od czterech lat zaszczytnie [Gazeta Polska, wychodząca dwa razy na tydzień w Czerniowcach pod kierunkiem Klemensa Kołakowskiego. IV. Rocznik. Numera 1—32. 1886.]

Powiemy bez przesady, że tak pod względem doboru artykułów, jak i tendencji i stylistyki gazeciarskiej „Gazeta Polska“ nie tylko przoduje naszej publicystyce prowincjonalnej w ogóle, ale pod niejednym względem zawstydza nawet niektóre lwowskie wydawnictwa. Dosyć okiem rzucić na ten ogrom materiału, który dano do rozporządzenia redakcji, aby się przekonać, że się rzetelnie wywiązała ze swego zadania, polegającego na tem, tworzyć ognisko ducha polskiego na Bukowinie, omawiać sprawy piekące ogółu polskiego, rozprószonego po wielkiem księstwie dawnych gospodarów wołoskich, tworzącem obecnie część integralną monarchii, a nie tracić równocześnie łączności z Galicją i sercem jej Lwowem.

Dobór artykułów zawartych w „Gazecie Polskiej“ nie pozostawia nic do życzenia. Z pomiędzy wielu przytaczamy cenne prace i wstępne artykuły samego redaktora, jakoto: „Rycerzowi fałszu,“ „Rumuński pensjonat,“ „Ponury obraz“ i inne, z prac współpracowników: „Nieco o polskiej marynarce“ znanego już z swojej książeczki „o polskiej artylerji“ i z humoreski „o naszych zajazdach“ p. Walentego Cwika. Jeśli się w przyszłości znajdzie historyk, szukający umiejętnie śladów dawnej wielkości Polski, to niezau-

wodnie w pracach p. Cwika i podobnych mu badaczy znajdzie cenne wskazówki.

A mimoto redakcja „Gazety Polskiej” nie zasypia na różach. Naturalnie! bo my tu w kraju mamy tylko wiele zapału, objawiającego się w próżnych słowach, frazesach, obietnicach, a wytrwałości do ofiar nic a nic! Wspierać zaś piśmiennictwo krajowe, to kosztuje, więc lepiej wszystko wziąć na rachunek, a wydawca zamiast pieniędzmi niech samemi pięknymi obietnicami opłaci drukarza i papiernię, upominający się zaś o to, co się mu należy — jest gburem, a dłużnik okłamywający ustawicznie wierzyciela i narażający go na grube straty — jest człowiekiem niezmiernie delikatnym, zacnym i przyzwoitym.

Inaczej to bywa u innych narodów; tam solidarność nie polega na słowie, ale na czynie, a właśnie ci, z którymi Polska najmniej sympatyzuje, mogliby nam pod tym względem za wzór służyć. Podniosłem naumyślnie w łamach mego pisma tę kwestję, ponieważ z ewentualnym upadkiem „Gazety Polskiej” znikłoby z horyzontu jedno z ognisk oświaty polskiej na dalekim Wschodzie, które podtrzymać skromnym datkiem pięciu złr. na pół roku, albo 10-ciu złr. na rok, naszym mecenasom piśmiennictwa może nie przyszłoby z trudnością!

(Gazeta Naddniestrzańska, dwutygodnik polityczno-ekonomiczno-społeczny i organ demokratyczny, wychodzący w Drohobyczu pod kierunkiem Edmunda Leona Soleckiego. Rocznik III. Nr. 1—8. 1886.)

Nie wszyscy chcą się zgodzić na tendencje tego pisma, wychodzącego już rok trzeci w Drohobyczu, ponieważ ono się nie bawi w teorię „zatajenia i zamilczenia faktów.” Oczywiście! jesteśmy bardzo delikatni a raczej udelikaceni — dla własnych bólów i krzywd. Więc jeśli nam kto żywą prawdę w żywe powiada oczy, krzywdą dla nas i obraza niesłychana; ale jeśli kto krzywdzi naszego bliźniego, to nas to nie obchodzi wcale.

Nie jesteśmy wprawdzie zwolennikami teorii wywlekania wszystkich brudów prywatnych przed oblicze publiczności; ale sądzymy, że gdyby wszystkie jawne i jaskrawe nadużycia, jakie się dzieją na tym

bożym świecie, zakrywano płaszczykiem miłosierdzia chrześcijańskiego, toby świat także nie wiele na tem zyskał, ci wszyscy zaś, których poznaliśmy już dostatecznie jako fałszywych pocziwców i farbowanych lisów — uchodziliby zapewne za wzory świętości i czystości obyczajów i śmieliby się w kułak z głupich adoratorów swoich. Zresztą choćbyśmy się może nie zgodzili na to, aby we wszystkich większych okręgowych miastach Galicji wychodziły pisma o treści i tendencji „Gazety Naddniestrzańskiej,” to dla Drohobycza i Borysławia, zwłaszcza dla tego ostatniego, gdzie korupcja do niebywałych dotąd rozmiarów dojrzała, „Gazeta Naddniestrzańska” zdaje się być bardzo stosownym organem, prawdziwą zasługą zaś redakcji będzie, jeśli władze wyższe, spowodowane do tego ustawicznymi nawoływaniem pisma wglądną w stosunki iście adamiczne Borysławia i zrobią ład. „Gdzie drwa rąbią, tam drzazgi lecą.” Toż nie dziwota, że odkrywając nieporządki publiczne dotyka się niemile tego lub owego. Ztąd rodzą się krzyki i wrzaski i nieukontentowania, ztąd pogłoski, że „Gazeta Naddniestrzańska” jest pismem antysemitycznym. Nie jest ona w rzeczywistości niem, a byłaby niem w takim razie tylko, gdyby zamiast potępiać jednostki, potępiła w czambuł ogół żydowski.

Nie możemy wstępnym artykułem pisma, umieszczonym już dłuższy czas pod zbiorowym tytułem: „Krzywdy ludu naszego” zaprzeczyć pewnej wartości i fachowej nawet erudycji. Artykuł o weterynarzach został przedrukowany w „Dzienniku polskim;” są i inne artykuły, zdradzające znajomość rzeczy. Również nie karcimy redakcji za to, że w łamach swego pisma, które jest polskie, umieszcza także korespondencje w ruskim języku.

W kraju o tak mieszanej ludności, jakim jest Galicja, musimy przedewszystkiem dążyć do zgody, a więc i Rusinom prawa do zachowania języka swego i narodowości przyznać, jeśli nie chcemy, aby się złączyli z wrogami Polski. Moskalofilów dotąd na szczęście mało jest w kraju, ale zastęp ich może potężnie urość, skoro przez poniżenie prawych Rusinów powiększymy zastępy malkontentów.



Co zaś do tendencyj pisma, niemile widzianych przez rozmaitych menerów, to wracając do tego przedmiotu przytaczamy znaną anegdotkę o owym Rzymianinie, któremu budowniczy obiecał dom wybudować na taki sposób, aby nikt do jego wnętrza nie mógł zaglądnąć, a któremu szlachetny ten mąż odpowiedział: „Buduj mi raczej mój dom tak, aby każdy mógł zaglądnąć do jego wnętrza!” Tak jest! budujmy nasze domy, zakładajmy podwaliny dla naszego społeczeństwa w ten sposób, aby się nic tam nie mogło mieścić skrytego, a kiedy społeczeństwo w ten sposób się wydoskonali, o którym tak gorąco marzyli nasi poeci, nasi wieszcz, reformatorowie ludzkości całej, wtedy też ustanie raz na zawsze potrzeba istnienia pism o zakroju i tendencji „Gazety Naddniestrzańskiej,” a redaktor wyda ostatni numer z dopiskiem, że ludzkość takie niesłychane postępy na drodze poprawy moralnej i doskonałości społecznej zrobiła, że pismo jego odtąd dla poprawy ogółu stało się zbędnem, czego w interesie społeczeństwa samego wraz z szanownym redaktorem i wydawcą „Gazety Naddniestrzańskiej” gorąco pragniemy.

(Echo z nad Sanu, tygodnik, organ dla ziemi przemyskiej i sanockiej. Przemyśl. Nra 1—31, 1885. Redaktorowie S. F. Piątkiewicz i A. J. Hibl).

„Habent sua fata libelli” — czyli po polsku: „Książki mają swoje losy,” a — dodamy od siebie — gazety niemniej. Nieprzeznaczono widać ziemi przemyskiej, aby miała osobny swój organ. „San” upadł, upadły i inne pisma; że się „Echo z nad Sanu” wśród takich okoliczności nie utrzyma, to można było przewidzieć z góry. Tem więcej należy się uznania redaktorom, pp. Piątkiewiczowi i Hiblowi, a zwłaszcza temu ostatniemu, że wśród takich warunków mieli dosyć cywilnej odwagi, prowadzić jak na Przemyśl bardzo ryzykowne wydawnictwo miejscowego organu w miejscu, które nie poczuwało się do obowiązku prenumerowania go, choć bezpłatnych czytelników było wiele.

„Naj bude jak buwało!” I kiedy raz wytępiamy z serc i mózgów naszych pieczeniarzy tę zasadę biernej opozycji, która nawet nie ma tyle odwagi, aby chwy-

cić za broń, choćby imieniem wstecznych idei konserwatyizmu, ale postępowi wszelkiemu zagradza drogę zgniłem cielskiem swoim, rozkraczającym się u wrót świątyni ducha, jak niegdyś Rejtan żywem ciałem wrogom Ojczyzny! Poczytujemy więc za zasługę redakcji, że walczyła wytrwale imieniem zasady: „Nie ma stanów uprzywilejowanych, ale wszyscyśmy obywatelami państwa, a jako tacy równi w obec prawa!” Może się też poszczycić niejednem zwycięstwem moralnem, odniesionem imieniem tej idei: jej zasługą będzie to, jeśli ministerjum oświecenia uwzględnwszy potrzeby duchowe mieszkańców Przemyśla zaprowadzi tam obok dawniejszego drugie gimnazjum ruskie; jej zasługą było to, jeśli system protekcji ustąpić musiał miejsca prawdziwej zasłudze, jej zasługą, jeśli militarizm, pobrzękujący bezpotrzebnie szablą, poniósł porażkę w samym Przemyśle, obsitującym w wszelkiego rodzaju wojskowość! Sędziowie, którzy w znanym procesie redakcji o obrazę honoru, znaczną większością 10-ciu głosów uwolnili redakcję od zarzutów zrobionych jej, złożyli świetny dowód swojej dojrzałości politycznej, dowód, że mamy jeszcze sędziów w Galicji! Poważamy bowiem niezmiernie stan wojskowy, o ile się poczuwa do swoich obowiązków co do obrony kraju, o ile bije nieprzyjaciela i pędzi od granic państwa, o ile się w czasach pokojowych przyczynia do rozwoju życia publicznego i literaturę wojskową wzbogaca cennemi dziełami, o czem nawet w dziale b) będziemy mieli sposobność obszerniej rozprawiać; ale nie poważamy wojskowego, który niepomny pochodzenia swego z ludu, ludem tym pogardza i pomiata, nie poważamy jednym słowem tego rodzaju żołnierza, którego Rzymianin tak trafnie nazwał: miles gloriosus!

Co do działu literackiego, zawartego w fejsletonach „Echa z nad Sanu,” to nie trzeba zbyt wiele wymagać od niego, ani nie żądać tej doskonałości, do którejśmy nawykli czytając czasopisma stołeczne i publikacje czysto-literackiej treści: z tem wszystkiem jednak nie da się zaprzeczyć, że dział „kroniki przemyskiej” z dowcipem prowadzony, że w swoim „Rodzie Korniaktów” ks. Michna z Chłopic odsłania

przed oczami czytelnika zajmujący obrazek z zamierzonej przeszłości i że powiastka z francuskiego: „Ja nie chcę,” w przekładzie panny Wiktorji Hiblównej bardzo miłe robi wrażenie tak co do treści, jak i co do stylu poprawnego.

„Echo z nad Sanu” dążyło do celu, do którego wszystkie publikacje perjodyczne dążyć powinny, do zupełnej niezawisłości od stron i stronnictw. Redakcja omyliła się jednak w rachubach swoich; nie natrafiła na tego rodzaju publiczność, któraby należycie potrafiła ocenić jej dążności i uległa po wielkich walkach i wysileniach skutkiem kołtunerji i niedojrzałości politycznej przeciwników. Nad mogiłą upadłego zbyt wczesnie czasopisma zanućmy pieśń grobową: „Requiescat in pace!”...

(Österreichischer Reichsbote, pismo tygodniowe polityczne z ilustracjami i organ stronnictwa konserwatywnego niemieckiego, wychodzący w Wiedniu pod redakcją Karola Hrona, a następnie J. Pfundhellera. Nra 142—173 z lat 1885 i 1886.)

Pismo to, wychodzące we Wiedniu już czwarty rok w numerach dwuarkuszowych i okładzinie po cenie kwartalnej 1 złr., jest najlepszym dowodem, jakim powodzeniem niemieckie czasopisma u niemieckiej publiczności się cieszą; dużo wody upłynie bowiem, zakim u nas w Galicji tygodniki polityczne wyjdą z ilustracjami, niezbędnymi w Niemczech dla każdego prawie wydawnictwa perjodycznego, zanim wydawnictwa belletrystyczne w ogóle będzie można prenumerować po tej cenie, po której w Niemczech są do nabycia. W obec ogromnej ilości tygodników belletrystycznych ilustrowanych, wychodzących w Wiedniu, Lipsku, Sztutgardzie, Dreźnie i Berlinie a nawet w całkiem niepokaźnych i małych miasteczkach niemieckich, w obec tej ilości, pozostałej po potrąceniu nawet pism czysto humorystycznych, ile czasopism belletrystycznych ilustrowanych, wychodzących częściej niż raz na miesiąc mamy w Galicji? Nie doliczając pism humorystycznych, wychodzących we Lwowie i Krakowie — może dwa co najwięcej!

Treść „Reichsbotenu” jako tygodnika politycznego dosyć urozmaicona. Obok artykułów wstępnych, obok

wiadomości bieżących historycznych i małej kroniki widzimy także bogaty dział belletrystyczny zawierający powieści i powiastki, podróże, biografie, wiersze, anegdotki, wiadomości teatralne, oceny dzieł i t. d. urozmaicone wielką obfitością ilustracyj. Z tychże szczególnie udatne są: „Rewja wojskowa za czasów Frydryka Wielkiego“ (Nr. 146), „Ruska para małżeńska“ (Nr. 147), „Kaukazki taniec narodowy“ (Nr. 149), „Hełm cesarza Karola V.“ (Nr. 154), „Vreni“, studjum Defregera (Nr. 157), „Zamek księcia Friedlandu“ (Nr. 170) „Przy robocie“ (Nr. 172) i inne.

Z pomiędzy powieści i powiastek tygodnika a mianowicie z pomiędzy powieści: „Beo“, Feliksa d'Agaro, „Z dni zadusznych“ Anny Vogel, „Buty mego doktora“ J. A. Baccioca, „Zgon starej Paljago“ Mozeniga i t. d. korzystnie wyróżniają się „Beo“ i „Z dni zadusznych“, szczególnie pierwsza, która delikatną stylistyką przypomina prawie kobiece pióro, a intrygą swoją tem się wyróżnia od innych powieści, że podczas gdy w innych powieściach i romansach ludzie sprężyną są tak złego jak i dobrego co się dzieje — tu głównym bohaterem powieści kocur Beo, w około którego jak w około osi wszystko się obraca. Redakcja zastrzegła sobie prawa przekładu dla tej powieści a szkoda wielka, bo „Beo“ zasłużyłby na to, aby go przełożono na język polski.

Co do wierszów, zamieszczonych w tygodniku, to te są bardzo mieszanej treści i wartości: niektóre dobre i pod każdym względem nienaganne, niektóre jednak bardzo podrzędne i o formie wadliwej, widocznie tylko z grzeczności i z względów dla pięknych prenumeratorek przyjęte.

Co do treści politycznej pisma — to o tej wolimy zamilczeć.

(Ognisko Domowe, pismo belletrystyczne ilustrowane, wychodzące we Lwowie 3 razy na miesiąc pod kierunkiem Bronisława Zamorskiego. III. Rocznik. Numera 61—72. 1886.)

Mamy już to w sobie, że co obce temu przykaskujemy bez wyboru i bez namysłu, co zaś swojskie tem pogardzamy po największej części, i tylko w ten sposób da się poniekąd wytłumaczyć sukces niesty-

chany warszawskich pism, zalewających i zajmujących samowładczo prawie cały targ literacki w Galicji, obok zastoju, jeśli nie nawet upadku zupełnego, panującego w galicyjskiem piśmiennictwie. „Bliższa koszula ciału, aniżeli surdut,“ ale nie u nas w kraju. Ciekawiśmy rzeczywiście, czy się Warszawa także tak lękliwie i niewolniczo ogląda za opinią literacką Lwowa lub Krakowa, jak Lwów i Kraków a z niemi cała niemal Galicja za Warszawą? czy Warszawa lwowskie i krakowskie wydawnictwa z taką ujmą dla własnych wspiera, jak my rokrocznie czynimy? Z pewnością że nie! ale co innego u nas! My, zamiast być samodzielnymi twórcami, wolimy być małpami innych, narzędziem w ręku pierwszego lepszego, zwolennikami i ślepymi naśladownikami lada kogo, który nam za imponować potrafi, a to nazywa się potem literackiem wykształceniem i oglądą towarzyską.

Nie jesteśmy za tem, aby zagraniczną, a zwłaszcza warszawską literaturę perjodyczną zupełnie z kraju wyrugować. Literaci powinni jaką taką łączność z Warszawą utrzymywać już z powodu rozszerzenia zakresu własnej wiedzy u wielkiego źródła grodu syreniego; bogaci mecenasi, którzy bez uszczerbku dla własnej kieszeni wydali i wydają rokrocznie setki na rozszerzenie swego księgozbioru, niech i nadal bez różnicy gromadzą lwowskie i krakowskie, poznańskie i warszawskie czasopisma i dzieła; kobiety niech się lubują w warszawskim „Bluszczu“ lub w poznańskim „Dwutygodniku dla kobiet,“ omawiających specjalnie sprawy kobiece; emigranci wreszcie, zamieszkali w Galicji, niech dla utrwalenia serdecznego stosunku z ojczyzną swoją, i nadal trzymają pisma zagraniczne. Ale wszyscy ci obywatele i obywatelki kraju, u których żaden z wyżej wymienionych warunków łagodzących nie zachodzi, grzeszą ciężko przez wspieranie obcej literatury z ujmą dla własnej! Każdy, kogokolwiek stać na to, aby krajową literaturę wspierał bodaj drobnym datkiem, ale nie stać na to, aby obok niej jeszcze wspierał zagraniczną, grzeszy ciężko, jeśli zagraniczną wspiera z ujmą dla własnej. „Bliższa koszula, — choć prosta, płótniana — ciału, niżli surdut aksamitny!“

Ta idea przewodniczyła też założycielom „Ogniska Domowego,” które obecnie pod umiejętnym kierownictwem Bronisława Zamorskiego pomyślnie się rozwija. Pismo, wychodzące 3 razy na miesiąc w dwuarkuszowych, bogato ilustrowanych zeszytach przynosi wszystko to, czego zazwyczaj szukamy w podobnych publikacjach, a więc obfity dział powieściowy, rozprawy, poezje, pogadanki i t. d., kosztuje tylko 1 złr. 80 ct. na kwartał, a ma przed obcemi wydawnictwami tę niezaprzeczoną zasługę, że — ojczyście. Mówił wielki wieszcz niemiecki, którego słowa mają równe brzmienie dla wszystkich narodów: „Warum in die Ferne streifen? Liegt das Gute doch so nah!” Zastosujmy jego słowa także do „Ogniska Domowego” jako do jedyne go prawie pisma ilustrowanego literackiego w Galicji. Treść pisma tego rzeczywiście bardzo urozmaicona i dobrana.

W powieści współczesnej „Do ostatniej kropli” Stefana Januarego Sulity, osnutej na tle powstania z r. 1863-go opisuje autor niewykwintnemi, ale rzetelnemi słowy dzieje serca, złamanego w walce o wolność Ojczyzny i miłość kochanki, a otoczonego na śmiertelnem łożu jeszcze aureolą męczenników, podczas gdy podły zdrajca (Edgar Łapowicz), skarbem podstępnie nabytym, niedługo się nacieszywszy, splamione życie w rotach arestanckich kończy. W rozpoczętym niedawno szkicu powieściowym Koszczyca „W ogniu wolności” odsłania nam autor ciekawy obrazek z czasów obozowych powstania styczniowego, „Obrazki z katorgi” Ludwika Zielonki wtajemniczają czytelnika w życie naszych braci wygnańców na Sybirze i obznajamiają nas z rozlicznemi a nieznanemi nam dotąd szczegółami z życia Moskali tak poważnego jak i wesołego rodzaju. Charakterystycznie odmalowana w „obrazkach” tych łapczywość i sprzedajność moskiewska. „Szkice etnograficzne o Indianach Wenezueli, Guyany i Brazylii” obznajamiają nas z życiem nieznanym nam dotąd albo mało znanych ludów. Nie zła jest też humoreska, a raczej pogawędka karnawałowa „Mój program” Brunona Ubaldusa. Co się tyczy zyciorysu śp. Bartusówniej, który Koszczyca z wielką dokładnością skreślił, to powiemy bez przesady, że

praca jego jest źródłową i wyczerpującą, ale też za- nadto optymistycznie zabarwioną; robi wrażenie obrazka kunsztownie wykonanego, w którym nie zapomniano ani o jednym szczególe dodatnim, ani o jednym pro- myku światła, któremu jednak brak zupełny cieni, a taki obraz, gdyby Bóg wie jak delikatnie i pięknie był wykonany — razić musi nienaturalnością, niemo- żebnością. Naturalność i prawda — to właściwe zna- miona wszelkiego piękna w sztuce.

Nie na równi z działem prozaicznym zadowolili nas wiersze, umieszczone w „Ognisku.“ Niektóre są słabe i nie wiedzieć na co i po co je umieszczono. Jeśli wiersz bez znaczenia głębszego, bez wartości poetycznej jak „Sroczka“ w piśmie figuruje obok udat- nego obrazka, albo gdy „Sonet“ Juliusza Hena, wy- glądający na rymowaną prozę, ilustrację otrzymuje dopiero za pomocą ilustracji — to mimowoli krzy- wimy się na to. Wolelibyśmy bowiem w takich wy- padkach sto razy, aby wiersz był znakomity, a illu- stracja kiepska. To są jednak nieznaczące usterki, nie mogące ujmy czynić całości, która się dosyć przy- zwoicie przedstawia.

Papier „Ogniska Domowego“ jest piękny i od- powiedny, druk (Jana Czaińskiego w Gródku) czysty i omal bezbłędny, pod względem technicznym nie pozostawia nic do życzenia, ilustracje niektóre wy- konane nawet znakomicie, świadczą nietylko o sta- rannym i sumiennym wyborze redakcji, ale coś więcej o pojętnem wykonaniu ze strony drukarni. Z najbar- dziej udatnych ilustracyj pisma wymieniamy następu- je: „Pojętny uczeń“ (Nr. 62), „Sum w objęciach anakondy“ (Nr. 64), „Rozmyślanie“ (tamże), „Szkoła Ateńska,“ podług Rafaela (Nr. 66), „Dysputa,“ podług Rafaela (Nr. 68), „Studjum“ Defreggera (Nr. 70), „Jak ty jemu — tak ja tobie“ (tamże), „Przyjaciółki“ (Nr. 71), i inne.

[Kurjer Stanisławowski, tygodnik miejscowy, wychodzący co niedzieli pod redakcją Dr. A. Nimhina i Józefa Wierzejskiego. Nr. 1-3. 1886.] Grunt stanisła- wowski nie bardzo — zdaje się — sprzyja publika- cjom miejscowym. Co chwila rodzą się i upadają jak efemerydy pisma polityczne. Powstało i znikło „Hasło“, znikła „Gazeta Podkarpacka“ i „Kronika.“ „Głos Sta-

niśławowski“, wzorowo i wolnomyślnie redagowany przez Władysława Ciesielskiego nie zdołał się utrzymać. Na gruzach dawniejszych wydawnictw powstają nowe. Powstała nowo odrodzona „Kronika Stanisławowska,“ a jako polityczny przeciwnik tejże „Kurjer Stanisławowski.“ Kto z tej walki na noże zwycięzko wyjdzie, nie możemy na razie oznaczyć. Nie pomoże tu ani osobista waleczność przeciwników, ani większa lub mniejsza liczba prenumeratorów; ale to pismo z największą pewnością zwycięży i zwyciężyć powinno, które się poszczyci najsumienniejszym i najlepszym doborem artykułów, dla obydwu pism razem nie ma bowiem miejsca w Stanisławowie.

„Kurjer“ istnieje za krótko, aby już teraz miał prawo, dopominać się o treściwą ocenę: zaznaczamy tylko, że pod względem formy zewnętrznej pismo dosyć korzystnie się przedstawia. Na jedno przecież nie możemy się zgodzić, a to na pewien rodzaj bezkrwistości i bezmięsistości, którą redakcja w program swój przyjęła. Bo „kto w obronie prawdy i sprawiedliwości stanąć chce stanowczo i śmiało,“ temu trudno będzie zaiste „przestrzegać ściśle praw cudzej osobistości.“ Nie pochwalamy tendencji wywlekania wszystkich brudów prywatnych przed forum publiki; ale kto skutecznie stanąć pragnie w obronie prawa pokrzywdzonego, ten nieraz i takie brudy prać będzie musiał publicznie. Twierdził zresztą Dant, wieszcz największy 13 go stulecia, wielki polityk włoski i poprzednik Macchiawellich i Cavourów, że ci, którzy za życia ani kochali, ani nienawidzili, po śmierci nie wejdą ani do nieba, ani do piekła, ani do czyścica nawet, ale jako bezcieleśni cienie wiecznie błąkać się będą w przedsionku piekieł. Z nauki tej niech korzysta także redakcja „Kurjera Stanisławowskiego.“

b) Księgi pamiątkowe i roczniki. [Album Muzeum Narodowego w Rapperswylu. Wieniec pamiątkowy półwiekowej rocznicy powstania listopadowego. Redaktor Agaton Giller, Rapperswyl, 1881—84, nakładem Muzeum Narodowego. Druk W. Simona w Poznaniu. Wielka ósemka. Stronic 754.]

Każde dzieło wielkiego mistrza naszej publicystyki i zasłużonego historyka Agatona Gillera budzi żywe



zajęcie w wiernej gromadce jego czytelników, a to tem bardziej, jeśli prawie wyłącznie poświęconem ono jest charakterystyce osób i dziejów, które w historii Polski tak ważną odgrywają rolę.

„Wieniec pamiątkowy“ trzecią z kolei jest publikacją zbiorową Muzeum Narodowego w Rapperswylu; pierwsza nosi datę r. 1872-go jako stuletniej rocznicy pierwszego rozbioru Polski, druga wydana we Lwowie datę r. 1876. Jeśli zważymy, ile mroźczej pracy kosztowało zbieranie choćby tylko pobieżne szczegółów z życia 64-ch synów Polski, to nie będziemy się wcale dziwować temu, że druk dzieła rozpoczęty jeszcze 11. Sierpnia r. 1881-go, skończony został dopiero 1. Kwietnia r. 1884, a więc trwał nie mniej i nie więcej, jak 2 lata, 7 miesięcy i 20 dni!

Redakcja wywiązała się znakomicie ze swego zadania. Nie możemy wprowadzić wszystkie te życiorysy mierzyć jednakową miarą, a nie każdy z wyszczególnionych zasłużył może na ten zaszczyt; ale w wielkiej armii ducha są nie tylko Marszałkowie i Jenerałowie, nie tylko dowódcy i przewodnicy, ale także p. ości żołnierze i szeregowcy, a kto mówi o głównie dowodzącym, ten nie może milczeniem zbywać jego wojska.

Obok prac redaktora widzimy w księdze zbiorowej umieszczone także artykuły współpracowników i współpracowniczek: hr. Borkowskiego, Eustachego Śmiałowskiego, Felicji z Wasilewskich Boberskiej. Z prac tych szczególnie Boberskiej odczyt „O Polkach, które się zasłużyły Ojczyźnie w powstaniu listopadowem“ zasługuje na zaszczytną wzmiankę z powodu pięknego stylu i wielkiej obfitości ciekawego a mało znanego ogółowi materiału historycznego, mieszczonego się w tym odczycie.

Co do 64 ch życiorysów, skreślonych umiejętną ręką samego redaktora, to trudno mi nawet w przybliżeniu podać treść tychże, tak dalece przekroczyłoby to szczupłe granice naszego pisma; ale w każdym, choćby najdrobniejszym takim życiorysie znajdzie przysły badacz historii cenny materiał dla swoich badań, zwolennik literatury ojczyznej nieznane mu a ciekawe szczegóły z życia naszych wielkich pisarzy

a prawy obywatel kraju wskazówki pracy i poświęcenia dla Ojczyzny. Duch silny i wielki, wierzący w przyszłość Polski, ożywia opowiadania Gillera i chroni je od nużącej jednostajności, a tendencja antyściągalska nie kryje się nigdzie. Oprócz życiorysu hr. Władysława Platera, któremu jako założycielowi Muzeum Narodowego w Rapperswyłu i wydawcy książki pamiątkowej autor obszerniejszą wzmiankę poświęcił, zasługują na szczególniejszą uwagę skrupulatnie opracowywane życiorysy Belwederczyków: Nabelaka, Retla, Paszkiewicza, obywateli Darowskiego i Młockiego, poety Krystyna Ostrowskiego i piewcy Ukrainy Bohdana.

Księgę pamiątkową zamyka opis obchodu rocznicy listopadowej w granicach Ojczyzny i poza granicami teje.

Wydawca „Wieńca pamiątkowego“ na ostatniej stronie załącza odezwę, w której zapowiada wydanie dalszych tomów w razie, jeśli dostateczna ilość zwolenników listownie do prenumeraty się zobowiąże, którą albo na ręce wydawcy w Rapperswyłu, albo też na ręce redaktora, obecnie w Stanisławowie zamieszkałego, uścić można.

[Historja c. k. 56. pułku piechoty, opracowana przez pp. Roberta Janotę, c. k. podpułkownika i Stanisława Bednarskiego, c. k. porucznika w rezerwie. Drukiem i nakładem Franciszka Foltyna w Wadowicach, 1884. Wielka ósemka, stronic 198. Cena 40 ct.]

Pułk 56 ty, którego sztab stacjonowany w Krakowie a czwarty batalion w Wadowicach, obchodził jak wiadomo w r. 1884. dwóchsetletnią rocznicę swego istnienia. Panowie Robert Janota i Stanisław Bednarski na polecenie komitetu jubileuszowego opracowali treściwą, na historycznych źródłach opartą historję tego pułku, przeznaczając dochód z rozprzedaży dzieła na utworzenie funduszu dla wspierania inwalidów pułku, oraz wdów ich i sierot.

Szanownym autorom poczytujemy za poczwórną zasługę wydawnictwo tego wielce pożytecznego dzieła. Wzbogacają bowiem literaturę wojskową i historję powszechną cenną pracą; udowadniają, że wojskowi

i wśród pokoju, potrafią czas swój korzystnie wypełnić dla społeczeństwa; zarzucają bodaj chwilowo język niemiecki, który się stał językiem urzędowym i pozaurzędowym wojska, aby, jak się sami wyrażają, w języku ojczystym przemawiać do swoich czytelników; przeznaczają wreszcie dochód z swego dzieła dla inwalidów, dla wdów i sierot swego pułku, który jak wiadomo przeważnie z Galicjan się składa. I z tego też powodu uczyniwszy zadość życzeniu autorów, udzielamy im chętnie wybaczenie za drobne usterki i braki, za niedokładności, nie dające się nawet przy najlepszej woli uniknąć w pracy, którą w przeciągu zaledwie trzech miesięcy trzeba było ukończyć.

„Historja Pułku“ jest księgą pamiątkową w najszlachetniejszym i najszczytniejszem tego słowa znaczeniu, i nie wątpimy też, że — sądząc z samych początków rozsprzedazy — znajdzie wielki pokup; nakład bowiem, obliczony na 5000 egzemplarzy, rozchodził się nieźle między publicznością, jeśli od połowy Października r. 1884-go aż do połowy Września r. 1885-go rozsprzedano 1000 egzemplarzy.

„Historja pułku“ dzieli się na 4 okresy; jeśli pierwszy okres i część drugiego więcej zajmują badacza historii w ogóle niż publiczność szerszą, to natomiast dzieło, zaczawszy od rozbioru Polski rozciekawi także ogół, bo znajdziemy w tej części książki daty odnoszące się wprost do walecznych rodaków naszych, do udziału jaki wzięli w bitwach zwyciężkich armii austriackiej, do krwawych ofiar, jakie ponieśli, do czynów walecznych, którymi się wyszczególnili przed innymi. Materiału nie tylko historycznego, ale także historyczno-anegdotycznego znajdzie czytelnik w księdze tej podostatkiem. Niezmiernie ciekawe są szczegóły o kobiecie-poruczniku Franciszce Seanagatta, która służyła w wojsku przez 3 lata (1797—1800), udział wojsk galicyjskich w bitwach r. 1866-go i inne. Z tabeli statystycznej na końcu dzieła dowiadujemy się, że z 56. pułku poległo w bitwie pod Nachodem żołnierzy i podoficerów 43, z tych 37 narodowości polskiej, 3-ch czeskiej a 3-ch węgierskiej, w bitwie pod Kralowym-Hradem zaś 17 żołnierzy i podoficerów, z tych 16-tu polskiej narodowości a jeden Węgier, wykaz zaginio-

nych a nie odszukanych dotąd z tego samego pułku wynosi: pod Nachodem 52-ch, z tych 49-ciu polskiej, a 3-ch węgierskiej narodowości, pod Kralowym-Hradem 41, z tych 32-ch polskiej, 8-miu węgierskiej narodowości, a jeden Morawianin.

Papier książki piękny i czysty, czcionki nowe, ozdobą wątpliwej wartości, świadcząca nieszczęśliwie o umiejętności drukarskiej, zdaje się jednak być ogromny wykaz pomyłek, mieszczący na dwóch stronicach 125 owoców sztuki zecerskiej.

(Die Dioskuren. Rocznik literacki Towarzystwa urzędników monarchii austro-węgierskiej. Wielka ósemka. XV. Rocznik. Stronic 559. Wiedeń, 1886. Nakładem Towarzystwa. Czcionkami cesarskiej drukarni we Wiedniu. Cena 2 złr. 50 ct.) Tegoroczne wydawnictwo „Dioskurów,” nietylko że nie ustępuje swoim poprzednikom, ale co do objętości i treści zdaje się je o wiele przewyższyć. Pozwolimy sobie tedy starym zwyczajem, omówić takowe, a rozpoczniemy ocenę od działu powieści jako mającego najwięcej powabu dla pewnej części naszych czytelników. Tu znowu jak zawsze w pierwszym rzędzie stoi kawaler de Vincenti ze swoją „Panią Meduzą” (str. 201.) W powieści tej, ciemnym i ponurym kolorytem swoim mocno przypominającej „Czartowskie napoje” Hofmanna przedstawia nam autor kobietę z ludu, nie pozbawioną jednak owej próżności, wyszczególniającej prawie wszystkie córki Ewy. Grete Nürgens, czyli „Pani Meduza” jak ją z powodu szklanego i nieruchomego jej a odrazę budzącego wzroku nazywają, wdowa po cieśli pragnie rozgłosu, pragnie sławy literackiej, choć sama wie najlepiej, że ani wychowaniem i wykształceniem, ani wiedzą swoją nie odpowiada warunkom, które świat wybredny stawia do literatek. Przypadek zarządza, że chory kuzyn Wendelin Aberkomer, potrzebujący pielęgnacji kobiecej, w jej progi się zabłąka. Wendelin, rozkochany w Gertrudzie Steidinger i marzący tylko o niej i o sławie literackiej, drżącą ręką suchotnika kreśli prześliczne dwie powieści, które powinny jego imię unieśmiertliwić. Tymczasem obłudna kuzynka zamiast szukać nakładcy dla tych dzieł, woli na własny rachunek spieniężyć prace Wen-

delina, które ona w tym celu odpisawszy i oryginalny rękopis zniszczywszy, następnie wydaje jako własne. Sypią się pochwały i zaszczyty jak z rogu obfitości, obcy autorowie proszą o odstąpienie prawa tłumaczenia, obiecując za nie kolosalne sumy, księgarze robią nakład po nakładzie, a biedny, oszukany, chorowity i ułomny Wendelin musi się kontentować stereotypowym oświadczeniem, że dzieła jego nie znalazły nakładcy. Przypadek odkrywa wszystko; Wendelin rozwścieczony grozi wyjawieniem ohydnej kradzieży literackiej a miła kuzynka, nie namyślając się długo, pozbawia go życia; przypadek nieprzewidziany prowadzi jednak na ślad zbrodni, a dusicielka, skazana na śmierć przez ścięcie, dumna jest z tego, że do ostatniej chwili choć wywołała grozę w sercach ludzi, choć ją wyrok sędziowski na śmierć skazuje, ale nie okryła się śmiesznością — wyrok zaś nieba, łaskawszy od wyroku ludzi, ubezwładnia ją w samą porę atakiem letargicznym, kończącym się śmiercią, nim jeszcze wyrok śmierci na zbrodniarce dokonany został.

W „Rzymiance Gianninie“ Henryki Kühne-Harkort (str. 298), przedstawia nam autorka dzieje młodego serca, które uczucia idealistyczne południa przeniósłszy na twardy grunt rzeczywistości niemieckiej, po rozmaitych przesładowaniach losu, po ofiarach dotkliwych, poniesionych dobrowolnie celem uratowania kochanka, na końcu sen szczęścia wymarzonego tak gorąco, urzeczywistnionym widzi przez wiekuiste połączenie się ze swoim ideałem. Trafnie w powiastce tej odmalowane są charaktery głównych osób, a mianowicie żywego dziewczęcia Gianniny, i obrachowanej a zimnej jak gład wujanki holenderskiej Teresy.

Powieść Gabrieli Adler „Za późno!“ (str. 429), kombinowaną prawdziwie po mistrzowsku, możnaby także stosownie do treści nazwać: „Zwichnięte kariery.“ Cień lekkiej melancholii owiewa delikatną tę tkaninę uczuć i walk serca kobiecego i nadaje jej niewymowny urok. Paula Schröder, córka starego patrycjusza i radcy handlowego Schrödera, porzuca dom rodzicielski i bierze rozbrat z ukochanym gorąco przez nią lekarzem Drem Eugeniuszem Wörnerem, który jej życie ocalił, opuszcza wszystko i wszystkich, aby

się wyłącznie poświęcić sztuce. Bezskuteczne są przedstawienia kochanka, bezskuteczna nawet groźba ojca, który kierując się przesądami średniowiecznymi stan artysty scenicznego uważa za coś identycznego z dobrowolnym poniżeniem się, z wystąpieniem na pręgierz i córce wydziedziczeniem grozi w razie gdyby przy zamiarze swym obstała — umysł młodociany Pauli nęci urok desek teatralnych, urok sławy! I mija 15 lat, w przeciągu których straciwszy ojca i matkę, znużona nawet tryumfami swemi, sierota dobrowolnie opuszcza scenę, aby znowu żyć myślą i marzeniem o przeszłości. Na tle przeszłości tej maluje się obraz niezapomnianego dotąd i pomimo długich lat rozłąki gorąco ukochanego lekarza Wörnera, Wörnera, dla którego miłości bez namysłu odrzuciła tyle świetnych partyj, między niemi także neapolitańskiego księcia San-Carlo. Ale Paula nie wie, że myśl mężczyzny nieraz jest zmienną, że dawny przyjaciel domu, nieznany nawet poprzednio młody lekarz Wörner, obecnie urosł w pierza, a ciesząc się liczną i bogatą klientelą kobiecą stał się próżnym i wymagającym tak dalece, iż go lada pochlebstwo, lada czułe uściśnienie dłoni więcej czaruje, silniej ujarzmia i podbija jego serce, aniżeli czyste, serdeczne i głębokie Pauli przywiązanie, nie objawiające się złudnemi ruchami kokieteryj. Wörner po 15-tu latach rozłączenia w dniu imienin kochanki jako pierwszy i jedyny jej przyjaciel zaproszony na jej wille, czuje bezmierną próżność swoją już tem obrażoną, że Paula obok niego nie zapomniała o sztuce a nawet jakichś nieznanych mu śpiewaków włoskich wyszczególnia. Telegram, mieszczący sfingowaną wiadomość o chorobie nadobnej modrookiej pacjentki Lilli Brand przyczynia się do przyspieszenia wyjazdu Wörnera. Wkrótce po powrocie lekarza następują zaręczyny z zalotnicą, która go bezwiednie omotała w pajęczynę intryg. Paula listownie uwiadomiona o niewierności kochanka pełna żalu opuszcza samotne zacisze swoje: kochała, go bowiem gorąco a straciwszy na wieki, widzi tylko w oddaleniu jak największem, pożądaną ulgę, chwilowe bodaj zapomnienie gryzących ją bólów. W Rzymie, dokąd się przeniosła i gdzie wystąpiła w przedstawieniu na cele publiczne

głosem swoim entuzjazmuje namiętą publiczność włoską na nowo. Książę San-Carlo, znajdujący się przypadkowo między widzami, po raz drugi oświadcza się o jej rękę; ale nie jest to już ów młody, nęcący urodą, dostatkami i pochodzeniem wielbiciel, który bez niej żyć nie mógł. Pokochawszy ją od pierwszej chwili szczerze i namiętnie, gdy oboje jeszcze stali na wyżynie życia, a odrzucony wówczas przez nią, z rozpaczy rzucił się w wir życia hulaszczego, stał się nałogowym graczem, przetrwonil resztki majątku matczynego. Czy blask imienia męża zrujnowanego materialnie i moralnie zdoła oślepić kobietę, choć idealistycznie usposobioną, ale rozsądną jak Paula? Wszak świetniejsze stokroć ofiarowano jej partje. A przecież, przecież przyjmuje Paula oświadczenia zrujnowanego magnata. Czy może w nadziei skutecznego oddziaływania nań i nawracania go na drogę zbawienia? Wszak woda, co wystąpiła z brzegów, nie wróci już do koryta. Wkrótce Wörner przekonał się o tem, że kokieteryja obłudna Lilli Brand, zapominającej w wirze zabaw o obowiązkach żony i matki, nie może być porównaną ze szczerą i serdeczną przyjaźnią Pauli, wkrótce i Paula przekona się o tem, że demon gry, ogarnąwszy zmysły tak szlachetnego i zacnego nawet człowieka, jakim jest San-Carlo, nie dopuści poprawy, nie pozwoli dźwignąć się z upadku. Zapóźno!

Z rzeczy prozaicznych mieszanej treści podnosimy jeszcze następane: „Czas, w którym żyjemy i liryka,“ studjum przez Łucję Kämpfer (str. 17.) Jest to wyborne określenie dążności materialistycznych i kierunku poziomego, w którym się obecnie obracamy. Trudno nam treść znakomitej tej rozprawy wyczerpująco podać, musielibyśmy chyba całą przetłumaczyć, na co nam miejsca nie starczy. Pozwolimy sobie jednak bodaj jeden taki ustęp w streszczeniu krótkim podać: „Spekulacja i zarobek, oto hasła dni naszych. Zobojętnieliśmy na wszystko, co nie dźwięczy pieniędzmi. Pieniądzy zdobyć jak najwięcej i z jak najmniejszym trudem — oto dążności wieku; nie sumienna praca popłaca, jeno intratna. I cóż dziwnego, że nabywać można obecnie za gotówkę tyle rzeczy, które dawniej

nabywano tylko za pomocą długoletnich studjów z narażeniem życia własnego!"

Zajmujące dla historyka i polityka są barona Maksymiliana Gagerna „Wspomnienia młodości z okresu dążeń narodowych“ (str. 87); czytelnik znajdzie bowiem w tych „wspomnieniach“ nie tylko ciekawe szczegóły z czasów powstania belgijskiego, które wyprzedziło nasze listopadowe, ale także na stronicy III alluzję do walecznych huców polskich, tem szczytniejszą dla Polski, ile że pochodzi z ust nieprzebranego jej wroga, cara Mikołaja.

(str. 117) „Komentarz do Torkwata Tassa „Göthego, skreślony przez Dra Ernesta Gnada, spisany z wielką znajomością rzeczy, wtajemnicza nas w życie duchowe wielkiego wieszca niemieckiego i zbija niektóre błędne twierdzenia krytyka Juliana Schmidta.

W dziedzinę opisowej etnografii wchodzą artykuły: „Hiszpański Miramar“ Ludwika Percy (str. 177) i „Szekspirowskie krajobrazy pod włoskiem niebem“ Teodora Elze (str. 333), podczas gdy Ludwik Hevesy, w fantastycznym swoim obrazku, zatytułowanym: „Kawałek przyszłości“, naśladowując wybryki oryginalnej fantazji Juliusza Wernego i jemu podobnych, żartobliwym tonem nam opowiada, jakie tajemnice rok pański 1885-ty w łonie swoim mieścić będzie.

Z wielką dokładnością usiłuje nam Józef Beckmann opisać życie i obyczaje nowoczesnych Arabów (str. 504). Dramat i komedja reprezentowane przez „Horacjusza“, Corneille'a w tłumaczeniu Dory Gagern (str. 243) i przez „Przedstawienie gościnne“, oryginalną jednoaktówkę znanego wiedeńskiego poety i redaktora Alfreda Friedmana. Z działu tłumaczeń wymieniam: „Apostegmata włoskie“ Cajetana Cerri, potpourri literackie, składające się z rozmaitych tłumaczonych urywków wierszem i prozą znanych poetów włoskich (str. 26), tłumaczenia z Belży, oraz z węgierskiego poety Józefa Kissa i z rumuńskiego A. Sihleanu.

Z oryginalnych wierszów zasługują na szczególną wzmiankę wiersze Szczepana Miłowa, Jana Nordmana, Ludwika Augusta Frankla, Tandlera, W. Constanta, baronowej Józefy Knorr, Marcina Greifa, Juliusza Lothara, Ernesta Rauschera i wielu innych. Szczupła objętość naszego pisma nie pozwala nam o roczniku



wydawanym przez towarzystwo urzędników, dłużej się rozwodzić.

c) Wydawnictwa dla ludu i młodzieży, oraz książki naukowe.

Tu zajmują pierwsze miejsce użyteczne wydawnictwa kieszonkowe Zukerkandla w Złoczowie, polecane niejednokrotnie reskryptami Wys. c. k. Rady szkolnej dla bibliotek szkół ludowych. Spróbujemy zatem, omówić bodaj pobieżnie 6 książek nadesłanych nam.

(Książeczka II. Zjawiska wulkaniczne, obrazek geologiczny profesora Władysława Boberskiego. Stronic 64. Cena 25 ct. 1884, w Sierpniu.)

Książka pod tym tytułem ogłoszona mieści ciekawe szczegóły z dziejów przyrody, tej matki tworzącej nieustannie i niszczącej w jednej chwili bądźto wodą, bądź ogniami podziemnymi, wszystko to, co sama poprzednio była na świat wydała. Styl dziełka jest piękny, barwisty i obrazowy, a mimoto popularny i zrozumiały nawet dla najmłodszego wieku, czytelnik ciekawy znajdzie zaś prócz szczegółów historycznych, mnóstwo opowiadań z dziejów przyrody, opisy Wezuwiusza, powstanie wulkanów jak Stromboli, Montenuovo i inne, a forma lekka podróży, obrona z rozmysłu dla tej pracy o naukowej treści, bardzo stosowna dla niej, gdyż o wiele więcej ma powabu dla młodzieży, niż suchy czysto naukowy opis.

[Książeczka III. Dawne czasy. Drobne powiastki i opowiadania, osnute na tle dziejowem przez I. Poechego. Stronic 62. Cena 20 ct. 1884, we Wrześniu.]

Książeczka ta obznajamia młode pokolenie z dziejami dawniejszemi Polski, sięgającemi czasów zamierzchłych, a czyni to w sposób młodocianemu umysłowi zupełnie odpowiedny. I tak z trzech powiastek, zawartych w tej książeczce, każda odnosi się do jakiejś ważnej chwili w życiu naszych ojców. Pierwsza powiastka p. t. „Góra Lecha“ opisuje założenie Gniezna; druga p. t. „Dwie krakowskie mogiły“ opiewa o Krakusie i Wandzie; trzecia p. t. „Stary portret“ przywodzi nam na pamięć znaną rzecz o Piaście i Rzepisze. Dalsze powiastki, jako to: „Dar księdza proboszcza,“ „Srebrny medalik,“ „Odpust u OO. Paulinów w Kra-

kowie“ opiewają o Mieczysławie Pierwszym i Bolesławie Chrobrym, o Św. Wojciechu i Św. Stanisławie, styl zaś lekki i do dziecięcego wieku zastosowany książeczkę tę poleca do darów noworocznych i na gwiazdkę.

[Książeczka IV. O wodzie. Urywek z geologii przez Władysława Satkego. Stronic 54. Cena 25 ct. 1885, w Lutym.]

Dziełko to w sposób bardzo praktyczny obznajamia młodych czytelników, dla których „Biblioteczka kieszonkowa“ p. Zukerkandla przeznaczona, z rozmaitemi działaniami i przymiotami wody, jakoto z parą wodną, z śniegiem i deszczem, z składem powietrza, z działaniem deszczu na powierzchnię ziemi, z działaniem lodu, z powstaniem źródeł i t. d., i z tej też przyczyny zasługuje na uwzględnienie, że w formie niewykwintnej podając rozmaite ciekawe szczegóły z dziedziny geologii, rozszerza wiedzę działwy, nie przyzwyczajonej do czerpania wiedzy z foljałów starych i grubo naukowych dzieł.

[Książeczka V. Złota książeczka. Drobnie powiastki i opowiadania, osnute na tle dziejowem przez I. Poechego. Stronic 52. Cena 20 ct. 1885, w Czerwcu.]

Autor, którego styl lekki, powabny i dla młodego pokolenia najbardziej odpowiedny my z trzeciej książeczki poznali, objaśnia w piątym tomiku „Biblioteczki“ znowu niektóre zdarzenia z dawniejszych dziejów Polski. Są to rozmaite legendy i powiastki, z których na szczególniejszą wzmiankę zasługują: „Obchód konika w Krakowie,“ legenda odnosząca się do królowej Kingi, „Św. Jacek z pirogami,“ „Dzwon Zygmunt“ i „Śmierć zdrajcy ojczyzny,“ powiastka opisująca ostatnie chwile Michała Gliškiego.

[Książeczka VI. Widoki świata, zajmujące obrazy i opisy osobliwszych krajów, ludów, zwierząt, roślinności, oraz rzadkich zjawisk przyrody, według notat słynnych podróżników przez F. Poechego. Stronic 68. Cena 25 ct. 1885, w Sierpniu.]

Książeczka ta, obejmująca w popularny sposób dziedzinę etnografii i historii naturalnej, oprowadza fantazję dziecięcą po górach Syberyjskich i po piaskach Egiptu, opowiada o zajmujących polowaniach na strusie u Arabów, i niemniej zajmującym połowie pereł

w Meksyku, błąka po kniejach białowiezkich w ślad za owymi turami, których plemię już zniknąć zaczyna z powierzchni ziemi i opisuje nam kształty odwiecznych cedrów libańskich; przy tem wszystkim ma tę wielką zaletę, iż rozszerzając widnokrąg wiedzy młodych czytelników, obznajamia ich z zwyczajami i życiem obcych narodów i nibyto bawiąc poucza o bardzo wielu rzeczach tak dobrze i gruntownie, iżby wytrawny pedagog lepiej nie potrafił.

[Książeczka VII. Wieniec grobowy, obyczajowo-historyczne powiastki, osnuł na tle dziejów przeszłości dla małej dziatwy Izydor Poeche. Stronic 85. Cena 25 ct. 1885, w Listopadzie.]

Jest to niejako ciąg dalszy wyszłych już p. t. „Dawne czasy“ i „Złota książeczka“ dziełek Poechego. Autor opowiada w „Wieńcu grobowym“ szczegóły z życia sławnych Polaków i Polek, jakoto: Barbary Radziwiłłówny, Wąsa Kotlarczyka, który w bitwie z nieprzyjacielem szlachectwo zdobył, ks. Augustyna Kordeckiego, Stanisława Leszczyńskiego i innych. I te opowiadania są zajmujące i dobrane, umiejętnie do podjęcia świata dziecięcego.

Wydawca w ostatnich czasach wpadł na bardzo dobrą i praktyczną myśl; zaczyna bowiem „Bibliotekę dla młodzieży“ illustrować, a wiadomo, jaką siłę pociągającą nietylko dla młodego, ale nawet dla starszego wieku mają ilustracje. Wydawnictwo to zasłużyłoby na gorliwsze poparcie, zwłaszcza ze strony pp. księgarzy, niżli dotąd doznawało.

[Rys geograficzno-statystyczny złoczowskiego okręgu szkolnego, przez Bronisława Sokalskiego. Czysty dochód przeznaczony na założenie bursy „Towarzystwa pedagogicznego“ w Złoczowie. Nakładem Tow. ped. oddziału złoczowskiego. Drukiem O. Zukerkandla i syna (Wilhelma Zukerkandla w Złoczowie. Mała Ósemka. Stronic 328. Cena 1 złr. 20 ct.)]

Tania cena w połączeniu z wielką naukową wartością dzieła przemawiają bardzo dodatnio za niem. Autor, który zapewne wiele lat mozolnej i sumiennej pracy poświęcić musiał na systematyczne układanie materiału naukowego, mieszczącego się w jego dziele, wywiązał się znakomicie ze swego zadania. Książka

jego, choć obejmująca tylko dwa powiaty galicyjskie, złoczowski i sąsiedni brodzki, mimo to daje nam treściwy i dokładny obraz topograficzny i statystyczny obu powiatów. Znajdujemy w niej najsumienniejsze, bądźto na źródłach drukowanych lub rękopiśmiennych, bądźto na własnych badaniach i spostrzeżeniach wśród przyrody oparte daty statystyczne, historyczne, etnograficzne, obraz wierny i dokładny fauny i flory miejscowej, wykaz miast i wsi, wykaz urzędów, szkół, kościołów i t. d. Dzieło p. Sokalskiego, które bez przesady nazwać można „polskim Bäderkerem,” jest pierwszym i jedynym tego rodzaju w Galicji, a byłoby to rzeczą wielce pożądaną, gdyby znalazło jak najliczniejszych naśladowców także w innych powiatach galicyjskich; bo dopiero wtedy, gdy więcej o podobnej treści i tendencji dzieł powstanie, z których każde się postara, obznajomić dokładnie mieszkańców kraju z jego geografją, topografją, statystyką, historją, z właściwościami mieszkańców tej ziemi, którą zamieszkujemy, wtedy dopiero będziemy się mogli chwalić, że znamy kraj, którego jesteśmy obywatelami. Dzieło p. Sokalskiego, z tylu innych względów tak dodatnio przemawiające za sobą, i bez względu na cel dobroczynny, na który dochód z rozsprzedaży został przeznaczony — polecamy jak najgoręcej czytającej i myślącej publiczności, a autorowi mielibyśmy tylko jedną niewłaściwość, czy raczej zapomnienie do zarzucenia, jest to jednak zapomnienie tego rodzaju, które się łatwo przy możliwie jak najbliższym drugim nakładzie usunąć da.

Dzieło, tak sumiennie, naukowo i gruntownie opracowane, nie ma na samym końcu imionospisu według abecadła urządownego, czyli drogoskazu, niezbędnego dla czytelnika, aby mu ułatwić długie i mozolne szukanie; a przecież żadne dzieło naukowe nie obejdzie się bez podobnego imionospisu. Figuruje on w każdej obszerniejszej historii powszechnej, w historiach literatury, w leksykonach konwersacyjnych bez wyjątku, i w tem dziele podobny imionospis znajdować się powinien koniecznie, i tu t a j brak jego razi. Zewnętrzny kształt książki i druk polecają ją korzystnie i przemawiają dodatnio za sumiennością i starannością zarządcy drukarni.

[Biblioteka na cele dobroczynne. Nakładem redakcji „Głosu nauczycielskiego”. Tomik I. i II. Kołomyja, drukiem Antoniego Hollendra, 1885.]

Każdy kraj, każde społeczeństwo ma swoje potrzeby a więc i swoje cele dobroczynne, każde zaś wydawnictwo na cele dobroczynne ma — pominąwszy wszystkie ujemne strony — dwie dodatnie: jedną, że nosi pomoc materialną nieszczęśliwym, a drugą bodaj czy nie większą jeszcze, że kształci tłumy i nosi światło nauki ciemnym na umyśle a ubogim na duchu. O pierwszej stronie kołomyjskiego wydawnictwa pomówimy wtedy, skoro redakcja w pismach publicznych, albo w własnym organie streści wysokość sum, oddanych na cele dobroczynne; ale obok strony materialnej jest jeszcze druga strona wydawnictwa, strona moralna, i o tej pozwolimy sobie też pomówić:

Tomik I. Los szczęścia, szkic fantastyczny, napisał Antek z Halicza (Antoni Błachowski). Stronic 33. Cena 10 ct. — Nie możemy autorowi znanemu wreszcie jako współpracownikowi „Przyjaciela domowego”, „Szkoły” i innych pism zaprzeczyć pewnej wprawy literackiej. Sama budowa powiastki dosyć pojedyncza, obrobienie jednak zręczne zdradza wprawne pióro. Autor stara się udowodnić, że najlepszym losem szczęścia jest zacna żona, co już przed laty Salamon potwierdzał, odszczególnia się jednak korzystnie od tłumu autorów, którzy to samo twierdzą, formą nową i oryginalną, którą potrafił nadać swojej powiastce. Język i styl niewykwintny, zwyczajny, ludowy i taki może najbardziej nada się do pojęć nauczycieli ludowych.

Tomik II. Czary i zabobony w obec religii i nauk przyrodniczych. Skreślił Wincenty Bieroński, kierownik szkoły w Poroninie. Stronic 64. Cena 20 ct. — Nierównie większą wartość, niż poprzedniej, przyznajemy tej pracy. Autor przedstawia nam w niej z wielką znajomością rzeczy i gruntownością poziomą stan umysłowy włościanina galicyjskiego, szczególnie mazurskiego, wierzącego jak w zbawienie, w rozmaite czary, zabobony i gusła. Człowiek, posiadający jakie takie wykształcenie a czytający o podobnych rzeczach

mimowoli zadaje sobie pytanie, czy rzeczywiście mieszka w Galicji, a więc w kraju ucywilizowanym, obdarzonym szkołami, błogosławionym darami autonomii, czy też obraca się między dzikimi wielbicielami fetyszów, przymuszony obcować z nimi! Niestety! nie tak łatwo będzie wykorzenić ciemnotę umysłu, chciwość i nienawiść ku wszystkiemu, co nie chłopskie, z serc i mózgow „pocziwych” naszych włościan, którzy przy pożarach Horodenki i Stryja, zapijając się, kradnąc i plondrując mienie pogorzalców znakomicie udowodnili inteligencję, zacność i moralność swoją — a ciemno wiecznie będzie w sercach i mózgach motłochu, dopóki fałszywa inteligencja drzeć będzie na samą myśl, iż chłop galicyjski mógłby nabyć zanadto wiele wykształcenia szkolnego, dopóki z ujmą dla szkół wspierać będzie propinacje i karczmy i dopóki rozliczne karczmy i szynki ciemnotę tę podniecą, a ustawiczne bójki w dniu jarmarczne i podczas kiermaszów przyczynią się do zdziczenia obyczajów! — Książeczka Wincentego Bierońskiego jest cennym bardzo materiałem do dziejów oświaty, niejako drobną cegiełką do budowy gmachu, którą duch ludzki bez ustanku od tylu wieków na gruzach średniowieczny piętrzy, i zasługuje z tego względu na uznanie niezaprzeczone myślących.

[Historja i geografia Galicji dla szkół ludowych, przez Izydora Trembickiego, nakładem autora. Kołomyja 1884. Stronic 80. Cena 25 ct.]

Nie brak nam podręczników do historji i geografii kraju, dla młodzieży ułożonych; ale wszystkie te podręczniki chyba poniekąd celu, ponieważ zanadto obszernie są opracowane w stosunku do stopnia wiedzy i do pojęcia ucznia. Pan Trembicki pojął swoją rzecz praktycznie i potrafił być zwięzłym tam, gdzie zwięzłym być należało. Książka jego zrozumiale napisana, nie wolna jednak od pewnych niedbałości i usterek, które w takim dziele bezwarunkowo znajdować się nie powinny. Nie wiem już jak to oznaczyć, czy jako lapsus calami, czy jako lapsus linguae, czy jako prosty lapsus drukarski, ale wiem z wszelką pewnością, że Trembowla nie leży nad Strypą, ani też nad Seretem, jak autor twierdzi,

(patrz str. 7., w. 9., patrz także str. 32, w. 6. z dołu), ale nad Gniezną i że Szczawnica nie należy do powiatu Nowosądeckiego, (patrz str. 68, w. 24.) ale do powiatu Nowotarskiego a wiadomo mniej więcej także każdemu, że Bolesław Wstydlivy nie był bratem Bolesława IV. (patrz str. 41, w. 4. z dołu).

[Historja i geografia Austro-Węgier, przez Izydora Trembickiego, nakładem autora. Wydanie siódme. Kołomyja, 1885. Stronic 56. Cena 20 ct.]

Te same zalety i te same wady wyszczególniają i tę pracę autora, która w przeciągu 9-ciu lat doczekała się siedmiu wydań. Styl jasny i zrozumiały, budowa okresów czasem wadliwa, błędów także nie brak. I tak Dublany, Lubień, Iwonicz i Truskawiec nie są miastami, jak je autor mylnie nazywa (patrz str. 39, w. 16 i następne), ale wsiami. Przy ewentualnem nowem wydaniu niech się autor przedewszystkiem postara o to, usunąć rażące błędy wydań dawniejszych.

d) Książki mieszanej treści.

[O życiu i pracach F. H. Duchyńskiego Kijowianina. W jubileuszową rocznicę 50-cioletnich jego zasług naukowych. Studium Agatona Gillera, (Z portretem jubilata.) Lwów, 1885. Czcionkami drukarni ludowej. Nakładem K. Łukaszewicza Osemka. Stronic 138.]

Broszura ta, jak sam tytuł wskazuje, wydaną została na uczczenie jubileuszu znanego historyka i etnografa Franciszka Duchyńskiego. Styl naukowy i poważny tej pracy poleca ją przedewszystkiem badaczom i uczonym. Interesującą dla czytelnika będzie zapewne wiadomość o stosunkach, które Duchyński utrzymywał z znakomitościami literackimi tak kraju, jak i zagranicy, jakoto: z Henrykiem Martinem, z Kinklem i z innymi, interesującą niemniej wiadomość o dziełach Duchyńskiego, w których tenże występował w obronie tak polskiej, jak i ruskiej narodowości w obec zamachów aneksyjnych Moskwy. Biografia ta Duchyńskiego, najobszerniejsza, jaką mamy dotąd, zasługuje z powodu bogatego materiału historycznego i literackiego, w niej zawartego, na względy czytającej publiczności.

[Życie i dzieła Franciszka Grillparzera, przez Dra Alberta Zippera (Z portretem Grillparzera.) Lwów, 1886. Z drukarni Władysława Łozińskiego. Nakładem

Gubrynowicza i Szmidta. Wielka ósemka. Stronic 96.]

Jeśli sztukę tłumaczenia nazywamy przyrodnią siostrą poezji, to niemniejszym prawem sztukę komentowania myśli i dzieł obcych pisarzy, szczegóły z życia ich wyjęte — jednym słowem sztukę wtajemniczenia nas w życie, w charakter i w każdorazowe niemal usposobienie mistrza, które dopiero rodzi jego prace — nazwiemy przyrodnią siostrą sztuki tłumaczenia. Takich komentarzy i rozbiórów prac autorów obcych, nigdy nie może być za wiele, ponieważ z wyjątkiem arcydzieł największych mistrzów obcej narodowości, nie mamy prawie wyobrażenia o zjawiskach nawet wybitnych literatury nie naszej, i każdy żak, który jeszcze gimnazjum nie ukończył, zawstydziliby nas starszych pod tym względem swoją wiedzą. Upředzenie to do prac obcych mistrzów stawia nas na równi z tym narodem, który od reszty świata pragnął się odgraniczyć chińskim murem, a każdy, który jako zdolny tłumacz i komentator pracuje, aby rozprószyć wiekowe upředzenia szowinizmu, zasługuje na stokroć większe pochwały, niż mierny autor, który pracami oryginalnemi, a oryginalnie lichemi i podrzędne mi kosztowny czas kradnie publiczności.

Do najzdolniejszych komentatorów obcych myśli zaliczaliśmy i zaliczać będziemy zawsze Dra Zippera; każde dzieło jego, w tym kierunku rozpoczęte i przeprowadzone, uważamy za cenne zjawisko w naszej literaturze, i z tego też powodu pozwolimy sobie, bodaj pobieżnie omówić najnowszą jego pracę: „Życie i dzieła Franciszka Grillparzera.“

Ciekawym dla czytelnika będzie zapewne szczegół, że Grillparzer za młodu wcale nie należał do najlepszych uczniów, ale owszem nie raz pozostawał w tyle po za innymi, co się wreszcie i innym wielkim mężom nieraz wydarzało; bo „choć życie jest szkołą,“ ale szkoła jeszcze nie jest życiem. W urzędach także nie awansował zbyt pospiesznie, w miłości nie doznawał szczęścia; ale jeśli dążeniem poety każdego ma być doskonałość prac, użytek z nich dla ogółu, przekonanie o wartości własnej, przekonanie niezbite, że się nie frymarczyło nigdy darem Bożym — to Grillparzer



pod tym względem wszystkim następcom swoim jako wzór do naśladowania służyć może! Austrjacki „Szyller,“ jak go już za życia słusznie nazwano, zostawił po sobie potężny szereg dramatów, które jego imię uwiecznią: z nich „Matka rodu Dobratyńskich“ i „Gra uczuć i fal morskich“ doczekały się już przekładów na język polski; inne sceniczne utwory czekają umiejętnego tłumacza. Jako poeta był Grillparzer przychylnym sprawie polskiej i występował nieraz przeciwko absolutyzmowi moskiewskiemu, za co mu się wdzięczność nasza należy. Jako urzędnik austrjacki był on wiernym poddanym swego monarchy, ale nie był serwilistą.

Biografia napisana przez p. Zippera, oparta na licznych źródłach i sumiennych studjach, przedstawia nam dokładny obraz życia poety od kolebki aż do zgonu, nie jest suchem streszczeniem dzieł bez uwzględnienia chwili, która ją wywołała i ma nierównie większą wartość, aniżeli prosty panegiryk, chociaż autor się wcale z tem nie tai, że jako gorący wielbiciel Grillparzera a więc subiektywnie życiorys jego kreśli.

[Z życia żebraków. Szkic etnograficzny, napisał Fr. Ksaw. Mroczko. Lwów, nakładem autora, 1885. Z drukarni „Gazety narodowej.“ Mała ósemka. Stronic 24.]

Widzieliśmy podobno pracę niniejszą, wydrukowaną już w jednym z naszych pism politycznych lwowskich, w „Narodówce,“ czy w „Dzienniku polskim,“ — nie pamiętam. Praca nadesłana nam przez autora, nauczyciela ludowego z Bełza, jest więc odbitką; ale ten szczegół nie ujmuje jej nic z wartości swojej. Szkic, oparty na rozlicznych, sumiennych studjach pracowitego autora, jest mimoto lekkim stylem napisany, nie nuży wcale a czyta się z wielką przyjemnością. A jednak musimy szanownemu autorowi niedokładność co do pewnych rzeczy zarzucić, o których albo nie wiedział, albo nie miał też miejsca dla nich, albo — czego zresztą nie przypuszczamy — z pewnych względów tylko zamilczał o nich. I tak nieznanemu mu zapewne sposobowi żebrania, praktykowanemu między chałatowcami galicyjskimi w gronie współwyznawców obdartych lub nawet i takich, którzy się

liczą do wyższej inteligencji. Prostack obdarty przede-wszystkiem pyta się po domach, czy tu lub owdzie „mieszka żyd“ Otrzymawszy potwierdzającą odpowiedź, już bez wszelkich ceregielów i z kapeluszem na głowie odwiedza współwyznawców, aby się domagać u nich jałmużny. Często nie zważa nawet na odpowiedź przeczącą, ale wpada jak bomba do obcych podwoi i nie zdjawszy kapelusza z głowy, nie ukłoniwszy się, ani nie przywitawszy z gospodarzem, u samego wejścia już gromkim głosem woła: „Anduwe!“ („Jałmużny!“) Otrzymawszy ją, oddala się również bez ukłonu i nie zamknawszy nawet drzwi za sobą. Jeśli mu się jałmużna za małą wydaje, to odrzuca ją z dumą Hiszpana, targuje się, przepisuje ofiarodawcy, ile mu dać powinien. Nie ofiarodawca bowiem zaszczycił go przez to, że mu dał jałmużnę, ale on uczynił mu zaszczyt przez to, że się jałmużny domagał. Mniej więcej w podobny sposób postępują sobie także żydzi, chodzący za składkami na cele publiczne; jest atoli w takim zbieraniu składek jedna rzecz pochwały godna, a to solidarność do najwyższego stopnia posunięta. Żaden żyd z pewnością nie odmówi zbierającemu składki na rzecz współwyznawców wsparcia swego, a najskąpszy nawet odżałuje na taki cel bodaj kilka centów albo kilka szóstek; to samo jednak nie wydarza się w stosunku galicyjskich katolików do katolików równoplemiennych. U Niemców, wyznających wiarę katolicką lub ewangelicką, zwłaszcza u czeladników rzemieślniczych odbywa się znowu inny sposób żebry; czeladnik zubożały idzie z książką służbową, z świadectwem, otrzymanem przez dawniejszego pryncypała od domu do domu, od wsi do wsi, od miasta do miasta. Żąda zapomogi niezwrotnej tak długo, póki nie zabezpieczy się przyzwoicie na przyszłość. a taki sposób ściągania jałmużny nazywa się „Fechten“ czyli „szermierka.“ Obszarpanych „szermierzy“ zaś jest co niemiara tak dalece, że niemiecka policja, w niemieckich prowincjach monarchii rej wodząca, często nieznanych jej a ułomnych przechodniów zatrzymuje, wietrząc w nich „szermierzy.“ I tak we Wrześniu r. 1885-go policja niemiecka miasta Białą wśród rynku zatrzymała redaktora i wydawcę

„Roczników Samborskich“ i nie chciała go od razu puścić; zdawało się bowiem tym panom, że kto chodzi o kulach a trzyma książkę w ręce, „der muss sicher fechten gehen.“

[Volkssagen aus der Bukowina. Skreślił Ludwik Adolf Staufe-Simiginowicz. Czerniowce, 1885. Nakład księgarni Henryka Pardini'ego. Mała ósemka. Stronic 140. Cena 60 ct.]

Autor, znany jako poeta i badacz historii i mitologii Bukowiny, najnowsze swoje dzieło poświęcił ministrowi Pinie. Minister wziął dymisję, dzieło pozostało. Nie mamy rzeczywiście wiele miejsca na omówienie pracy literackiej p. Simiginowicza, ale bodaj parę słów poświęcimy jej chętnie. Autor przy każdej z przytoczonych przezeń baśni podaje sumiennie źródło, z którego czerpał; wśród ludności tak mieszanej jak ta, która Bukowinę zamieszkuje, i źródła są mieszane, a podania bardzo urozmaicone, przyczyniły się zaś do nich przeważnie narodowości: niemiecka, polska, ruska, rumuńska, słowacka, ormiańska, żydowska i huculska. Co do treści, to można te podania ludowe dzielić na historyczne, zawdzięczające pochodzenie swoje ważnym zdarzeniom, jakoto wojnom z Turkami i z Tatarami i na takie, które się wylęgły w rozbujałej fantazji mieszkańców tych okolic. Zajmujące dla etnografa i historyka są podania o pochodzeniu imion Kocmania, Kaczyki, Czarnauki, historia o opryszku Doboszu, który nie tylko w podaniach galicyjskiej, ale także w podaniach bukowińskiej legendy ważną odgrywa rolę; zabawne z powodu naiwności swojej jest podanie o jagnięciu, przypominające tak żywo przysłowie: „Jeszcze skóra na baranie, a już targ na nie,“ niemniej naiwne określenie powstania nazw dwóch gór „Adama i Ewy,“ w pobliżu Kimpolungu położonych.

Książeczka ta, acz niewielka, jest jednak bogatą kopalnią ducha ludu, z której badacz łatwo wydobędzie klejnoty tradycji i ziarnka myśli kryjące się nieraz pod niepokazną powłoką.

[Medytacje, przez hr. Adama Łosia. Kraków, 1885. Nakładem autora. Czcionkami drukarni związkowej. 16ka. Stronic 219. Cena 1 złr. 40 ct.]

Hrabia Adam Łoś, znany już dostatecznie jako współpracownik „Ruchu literackiego,” i jako autor samoistny książki, „We śnie i na jawie,” jest, — jak to Francuz nazywa — umiejętnym causeurem, czyli aby to samo wysłowić twardym naszym językiem rodzimym, umiejętnym i dowcipnym gawędziarzem. I rzeczywiście! takiej gawędy nie wyuczył on się u tępym i ociężałym Niemców, ani też wśród włościan mazurskich, wpośród których autor przebywa, ale jest ona produktem francuzkiej ziemi, salonów stołecznych, życia w towarzystwie de la grande nation. I dla tego też czyta się z takim zadowoleniem każde dzieło hr. Łośia, choć treść fabuły jak to mówią, nie bardzo bogata i wykwintna; ale czyta się jego prace dla stylu pięknego, dla błyskotek myśli, dla fajerwerków dowcipu. W „Medytacjach” nie brak ich także, chociaż to niby rodzaj historyczno-politycznych pogadań, więc przedmiot nie dla każdego powabny; ale autor umie nadać mu powabną szatę. Nie wszędzie możemy się godzić z jego myślami, na jedno przecież godzimy się, a mianowicie na to, że nie słowami i frazesami zbawiony będzie naród, ale wybawić może go tylko obok potęgi myśli — potęga czynu. „Dzisiaj sznurować usta, to śmierć, a przekląć daleko lepiej, jak mówę powiedzieć, a pięść silna więcej ma wdzięku, jak rączka delikatna, bo taka jest chwila i taką być musi, bo wyrobione ideały w czyn się chcą zamieniać,” (str. 62.) A obok takich słów widzimy znowu szereg frazesów, na które się żadną miarą godzić nie możemy. Autor zapomina się nawet tak dalece, że potępia powstania narodowe i nazywa je dzieciństwem, a potępiając całkiem słusznie fałszywą bigoterję i sztuczne rozmodlenie się, propagowane z ujmą dla czynu, mimoto powstaje równocześnie w obronie Jezuitów i mówi: „Jezuici byli wszędzie, a żadnego narodu nie zgubili (ale ogłupili, a takie ogłupienie równa się także ze zgubą, przyp. red.), tylko trzeba było uczyć się od nich tej sztuki myślenia, starać się ich zrozumieć, z ich rozumu i mądrości korzystać” i t. d. (str. 72), albo też: „Myślmy o robieniu majątków, czy to w dobrach, czy to w kapitałach, spekulujmy, bądźmy przedsiębiorcami, przemysłowcami,

a z Polską dajmy sobie już spokój; to nas wzmocni, czem będziemy, to będziemy, ale będziemy silni i szczęśliwsi," (str. 73.) Być może, że takie zasady bardzo są praktyczne, i że my w zwyczajnem naszym życiu zanadto wielkimi jesteśmy idealistami; ale sędzę, że nie jeden z nas i niekoniecznie najgorszy, wolałby być takim niepoprawnym marzycielem i idealistą, niżli godzić się na realizm tego rodzaju, jaki w „Medytacjach“ swoich propaguje hr. Łoś! A przecież nie można autora posądzić o zbytęzną czołobitność dla praktyk religijnych: najlepszym tego dowodem są opowiedziane z prawdziwie djabelskim humorem zdarzenia pana Rudolfa w piekle wśród starych z grona najwyższej arystokracji krakowskiej dewotek, albo opis pensjonatu pana Królikowskiego w Krakowie (patrz VIII. i IX. rozdział „Medytacyj.“) Czytając książkę hr. Łosia notuję ją bez wyboru obok przykrych i wstrętnych wrażeń, obok zdań, których podzielać, którym potakiwać nie mogę żadną miarą zdania, zdradzające gorącą miłość Ojczyzny i potęgę myśli, np. „Czytanie świat cały podniesie i wyrwie go z trywialności czytanie i nic, tylko czytanie stworzyło Francję, Anglię, Włochy i Niemcy, i stworzy kiedyś ogólną harmonję w całej Europie“ (str. 125.) Dodajmy od siebie: „Czytanie połączone z zastanowieniem i rozważą.“ Książka hr. Łosia to jak gdyby mozaika z rozmaitych pstrych kawałków i kolorów złożona, i przedstawiająca rozmaitą wartość. Oszołomiony bogactwem słów i myśli, zawartych w tej książce, odkłada ją czytelnik na bok i przebacza nieźrównanemu gawędziarzowi niejedną rzecz, nie licującą z własnem przekonaniem.

[Rozmowy umarłych królów polskich. Podśluchał i spisał tłumacz Macchiavella (Antoni Sozański.) Kraków 1886. Nakładem autora. Druk Wł. L. Anczyca i spółki. Mała ósemka. Stronic 106. Nakład 300 egzemplarzy. Cena 60 ct.]

I znowu dzieło politycznej treści! bo o czem marzyłyby p. Sozański, gdyby nie o podobnych? Zadzumany samotnik w grobach podziemnych na Wawelu, rozmawia z duchami, podśluchuje za pomocą wyobraźni rozmowy umarłych królów polskich. Sza-

nowny autor w'pół żartem, w'pół na serjo zarzuca królom polskim błędy polityczne, które stopniowo powodowały upadek a następnie rozbiór Polski: liberum veto, elekcję, panowanie Jezuitów, a co za tem idzie prześladowanie, gnębienie i tępienie innowierców, jakoto Socynianów, Ewangelików i innych, a wkłada zapatrywania swoje polityczne w usta uczonemu Włochowi i dyplomacie u dworu Jana Olbrahta Kallimachowi, Kościuszce i ks. Józefowi Poniatowskiemu. Podaniem berła królewskiego z rąk do rąk kończy się patryjotyczna ta fantazja. Kilkanaście pieśni patryjotycznych zamykają zbiór.

---

Post-scriptum. Zdarzało mi się nieraz, że żądano odemnie oceny dzieł a potem krzywiono się na mnie, bo nie umiałem i nie chciałem być stronnictwym na korzyść autorów lub wydawców; że pewna część publiczności słowami zachęcała mnie do prowadzenia dalszego wydawnictwa, a po wyjściu tegoż robiła mi wyrzuty z powodu mojej wolnomysłności i tendencji „Roczników.“ Tym panom oświadczam niniejszem, że szanowałem zawsze i szanuję niezmiernie wolność obcego przekonania, ale żądam kategorycznie, aby także moją szanowano. „Roczniki“ moje są niezawisłe i nie służą żadnemu stronnictwu, a tem mniej stronnictwu reakcji i ciemnoty, ale jedynie oświacie, jak ja ją rozumiem. Kto więc nie potrafi znieść bezstronnej, ale sumiennej oceny, niech mi nie nadeśle swoich dzieł, a kto nie potrafi znieść prawdy w ogóle, niech nie czyta i niech nie prenumeruje moich „Roczników.“

Sambor, 24. Kwietnia 1886.

*G. Kohn,*

Redaktor i wydawca „Roczników Samborskich.“

---

## Sprawozdanie

z czynności moich.

---

Rok ubiegły, jakoteż rok rozpoczynający się obecnie, nieraz klęskami elementarnemi przypominały redakcji „Roczników Samborskich“ obywatelskie jej obowiązki.

I tak redakcja złożyła na pogorzalców miast: Bohorodczany, Dąbrowa, Dukla, Horodenka i Wyżnica łącznie kwotę 24 złr., wydała własnym kosztem na rzecz pogorzalców w Horodence broszurkę p. t.: „Jakie jest prawdziwe zadanie naszej demokracji?“ i z rozsprzedaży tej broszurki uzyskała dla Horodenki 106 złr., oddaje z dochodów IX. rocznika samborskiego 25 złr. Towarzystwu św. Wincentego à Paulo w Samborze, i tyleż zaprojektowanej w miejscu burisie samborskiej a złożyła na pierwszą wieść o pogorzeli stryjskiej 20 złr. w ręce komitetu, zajmującego się zbieraniem zapomóg na rzecz pogorzalców stryjskich. Ten otóż rachunek pragnę ja zdać publicznie w obec publiczności. A jeśli kto, nie uwzględniwszy rozlicznych moich czynności, ma do mnie jakieś nieuzasadnione pretensje co do treści i tendencji najnowszego rocznika mego, to temu oświadczam również publicznie, że usprawiedliwić się z czynionych mi w tej mierze zarzutów uważałbym za uchybienie osobistej godności mojej.

Sambor, 27. Kwietnia 1886.

*G. Kohn,*

Redaktor i wydawca „Roczników Samborskich.“

---

## Spis przedplacicieli.

---

Biała i pow. biały: Adamczyk, Dr. Bogdanik, Czytelnia polska. Robert Fodrich, c. k. Starosta, Grabowski, Dr. Bernard Ichheiser, Jaworski, Krysta, Labieniecki. Dr. Łazarski, Piasecki, Dr. Reiner, Dr. Rosner, Dr. Stiasny, ks. Antoni Stilgar i Dr. Wydrychiewicz, w Białej, Bojakowski, Gmina miasta Oświęcimska, Majkowski, Dr. Nowaki A. Polaszek, w Oświęcimie.

Bohorodeczany: Gąsiewicz, Graf, Sobota, Strasser, c. k. Starosta i Szeliński, w Bohorodeczanach.

Borszczów i pow. borszczowski: Biesiadzki, Hordyński, Kopystyński i Righetti, w Borszczowie, Burzyńska, Czeremzyński, Jaworowski, Makarewicz i René, w Skale.

Pow. bóbrecki: Teofil Łucki, w Mełnie ost. poczta Strzeliska.

Brody i pow. brodzki: Bronisław Garwoliński, Fr. Gaudnik, Goldlust, Łobos, Dr. Pietrzycki, Popiel i Antoni Witosławski, w Brodach i ks. Tobiasz Ucherek, w Leszniowie.

Brzesko i pow. brzeski: Aurelia Arvay i Nowakowski, w Brzesku, Karol Prochaska, w Radłowie.

Brzeżany: Biessinger, Dzbański, Kołasiński, Kurowski, i Łobos, w Brzeżanach.

Buczacz i pow. buczacki: Gasparski, Dr. Krzyżanowski, Reprezentacja miasta Buczacza i Stupnicki, w Buczaczu, Ludwik Szawłowski, w Przewłocze, Rejowicz, w Trybuchowcach, Gustaw Chorośnicki, Wiktor Jaworski i Leonard Smolik, w Monasterzyskach.

Chrzanów i powiat chrzanowski: Dr Pawlas i Kamila Sporyszowa, w Chrzanowie, Etagens, w Krzeszowicach.

Cieszanów i pow. cieszanowski: Winiarski, w Cieszanowie i ks. Jan Jabłonowski, w Lubaczowie.

Czerniowce (na Bukowinie): Dominik Klein i Wit Mokrzycki, w Czerniowcach.

Czortków: Bieńkowski, Hołubowski, St. Linde, Juliusz Niewiadomski, c. k. Starosta, Dr. Stöckl i Towarzystwo kasynowe, w Czortkowie.

Dąbrowa: Rogoyski, c. k. Starosta, Trzeciecki, Dr. Wolff i Zaręba, burmistrz w Dąbrowie.

Dobromil: Dr. Bieńczewski, Dr. Cwiklicer i Czytelnia kasynowa, w Dobromilu.



Dolina: Jankowski i Kossukiewicz, w Dolinie.

Drohobycz: Apfel, Dr. J. Fruchtman, Komarnicki, E. Turczyński i Wierzbicki, w Drohobyczu.

Gorlice: N. N., Dr. Neuman, Dr. Radomyski, Rogawski, burmistrz i Dr. Śleczkowski, w Gorlicach.

Gródek i pow. gródecki: Dr. Frydman, Henze, Mühlner, Nowosielski, Świtalski i Świszczowski, w Gródku, Dr. Koliszer w Czerlanach.

Grybów: Samuel Goldberg i Alojzy Muszyński, w Grybowie.

Horodenka i pow. horodeński: Gaspary, Fr. Rauch, Robacki, baron Jakub Romaszkan, burmistrz miasta Horodenki (zapł. 5 zlr.), Schuster, Teichman i Julian Zulauf, c. k. Starosta w Horodence, Józef Bładowski, w Obertynie.

Husiatyn: Wojciech Bielski, ks. Bojarski, Chrząszczewski, Danielewicz, Klemens Drozdowski, c. k. Starosta, Andrzej Horodecki i ks. Szamocki w Husiatynie.

Jarosław i pow. jarosławski: Dobrzańska, Nowacki, Partykiewicz, Dr. Ruczka i Starkłówna, w Jarosławiu, Marceli Świechowski, w Radynnie.

Kałuż: Fuss, Przystalski, Rozwadowski, Skrowaczewski i Szopiński, w Kałuzsach.

Kamionka Strumiłowa i pow. kamionecki: Gmina miasta Kamionki, i Łempicki w Kamionce Strumiłowej, Michał Żukotyński, w Busku.

Kołomyja: Jan Dębicki, Stanisław Faliszewski, Józef Funkenstein, Dr. Głaczyński, Gmina miasta Kołomyi, Dr. Goldfarb, ks. Koblański, M. Lenartowicz, Dr. Maramarosz, Dr. Milgrom, Rybczyński, Sendzimir, Sidorowicz, Thürman jun., Dr. Trachtenberg i Salamon Wieselberg, w Kołomyi.

Kosów i pow. kosowski: Bursa, Chojnik, Nigrin, Hipolit Sabat, c. k. Starosta, Sielecki, Trojanowski, Wiśniowska i Dr. Wurst, w Kosowie, Michał Kaudelko, w Kutach.

Kraków: Abderman, Jan Bociński, Emil Borkowski, Estreicher, Głowacki, Dr. Ichheiser, Łepkowski, Józ. Łukasiewicz, Dr. Piekosiński, Pyszyński, Rawicz, Schlesinger, Dr. Weigel i Dr. Zoll, w Krakowie.

Krosno i pow. krośnieński: Brodnicki, Kadyi, Jaciewicz, w Krośnie, Dłużniewski, Goldhammer, hr. Męciński, Minkusiewicz i Staruszkiewicz, w Dukli.

Limanowa: Hajdukiewicz i Macharski, Dr. Kruk, Józef Mais, Wincenty Potocki i Weyde, w Limanowie.

Lisko i pow. liski: Dr. Freysinger, w Lisku, Zygmunt Jordan, Karol Morwitz i Juliusz Riedl, w Ustrzykach dolnych.

Lwów i pow. lwowski: Jan Antoniewicz, Bank kredytowy, Karol Bayer, Dr. Berliner (†<sup>14</sup>/<sub>1</sub>, 1886), Dr. Bińczewski, Dr. Blumenfeld, Michał Bogdanowicz, Dr. Byk, Antoni Czarkowski, Tadeusz Czarkowski, Dr. Czeszer, M. Diamand, Fanni Ehrensaal, Mikołaj Epstein, Dr. Goldman, Dr. Gottlieb, Grabiński, Dr. Gross, Karol Hańnik, Dr. Hefern, Dr. Herschman, Hisztyn, Dr. Holzer, Samuel Horowitz, Józef Howorka, Dr. Jackowski, Zygmunt Jasiński, Józef Jędrzejowicz, Dr. Jekeles, Klipunowski, Dr. Koliszer, Wł. Ko-

stro, M. Krasucki, Dr. Marceli Madeyski, Jerzy Mayer, Moch-nacki, Dr. Niementowski, M. Nirenstein, St. Niezabitowski, An-toni Pfeiffer, Jakub Piepes, Karol Pogliès, c. k. Wiceprezydent Sądu krajowego we Lwowie, Dr. Pöner, Przyszlak, Pyszyński, Juliusz Reiss, Ricci, Zygmunt Richtman, Dr. Wł. Rieger, Dr. Tadeusz Rutowski, Dr. Schaff, Dr. Skałkowski, Karol Sklepiń-ski, Władysław Smolka, J. Eke. Dr. Fr. Smolka, Smutny, Mar-celi Studziński, Dr. Henryk Szydłowski, Karol Tomkiewicz, Edward Weigel (†<sup>16/</sup>, 1886,) Dr. Weiss, Welichowski, Wewiór-ski, Dr. Wolski, Liberat Zajączkowski i Dr. Zucker, we Lwowie, Karol Berchard, w Szczercu, Zygmunt Groblewski i G. Liszka w Winnikach.

Łańcut i pow. łańcucki: Ludwik Danielewicz i Alina Ka-hanc, w Łańcucie, ks. Jan Duklan Majewski, O. Wilhelm Kar-weta, O. Rogery Malarczyki, ks. gwardjan Ludwik Szul, w Lo-żajsku, Aleksander Czepielewski, Zygmunt Głambocki, Konwent O. Bernardynów i Świtalski, w Przeworsku.

Mielec: Dr. Brandt, Dereniowski, Józef Droba, Fibich, Aureliusz Fintowski, Daniel Kisiel, ks. Knutelski, Andrzej Pa-wlikowski, Szymański, Mieczysław Szymberski i Józef Turczy-nowicz w Mielcu.

Mościska: Włodzimierz Dorożewski i Dr. Bogusław Am-broziewicz, w Mościskach.

Nadwórna: Alojzy Braun, Jan Chomiak, Jan Kisielewski, Władysław Korzeniewicz, Adolf Sichower i F. A. Telichowski, w Nadwórnie.

Nisko: Czytelnia, ks. Lechowski i Piotrowski, w Nisku.

Nowy Sącz i pow. nowosądecki: Feliks Ritter, Dr. Schorn-stein i Dr. Wąsikiewicz w Nowym Sączu, Władysław Ambro-ziewicz, J. Macudziński i A. Wayda, w Starym Sączu.

Pilzno i pow. pilzneński: Leopold Płaziński, c. k. Staro-sta w Pilźnie, Kochanowski i Górski, w Strzegocicach.

Podhajece i pow. podhajecki: Michał Borowski, burmistrz miasta Podhajec, Czytelnia kasynowa, Inglott, Lilienfeld, Łoś, St. Matkowski, Karol Popiel, c. k. Starosta, Sternschuss, Fr. Stobiecki i August Szezurowski, w Podhajcach, Zaremba, w Adamówce.

Przemyśl: Baranowski, Dr. Baumfeld, Dr. Doliński, Dorn-wald, Dr. Dworski, burmistrz miasta Przemyśla, A. R. Janeczek, F. Kwaśniewski, Mester, Dr. Nawratil, Dr. Rosenbach, Dr. Skala, Dr. Skórski, Dr. Smutny, Konstanty Stupnicki, Leon Szczerbiński, Dr. Tarnawski, Dr. Waygart i Fr. Zych w Przemyślu.

Przemyślany: Baranowski, Dr. Waligórski, A. Wybra-nowski i Żółtaniecki, w Przemyślanach.

Rawa ruska: Władysław Jarosz, Awigdor Katz, Dr. Li-siński i H. Zawzięty, w Rawie ruskiej.

Rohatyn i pow. rohatyński: Biblioteka kasynowa, Fr. Chole-wiński, Dr. Ruben Flecker, Władysław Manasterski, Dionizy Polański i W. Schwarzowa, w Rohatynie, Leokadja Żytyńska, w Stratynie.

Rudki: Kazimierz Kurek, Seweryn Wasilewski i Piotr Zbrożek, w Rudkach.

Rzeszów: Dr. Als, Dr. Barzycki, ks. Fałat, Dr. Fechtde-gen, ks. Gąsior, ks. Gryziecki, Kalinowski, burmistrz miasta

Rzeszowa, St. Markiewicz, Dr. Reich, ks. Szaflarski i Dr. Zbyszewski, w Rzeszowie.

Sambor i pow. samborski: Dr. Bieglmayer, ks. Cyprian Gdowski, Dr. Irzyczek, Wilhelm Kasperek, Felicjan Kasprzycki, G. Kohn, Wilhelm Krywald, Frydryk i Wilhelm Kuhnenowie, Barbara Leśniewiczowa, Salamon Medlinger, Karol Negrusz, Dr. Niedźwiedzki, Ignacy Nikolai, Józef Paszkiewicz, Stanisław Trojan i Eustachy Zajączkowski, w Samborze, Ludwik Balicki, w Wykotach i Dr. Dolański w Rakowej.

Sanok: Dr. Gawęł, Ichel Herzig, Dr. Iskrzycki, Ludwika Kahane, Dr. Wł. Skalski, Michał Skulski, Leon Studziński, c. k. Starosta, Ludwik Świerczyński i Zarewiczowa, w Sanoku.

Pow. skałacki: H. Goldlust, Goldstern & Löwenberz, St. Kądzielski, Emil May, Herman Ostersetzer, Resch, Schneider i Józef Tiger, w Podwołoczyskach.

Pow. śniatyński. ks. J. Karatnicki i A. Schapira, w Zabłotowie.

Sokal i pow. sokalski: Józef Arway, Derdacki. Adolf Doening, Dr. Filipowski, burmistrz miasta Sokala, Geissler, Adolf Majewski, Rauch, Dionizy Tchórzewski, c. k. Starosta i Dr. Wejda, w Sokalu, Emilia Paprocka, w Zawiszni, Karol Chudzik, Adolf Gross, Seweryn Kisielewski i Aleksander Miłkowski, burmistrz w Bełzie.

Stanisławów: Eugeniusz Ambros, Artychowski, Borecki, Dr. Kamiński, burmistrz miasta Stanisławowa, Dr. Katzenellenbogen, Kajetan Kopacz, Felicjan Milerowicz, Dr. Mroczkowski, Piotr Sedelmayer, Teodor Stachiewicz, Dr. Sztencel, Dr. Walery Szydłowski, Juliusz Turczyński i Ignacy Zdrassil, w Stanisławowie.

Staremiasto: Jerzy Koudelka, w Staremieście.

Stryj: Henryk Camil, J. Cieślukowski, Dr. F. Fruchtman, Leon Gaertner, ks. Humiński, Józef Kosterkiewicz, Juliusz Kuhn, Józef Lechicki, Marcell Manasterski, c. k. Starosta i Franciszek Pilecki, w Stryju.

Tarnobrzeg: Karol Blich, Gmina miasta Tarnobrzega, Leopold Goldman, Gryglewski, N. N. i Franciszek Riess, w Tarnobrzegu.

Tarnopol i pow. tarnopolski: Adolf Balko, Dr. Delinowski, Jakub Gall, Kazimierz Gużkowski, Hirschhorn, Ingwer, Lacek, Dr. Mantel, Michałowski, Mieczysław Paszkudzki, Rossin, Dr. Schmidt, Schragar, Silkiewicz, Dr. Sternklar, Bolesław Teneza, Dr. Trzcieniecki, Dr. Weisstein, Leon Willner i Leon Wszelaczyński, w Tarnopolu, Jakub Willner, w Biale i Cywiński, w Płotyczach.

Tarnów: Dr. Goldhammer, M. Grabowski, Kornel Kossak, Dr. Lerner, Fr. Łazarski, Dr. Merz, Nunberg, Okuniewski, J. O. ks. Ludwik Łodzia Poniński, c. k. Starosta, Dr. Ringelheim, Karol Rudolf, Dr. Stanko, Dr. Stojałowski, Ryszard Zawadzki, c. k. Prezydent sądu, w Tarnowie.

Tłumacz i pow. tłumacki: Sierpiński, w Tłumaczu, Godziszaw Kobuzowski i Witosławski, burmistrz miasta Tyśmienicy.

Trembowla: ks. Kaliniewicz, Lipnicki i Dr. Olpiński, burmistrz miasta Trembowli.

Wadowice i pow. wadowicki: Dr. Iwański, Lipka i Wilczyński, w Wadowicach, ks. Czesław Bogdalski i Andrzej Imiał, w Kalwarji Zebrzydowskiej i Dr. Gabriel Sysak, w Zebrzydowicach, ks. Antoni Adamus, w Starejwsi.

Wiedeń: Bernard Kohn i Herman Mises, we Wiedniu.

Wyżnica (na Bukowinie): Rudkowski, Sozański, Sworakowski, Ferdynand Syrzistie, c. k. Starosta i Węgrzynowicz, w Wyżnicy.

Zaleszczyki: A. Bielański, Antoni Gross, Dr. Omeiss, Antoni Piskozub i Dr. Schrenzel, w Zaleszczykach.

Zbaraż: ks. Jan Jaworski, Edward Kruh, Kukawski, Władysław Macieszkiwicz, Antoni Petter i Dr. Tyralski, w Zbarażu.

Złoczów: Dr. Heyne, Dr. Misky, Wilhelmina Niedźwiedzka i Dr. Wesołowski, w Złoczowie.

Żółkiew: Franciszek Zoner, w Żółkwi.

Pow. żydaczowski: Józef Biesiadzki, Antoni Stecher i Wawrzyniec Zaremba, w Mikołajowie, Bałaban, Dr. Chomicki i Tyszkiewicz, w Żurawnie.

Żywiec: Celestyn Jaworski, w Żywcu.

---

## Treść.

---

	Str.
Andruszewicz Bolesław, Aforyzm . . . . .	30
"          "    Kołysanka. pieśń . . . . .	38
"          "    Ostatnie strofy, pieśń . . . . .	40
"          "    Artem, poemat epiczny . . . . .	41
Antonowiczówna Janina, Na cmentarzu, wiersz . . . . .	71
"          "    Z dumań wieczornych, zbiór wierszów i prozy . . . . .	91
z Balińskich Emilja, Potępiona, allegorja . . . . .	190
"          "    Do J. I. Kraszewskiego, oda . . . . .	224
Bartusówna Marja, W wiejskim poranku, wiersz . . . . .	248
Ciesielski Władysław, W drodze, fragment liryczny . . . . .	24
F. K., Biblioteka Mickiewicza, projekt . . . . .	217
G. Kazimierz, O! jak niegodny jestem Ciebie, Panie! pieśń . . . . .	86
Kohn G., De profundis clamavi ad Te! pieśń . . . . .	3
"    Malarz artysta i poeta, szkic biograficzny (z ryciną tytułową i ilustracją w tekście.) . . . . .	4
"    Rozbiór „Wieńców pośmiertnych“ Zedlitza . . . . .	31
"    Aforyzmy . . . . .	90
"    Nasze miasteczka i nasze pożary w Galicji (obraz z rzeczywistości wzięty, z ryciną.) . . . . .	129
"    V. Z podań legendy żydowskiej. „Izrae!u! tys lud mój wybrany!“ . . . . .	186
"    Polskie typy (z Juliusza Lothara) . . . . .	203
"    Dwie mogiły (wspomnienia pośmiertne, z cynko- graficznym portretem Marji Bartusównej.) . . . . .	225
"    Bibliografia . . . . .	253
"    Sprawozdanie z czynności moich . . . . .	287
Kovács Alma, Pożegnanie ojczyzny (z wołoskiego Ale- xandri.) . . . . .	134
"    Do moich siostrzyczek Mani i Syluni Z., wiersz . . . . .	215
L. * * Anna, wspomnienie z przeszłości . . . . .	205
Ł. z T. Felcja, O wychowaniu dzieci, odczyt. . . . .	191
Majkowski Jan, Wiersz na obchód rocznicy Adama w Oświęcimie w listopadzie 1880 r. . . . .	126
"    "    Wiersz na obchód rocznicy Adama w Oświę- cimie w listopadzie 1884 r. . . . .	127
Marja z Rusiłowa, Do młodej poetki, wiersz . . . . .	214

	Str.
O. Metody, Piaszczaki leżajskie, (legenda kiasztorna) . . . . .	72
Nałęcz Pius z Witoszyna, Opowiadanie starego legionisty, powieść . . . . .	135
„ Król i astronom (z niemieckiego) . . . . .	252
Nowakowski Julian, Do myśli, wiersz. . . . .	135
Romanowski Mieczysław junior, Z życia skazańca, trzy chwile . . . . .	87
Stefan z Opatówka, Koń na mogile, wiersz . . . . .	251
Stehlik Alfred, Z fragmentów społecznych :	
„ „ Trubadur . . . . .	167
„ „ Wyzwolona . . . . .	169
„ „ Kondukt . . . . .	171
Tarnowski Władysław, U mogiły Augusta Bielowskiego, elegia . . . . .	233
„ „ Mozart i Hummel, fraszka poetyczna . . . . .	250
W. F. Dumki z Tarasa Szewczenki . . . . .	172
Wszelaczyński Maciej, Noc zaduszna, (z Saphira) . . . . .	122
Dr. Zipper Albert, Enoch Arden, rozbiór dzieła . . . . .	173



## Spis pomyłek.

<i>Str. wiersz</i>	<i>zamiast:</i>	<i>czytaj:</i>
27 35	sława! ojców	ojców sława!
31 18	Wiele	Wielu
34 21	duch poety	duch z poetą
36 31	William Pitta	Canninga
36 33	Pitt	Canning
39 22	Rozchmusz	Rozchmurz
41 4	kiku	kilku
44 31	struuy	struny
46 36	nucić dunki	I nucić dumki
50 12	Już u celu	Już jest u celu
50 34	tyś mem światłem	tyś mym światem
60 1	mł de	młode
62 38	Blaskiem na	Blaskiem mu
68 36	drobniuchnią	drobniuchną
77 34 i 35	prze.nocowawszy	prze-nocowawszy
84 12	postawienie	postanowienie
84 28	swym	swem
88 31	Świętych wzniosłych	Świętych i wzniosłych
94 10	srebnej	srebrnej
97 23	Ze	Że
129 3	według	według
150 w. ost.	sta ostę	starostę
173 25	narodowości	narodowości
185 35	poety — laureato	poety — laureata
187 38	postępowego	postępowego
190 7	żeb aczy	żebraczy
195 w. ost.	sił	siłę
235 32	nmieściła	umieściła
255 1	Cwika	Ćwika
261 29	w pozańskim	w poznańskim
267 35	Seanagatta	Scanagatta
270 14	lekarza Wörnera	lekarza Wörnera,
270 38	kochała, go	kochała go
272 25	1885ty	11885ty
274 37	F. Poechego	J. Poechego
275 21, 22	dobrane, umiejętnie do podjęcia	dobrane umiejętnie do pojęcia
282 10	Anduwe	A Nduwe
288 5	Labieniecki	Lubieniecki
288 21	Biessinger	Bissinger
289 1	Kossukiewicz	Kossakiewicz
290 15	Malarczyki	Malarczyk,
290 15	Łożajsku	Leżajsku
291 41	Schrager	Schrayer
291 42	Teneza	Tencza

Uwaga wydawcy: Z przytoczonych tu błędów przeoczył wydawca sam 9, wyznaczył ale nie poprawiono 14, a 22 powstały z powodu nieuwagi zecerskiej, chociaż początkowe obydwie korekty nie wykazały żadnego z tych błędów.

